

ASPEKT ^{nr} **2-3** 1979

kwartalnik społeczno-polityczny 

1750-1800

ASPEKT^o nr 2-3 1979

kwartalnik społeczno-polityczny

W numerze m.in. ZAGADNIENIA: reforma szkolnictwa • deficyt kadr z wyższym wykształceniem • militaryzacja społeczeństwa • sytuacja gospodarcza Polski i koncepcje naprawy • co myślimy o Niemcach? AUTORZY: W. Bienkowski • S. Gomułka • S. Kisielewski • A. Mazur • A. Ostoja-Owsiany • R. Piłsudski i inni.

marksistom do szfambucha:

- Prawo ścigające za przekonania nie jest prawem państwa dla obywateli, lecz prawem jednej strony przeciw drugiej.
- Nikt nie zwalcza wolności, zwalcza co najwyżej wolność innych.

Karol Marks

Czas programu

Cztery lata i co dalej?

5 grudnia 1975 r. podpisany został list 59 intelektualistów przeciw zmianom w Konstytucji PRL. Datę tę przyjmuje się zgodnie jako początek rozwoju niezależnej działalności politycznej w Polsce. Znaczenie tego dokumentu, który nie był ani pierwszym, ani najdalej idącym "protestem konstytucyjnym" ma charakter symbolicznej cezury. W przeciwieństwie bowiem do ogłoszonego 12 lat wcześniej listu 34 intelektualistów w obronie wolności słowa, tym razem - po pierwsze - władze nie zareagowały w sposób nerwowy i totalny, po wtóre - sprzeciw wobec proponowanych poprawek do Konstytucji ostro rezonansował w środowiskach społecznych, zwłaszcza inteligentnych. Te dwa zjawiska notujemy jako niezależne od siebie, choć oczywiście zapewne istniał między nimi związek w obu kierunkach: brak ostrej reakcji władz mógł ludzi ośmielać do wyrażania swoich poglądów; masowość poglądów krytycznych mogła znów powstrzymać władze przed zbyt ostrą reakcją. W każdym razie powstała w konsekwencji zupełnie nowa jakość: spora liczba osób odzyskała poczucie własnej podmiotowości politycznej, władze zaś przeszły na pozycję wyczekującą.

Tak to się zaczęło i wkrótce rozwój wydarzeń uległ przyspieszeniu: w maju 1976 r. "Dziennik Polski" w Londynie opublikował Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, wskazując kraj jako siedzibę tego Porozumienia. We wrześniu, w następstwie "wydarzeń czerwcowych" powstał Komitet Obrony Robotników, pół roku później - w bezpośrednim następstwie ratyfikowania przez PRL Międzynarodowych Paktów Praw Politycznych i Obywatelskich - Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. W 1977 r. przełamane zostały

PODSTAWY PRAWNE NASZEGO DZIAŁANIA:

1. Nikt nie może być prześladowany z powodu swych poglądów.
2. Każdy człowiek ma prawo do swobodnego wyrażania opinii; prawo to obejmuje swobodę poszukiwania, otrzymywania i rozpowszechniania informacji i poglądów wszelkiego rodzaju, bez względu na granice, słowem, pismem lub drukiem, w postaci dzieła sztuki bądź w jakikolwiek inny sposób według własnego wyboru.
3. Realizacja swobód przewidzianych w ustępie 2 niniejszego artykułu pociąga za sobą specjalne obowiązki i specjalną odpowiedzialność. Może więc w konsekwencji tego podlegać pewnym ograniczeniom, które jednak winny być wyraźnie przewidziane przez ustawę i które są niezbędne dla:
a/ poszanowania praw i dobrego imienia innych;
b/ ochrony bezpieczeństwa państwowego, porządku publicznego, zdrowia albo moralności publicznej.

/Dziennik Ustaw PRL, nr 38 z dnia 29 grudnia 1977 r., poz. 167, art. 19/

- przynajmniej w wąskich kręgach zbliżonych do niezależnych ośrodków - bariery partyjnej cenzury. Mniej chodziło tu o swobodny przepływ informacji, której źródła w systemie totalitarnym zablokowane są praktycznie na wszystkich szczeblach, bardziej - o forum wymiany poglądów.

W tym początkowym okresie ukształtowało się kilka form niezależnej aktywności: działanie jawne z otwartą opcją, działanie niejawne, wreszcie forma jawnego, zamkniętego i ograniczonego w liczbie członków "komitetu obywatelskiego". Ludzie podejmujący działalność jawną deklarowali pełne przekonanie o jej wyższości nad działaniem "z ukrycia", jednak między zwolennikami formy jawnej i niejawnej kontrowersje trwały do dzisiaj.

Trzymając się chronologii odnotujemy, iż przynajmniej do grudnia 1978 r., a więc w ciągu trzech lat, zarówno ugrupowania typu komitetowego na czele z KSS "KOR", jak i ugrupowania z "otwartą opcją" - rudymentem formuły ROPCio - starannie unikały takich sformułowań, które postawiłyby je w kolizji z przepisami PRL-owskiego prawa o stowarzyszeniach. Dopiero 9 grudnia 1978 r. na spotkaniu Rady Konsultacyjnej miesięcznika "Opinia" zapadła pierwsza decyzja o reglamentacji członkostwa i strukturalizacji form działania. Kolejny krok zrobiła grupa osób skupionych wokół L. Moczulskiego ogłaszając w dn. 1 września 1979 r. powstanie partii politycznej pod nazwą Konfederacja Polski Niepodległej, informując wkrótce o swych "statutowych organach władzy": Zjeździe, Radzie Politycznej oraz Kierownictwie Akcji Bieżących. W ten sposób wyczerpano techniczną różnorodność form jawnego działania zamykając cykl rozwojowy od "działań z otwartą opcją", którym przed czterema laty dał początek list 59 intelektualistów, po "partię polityczną". Pozostaje melancholijna refleksja, iż nie nowego na tym polu już się nie wymyśli, zatem dalszy rozwój niezależnej aktywności będzie teraz wyłącznie

1982 D 1100/9

BN
KRAJOWA

P.520.144

funkcją jej treści, a nie zmiany, czy chciałoby się powiedzieć - eskalacji form.

Tymczasem w sprawach treści nie jest łatwo o uporządkowany przegląd, jak w sprawie form działania. Kompetentny znawca zagadnienia, szef SB gen. Krzysztoforski, mówił na spotkaniu z dziennikarzami we wrześniu 1979 r. o istnieniu ok. 30 "różnych orientacji w opozycji" oraz podał liczbę 33 czasopism. Czasopisma można policzyć sporządzając ich wyczerpujący spis. "Orientacji" policzyć się nie da za pomocą spisu operującego nazwami własnymi, trzeba nadto je określić, ustalić różnice i podobieństwa, obszary współdziałania faktycznego i możliwego, strefy konfliktów. Gdyby patrzeć z Wrocławia, jest tylko "jedna orientacja", na którą składa się szereg grup działania: oświadczenia i komunikaty środowiska wrocławskiego podpisywane są zgodnie przez działaczy KSS "KOR", ROPC10, RWD, TKN, SKS, KPN /rzeczywiście, namnożyło się tych skrótów.../ - chociaż działacze KSS "KOR" w Warszawie, a zwłaszcza prasa korowska zwalczają Moczułskiego nie przebiegając w środkach /mamy na myśli środki wyrazu/. Patrząc znów z Łodzi - KPN jest izolowany, dwa odłamy działaczy ROPC10 w ogóle ze sobą nie współpracują, oba natomiast współpracują z KSS "KOR" i Ruchem Młodej Polski. Takich pokretnych konfiguracji znajdzie się w całym kraju tyle, ile jest skupisk niezależnych działaczy. Można więc "wyjść w kolor" generałowi SB i pomnożyć liczbę nazw własnych grup przez liczbę różnych układów środowiskowych, wówczas otrzymamy nie mniej niż 100 różnych "orientacji"... Można także spojrzeć na zagadnienie bardzo rygorystycznie, od strony zawartości przekazów wychodzących z poszczególnych ugrupowań i stwierdzić całkowicie zasadnie, iż nie ma dwu orientacji, które byłyby konsekwentnie wobec siebie w opozycji. Można wreszcie z łatwością dowiedzieć, iż trudności w porozumiewaniu się między poszczególnymi środowiskami polegają zdecydowanie częściej na animozjach personalnych, niż na różnicach programowych. Wnioski wynikające z tych stwierdzeń wcale zresztą nie są dla niezależnych środowisk bardziej chwalebne, niż "wskaźniki" opracowane w gabinetach na ul. Rakowieckiej w intencjach, dla których je następnie ogłoszono.

Wyrażamy przekonanie, iż czas dojrzał, abyśmy się z a c z e l i o d r ó ż n i a ć, nie tyle i nie tylko po nazwach czy nazwiskach osób, wokół których ogniskuje się działalność poszczególnych środowisk, ale przede wszystkim wedle tego, jak definiujemy i diagnozujemy obecną sytuację w kraju, jakie widzimy drogi wyjścia i kształt przyszłej Polski. Obiegające kraj apele, deklaracje czy oświadczenia formułowane są na tak wysokim szczeblu ogólności i dla tak odległych punktów dojścia, że praktycznie niczym między sobą się nie różnią. Tymczasem w działalności politycznej zróźnicowanie orientacji jest zjawiskiem całkowicie naturalnym, a procesy polaryzowania, przenikania i zbliżania się orientacji stanowią integralny składnik ludzkiej aktywności w wolnym społeczeństwie. Ludzie mają przecież rozmaite interesy i rozmaite punkty widzenia na usytuowanie

tych interesów w hierarchii racji ogólnospołecznych. Mówiąc z przekąsem o kilkunastu partiach politycznych okresu międzywojennego ignorujemy fakt, iż we współczesnych demokracjach zachodnich w szranki walki politycznej wstępuje nie kilkanaście - a nawet kilkadziesiąt rozmaitych politycznych ugrupowań. Artykułując swoje programy ugrupowania te adresują je zarówno do ludzi podobnie myślących, jak i - przede wszystkim - do całego społeczeństwa eksponując sprawy wspólne wszystkim. Rezultaty wyborcze manifestujące się składem partyjnym parlamentów są oczywiście dalekie od bogactwa programów politycznych i społecznych, z których się wyłoniły. Ale jest to znów tylko pozorna oczywistość, bowiem łatwo skonstruować, iż najbardziej nośne społecznie elementy rozmaitych orientacji zostały w trakcie walki politycznej przyswojone programom wielkich partii. Zachodnia politologia wyprodukowała obfitość fascynujących opracowań z gatunku "analiza ideologii w konflikcie" i dzięki nim można krok za krokiem śledzić, jak polityczne programy wielkich partii ewoluują pod wpływem tych niewielkich, ale prężnych intelektualnie, choć niekiedy nazbyt krzykliwych ugrupowań. Zasluguje tu na uwagę kariera tzw. environmentalistów albo "zielonych", czyli rzeczników ochrony środowiska. Startowali przed kilkunastu laty z pozycji negujących rozwój cywilizacyjny i wówczas przytłaczająca większość ludzi kwitowała ich działalność wzruszeniem ramion. Dziś nie ma na Zachodzie partii politycznej, która mogłaby przejść do porządku nad postulatami "zielonych" - dowodnym ostrzeżeniem była pierwsza klęska wyborcza szwedzkiej socjaldemokracji.

Pod względem treści te cztery lata działalności niezależnej nie zbliżyły nas ani na krok do modelu uprawiania polityki w zachodnich demokracjach. W społeczeństwie demokratycznym politykę robią przede wszystkim grupy nacisku i grupy inicjatywne. U nas powstają raczej zalążki przyszłych "wielkich partii", z których każda chciałaby powiedzieć wszystko o wszystkim, ale nie ma po temu ani kwalifikacji, ani audytoryum. W rezultacie wypowiadają się formułami o stopniu ogólności nie przekładalnym na język współczesnej walki politycznej. Warto się nad tym zastanowić, bo przecież nie wszystko można wytłumaczyć specyfiką ustroju totalitarnego. Część winy - i to zapewne nie mała - jest po naszej stronie.

U zarania niezależnej działalności sformułowane zostało hasło "Polska ruchów społecznych" oraz teza, iż pierwszy jawny podpis pod nonkonformistycznym i zbiorowym wystąpieniem do władz jest czynnikiem przełamującym lęk, stanowi niejako inicjację do nowej w peerelowskiej rzeczywistości roli społecznej: roli niezależnego działacza. Wizja rozwoju opartego o te przesłanki rysowała się nader optymistycznie, niemal jak statystyczny model "procesu Poissona": lęk przełamany przez stu pierwszych - zachęci tysiąc następnych i owo "przełamywanie lęku" będzie lawinowo narastało w całym społeczeństwie, masowe ruchy społeczne nielekliwych animowane przez

najbardziej odważnych staną się faktem. Jakkolwiek przesłanki ustawione były zgodnie z logiką, bo im więcej ludzi włącza się w działalność, tym trudniej policji opanować sytuację i tym mniejsze prawdopodobieństwo represji - to jednak dziś już wiemy, że założenia nie sprawdziły się i trzeba dociec - dlaczego. Dociekanie własnych niepowodzeń stanowi fundamentalny akt samowiedzy.

Zinwentaryzujemy fakty. Liczebność jawnych środowisk niezależnych, po szybkim rozwoju w 1977 r. uległa nieznacznej regresowi, w najlepszym zaś razie ma charakter stacjonarny. Mówimy o liczebności, a nie o przepływie. Przepływ nadal wykazuje dynamikę, o ile jednak dwa, trzy lata temu znacznemu napływowi towarzyszył niewielki odpływ, dziś wielkości te są dość wyrównane. Przyjrzyjmy się temu zagadnieniu rozpatrując trzy typy relacji: "opozycja - opozycja", "opozycja - władze", "opozycja - społeczeństwo". Musimy także rozpatrzyć problemy związane z indywidualną motywacją wejścia do opozycji oraz z decyzją pozostawania w jej środowiskach.

Rozpatrując relację "opozycja - opozycja" trzeba na wstępie stwierdzić, iż bardzo znaczna liczba, w każdym razie przekraczająca połowę działaczy niezależnych pozostaje w tych środowiskach praktycznie od początku. Nazwijmy ich "działaczami stabilnymi". Charakterystyczne jest, iż ogromna większość takich właśnie stabilnych działaczy ma bogato zapisane biografie, liczące się zapewne metrami bieżącymi półek w archiwach tajnej policji: ich akta zakładane były w pierwszym ćwierćwieczu PRL, między rokiem 1944 i 1970. Pewna 5-osobowa komisja powołana przez ROPCiO w 1978 r. miała łącznie 48 lat wyroków sądów wojskowych /głównie z art. 86 KKWP - "Usiłowanie obalenia ustroju"/ i 31 lat łącznej "odsiadki", wszystko przed październikiem 1956 r. Obok takich "weteranów" okresu stalinizmu najliczniejszą grupę stabilnych działaczy stanowi pokolenie marca 1968 r. Nie ma generalnej reguły dystrybucji tych dwu pokoleń między głównymi ugrupowaniami, choć niewątpliwie pierwsze z nich przeważa w ROPCiO, drugie zaś w KSS "KOR". Nie ma również reguły wieku, dlatego termin "pokolenie" należy rozumieć politycznie a nie chronologicznie. Pośród ludzi, którzy rozpoczęli swą działalność opozycyjną między rokiem 1956 i 1970 jest wiele osób starszych i równych wiekiem pokoleniu "weteranów"; ci starsi i równoletni bywali zresztą po stalinowskiej stronie barykady. Wiek ujawnia natomiast inną charakterystyczną prawidłowość: absolutna większość działaczy od 30 roku życia wzwyż, zanim podjęła działalność w niezależnych środowiskach, miała już - przed 1975 r. - rozmaite konflikty z tzw. władzą ludową. Tylko dla nielicznych działalność obecna jest pierwszym aktem oporu w ich politycznym życiorysie. W przeciwieństwie do scharakteryzowanych wyżej osób - ludzie młodzi, dla których stalinizm jest historią, zaś u schyłku lat sześćdziesiątych byli jeszcze uczniami, stanowią mniejszość działaczy aktywnych i stabilnych. Równocześnie ta właśnie kategoria osób zdecydowanie dominuje wśród niestabilnych, "przepływających" działaczy środowisk niezależnych.

Pokoleniowa struktura środowisk niezależnych pozwala na stwierdzenie, iż dzisiejsza opozycja bą-
zuje przede wszystkim na 25-letnim potencjale oporu; dzięki sprzyjającym okolicznościom ludzie z rozmaitych epok walki z reżymem, walki prowadzonej w imię różnych, często rozbieżnych celów i pod różnymi auspicjami - spotkali się współcześnie. Jedynym hasłem, jakie tym wszystkim ludziom mogło być wspólne w chwili spotkania, to negacja reżymu totalitarnego. Negacja nie jest i nie będzie nigdy programem politycznym, chociaż może zburzyć Bastylię, czy - tempora mutantur - spalić partyjne komitety. W rozumieniu socjologicznym zjawisko takie nosi znamiona "osobocentryzmu grupotwórczego", podczas gdy prawidłowy rozwój ruchów politycznych zasadza się na "programocentryzmie". Innymi słowy: grupy powstawały, rozbudowywały się i rozłamywały wokół o s ó b, a nie wokół p r o g r a m ó w; programów zresztą nie było, zastępowały je hasła formułowane - jak to już wyżej sygnalizowaliśmy - na bardzo wysokim stopniu ogólności, przez to prawie identyczne.

W konsekwencji, zanim doszło do uszczegółowienia zasad programowych, do ideowo-politycznego samookreślenia się środowisk, w opozycji zaczęła się seria rozłamów. Także rozwój odbywał się raczej w drodze powstawania nowych grup niż poprzez wzrost liczebności już działających środowisk. Zjawisko takie można by uznać za naturalne, gdyby grupy różniły się sensownie wyodrębnionymi zakresami działania lub programami. Ale w większości przypadków nie sposób określić, czym różnią się poza składem osobowym i sympatiami deklarowanymi wobec innych grup. Powstało w ten sposób wiele rozmaitych komitetów chłopskich, studenckich, "Wolnych Związków Zawodowych" lub zgoła ugrupowań regionalnych, które miałyby sens tylko wówczas, gdyby stanowiły płaszczyznę porozumienia między ogólnopolskimi ugrupowaniami /jak jest we Wrocławiu i częściowo w Poznaniu, Łodzi i Gdańsku/. Jeśli znów chodzi o podziały, to najostrejsze zaznaczyły się w ROPCiO: rozłam wyszedł z najbardziej zintegrowanej grupy określanej niekiedy mianem "nurtu niepodległościowego" /ze względu na dominację haseł o takim właśnie charakterze/ i przebiegł się na większość pozostałych środowisk. Nie jest zapewne przypadkiem, że tylko Ruch Młodej Polski i Ruch Wolnych Demokratów - wyraźnie określające się ideowo segmenty Ruchu Obrony - nie uległy rozłamowi, chociaż pojedynczy działacze przeszli do innych ugrupowań, głównie do KPN.

Powiedzmy od razu, że rozłam w ruchu politycznym może być zjawiskiem nie tylko normalnym, ale również pomyślnym, jeśli jest efektem dywersyfikacji programu, wzmacniania się alternatywnych koncepcji nie dopuszczanych do głosu przez konserwatywny trzon ruchu. Jeśli zaś rozłam wynika wyłącznie z konfliktów między czołowymi działaczami, jest przejawem patologii. Tym bardziej, gdy konflikty te zasadzają się na konkurowaniu o przywództwo. W okresie poprzedzającym ogólnopolskie spotkanie ROPCiO w czerwcu 1978 r. /zwane później "rozłamowym"/, Ruch Wolnych Demokratów na przykład - po wyczerpaniu możliwości mediacji

między zwaśnionymi stronami - staną wobec następujących możliwości działania: /1/ wyłączyć się z ROPCio, /2/ poprzeć grupę Moczulskiego, /3/ poprzeć grupę Czumy-Ziembińskiego. W środowisku RWD wszystkie trzy warianty miały swoich zwolenników. Wariant pierwszy odrzucono, żeby nie pogłębiać rozłamu; wybrano wariant drugi uznając, iż Moczulski jest człowiekiem o niewspółmiernie szerszych horyzontach politycznych niż jego adwersarze. Paradoxem tych zdarzeń był ogólnie znany fakt, iż ideowe, polityczne i taktyczne założenia Ruchu Wolnych Demokratów różniły go zasadniczo od grupy Moczulskiego, z kolei założenia grupy Moczulskiego nie różniły się niczym od założeń jego adwersarzy. Wobec podobnych dylematów stało środowisko "Bratniaka" /obecnie Ruch Młodej Polski/ i również poparło grupę Moczulskiego. Te zdarzenia ilustrują "osobocentryczny" charakter wielu ugrupowań opozycyjnych.

W relacji "opozycja - władza" trwa stan, który w poprzednim numerze "Aspektu" określiliśmy jako ignorujące przyzwolenie. Oczywiście stan taki odnosi się tylko do sfery działań politycznych czynników władzy; w sferze tej obowiązuje formuła "przemawiaj do obrazu, a obraz doń ani razu" i będzie obowiązywać w dającej się przewidzieć przyszłości. Natomiast w sferze policyjnej opozycja znajduje się na pierwszym planie działania i zapewne wpłynie na wydatną rozbudowę aparatu bezpieczeństwa. Nadal stojmy na stanowisku, że likwidacja głównych ośrodków opozycyjnych może nastąpić w ciągu jednej doby i nie wywoła ani rozruchów, ani strajku powszechnego. Jeśli mimo poafgańskiego zaostrzenia sytuacji międzynarodowej opozycji nie zlikwidowano, znaczy to, iż polityka "ignorującego przyzwolenia" posiada znamiona trwałości /w poprzednim numerze "Aspektu" szerzej rozważaliśmy przesłanki tej polityki/. Rozpatrując dwie sfery spraw, w których funkcjonują pozornie rozbieżne dyrektywy /ignorujące przyzwolenie - aktywne zwalczanie/, należało oczekiwać pojawienia się specyficznej strategii działania łączącej te dyrektywy w "dialektyczną jedność". Komuniści potrafią przedsięwziąć w pełnym przekonaniu działania, które na ludziach Zachodu sprawiają wrażenie rozwiniętych objawów schizofrenii.

Sądźmy, iż kwintesencją tego działania jest strategia selektywna: główna siła uderzenia kierowana jest na ludzi młodych, bez politycznej przeszłości. Już w połowie 1978 r. w toku narady w pewnym środowisku, po przeanalizowaniu szeregu informacji sformułowano tezę: "bezpieka bije po obrzeżach, pozostawiając stałych działaczy we względnym spokoju". Wgląd w zagadnienie jest na pewno bardzo fragmentaryczny, wiadomo jednak, że już na przełomie 1977/78 r. coraz liczniej młodzi ludzie nawiązujący kontakt z niezależnymi środowiskami - czy to przez udział w spotkaniach dyskusyjnych czy przez kolportaż wydawnictw poddawani byli presji bezpośrednio policyjnej, często łącznie z inspirowaną presją zakładów pracy, uczelni, a nawet rodziny. Już po pierwszym nacisku znaczna ich liczba przerywała działalność. Równocześnie wobec działaczy wieloletnich podejmowanie

tego typu presji należy do rzadkości - nawet przy zatrzymaniach nie są poddawani próbom przesłuchania, ani "rozmowom profilaktycznym": w jakiś sposób, milcząco, zostali włączeni w ten ubogi pejzaż życia politycznego PRL. Lepiej pewnie pasuje tu określenie, że zostali po prostu "spisani na straty". Innymi słowy strategia selektywna wydaje się funkcjonować jako dopowiedzenie do "ignorującego przyzwolenia": nie wszystkim i nie na wszystko /"wszystko", oczywiście, w rozumieniu Praw Człowieka, a nie widzieli się/. Problem czeka na dokładne opracowanie.

Póki co strategia selektywna zaowocowała - zamierzonym lub niezamierzonym - ale groźnym w konsekwencjach efektem. Oto młodzi "praktykanci" na opozycyjnej niwie nie mogą racjonalnie dociec powodów, dla których przeważnie traktowani są przez władze dużo ostrzej niż starzy działacze, w każdym razie nieproporcjonalnie do "zasług". Nasuwają się rozmaite skojarzenia, nierzadko z "Człowiekiem, który był Czwartkiem" Chestertona: z demoniczną wizją policyjnej konspiracji, w której przypadkowo znalazł się tylko jeden sprawiedliwy /wątek ten przewija się marginesowo także w "Małej apokalipsie" Konwickiego/. Lęk przed sterowaniem niezależną działalnością przez policję lub rozmaite ośrodki w partii jest powszechnie doświadczany i coraz natęższy się objawia. Konkurenci polityczni bywają podejrzewani o działalność agenturalną już nie tylko "w głębi duszy", daje się wyraz takim podejrzewaniom również na piśmie i to z podpisami ogólnie szanowanych osób. Informacje na temat "czyja działalność pachnie inspiracją" są najczęściej pierwszymi, a nierzadko jedynymi informacjami, jakie otrzymuje młody człowiek nawiązujący kontakt z niezależnymi środowiskami. Jeśli polityczny konkurent jest intensywnie represjonowany mówi się o nim, że w ten sposób bezpieczeństwa weryfikuje go jako działacza opozycyjnego, jeśli represjonowany jest w słabym stopniu, mówi się, że mu bezpieczeństwa otwiera pole działania. Jest to najczystsza paranoja jeśli zważywszy, że w jawnie działających środowiskach nie ma do ukrycia niczego poza techniką wydawnictw, że każda decyzja jest otwarcie dyskutowana, a konkretne działania podejmują tylko ci, którzy wyrażają na nie zgodę. Na tym między innymi polega ogromna przewaga działań jawnych nad konspiracyjnymi: przy zagwarantowanych szerokich kontaktach między uczestnikami i otwartym forum wymiany poglądów inspiracja agentury policyjnej jest bardzo utrudniona. Agenci natomiast doskonale poruszają się w mroku konspiracji. Jeśli młody człowiek inicjujący swą działalność w takim klimacie podejrzeń trafi wreszcie na przesłuchanie /a trafi prędzej czy później/, nieprzyjemnie zaskoczy go fakt, iż policja wie bardzo dużo: co, kiedy, gdzie, z kim, że dadzą mu nawet posłuchać własnego głosu z taśmy. Istota rzeczy polega jednak na tym, że z tej policyjnej, rzeczywiście rozległej wiedzy, nie wynika żadne zagrożenie dla uczestnika jawnego środowiska, ponieważ nic z tego, co się przy jego udziale w tym środowisku odbywa nie jest przed władzami skrywane, przeciwnie: trafia do władz w postaci wyartykułowanych za-

dań czy poglądów. Trzeba jednak dobrze wiedzieć czego się chce, żeby się w takim momencie nie wycofać.

Cechy szczególne środowisk opozycyjnych oraz selektywna strategia policji uruchomiły proces zasklepiania się stałych i "twardych" działaczy w grupach i grupkach, w których nikt od nikogo niczego nowego nie usłyszy. Brak "nowej krwi" połączony z nieumiejętnością przedstawiania się z polityki uprawianej na niby w politykę na serio wytwarza zjawisko trafnie określone kiedyś przez Stachniuka mianem "sklerozy otoczonej". Nie dotyczy to wszystkich środowisk, na pewno dotyczy większości. Niektóre środowiska upodabniają się do układów ZBOWID-owskich z rozbudowaną hierarchią prestiżu: w miejsce lub obok ran i odznaczeń bojowych liczą się lata wyroków, lata odsiadki, ekspulsje, rewizje, zatrzymania. Najlepiej mieć za sobą pełny cykl męczeństwa: zaprzęski, przeszy i całkiem współczesny. Siła politycznego oddziaływania męczenników jest jednak iluzoryczna: można ich podziwiać, ale do naśladowania nikomu nie śpieszno. Polityczny akces do działalności niezależnej rokuje trwałość tylko wówczas, kiedy motywowany jest przekonaniem, a nie podziwem czy fascynacją. Tymczasem wielu, zbyt wielu starych działaczy ma do pokazania tylko bliźnię na życiu pokiereszowanym przez totalitarne reżymy. Częstokroć młodzi ludzie, gdy już się zdołają w tym zorientować, mówią: Pano- wie, opozycji nie wolno traktować jako osobiste porachunki z komunistami, chodzi o to co jest dziś i co ma być jutro. I mają rację.

Inna grupa czynników decydujących dla powodzenia niezależnej działalności usytuowana jest w relacji "opozycja - społeczeństwo". Od rozpatrywanych wyżej relacji "opozycja - opozycja" i "opozycja - władza" tę relację różni w zasadniczy sposób fakt, iż nie tylko nie jest ona zakłócana czynnym przeciwdziałaniem władz, ale wręcz szereg bieżących rezultatów społeczno-gospodarczych funkcjonowania władzy otwiera pole działania dla opozycji. Stopień niezadowolonia, atrakcyjność opozycji, inercja postaw ludzkich - oto czynniki, które łącznie decydują o społecznym rezonansie i poparciu dla naszych działań. Przyjmując stopień społecznego niezadowolonia jako wielkość stałą i niezależną od naszych prac, wyłączamy go z pola widzenia. Uczciwie mówiąc jest to unik z naszej strony, ponieważ problem ma bardzo wysoką rangę poznawczą i kapitalne znaczenie w planowaniu walki politycznej. Podejmiemy go później, jeśli podołamy. Deklarujemy wstępnie, iż dostrzegamy w naszym społeczeństwie bardzo głębokie i l o ś c i o w e rozwarstwienie, jeśli idzie o stopień niezadowolonia. Da się ono prawdopodobnie przedstawić na wykresie przypominającym krzywą Gaussa: na obu krańcach wielkości rzędu 10 % są "zdecydowanie za" i "zdecydowanie przeciw" i postawy te są wysoce trwałe niezależnie od wahań koniunktury politycznej. Dalejsze, nader trudne do oszacowania wielkości, mają wyraźnie zarysowaną skłonność, ale podatne są na wahania koniunkturalne. Środkowa masa, nie mniej niż polowa Polaków, reprezentuje stopień i dynamikę niezadowolonia odpowiadające w przybliżeniu tylko ta-

kim postawom, które mogłyby znaleźć wyraz w wolnych wyborach, nie dadzą się natomiast zagospodarować w czynnym działaniu politycznym. Tacy ludzie są w każdym społeczeństwie, w demokracjach zachodnich jest ich pewnie więcej niż w Polsce; sztaby wyborcze określają ich mianem "szarej strefy". Z tego oszacowania wynika, że gdyby miały być w Polsce wolne wybory, PZPR uzyskałaby do 25 % głosów na pewno, wszystko zaś zależałoby od efektów propagandy w "szarej strefie". Przy wielośrodowiskowej opozycji i wiodącej roli PZPR w reformie ustrojowej komunistów mieliby szanse nawet na większość, ale nie chcą tego ryzyka podjąć. Fakt ów skłania niektórych działaczy opozycyjnych do wniosku, iż PZPR sama ocenia własne szanse wyborcze na znacznie niższym poziomie. Nie podzielamy takiej opinii, sądzimy iż opór przeciw instytucjom demokratycznym jest uwarunkowany doktrynalnie, tym zresztą trudniejszy do przewyciężenia. Nie powinno być natomiast większej różnicy zdań jeśli idzie o oszacowanie liczby potencjalnych uczestników działalności opozycyjnej: w każdym razie jest to liczba siedmiocyfrowa, wyraża się w milionach. Liczebność "drugiej linii" środowisk opozycyjnych wyraża się w tysiącach. Liczebność samych środowisk - w setkach. Jak widać z każdym kolejnym krokiem mamy inny rząd wielkości. I to jest właśnie miara problemu.

Tak więc w relacji "opozycja - społeczeństwo" zostaniemy przy wypadkowej dwu czynników: atrakcyjności opozycji oraz inercji postaw ludzkich. Oba te czynniki są zmienne /albo, jak się to mówi, manipulowalne/. Można zarówno podnosić atrakcyjność opozycji jak i oddziaływać na postawy ludzkie. Problem sprowadza się do znalezienia odpowiednich formuł prowadzących do zmienności optymalnej. Poszukując takich formuł musimy przyjąć założenie, iż w każdym modelu współzależności obu czynników p i e r w o t n e są postawy ludzkie. Innymi słowy opozycja atrakcyjna to taka opozycja, która jest ukierunkowana na przekłamanie inercji postaw.

Wydaje się dziś, iż w toku niezależnej działalności przesłanka ta została zlekceważona. Wyłączając początkowy okres /wybitnie służyła wobec społeczeństwa rola Komitetu Obrony Robotników/ opozycja usiłowała narzucić społeczeństwu pewien styl działania i przewodnictwo w sposób dalece nie przystający do stanu postaw, wśród których dominowała głęboka inercja. Rychło musiało się okazać, że ta właśnie inercja postaw jest daleko groźniejszym przeciwnikiem opozycji niż cały aparat bezpieczeństwa z jego tradycyjnymi metodami i nowoczesną techniką.

Inercja postaw objawia się przede wszystkim w sferze imponderabiliów. Jakkolwiek nie jest prawdą, że ludźmi powodują wyłącznie motywy materialne, to prawdą jest, iż atrofia wartości wyższego rzędu sprzyja dominacji motywów materialnych i orientacjom egoistycznym, tak jak zły pieniądz wypiera dobre pieniądze. Nie można jednak wątpić, iż w przytłaczającej większości ludzi tkwi pragnienie i tęsknota do wyjścia poza ciasny krąg małych spraw codziennego bytowania. Przez ponad 30 lat system totalitarny

gruntował w ludziach niewiarę w możliwość wyjścia poza ten krąg i proces taki musiał w społecznych aspiracjach znacznie podwyższyć próg decyzji o realizowaniu wartości wyższego rzędu, w tym wartości politycznych. Mówiąc zwyczajnie - ludziom towarzyszy lęk o utratę własnej pozycji życiowej, bardzo często uzyskanej uczciwą pracą i ogromnym wysiłkiem. Hasła opozycji formułowane, jak powiedziałby Kołakowski, w pułapie "imposybilistycznym", to znaczy niemożliwe d z i ś do spełnienia, stanowią dla takich ludzi wyzwanie o nieobliczalnych konsekwencjach. Właśnie wśród ludzi, którzy wszystko zawdzięczają własnej pracy i zdolnościom, którzy nie korzystali albo nawet gardzili partyjnymi kanałami awansu - opozycja po czterech latach działalności ma największą przeciwników.

Psychologiczny mechanizm takiego efektu jest zupełnie zrozumiały: mając wewnętrzne predyspozycje do działania na rzecz praw politycznych i idei demokracji, a równocześnie nie widząc szans ich zrealizowania w pułapach wyznaczonych hasłami opozycji, ludzie stojący przed podwyższonym progiem decyzji racjonalizują lek przed jej podjęciem zarzucając opozycji nieroztropność i awanturnictwo. W wielu środowiskach opozycyjnych wywołuje to postawy agresywne wobec osób, które teoretycznie powinny zgłosić akces do niezależnej działalności, lecz uchylają się. Znamy dziesiątki przypadków zerwania starych nawet przyjaciół, kiedy "A" /niezaangażowany opozycyjnie/ krytykował lub bodaj odmówił współdziałania na gruncie opozycyjnym z "B" /aktualnym opozycjonistą/. Reakcje obu stron wyznaczone są takim

właśnie mechanizmem obronnym i często przechodzą we wzajemną agresję: dla "A" opozycja staje się zbiorowiskiem nieodpowiedzialnych awanturników, dla "B" nieangażujący się opozycyjnie zasługują na miano nikczemnych tchórzy. Orientacja "A" redukuje jego wewnętrzne poczucie winy, orientacja "B" dodaje splendoru wyjątkowości, łagodzącego poczucie izolacji w środowisku, z którym do niedawna miał wspólny język. W ten sposób tracimy dla sprawy najcenniejszy potencjał ludzki; gorzej: odwracamy go przeciwko sobie.

Tak więc w relacji "opozycja - społeczeństwo" decydującym ogranicznikiem rozwoju środowisk niezależnych okazała się inercja ludzkich postaw, znacznie podwyższony próg decyzji w realizowaniu swojej prawnopolitycznej podmiotowości. W naszym przekonaniu winę ponosi opozycja jako całość: jej wejście wśród ludzi było zbyt ekspansywne, zbyt ostre - a równocześnie, poprzez odwoływanie się głównie do emocji, nieprzekonujące ani politycznie ani intelektualnie. Ten stan rzeczy trwa i nic nie znamionuje prób przewartościowania taktyki w środowiskach opozycyjnych.

Stwierdzenia te prowadzą nas znów do spraw programowych, do ideowo-politycznego samookreślenia się środowisk. Czołową rubrykę naszego pisma - "Czas programu" - poświęcamy poszukiwaniom programowym zarówno "na jutro", jak przede wszystkim "na dziś", bo nasza sprawność w dniu dzisiejszym zadecyduje o tym, czy sprawdzimy się jutro.

ZESPÓŁ "ASPEKTU"

Styczeń 1980 r.

Oświata

Władysław BIENKOWSKI

WOKÓŁ REFORMY SZKOLNICTWA

1. Meta-problemy oświatowej reformy

Tytuł nie ma sugerować, że sprawy tu poruszone są równie odległe od empirycznej rzeczywistości, jak metafizyka odległa od fizyki. Przeciwnie. Wiadomo, że związki między szkołą a całą resztą społecznego życia są bliskie, że zależności są głębokie - ale jakie? Z jakiego typu sprzężeniami mamy tu do czynienia? Czy zależności są jednokierunkowe czy wzajemne? Czy społeczeństwo - ci, którzy w jego imieniu działają - mają pełną swobodę w organizowaniu i reorganizowaniu tej dziedziny, czy też swoboda ta jest ograniczona i czym, w jakim stopniu? Innymi słowy, z jakimi czynnikami liczyć się musimy, jeśli chcemy, aby szkolnictwo możliwie najefektywniej wypełniało zadania stawiane przez życie społeczne.

Próba odpowiedzi prowadzi do pytania o zależność ci między "szkołą i życiem", a więc na płaszczyźnie, której nie da się ogarnąć ani analizować patrząc od

wewnątrz szkolnej problematyki i przy pomocy jej kategorii i kryteriów.

PRZECIWKO INSTRUMENTALIZMOWI

Można przyjąć, że szkolnictwo pełni funkcje służebne wobec społeczeństwa jako całości i usługowe wobec poszczególnych dziedzin życia, zaspokajając konkretne potrzeby. W takim rozumieniu na zadania szkoły składa się suma zapotrzebowań zgłaszanych przez wszystkie dziedziny społecznego życia od najogólniejszych - takich jak kształtowanie postaw adekwatnych do sposobu funkcjonowania globalnego systemu społecznego, aż do wdrażania umiejętności i sprawności w wykonywaniu określonych zadań. Szkolnictwo więc - mówiąc zapożyczonym językiem - byłoby generalnym "kooperantem" wszystkich pozostałych dziedzin, i od poziomu wykonywania kooperacyjnych zadań, od jakości dostarczanych "elementów" zależałby poziom realizacji całości zadań społeczeństwa.

Jednakże takie instrumentalne traktowanie szkolnictwa musiałyby wzbudzić zbyt wiele wątpliwości. Zakłada ono bowiem jednokierunkową zależność, sprzężenie proste: społeczeństwo, jego władza, formułuje potrzeby i wydaje dyrektywy, które szkoła wypełnia.

Zakłada to pełną uległość narzędzia wobec woli dysponenta, który powinien tylko baczyc, aby było ono "technicznie" przystosowane do stawianych zadań /pomieszczenia, kadra nauczycielska, pomoce/. Już pobieżny rzut oka wskazuje, stosunek między szkołą a społeczeństwem nie da się ująć w tak prostą formułę, że szkoła - jak się potocznie mówi - "ma swoją specyfikę", że sama uwikłana jest w wielorakie zależności od innych dziedzin i płaszczyzn społecznego życia, od których zależy wykonywanie przez nią zadań. Ponadto zaś zadania swoje wykonuje w specyficzny sposób nie będący bynajmniej prostym przekładem otrzymywanych dyspozycji na dyrektywy wykonawcze. To może się odnosić jedynie do dość wąskiego zakresu w całości zadań.

Doświadczenie wskazuje, że szkolnictwo jest wyodrębnioną i w swoisty sposób zorganizowaną dziedziną o daleko zaawansowanym poziomie instytucjonalizacji, co oznacza określoną strukturę działającą według sobie właściwych norm i metod, że szkolnictwo jest pod-systemem w globalnym systemie społecznym. Wbrew uproszczeniom wielu teoretyków organizacji stosunek między nadrzędnym systemem społecznego /państwowego/ życia a jego podsystemami nie daje się sprowadzić na płaszczyznę instrumentalną. Każda instytucjonalizowana dziedzina ma jakiś, węższy lub szerszy, zakres autonomii, rządzi się własnymi prawami, ma własne wewnętrzne życie i tradycje ukształtowane przez jej strukturę i metody działania, które stają się źródłem oporu wobec dyrektyw nadrzędnego systemu, jeśli dyrektywy te naruszają wewnętrzną logikę działania podsystemu. Instrumentalne traktowanie podsystemu - w danym przypadku szkolnictwa - nie jest niczym innym jak próbą wyminięcia trudności, jakie nasuwa socjologiczne traktowanie problemu. Socjologia wprawdzie wnikła się i gubi w mnogości wzajemnych powiązań między dziedzinami i zjawiskami, ale przynajmniej może sygnalizować ich istnienie, zwracać uwagę na szczególne, acz nie zawsze dostatecznie zbadane, prawidłowości. Łatwo zauważyć, że instrumentalizm w interpretacji zjawisk społecznych jest jednym z przejawów technokratycznego /lub biurokratycznego/ uproszczenia poglądów na społeczny mechanizm, w którym jak w zwykłej maszynie każdy tryb ma jednoznacznie determinować obroty innych trybów.

Sprawa komplikuje się tym bardziej, że "zamówienia" pod adresem szkolnictwa mają w większości charakter ogólnikowy, nieokreślony, które szkoła musi dopiero przetransponować na kategorie właściwe jej systemowi, często rozwikłać zagadkę, która może mieć wiele rozmaitych rozwiązań /np. jak wychować "wzorowego obywatela"?. Między systemem szkolnym a globalnym systemem społecznym istnieje taki właśnie stan "podwójnej nieokreśloności". Wiadomo, jak ogromna ilość czynników obiektywnych i subiektywnych,

materialnych i niematerialnych wpływa na działania szkoły i ich wyniki. Szkoła jest swego rodzaju stacją sejsmiczną czującą na wstrząsy i drgania zachodzące w społecznym środowisku, reaguje na procesy często niezauważalne jeszcze przy pomocy innych czujników. Płynące z góry dyrektywy rzadko liczą się z "biocenozą" środowiska szkolnego, z reguły są wyrazem hołdowania takiej czy innej teorii lub doktrynie /pedagogicznej i pozapedagogicznej/ w rozumieniu społecznej funkcji szkoły.

Przeciwko woluntaryzmowi

Sytuacja, w której nie bardzo wiadomo, co robić, jakich użyć środków i jakie zastosować metody dla osiągnięcia celu, może być źródłem dwu całkowicie przeciwstawnych postaw: ostrożności i śmiałości. W pierwszym przypadku brak jednoznacznych związków między możliwymi metodami a ich skutkami skłania do ostrożnych poczynań i pilnego śledzenia rezultatów, aby możliwie wcześnie wprowadzać konieczne korektury. W drugim - brak tego typu ustaleń przyjmuje się za brak przeciwwskazań mogących ograniczać swobodę działania. Dostateczną przesłanką działania staje się cel - przyjmuje się, że każde działanie będzie skuteczne, jeśli zostanie "nasycone" celem. Jest to pragmatyczna /w przeciwstawieniu do etycznej/ wersja tezy, że cel "uświęca" środki, nadaje im moc skuteczności.

Instrumentalizm wymijając skomplikowane zależności między strukturami społecznego życia prowadzi drogą prostą do woluntaryzmu, do przekonania, że mamy dostatecznie szeroką swobodę podporządkowywania sobie tych struktur, dostateczną swobodę wyboru środków i metod - a także dostateczną swobodę w wytyczaniu celów. Wynika stąd preferowanie "śmiałości", ostrożność zaś traktowana jest jako lęk przed decyzją, konserwatyzm lub brak "konceptji". Szczególna skłonność do takiego myślenia przejawia się w społeczeństwach o dużej dynamice rozwoju, gdzie żąda się również od systemu oświatowego, aby był "mobilizujący", wychodził naprzeciw nowym potrzebom życia.

Tu jednak wchodzimy na teren niezwykle grząski. Właśnie w dziedzinie szkolnictwa między środkami-metodami a osiąganymi rezultatami istnieje długi łańcuch czynników, wpływów, zależności wywołujących różnego rodzaju odkształcenia, powodujących, że przebieg tych procesów może daleko odbiegać od woluntarystycznych zamierzeń. Szkolnictwo nie jest tu bynajmniej wyjątkiem w całości społecznej struktury - choć stosunek między zamierzeniami a efektami jest tu wyjątkowo zawiły.

Zwróciła na to uwagę Jolanta Seroczyńska w "Studiach Socjologicznych" stawiając pytanie, dlaczego reformy oświaty tak rzadko prowadziły do skutków zgodnych z intencjami, i odpowiada: ponieważ wprowadzane były "na wycucie", "bez uprzedniego zbadania konieczności ich wprowadzenia, bez ustalenia podstaw teoretycznych i metodologicznych pozwalających przewidywać ich efektywność, i bez weryfikacji tych ustaleń w praktyce". Jest to pierwsza bodaj próba po-

szukiwania głębszych fundamentów problemu reformy. Zapewne, jeszcze niezadowolająca, ale autorka sama podkreśla, że w całej literaturze "metodologia analizy i oceny oświaty a przede wszystkim szkolnictwa znajduje się dopiero w stadium początkowym" /"Studia Socjologiczne 1979, nr 1/.

Problemem naczelnym, od zrozumienia którego będą zależały poczynania praktyczne, są powiązania funkcjonalne i zależności między systemem społecznym a podsystemem szkolnym. Każde wymijanie tego problemu musi nieuchronnie prowadzić do woluntaryzmu. Na pracę szkoły i jej efekty oddziałuje mnogość czynników zarówno wewnątrz-szkolnych jak i leżących poza nią, zarówno w bezpośrednim środowisku jak i w zachodzących w społeczeństwie procesach. Dodatkową trudnością jest, że w poszukiwaniu optymalnych metod dydaktycznych i wychowawczych eksperymentowanie /metoda "prób i błędów"/ nie daje tak bezpośrednich wniosków, jak w wielu innych dziedzinach. Negatywny wynik eksperymentu nie daje nam pewności, czy wadliwa była metoda, czy sposób jej stosowania, czy też na jej wyniki nie oddziaływały jakieś uboczne czynniki - podobnie jak wynik pozytywny nie przesądza jeszcze o możliwościach zastosowania metody w szerszej skali. Nie znaczy to, że eksperyment w szkolnictwie jest niepotrzebny czy niemożliwy - przeciwnie - znaczy to tylko, że jest trudniejszy, że musi być bardziej długotrwały i wyniki uważnie analizowane.

O wyrównywaniu życiowych szans

Powszechność i dostępność oświaty stała się ważnym czynnikiem demokratyzacji stosunków społecznych, obniżała historycznie ukształtowane bariery między klasami, warstwami i grupami społecznymi, stała się głównym czynnikiem pionowej ruchliwości społecznej. W ustroju socjalistycznym ta rola systemu szkolnego podniesiona została do najwyższej rangi, uznana za zasadniczą jego funkcję. Szkoła ma być czynnikiem egalitaryzacji społeczeństwa, co oznacza oddziaływanie pozytywne przez ułatwianie ruchu niższych warstw w górę, i negatywne - przez przeciwdziałanie tendencji poszczególnych warstw i grup społecznych do zamykania się na zajmowanych pozycjach. Oczywiście, w procesie egalitaryzacji szkolnictwo jest tylko jednym z czynników w całości polityki państwa w dziedzinie społecznej i gospodarczej.

Jeśli zadaniem polityki państwowej jest wyrównywanie społecznych szans obywateli, zadaniem szkoły jest wyrównywanie ich życiowego startu - stworzenie przed każdą i przed wszystkimi jednostkami społecznej zbiorowości subiektywnych warunków do pełnienia wszelkich funkcji i zajmowania wszelkich stanowisk. Ten tak często formułowany postulat był i jest nadal tematem różnych interpretacji i nieporozumień. Protest przeciwko rozpiętości społecznej drabiny i jej konsekwencjom - uciskowi, wyzyskowi, niesprawiedliwości - rodził ruchy wolnościowe i rewolucyjne dążące do obalenia ustroju opartego na społecznej nierówności. Idee te w niektórych swoich nurtach szły dalej - do odrzucenia fatalistycznego charakteru różnic społecznych wynikających ze społecznego podziału

pracy: jednostka nie powinna być przykuta do jednego miejsca w społecznej strukturze, do jednej funkcji narzuconej przez podział pracy. Tendencje takie odzywały się w dawniejszych utopiach i teoriach społecznych, a w dzisiejszych czasach zyskały nowe oparcie. Dość rozpowszechniony jest pogląd, że rosnąca rola nauki i postęp techniczny zmieni radykalnie sytuację człowieka, nie tylko wyzwoli go od fizycznego wysiłku, ale także zniszczy więzy przykuwające go do jednej funkcji, grupy zawodowej z wszystkimi tego społecznymi konsekwencjami.

Echa tego poglądu można znaleźć w wielu wypowiedziach humanistów o społeczno-pedagogicznych zainteresowaniach. Sądzą oni, że w miarę wzrostu roli nauki będzie malało znaczenie specjalizacji, że kierowanie zautomatyzowanymi agregatami i rozwiązywanie złożonych problemów przy pomocy maszyn elektronicznych udostępni te funkcje każdemu posiadającemu pewne ogólne przygotowanie. W ten sposób wyłamane zostaną szczeble społecznej - klasowej drabiny, u której początków leżał społeczny podział pracy.

Rzecz znamienita, że pragnienie znalezienia trwałych podstaw społecznej równości każe często przymykać oczy na procesy zachodzące w rzeczywistości. Faktem jest bowiem, że jak dotąd skutki rozwoju nauki i techniki nie przejawiają takich tendencji, przeciwnie, doświadczenie wskazuje na rosnącą rolę specjalizacji w podziale pracy, na zwięźanie się jej zakresów, a więc raczej na pogłębienie się zawodowych przedziałów.

Ludzie niewątpliwie są równi, ale /na szczęście/ nie są jednakowi - przy tym używając tych pojęć musimy mieć świadomość, że pochodzą one z różnych i niesprowadzalnych do siebie płaszczyzn. Ponadto ludzie żyją w systemach społecznych - funkcjonalnych strukturach, w których spełniają zgodne z wymogami funkcjonalności zadania, czy "grają rolę". Gdyby się nawet okazało, że ludzie są jednakowo przydatni do pełnienia każdej funkcji, grania każdej roli, i tak życie społeczne musiałoby im narzucić zróżnicowane zadania, zmusiłoby ich do specjalizacji. Podział pracy w społeczeństwach rozwiniętych, o wysokim poziomie techniki jest bardziej rygorystyczny niż w strukturach dawniejszych, w których rygory i ograniczenia wynikały głównie z przyczyn, nazwijmy to, "pozamerytorycznych" /np. klasowych/. W dalszym ciągu postaramy się wskazać jak ten oderwany pozornie problem wpływa na rozwiązywanie praktycznych zadań szkolnictwa, przed jaką stawia je alternatywą.

Wyrównywanie życiowego startu łatwo może się przekształcić w utrudnianie startu. W okolicy 14-15 roku życia zaczyna się u większości młodzieży przejawiać dość już wyraźne zróżnicowanie zainteresowań i uzdolnień, które staje się przesłanką preorientacji zawodowej. Jeśli system kształcenia to zjawisko zlekceważy, będzie stosował wobec wszystkich jednakoowe wymogi i jednakowe kryteria ocen, będzie działał przeciwko celowi, jaki sobie stawia. Albowiem wyrównywanie życiowego startu nie ma polegać na tym, aby wszyscy mogli robić wszystko, lecz aby każda jednostka mogła robić to, do czego ma największe

skłonności i uzdolnienia.

Oczywiście różnicowanie zadań szkoły w warunkach masowości i powszechności staje się coraz trudniejsze. Szkolnictwo w coraz większym stopniu staje się systemem działającym według centralnie-biurokratycznych zasad, odstępstwa od których traktowane są jako dezorganizacja, lub nawet jako odstępstwo od egalitarnych demokratycznych założeń. Wprawdzie szkoła musi w swej praktyce rozwiązywać trudności wynikające z nałożenia egalitarnych ram na niezbyt egalitarną rzeczywistość społeczną, ale załatwia to różnymi unikami i obejściami czyli metodami "nieformalnymi". Charakterystyczne jest, że wg niektórych zapowiedzi obecne projekty reformy chcą tego rodzaju "obejścia" sformalizować, stworzyć różnego rodzaju furtki dla wymijania głównych drzwi systemu.

Najważniejszym zadaniem szkoły w wyrównywaniu startu jest niewątpliwie zacieranie skutków historycznie ukształtowanej nierówności różnych warstw społecznych w dostępie do dóbr kultury. Niewątpliwie młodzież ze środowisk robotniczych i chłopskich mająca od dzieciństwa przeważnie węższy kontakt z kulturą i mniejsze możliwości intelektualnego treningu zaczyna karierę szkolną z gorszych pozycji. Szkoła może w tej dziedzinie istotnie zrobić wiele, ale nie jest w stanie tej nierówności, przynajmniej w skali masowej, przezwyciężyć. Pociąga to za sobą poważne konsekwencje społeczne. Mimo różnego rodzaju zabiegów naszej polityki w tej dziedzinie nie udało się osiągnąć, aby napływ do wyższych uczelni młodzieży ze środowisk o "utrudnionym dostępie do dóbr kultury" odpowiadał w przybliżonej proporcji strukturze naszego społeczeństwa. Mówi się przy tej okazji o uprzywilejowaniu środowisk inteligentnych, o tendencji do utrzymania swych pozycji i petryfikacji istniejącej struktury, tzn. do przeciwdziałania pionowej ruchliwości społecznej.

Przy analizie tego zjawiska i poszukiwaniu remediów uwzględnić trzeba działanie dwóch nie zawsze docenianych czynników. Po pierwsze, dążenie do awansu społecznego nie jest tylko żywiołowym ruchem jednostek w górę społecznej drabiny /jak dążenie żywych organizmów do światła/ - działają tu, o czym dobrze powinni wiedzieć marksiści, także określone bodźce ekonomiczne. Wprawdzie drabina płacowa ma dostateczną rozpiętość dla stworzenia bodźców, ale szczegółowe jej układy znacznie te bodźce osłabiają. Różnice między np. robotnikiem wykwalifikowanym a inżynierem zdemokratyzowały się, a w rozkładzie czasowym działają na niekorzyść tych ostatnich. Znajduje to w społeczeństwie, przede wszystkim w środowiskach robotniczych i częściowo chłopskich, wyraz w preferowaniu średnich szkół zawodowych przed ogólnokształcącymi /do tej sprawy jeszcze wrócimy/. Świadczy o tym także feminizacja liceów ogólnokształcących.

Ale w uprzywilejowaniu młodzieży inteligentkiej w dostępie do wyższych szczebli kształcenia działa jeszcze jeden czynnik rzadko na ogół podkreślany. Każda uprzywilejowana - pod jakimś względem - grupa społeczna dąży do utrzymania swej pozycji, broni się przed zepchnięciem w dół, do funkcji o niższym spo-

łecznym prestiżu. Bodziec obrony przed degradacją działa o wiele energiczniej od bodźca awansu. Młodzież ze środowisk, które ogólnie nazywa się "inteligentnymi" /nie podejmujemy tu analizy dzisiejszego znaczenia tego pojęcia/ od wczesnego dzieciństwa wzrasta w atmosferze potężnej presji w kierunku kształcenia. Dla inteligentnej rodziny nieukończenie szkoły wyższej oznacza niemal wykołajenie, a nieukończenie szkoły średniej staje się rodzinnym dramatem. Tendencja ta w poważnym stopniu uniezależnia się od kalkulacji związanej z materialnymi perspektywami, zwłaszcza w naszym ustroju, gdzie dochód ma mniejszy niż w kapitalizmie wpływ na prestiż społeczny.

Dla młodzieży robotniczej i chłopskiej bodźcem do ukończenia szkoły jest perspektywa osobistego awansu, która w niewielkim tylko stopniu może przybierać charakter presji środowiska /jest to coś więcej niż "zachęta" ze strony rodziny/. Z przyczyn zaś psychologicznych wiek młodzieńczy słabiej poddaje się naciskowi odległej perspektywy.

Wynikają stąd bardzo złożone wnioski dla całości polityki społecznej - nie tylko oświatowej - w naszym systemie. Szłoby tu nie tylko o wyrównywanie skutków kulturowego upośledzenia, ale także o wzmocnienie społecznej presji w kierunku awansu oraz, co niezwykle ważne, o rozszerzenie pojęcia społecznego awansu, aby nie oznaczał on tylko przejścia do innej, wyższej, społecznej grupy, ale także podniesienie funkcji i zadań w ramach obecnej funkcji zawodowej. W naszej strukturze jest to szczególnie ważne dla młodzieży wiejskiej i początki tego procesu dają się już obserwować, aby jedyną drogą awansu nie była ucieczka do miasta.

W polityce wyrównywania startu uciekamy się do różnych wybiegów takich jak tzw. "punkty za pochodzenie" przy egzaminach na wyższe uczelnie. Doświadczenie wykazuje, że rola tego zabiegu jest dość nikła i nie może on stanowić przeciwwagi działających tu społecznych układów i tendencji. Inną formą dążenia do egalitaryzacji ma być często podnoszony, a obecnie nawet projektowany, postulat zbliżenia całej młodzieży do pracy fizycznej przez obowiązkowy przed studiami staż pracy. Ma to spełnić rolę wychowawczą, nauczyć szacunku dla pracy. Pokutują w tych projektach różnego rodzaju utopijne relikty. Zapewne, pod jednym względem mogłoby to mieć znaczenie wyrównujące: jedni zdążyliby zapomnieć to, czego inni nie zdążyli się nauczyć. Mówimy "mogłoby", gdyby samo życie społeczne nie postarało się w toku tego stażu o stworzenie przywilejów dla uprzywilejowanych. Po drugie zaś, wątpliwa się staje wychowawcza wartość tego zabiegu. Tak pojęta praca odczuta zostanie jako przymus, a przymusem nie osiągnie się zamykania ani szacunku. Pomińmy niemało ważny fakt, że sensowne i celowe zorganizowanie takiej pracy byłoby jednym z najtrudniejszych zadań.

Nowatorstwo i rewolucje w szkolnictwie.

Często, nie tylko u nas, słyszy się narzekanie na konserwatyzm szkoły, jej tkwienie w tradycyjnych

problemach i metodach. Świat, jaki swym wychowankom przedstawia szkoła, bliższy jest obrazowi z przełomu ubiegłego wieku niż współczesnej epoce atomistyki, elektroniki i informatyki. W rezultacie szkoła nie przygotowuje do współczesnego życia, rozumienia go i czynnego twórczego w nim udziału.

Trudno nie uznać racji tej ogólnej oceny. Istotnie, dynamika rozwoju, postępy wiedzy i techniki pogłębiają odczucie rozzielenia między szkołą a życiem, szkoła staje się czymś w rodzaju arki Noego, która ma ocalić stare problemy ze zbierającego potopu nowych zagadnień i zagadek. Oczywiście jest, że szybkie rozszerzanie się zakresów ludzkiej wiedzy stawia przed wszelkimi formami kształcenia konieczność ostrej, nawet drażniącej selekcji tego, co o przeszłym i obecnym świecie młody człowiek wiedzieć powinien.

Ale od stwierdzenia tradycjonalizmu szkoły do znalezienia sposobu przystosowania jej do współczesności jest jeszcze daleko. Zwolennicy radykalnych zmian w treści szkolnych programów skłonni są zapominać, że współczesny świat jest wynikiem długiego ewolucyjnego procesu, w oderwaniu od którego jest po prostu niezrozumiały i że dotyczy to nie tylko historii i całej humanistycznej wiedzy o świecie. Także i nauki przyrodnicze rozwijały się stopniowo i rozwój ten ma jakąś dydaktyczną logikę. Każda dziedzina wiedzy ma jakąś logiczną strukturę, zgodnie z którą odwzorowywać ją trzeba w ludzkim umyśle. Ponadto samo ludzkie indywiduum kształtuje się w ewolucyjnym procesie i niezależnie od osiągnięć elektroniki i cybernetyki swoją drogą życiową rozpoczyna od pieluszek i smoczka.

Już dziś zarysowuje się w pedagogicznych tendencjach zjawisko, które uznać należy za wysoce niebezpieczne. Jeżeli współczesnemu człowiekowi przyswoimy możliwie najrzetelniejszy obraz współczesnego świata, przemilczając drogę jaką do tego stanu doszedł, stworzymy swego rodzaju wiedzę "pragmatyczną" przydatną do rozwiązywania jakichś zakresów teoretycznych i praktycznych zadań, ale bezradną wobec problemów wymagających znajomości poprzednich faz - dotyczy to przede wszystkim rozległej i jakże dla świadomości i praktyki ludzkiej ważnej dziedziny: wiedzy o społeczeństwie i wszystkich zachodzących w nim procesach. Jedynie znajomość poprzednich faz może być podstawą dla przybliżonego choćby prognozowania niezbędnego w codziennej praktyce. /Niebezpieczeństwo to daje o sobie znać poprzez różnego rodzaju teorie - jak np. uniwersalne roszczenia teorii strukturalistycznych. /Zasób wiedzy jaki mamy do przyswojenia staje się zbyt rozległy, aby wystarczało jeszcze czasu na jego "zrozumienie" - "wiedzieć" coraz częściej przestaje znaczyć "rozumieć".^{1/}

Podkreśla się często, że młodzież dzisiejsza rozwija się szybciej i wcześniej dojrzewa. Istotnie, ilość problemów i zjawisk z jakimi styka się współcześnie jest nieporównanie większa i niewątpliwie wpływa pobudzająco na rozwój intelektualny. Ale nie należy także bagatelizować twierdzeń przeciwnych, że młodzież współczesna później wchodzi w realne, praktyczne życie społeczne, co wpływa na inne stro-

ny jej życiowej dojrzałości.

Te dość luźne uwagi prowadzą do dwóch pozornie rozbieżnych - czy nawet przeciwstawnych wniosków. Pierwszy, że szkoła powinna być nowoczesna, wychowywać człowieka w optymalnym stopniu przygotowanego do aktywnego i twórczego udziału we współczesnym życiu. Drugi, że szkoła ze swej natury jest instytucją "konserwatywną", ponieważ jej ważnym, czy nie głównym, zadaniem jest przekazywanie wiedzy o tym, jak kształtowało się to wszystko, na co obecnie patrzymy i skąd wzięliśmy się my sami tacy jacy jesteśmy. Bez tej wiedzy powstaje swego rodzaju kalektwo - widzenie świata w jednym wymiarze, jakby jednym tylko okiem - kalektwo właściwe ciasno technokratycznemu stosunkowi do świata. Natomiast szkoła nie powinna być konserwatywna w innym - dogmatycznym sensie, tzn. powinna wpajać przekonanie, że nie z tego, co istnieje, żadne rozwiązanie, żadna odpowiedź, nie jest ostateczne, że zmienia się świat i rozwija nasza wiedza o nim, że w tych zmianach aktywnie uczestniczą ludzie.

Pozorna sprzeczność między tymi postulatami bywa przyczyną nieporozumień. Słyszysz się np. i takie zdanie, że szkoła powinna wyprzedzać życie, wszak wychowuje tych, którzy działać będą w przyszłej zmienionej już rzeczywistości, winna zatem przygotowywać nie do dzisiejszych lecz do jutrzejszych zadań. Brzmi to nawet przekonująco, choć jest zwykłym logicznym nonsensem. Można szukać tego, czego jeszcze nie ma, ale nie można tego uczyć.

Mitologia reformy

Historia oświatowych reform zwłaszcza w Kra-jach, które po politycznym czy ustrojowym przewrocie usiłowały dostosować system szkolny do nowej sytuacji społecznej, jest długim ciągiem przykładów, jak woluntarystyczne poczynania zderzały się z wewnętrznymi mechanizmami systemu szkolnego, rozmiękały z potrzebami i możliwościami społecznego życia, jak wreszcie efekty daleko odbiegały od zamierzeń. Z reguły wywoływało to konieczność nowych reform pogłębiających dezorganizację systemu, dezintegrację funkcji dydaktycznych i wychowawczych.

Niech nie zgorszy czytelnika twierdzenie, że szkoła nie lubi rewolucji - ponieważ pod tym względem nie jest odosobniona wśród innych dziedzin społecznego życia. Jeśli wiadomo, że rewolucje są historyczną rzeczywistością /a więc "koniecznością"/, to wiadomo także, iż zakres zadań możliwych do wykonania rewolucyjnymi metodami jest dość ściśle ograniczony. Można się tu odwołać do świadectwa czło-

^{1/} Największą śmiałość we wprowadzaniu nowoczesnych metod kształcenia wykazują przedstawiciele dyscypliny wolnej od empirycznych obciążeń - matematycy. Telewizja nasza demonstrowała niedawno przykładowe lekcje, na których dzieci z początkowej klasy wcale zgrabnie odpowiadały na pytania dotyczące zbiorów, ciągów, systemów - dziesiętnego, trójkowego, piątkowego itd. Oczywiście, chłonność dziecięcych umysłów jest ogromna. Ale tylko doświadczeni nauczyciele wiedzą, że znaczna część piątkowych uczniów rozwiązuje bezbłędnie np. równania kwadratowe czy funkcje trygonometryczne, ponieważ pamięta kilkanaście wzorów rozwiązań i intuicyjnie je dopasowuje. Podobne ułatwienia pozwalające "wiedzieć" bez "rozumienia" istnieją we wszystkich dziedzinach, także humanistycznych. W praktyce życiowej to najczęściej wystarcza, ale nie o to, wydaje się, idzie szkole.

wieka nie podejrzanego o niechęć do rewolucyjnych metod działania - mianowicie Lenina. Lenin przynajmniej od 1920 r. wielokrotnie i z uporem wracał do tej sprawy usiłując przekonać swoją partię, że zadania, jakie stanęły po zdobyciu władzy i obaleniu starego ustroju wymagają systematycznego działania poprzez stopniowe rozwiązywanie problemów, że metody rewolucyjne stały się tu nieprzydatne /"enoty jakiego wykazaliście w czasie rewolucji stały się dziś waszymi wadami"/. Szło oczywiście przede wszystkim o najpilniejsze wówczas zadania gospodarcze, ale tylko notorycznym woluntarystom może się wydawać, że dziedzina szkolnictwa nie podlega prawom ziemskiej gravitacji.

Podkreślamy tu tę sprawę, ponieważ w świadomości pokutuje swoisty mit "radikalnej reformy". Jeśli stan jakiegokolwiek dziedziny czy instytucji uznajemy za niezadowolający, pierwszym wnioskiem jaki się najczęściej nasuwa jest "reforma" - zmieniamy strukturę, organizację, przedstawiamy poszczególne elementy zakładając, że tym samym zapewnimy inne, lepsze rezultaty. Znacznie rzadziej przychodzi nam do głowy, że przyczyna mogła leżeć wcale nie w strukturze lecz w jej funkcjonowaniu, nie w metodach lecz w ich stosowaniu, że mogły być wywoływane przez czynniki leżące zgoła poza tą dziedziną.

Stwierdzenie niezadowolającego stanu szkolnictwa nie jest żadną przesłanką reformy. Tezę tę można uogólnić: złe funkcjonującego aparatu, systemu, w ogóle nie należy "reformować", ponieważ oznacza to nic innego jak tylko nieco odmienne ustawienie tych samych wad i niesprawności. Właściwa polityka w każdej dziedzinie życia powinna prowadzić do stanu, z którego logicznie wynika kierunek zmian i reform - nie jako zaprzeczenie tego co jest, lecz jako dalszy etap rozwoju.

Od "reformy" trzeba natomiast odróżniać naprawę, doskonalenie istniejącego stanu. O ile szkoła nie lubi "rewolucji", jest za to dziedziną szczególnie podatną, ba, wymagającą nieustannego doskonalenia. Te dwa pojęcia z reguły w naszej praktyce traktowane są alternatywnie, ponieważ zaś "reforma" jest zabiegiem o wiele "poważniejszym", mogącym liczyć na większy społeczny oddźwięk, przeto wygrywa w tej konkurencji. Usprawnianie i podnoszenie poziomu pracy szkoły wymaga dobrego rozeznania w funkcjonowaniu systemu, w przyczynach jego braków, w skuteczności metod, tzn. wymaga wnikliwego badania. Podczas gdy woluntarystycznie pomyślana "reforma" uwalnia się od takich obowiązków.

Poruszony tu problem "doskonalenia" można by zilustrować choćby sprawą podręczników. Wydawałoby się, że w ciągu przeszło trzydziestu lat powinniśmy się dorobić podręczników szkolnych na wysokim poziomie merytorycznym, dydaktycznym, ideowym, literackim itp. Tymczasem główne debaty toczą się nad тезami programów, tzn. zbiorem ogólników /o pseudo ideologicznych intencjach/, z których dla praktyki szkolnej na ogół niewiele wynika - tak jak spis rozdziałów książki niewiele nam mówi o jej treści. Natomiast zainteresowanie podręcznikami jest już znikome, ta dziedzina

zdana jest na chałupniczą inicjatywę. Nie słyszy się o konkursach na podręczniki, o państwowych nagrodach dla autorów, rzadko tylko dochodzą echa o dyskusjach nad nimi.

Wykształcenie "ogólne" i mit nobilitacji

Czas trwania i zakres przygotowania ogólnego mającego stanowić podstawę dla dalszej, już zróżnicowanej i ukierunkowanej nauki, od dawna jest przedmiotem dyskusji i sporów, w których jak w soczewce zbiegają się argumenty z najrozmaitszych płaszczyzn i dziedzin: tradycji, struktury społecznej, potrzeb życia, pedagogicznych i psychologicznych teorii, aż do rozmaicie interpretowanych wizji przyszłego rozwoju. Ponieważ wśród rozbieżnych przesłanek, jakie się wysuwają, nie zawsze wiadomo, która za czym przemawia, warto zwrócić uwagę na niektóre aspekty tego zagadnienia.

Nie zawsze historycy potrafili docenić wszystkie konsekwencje faktu, że Polska jest krajem o najstarszych w Europie tradycjach demokratycznych /znaczenie starszych od angielskich/ - i że była szlachecką demokracją - zjawisko unikalne w Europie, również i dlatego, że szlachta stanowiła ok. 10 % społeczeństwa /w krajach zachodnich oscylowała wokół 1 %/ i że mimo ogromnego zróżnicowania tej warstwy, od ekonomicznej pozycji bliskiej pańszczyźnianemu chłopu aż do feudalnego magnata /formalnie miała równe polityczne prawa. Skutki tej osobliwości dały się odczuć w czasie Rewolucji Francuskiej. Ustrój konstytucyjny do minimum ograniczający władzę królewską powodował, że odmiennie załamywały się na polskim gruncie rewolucyjne idee - szło nie o obalenie władzy królewskiej lecz o jej wzmocnienie jako egzekutywy państwa, nie o obalenie ustroju lecz o właściwe tego ustroju egzekwowanie /tzn. ograniczenie wpływu magnaterii/, nie o zniesienie przywilejów politycznych lecz o ich rozszerzenie na inne warstwy narodu. Toteż w wyobrażeniach wielu działaczy końca XVIII wieku, współtwórców Konstytucji 3 Maja, byłby to proces unowocześnienia nobilitacji.

Tendencje te w podświadomości społecznej przetrwały do XX wieku, acz w warunkach rozbiorowej niewoli zatarła się polityczna rola indygenatu. Kontynuatorką tej tradycji czuła się inteligencja w większości pochodzenia drobnoszlacheckiego. Kiedy zaś na przełomie obecnego stulecia napływały do niej coraz częściej elementy mieszczańskie i chłopskie, później i proletariackie, nobilitacyjnym kryterium stało się wykształcenie. Wyraźne to było jeszcze w okresie międzywojennym, kiedy progiem nadającym "honorowe" - i nie tylko - uprawnienia, było ukończenie szkoły średniej, "matura". /Relikt tych uprawnień przejawiał się np. w służbie wojskowej./

W Polsce Ludowej mit nobilitacji przez maturę rozspadł się nie tyle pod ideologicznym wpływem ustroju, co pod wpływem dynamiki rozwoju gospodarczego, który poprzestawiał wszystkie społeczne elementy, wykształcenie podporządkował funkcjonalnym potrzebom życia. Powszechność wykształcenia musiała z kolei doprowadzić do zjawiska "inflacji" - dziś nawet

dyplom szkoły wyższej nie odgrywa już tej "nobilitacyjnej" roli - stał się po prostu czynnikiem pionowej ruchliwości społecznej. Mit ten odgrywał jeszcze rolę w pierwszych powojennych latach poprzez wyraźny nacisk na średnie wykształcenie ogólne, zdobycie matury, szybko jednak zatarł się pod wpływem mechanizmów gospodarczego i ogólnego rozwoju. Natomiast, rzecz ciekawa, przetrwał w podtekstach niektórych koncepcji pedagogicznych.

Dwie wizje przyszłości

Dyskusja nad kształceniem ogólnym, jego znaczeniem i czasem trwania, toczy się na całym świecie. Sprzeczne stanowiska wynikają w dużej mierze z całkowicie różnych interpretacji faktu rosnącej roli nauki i rozwoju techniki we wszystkich dziedzinach życia. Zdaniem jednych sytuacja ta wymaga rozszerzenia przygotowania ogólnego, bez którego wchodząca w życie jednostka będzie bezradna wobec skomplikowanych zagadnień, jakie przed nią staną. Także przygotowanie do konkretnego zawodu będzie łatwiejsze i zajmie mniej czasu, jeśli oprze się na szerszym zasobie wiedzy ogólnej. Wszelchstronne przygotowanie będzie tym bardziej potrzebne, że rola człowieka będzie się stopniowo sprowadzała do sterowania skomplikowanymi urządzeniami automatycznymi.

Przeciwko takiej wizji przyszłości wysuwa się przeciwstawne twierdzenie, że świat, ku któremu dążymy, będzie wymagał coraz wyższego poziomu specjalizacji. Coraz większe dziedziny teoretycznej i praktycznej wiedzy przekształcają się w samodzielne dyscypliny, których opanowanie wymaga wysiłku i czasu. Szczegółnej zaś wagi nabiera możliwie wcześnie wykrywanie i sprzyjających warunków rozwoju. Zbyt długie trzymanie młodzieży w klimacie obowiązkowego rozprzeczania zainteresowań tkwi jej wrodzone możliwości.

Problem, rzecz prosta, nie nadaje się do dogmatycznego rozstrzygnięcia. Wielorakość wymagań stawianych przez życie społeczne pomnożona przez zróżnicowanie młodzieży - jej uzdolnień, psychicznych dyspozycji, środowiskowych uwarunkowań - daje w efekcie ogromną ilość możliwych rozwiązań nie dających się pomieścić w żadnym systemie. Musimy mieć świadomość, że im system szkolny jest sztywniejszy, im bardziej jednolity strukturalnie, programowo i metodycznie, tym większe będą straty w wartości przepuszczanych przez tę maszynę "ludzkich diamentów", z których każdy wymagałby nieco odmiennego szlif. W poszukiwaniu optymalnych rozwiązań decydującą rolę wydają się odgrywać dwa czynniki: z jednej strony praktyczne potrzeby życia społecznego, z drugiej - społeczno-psychologiczne tendencje samej młodzieży. W tej drugiej dziedzinie odpowiedź, jaką daje sama młodzież, jest jednoznaczna - wyraźnie preferuje ona kształcenie ukierunkowane specjalizujące, zamiast szkół ogólnokształcących wybiera masowo technika zawodowe, zwłaszcza o kierunkach związanych ze współczesnym postępem, takich jak elektronika czy motoryzacja. Wynika to z chęci wcześniejszego zdoby-

cia zawodu, ale nie tylko, jest także odbiciem ogólnego klimatu zainteresowań w społeczeństwie.

Koncepcje przedłużenia obowiązkowego kształcenia ogólnego stają w wyraźnym konflikcie z tendencjami, jakie przejawia sama młodzież. Ale także z potrzebami życia gospodarczego. Znamiennym wyrazem tego jest, iż w końcu i na początku roku szkolnego całe kolumny pism, zwłaszcza młodzieżowych,apełniają ogłoszenia o werbunku młodzieży od 15 roku życia /po szkole podstawowej lub nawet bez/^{2/} do szkół prowadzonych przez zakłady pracy, w tym także przez największe w kraju. Czy ta, chyba nie przypadkowa, rzeczywistość dałaby się tak łatwo podporządkować woluntarystycznej koncepcji burzącej całą strukturę przygotowania do zawodu i przesuwającej cały proces co najmniej o dwa lata? I w imię jakich potrzeb?

Liberalizm i rygoryzm w wychowaniu

W ciągu ostatnich dwudziestu lat przeszła przez świat /zwłaszcza zachodni/ burzliwa fala debat nad liberalizmem i rygoryzmem w wychowaniu. Odkryto - po raz któryś z kolei - szkodliwość wychowania autorytarnego, narzucenia młodej psychice sztywnych ram hamujących naturalne siły i tendencje rozwojowe, tkumiących psychiczne potrzeby, co w rezultacie deformuje osobowość, pozostawia trwałe ślady w postaci różnego rodzaju frustracji, neuroz i w konsekwencji prowadzi do stanów bierności lub agresji. Przeciwstawiono temu wychowanie liberalne, permissywne, zostawiające swobodę rozwoju naturalnych cech i zaletów osobowości, usuwające z procesów wychowawczych bariery, które mogłyby się stać przyczyną frustracji. Niektóre głosy światowych pedagogicznych autorytetów szły w tym kierunku bardzo daleko.

W ostatnich latach, właśnie obecnie, fala ta odbiła od brzegów i wydaje się być w stadium odpływu, pojawiają się coraz częstsze głosy krytyczne wobec pan-liberalistycznych tendencji. Dyskusja byłaby pożyteczna, gdyby toczyła się nad zagadnieniem - istotnie niezwykle doniosłym i wykraczającym daleko poza szkołę i wychowanie. Niestety, była raczej wyrazem "mody" przejawiającej się na powierzchni głębszych społecznych procesów. Wiele wypowiedzi zdawało się zapominać, że najświętsze racje przeciwko bezmyślności i szkodliwości rygoryzmu nie anulują ani prawidłowości psychicznego rozwoju, ani praw, jakim podporządkowane jest życie społeczne.

Na zasadnicze pytanie o liberalizm czy rygoryzm w wychowaniu odpowiedź jest "dziecinnie" prosta: dziecku /podobnie jak dorosłemu/ wolno jest wszystko - prócz tego, czego mu nie wolno. Problem sprowadza się do tego, jakimi metodami osiągamy, aby konieczne minimum ograniczeń było przyswojone i zrozumiane. Na wychowanie młodego indywiduum składają się dwa pozornie przeciwstawne procesy: rozwój osobowości

^{2/} Ci, którzy ustalili niegdyś, iż całość równa się 100 % nie znali jeszcze statystyk szkolnych w PRL, z których wynika, że młodzieży mamy więcej niż 100 %. Ustalenie to łatwo zweryfikujemy dodając do odsetka młodzieży kończącej szkołę podstawową, zaumowane z różnych źródeł odsetki tych, którzy szkoły podstawowej nie ukończyli. Wynik przekroczy sto procent.

ci i sprzyjanie ujawnieniu się jej potencjalnych możliwości - a więc indywidualizację, a równocześnie przyswojenie kulturowej tradycji społeczeństwa i norm w jego życiu przyjętych jako gleby, z której czerpie i przetwarza soki umożliwiające jej wzrost i rozwój - czyli socjalizację. Cała historia wychowania i pedagogicznych filozofii była rozwiązywaniem zagadki, jak pogodzić te dwa sprzeczne zadania i jak rozumieć same te pojęcia, tzn. jakie granice nakreślić indywiduum, aby nie stało się ono wykorzenione ze społecznej gleby, i nawzajem - jakie granice wino mieć podporządkowanie społecznym trybom, aby nie było tylko poruszaniem przez nie manekinem.

Dla wyminięcia długiego wywodu przypomnimy tu tylko końcowy rezultat procesu, jaki zachodził w ciągu tysięcy lat. Socjalizacja poczynając od społeczeństw pierwotnych polegała na pełnym podporządkowaniu jednostki systemowi społecznemu, na całkowitej internalizacji wzorów i wyobrażeń. Internalizacja norm społecznych oznaczała ich akceptację, włączenie do struktury myślowej, tzw. światopoglądu. Odmienne pojmowanie socjalizacji zaczęło się od greckich czasów w tym nurcie, w którym narodziła się tzw. cywilizacja zachodnia i który doprowadził do ukształtowania się współczesnego społeczeństwa określanego najczęściej jako "rozwinęte". Na czym polega różnica? Na tym, że przyznanie jednostce pewnego zakresu autonomii w ramach obowiązujących norm okazało się nie tylko nie szkodliwe dla funkcji społecznego systemu, ale wręcz zbawienne - to właśnie umożliwiło wyrwanie się ze skamieniałych form społeczeństwa tradycyjnego, umożliwiło rozwój we wszystkich dziedzinach i kierunkach. Ale wyjaśniło się także, iż najbardziej liberalny system nie może zrezygnować z socjalizacji, z włączenia wchodzących w życie jednostek do istniejącej funkcjonalnej struktury społecznego systemu. Istota różnicy polega na tym, że podporządkowanie normom nie rozciąga się na sferę życia mentalnego - jednostka podporządkowując się społecznej normie nie musi uznawać jej za jedyną możliwą alternatywę, może się z nią nie zgadzać i szukać innego, słusznierzego jej zdaniem rozwiązania.

Proces, jaki dokonał się w obrębie cywilizacji zachodniej, rozkuł więzy krępujące ludzką jednostkę, uwolnił jej myśl, wyzwolił kreatywne zdolności człowieka, stworzył przesłanki dzisiejszego rozwoju. W ten sposób zacierala się stopniowo w pedagogice sprzeczność między indywiduacją i socjalizacją. Każde wychowanie jest wychowaniem dla społeczeństwa - nie ma rozwoju osobowości bez społecznych ram i nie ma uspołecznienia bez rozwoju autonomicznej osobowości. Oba procesy są w stosunku do siebie komplementarne i wzajemnie uwarunkowane. Rzecz sprowadza się zatem do właściwego odczytania społecznego interesu, z którego wynikają ograniczenia autonomii jednostki.

Ale tak prosto wygląda to w teorii. W praktyce każdy system społeczny dąży do ograniczenia autonomii jednostki, każdy system dąży do swego uwiecznienia, obraca mitologią uświęcającą istniejące formy, dogmatyzuje "prawdy" uznane za nienaruszal-

ne. Systemy autorytarne dążą do przywrócenia procesowi socjalizacji jej dawnego znaczenia, tzn. nie tylko podporządkowania normom regulującym zachowania, ale także przyswojenia i akceptowania obowiązujących pojęć i prawd - których nawet myślą przekraczać nie wolno i nie można, ponieważ nie istnieją dla nich żadne sensowne alternatywy.

Z przypomnienia tych podręcznikowych stwierdzeń wynika, że proces rozgrywa się na dwóch płaszczyznach: behawioralnej i mentalnej - jak człowiek się zachowuje i jak myśli /w nawiasie wyjaśnijmy, że nie idzie tu o zjawisko "dwulicowości", że człowiek inaczej myśli a inaczej się zachowuje, to bowiem jest wynikiem presji wymuszającej zachowania sprzeczne z przekonaniem i uniemożliwiającej ujawnianie przekonań/. Idzie natomiast o to, że zgodnie z wymogami współczesnego etapu rozwoju ludzkości podporządkowanie normom nie jest równoznaczne z ich akceptacją - jednostka nie tylko może, ale w pewnym sensie jest obowiązana do krytycznej oceny rzeczywistości społecznej, poszukiwania lepszych rozwiązań i weryfikacji uznanych prawd.

Jak zatem współczesna pedagogika ma w praktyce rozwiązywać ten zawiły splot problemów? Jaki zakres autonomii ma kształtować w jednostce, aby odpowiadało to potrzebom społeczeństwa i jego rozwoju? Oczywiście jest, że w sferze behawioralnej swoboda jednostki /w określonych sytuacjach społecznych/ jest sprawą dyskusyjną, dokoła niej też głównie toczą się spory. Na to jak jednostce wolno się zachowywać wpływa ogromna ilość czynników - społeczno-ustrojowych, kulturowych, sprzeczności między tradycją i "modą", na tej płaszczyźnie będą się przejawiały międzypokoleniowe konflikty, zderzenia między autorytetem wychowawców i ekspansywnością i przekorą młodzieży.

Ale klucz do zagadnienia leży tam, gdzie się znacznie rzadziej zagląda: w płaszczyźnie zachowań mentalnych. Podstawowym założeniem wychowawczego liberalizmu jest kształtowanie swobody myślenia, umożliwianie prawa do własnych poglądów i ocen otaczających zjawisk, że oceny i prawdy podawane przez wychowawców nie są ani jedynym ani ostatnim słowem - mają jedynie pomóc w ukształtowaniu własnych poglądów. Lęk wychowawców, że "anarchia" w myśleniu pociągnie za sobą anarchię w zachowaniu, jest w istocie odwróceniem zagadnienia. Tak bywa wtedy, kiedy same próby samodzielnego myślenia traktuje się jako naruszanie społecznych norm.

Zrozumiałe, że tak pojęte wychowanie liberalne jest o wiele trudniejsze od rygorystycznego, autorytarnego, które można prowadzić mechanicznie - "taśmowo". Ale dążyć do tego warto i trzeba. Najważniejsze to rozumieć, w czym tkwi istota współczesnego wychowania, według popularnego zwrotu wśród młodzieży: wiedzieć, "co jest grane".

Liberalizm à rebours

Na marginesie głównych procesów zachodzących w światowej pedagogice pojawiają się tendencje prowadzące niekiedy do paradoksalnych następstw. Do nich zaliczyć trzeba różne nowe formy pafdocentryzmu - oceny wychowania z punktu widzenia potrzeb i inte-

resów dziecka stanowiącego centralny punkt tego procesu. W praktyce dążą one do "ulżenia losu" dziecka - wychowanka, ograniczenia obciążeń mechanicznie zwiększanych wraz z rozrostem materiału programowego, podporządkowania dydaktyki prawom i potrzebom rozwoju psychicznego itd. Do tych niewątpliwie słusznych tendencji dołączają się dalsze - równoległe z tym idzie tendencja do zdejmowania odpowiedzialności z wychowanka - za wychowanie, postępy w nauce odpowiedzialność przesuwają się na wychowawcę - nauczyciela. Pogląd taki intuicyjnie odczuwany jest jako słuszny, łatwo jest również uzasadnić go i z formalnego i z merytorycznego punktu widzenia. Ale uświadomić sobie trzeba, że tkwią w nim dwie całkowicie przeciwstawne wychowawcze tendencje. Nikt, rzecz prosta, ani z rodziców ani z nauczycieli nie zdejmie odpowiedzialności za wychowanka - odpowiedzialność ta tkwi *implicite* w samej ich funkcji zarówno w społecznej jak i indywidualno-moralnej płaszczyźnie. Idzie tu jednak o coś zupełnie innego. Wychowawcy - zwłaszcza rodzice - najczęściej nie zdają sobie sprawy, że zdejmowanie odpowiedzialności z młodzieży jest odwróceniem liberalizmu w wychowaniu - każde bowiem kształtowanie samodzielności indywiduum jest nierozłączne z rozwijaniem poczucia odpowiedzialności. Bez poczucia odpowiedzialności kształtujemy jednostkę, może ekspansywną w swych odruchach, ale bierną w swej zasadniczej postawie, pogodzoną z tym, że kto inny nią kieruje i za nią odpowiada.

W praktyce szkolnej dylemat ten występuje w wielu postaciach, jedną z nich jest np. tendencja do uwolnienia dziecka - ucznia od zmory egzaminów, jako jednej z głównych przyczyn stresów i kryzysów prowadzących niekiedy nawet do tragedii /np. samobójstwo z powodu złego stopnia/. Na tej samej linii leży wznowiana u nas co kilka lat sprawa zniesienia egzaminów maturalnych.

Wiadomo, że egzamin nigdy nie jest najlepszym sprawdzianem ani wiedzy ani potencjalnych możliwości egzaminowanego. W praktyce szkolnej utrwalała się tradycja "kwantyfikowania" osobowości ucznia, zamykania całej jego złożonej osobowości, możliwości, talentów, a także zahamowań i trudności w granicach między "dwójką" i "piątką". Jeśli zły stopień staje się dramatem dla ucznia, jest to symptomem, że jego osobowość, jego myśli, uczucia i pragnienia istnie-

ją dla szkoły i dla rodziny tylko w tej skwantyfikowanej postaci, w której stopień poniżej "trójki" jest rodzajem anihilacji jego osobowości. /Młodzież doskonale odczuwa sens tego rodzaju ocen - wiadomo jak inteligentni uczniowie brzydzą się "piątkami" i piątkowiczami./

Oczywiście, przy masowości szkolenia, w warunkach, kiedy nauczyciel nie zawsze pamięta nawet twarze swych wychowanków, jest to wyjście jedyne, ale jego negatywne skutki wychowawcze są niewątpliwie. W poszukiwaniu sposobów złagodzenia tych skutków proponuje się np. częściowe uniezależnienie promocji od stopni, promowanie nawet z "dwójkami". Posunięcie może byćoby rozsądne, gdyby nie dwie okoliczności: pierwsza, że wszystkie inne warunki i metody pozostają te same; druga, że będzie ono oznaczało także zdejmowanie z ucznia odpowiedzialności i przerzucanie jej na szkołę.

Szczytowym wyrazem tej właśnie pedagogicznej filozofii jest sformułowana kiedyś teza, że "nie ma złych uczniów, są tylko źli nauczyciele". Wprawdzie zdania tego nie wypisuje się na szkolnych tablicach, zbyt jawnie godzi ono w resztki nauczycielskiego autorytetu, ale łatwo zauważyć, że leży ono głęboko u podstaw całej praktyki szkolnej. Zbiega się z dążeniem do zwiększenia efektywności pracy szkoły przez zmniejszenie, czy nawet zniesienie, drugoroczności - istotnie, jeśli odpowiedzialna za postępy w nauce jest szkoła, dlaczego konsekwencje ma ponosić uczeń?

Byłoby grubym nieporozumieniem uważać nauczyciela za jedyne czy choćby głównego odpowiedzialnego za cały proces nauczania i wychowania - decyduje o tym cały system szkolny, jego organizacja, metody kierowania tym systemem, klimat panujący w szkole i wokół niej, nie mówiąc już o bardziej konkretnych warunkach. O sytuacji i postawie nauczyciela można powiedzieć, że przeważają w niej dezorientacja i bezradność - zwiększanie odpowiedzialności bez warunków do samodzielności i inicjatywy czyni z niego po prostu ofiarnego kozła.

Intencją poruszenia tych zagadnień było zwrócenie uwagi, że niektóre elementy czerpane z repertuaru wychowawczego liberalizmu mogą doskonale służyć autorytaryzmowi, stanowić jego osłonę - stają się *liberalizmem à rebours*.

2. Próba konfrontacji

Nawet w epoce lotów kosmicznych trzeba chodzić po ziemi.

/przysłowie/

Geneza reformy

Przyjmijmy, że punktem wyjścia nie tylko dla naprawy czy reformy, ale także dla zwykłego kierowania jakąś dziedziną, winno być rozpoznanie istniejącego stanu rzeczy. Z niego bowiem powinno wynikać, co nas w tym stanie nie zadowala i dlaczego utrudnia osią-

ganie założonych celów. Przede wszystkim zaś powinno odpowiedzieć na pytanie, czy stwierdzone wady tkwią w funkcjonowaniu mechanizmu - w danym przypadku szkolnego - czy też w jego strukturze. W pierwszym przypadku szłoby o usunięcie przeszkód, usprawnienie, udoskonalenie, w drugim - o jego zmianę, "reformowanie". Jeśli stwierdzimy istnienie obydwu tych przyczyn, powstaje bardziej złożony problem: kolejności napraw i zmian, tzn. stworzenie warunków skuteczności naszych poczynań. Spróbujmy z tego punktu widzenia spojrzeć na stan reformatorskich debat.

Etap I

Pierwszą poważną próbą rozpoznania stanu naszego szkolnictwa był "Raport o stanie oświaty" przedstawiony rządowi w początkach 1973 r., opracowany przez Komitet ekspertów powołany przez nasze władze. "Raport" nie był, rzecz prosta, i nie mógł być, pełnym obrazem istniejącego stanu, eksperci mieli zbyt krótki termin i zbyt skąpe materiały dla szeregu szczegółowych zagadnień słabo lub w ogóle nie zbadanych. Główną zaletą "Raportu" było jego umiarkowanie w przedstawieniu syntetycznego obrazu i realistyczna wstrzeźliwość wniosków i propozycji. Z dużą troską mówi o wadach, niedostatkach i niesprawnościach w funkcjonowaniu systemu szkolnego, wskazuje na konieczność udoskonalenia - od stanu budownictwa, poprzez wyposażenie szkół, organizację sieci, do podniesienia poziomu nauczycielskiej kadry i metod kierowania tym systemem. Konsekwentnie też wnioski "Raportu" nie postulują zmiany ustroju szkolnego - rozpatrują to jako przyszłościową możliwość przedstawiając kilka ustrojowych wariantów bez szczegółowych uzasadnień pozostawiając to dalszej przyszłości.

Etap II

Zanim analiza i wnioski ekspertów zdążyły dotrzeć do wiadomości zainteresowanych i stać się przedmiotem dyskusji ukazał się inny już bardziej wiążący akt - Uchwała Sejmowa z października 1973 r. przedkładaająca opinii społecznej gotowy projekt struktury systemu szkolnego w wersji nie rozpatrywanej w "Raporcie" ani też nigdy w kraju nie dyskutowanej. Przewiduje ona system 12-letniego kształcenia, którego podstawą miałyby być 10-letnia, "jednolita, powszechna, ogólnokształcąca szkoła średnia", na niej zaś oparte byłyby zróżnicowane formy szkolenia zawodowego oraz dwuletnie specjalizacyjne przygotowanie do studiów wyższych.

Geneza tej koncepcji nie jest jasna. Bezpośrednio w wersji Uchwały była ona prawie dosłownym powtórzeniem modelu wprowadzonego kilka lat wcześniej w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Nie jest jasne, dlaczego ten właśnie model został uznany za odpowiadający naszym warunkom i potrzebom. Być może odezwały się tu echa przedwojennego postulatu wysuwanego przez niektórych pedagogów przedłużenia ówczesnej szkoły powszechnej do lat 10-ciu. Ale w tamtych warunkach szkoła o coś zupełnie innego: ponieważ jedyną obowiązkową i bezpłatną szkołą była powszechna 7-latką - jej przedłużenie, niezależnie od wszelkich innych względów, mogło leżeć w interesie szerokich mas. W Polsce Ludowej, gdzie wszystkie formy i szczeble kształcenia są bezpłatne a nieformalnie obowiązek kształcenia dawno już rozciągnięto ponad 8-letnią szkołę podstawową, argument ten został zdezaktywizowany. Można by także dopatrywać się nawiązania do struktury wprowadzonej reformą z 1932 r. $6 + 4 + 2$ z tą różnicą, że dwa pierwsze szczeble połączone zostały w jednolitą szkołę określoną jako "średnia" /przed wojną nazywano to potocznie "małą maturą"/.

Koncepcja ustrojowa zawarta w Uchwale wywołała dużą konsternację z paru powodów. Pierwszym i może najbardziej uderzającym była sprawa kształcenia zawodowego. Szkolnictwo zawodowe budowane przez 35 lat dużymi nakładami i niemałym trudem /zdobywanie wyposażeń i fachowców, którym znacznie lepsze warunki mógł ofiarować przemysł/ kształtowało się w ścisłym związku z potrzebami życia gospodarczego i odpowiadało na jego dążeń a także z jego bezpośrednim i coraz większym udziałem w szkoleniu. Cały ten rozwinęty system, jego dorobek rzeczowy, organizacyjny, programowy, metodyczny i kadrowy miał ulec demontażowi, przestawiony na zupełnie inne i dość nieokreślone tory. Nasuwało się pytanie: jakie względy czy potrzeby życia gospodarczego podyktowały takie obowiązkowe przedłużenie kształcenia ogólnego - co, przynajmniej w realizacji, byłoby w światowym szkolnictwie rzeczą bezprecedensową. Wskazuje na to także doświadczenie NRD, gdzie realizacja tego postulatu natrafiła na duże trudności i zmusiła do ustępstw od teoretycznego modelu. Trzecia wątpliwość, i wręcz niepokój, dotyczy szkół w ośrodkach wiejskich i małomiasteczkowych. Wiadomo, że nawet śmiałe woluntarystyczne koncepcje łatwiej zastosować do szkół w dużych miejskich ośrodkach zarówno ze względu na kadrę nauczycielską, jak i wyposażenie oraz inne względy społecznej natury. Ale wiele jeszcze lat wysiłków wymagałoby, aby w wiejskim i małomiasteczkowym środowisku szkoła 10-letnia mogła być w średniej krajowej równoważna ze szkołą wielkomiejską. Różnice istniejące na poziomie szkolnictwa podstawowego mogą być częściowo przynajmniej wyrównywane na dalszym poziomie kształcenia. Dla wsi, dla młodzieży wiejskiej - zarówno tej, która ma odpłynąć do miast, do przemysłu i na dalsze studia, jak i tej, która chce pozostać w zawodzie rolnika - otwiera to niepokojącą perspektywę. Wątpliwość wreszcie budził termin "szkoła średnia". W naszej tradycji oznacza to szkołę uprzedmiotowioną do studiów wyższych, tymczasem Uchwała przewiduje jeszcze dwa lata nauki dla uzyskania tego prawa.

Etap III

Dalsze debaty nad reformą mają już charakter nieoficjalny, wewnętrzny i w znacznej części poufny, fragmentarycznie tylko przenikający do szerszej opinii. Zasadniczą ich cechą było wyjęcie spod dyskusji sprawy tak podstawowej jak koncepcja ustrojowa, która uznano za przesądzoną i niepodważalną. Próby bliższej analizy słuszności tego rozwiązania były likwidowane w zarodku. Cała dyskusja sprowadzona została do zagadnień programowych szkoły 10-letniej.

Równolegle jednak w mniej czy więcej miarodajnych wypowiedziach pierwotna koncepcja zaczęła podlegać ciekawej ewolucji, zaczęto w niej dokonywać różnego rodzaju wyłomów i odstępstw, które miały częściowo przynajmniej łagodzić niekonsekwencje i nieadekwatności zaprojektowanego systemu. Pierwszym odstępstwem było uznanie możliwości istnienia szkół zawodowych opartych na niższej, 8-letniej, podstawie, a więc utrzymanie, przynajmniej w jakiejś mie-

rze, stanu istniejącego. Jeszcze ważniejszą zmianą, która miała usunąć niejasność charakteru 10-latki, jako szkoły średniej, było stwierdzenie, że może ona uprawniać do studiów wyższych. Z dotychczasowych wypowiedzi wynika, że wstęp na studia miałiby laureaci olimpiad, "prymusi" oraz ci, którzy odbydą służbę wojskową lub staż pracy.

W świetle tych propozycji ze struktury zaprojektowanej w Uchwale nie zostało właściwie nic. Już przy pierwszych próbach konfrontacji z potrzebami gospodarki, z trendami dominującymi w życiu społeczeństwa oraz tendencjami wśród samej młodzieży okazywała się konieczna rezygnacja z powszechności ogólnokształcącej 10-latki. Zmuszała do tego sprawa kształcenia zawodowego. Byłoby niczym nie usprawiedliwionym ryzykiem zmiana funkcjonującego i spełniającego /lepiej czy gorzej/ swe zadania systemu na, jakiś bliżej nieokreślony bez żadnej przekonywającej racji przemawiającej za taką zmianą.

Podważona została również druga naczelną zasadą: dwunastoletni okres kształcenia. Przewidziana w Uchwale dwuletnia szkoła przygotowująca do studiów wyższych miałaby pozostać /jeśli w ogóle/ jako szczytkowy - i dodajmy: śmieszny - relik, byłaby szkołą dla tych, którzy nie będą laureatami, prymusami, nie odbydą służby wojskowej ani stażu pracy. A więc właściwie dla kogo? I czy taka dwuletnia nauka miałaby być karą czy nagrodą dla tych, którzy nie okażą dostatecznych zdolności, pilności ani obywatelskiego ducha?

Tak więc abstrakcyjna, oderwana od społecznej rzeczywistości koncepcja musiała się rozpaść już w fazie gabinetowej przemyślenia. To co z niej zostało po wymienionych modyfikacjach, stanowi zbiór niespójnych propozycji, które w jednej części ugięły się przed rzeczywistością, w drugiej pozostały wyrazem czysto woluntarystycznych dążeń do reformy za wszelką cenę.

Co i kiedy można skracać

Czas kształcenia dla każdego szczebla, typu czy kierunku nie jest sprawą teorii ani fantazji - jest konkluzją wynikającą ze złożonego zespołu czynników gospodarczych, społecznych, kulturowych rzutowanych na prawa bio-psychicznego rozwoju ludzkiej jednostki skorelowane z doświadczeniami pedagogiki. Decydujące znaczenie dla określenia ilości lat nauki potrzebnych dla osiągnięcia zamierzonego poziomu rozwoju intelektu i przyswojenia określonego zasobu wiadomości ma praktyka - wieloletnie doświadczenie.

W Polsce - jak w znacznej większości krajów - ustalono, że osiągnięcie ogólnego rozwoju umożliwiającego rozpoczęcie studiów wyższych wymaga 12 lat nauki. Określono to jako stan "dojrzałości". Przypomnijmy, że w historii szkolnictwa bardzo rozmaicie określano ten okres. W wieku XIX kiedy nauka na pełnym średnim poziomie była wąskoelitarna, ukształtowało się 8-klasowe gimnazjum, do którego przyjmowano młodzież już z przygotowaniem domowym, a w miarę potrzeby otwierano klasę podstawową i wstępną. W sumie więc była to szkoła 10-letnia /którą n.b. zdolna jednostka mogła ukończyć nawet

przed 16-tym rokiem życia/. Taką właśnie szkołę przejęła Polska po r. 1918. Ale równocześnie i równolegle wprowadzono powszechny obowiązek szkolny w zakresie 7 lat nauczania, w rezultacie czego matura wymagała 11 lat nauki: po VI klasie szkoły powszechnej 5 klas gimnazjum. Reforma z 1932 r. ujednoliciła strukturę wprowadzając 12-letnie nauczanie dla osiągnięcia "dojrzałości" - 6 lat szkoły powszechnej + 4 lata gimnazjum + 2 lata liceum. Niezależnie od wszelkich innych racji, jakimi mogli się kierować autorzy tej reformy, na przedłużenie o rok okresu nauczania zasadniczy wpływ miała rosnąca stale masowość kształcenia na poziomie średnim.

Tendencją obecnie proponowanej reformy jest skracanie czasu nauczania - do 10 lat ogólnego, do 2 lat zawodowego /zamiast czterech, a dla niektórych zawodów nawet pięciu/. Zapewnia się, że 10-latka ma dać przygotowanie nie niższe od obecnej 12-latki, przedstawiono to nawet w formie równania: 10 = 12. Zdajmy sobie sprawę z powagi problemu. Kiedy i w jakim przypadku może powstać sprawa skrócenia czasu nauki dla danego poziomu /wyłączamy tu oczywiście sytuacje katastrofy/? Tylko wówczas, kiedy doświadczenie wykazywałoby, iż szkoła obecna dzięki dobrej organizacji nauczania, dzięki przygotowaniu kadry, wysokiemu poziomowi metodyki, dzięki wyposażeniu w pomoce realizuje programy tak efektywnie, iż bez szkody można skomprimować programy i skrócić czas nauczania. Choć i w tym przypadku można by także rozważać możliwość innego wykorzystania rezerwy - np. dla poszerzenia czy pogłębienia programu. W każdym razie nawet w tym optymistycznym przypadku ostrożność radziłaby skrócenie o 1 rok "na początek", aby zobaczyć jakie będą rezultaty.

Czy którykolwiek z powyższych warunków został osiągnięty, czy wykazują to egzaminy maturalne, egzaminy wstępne na uczelnie, czy to co można dojrzeć "gołym okiem" bez specjalnych badań potwierdziłoby, że szkoła obecna ma tak znaczne "rezervy", że należy je wykorzystać dla skrócenia czasu nauczania? Wydaje się, że pytanie odpowiedzi nie wymaga. Nasuwa się natomiast dalsze pytanie: jak - przy pomocy jakich cudów się 8-letnich szkół podstawowych przekształconych na "średnie" 10-latki mogłoby zapewnić choć w przybliżeniu przygotowanie równoważne temu, jakie dają obecne licea? Aby uprzedzić te wątpliwości rzeczownicy reformy zapewnijają, że zreformowana szkoła będzie "zupełnie inna", będzie "otwarta", "środowiskowa", "będzie stanowiła nowy typ ośrodka oświaty i kultury", a efektywność nauczania będzie osiągnięta dzięki udoskonalonym programom wprowadzającym metodę "liniową" /sic!/ oraz dzięki dobrym podręcznikom, udoskonalonej metodzie itd. Spełni się więc przepowiednia jednego z wieszczów: "rzeczywistość się nomażu w świat przemienia ideału".

Można się nie dziwić, że w ciągu przeszło 30 lat nie dopracowaliśmy się dobrych programów. Kłębiąc się rzeczywistość obecnego świata i rozdymając się stale naszą o nim wiedzę niełatwo było ująć w ramy przystosowane do pedagogicznych celów - w dodatku przy ciągłej zmienności kryteriów ocen i doboru. Że

na tej drodze nie doszliśmy jeszcze do jakiegoś twardego gruntu świadczą wyrywkowe dyskusje nad propozycjami zreformowanych programów. Bardziej już może niepokoić stan naszej metodyki - np. tak zasadniczej pomocy, jaką są podręczniki. Wydawałoby się, że w ciągu tylu lat winniśmy się dopracować podręczników na wysokim poziomie, które mogłyby być wzorcem dla dalszego doskonalenia. Otóż i od tego ideału jesteśmy jeszcze dosyć dalecy. Jakież bujnej fantazji i dezynwoltury potrzeba, aby zakładać, że ta cudowna metamorfoza dokona się wraz z zadekretowaniem reformy!

Koncepcja 10-latk wywołała prawdziwy zamęt w poglądach na jej charakter. Jaka ma być: powszechna, tzn. obowiązująca dla wszystkich czy nie, jednolita czy zróżnicowana, "ukierunkowana" czy "uzawodowiona"? Wyśuwano najdziwniejsze propozycje, np. aby słabszych uczniów kierować do "uzawodowionych" ciągów w tej samej szkole /pomysł spotkał się ze zrozumiałym sprzeciwem/. I co mają oznaczać pojęcia "ukierunkowania" i "uzawodowienia" szkoły ogólnokształcącej? Można się domyślać, że "ukierunkowanie" byłoby nawiązaniem do tradycyjnego podziału na typy "humanistyczne" i "matematyczno-przyrodnicze" z ewentualnym poszerzeniem tego podziału. Podział taki dotyczyć by musiał szkół a nie klas, jak proponują niektórzy, wymaga to bowiem inaczej przygotowanych nauczycieli, innego wyposażenia, nie wystarczy tylko zmiana ilości godzin dla niektórych przedmiotów. A co może oznaczać "uzawodowienie"? Przestano już używać modnego przez długi czas frazesu, że szkoła ogólnokształcąca powinna być "politechniczna" - wydaje się, że to miejsce ma zająć termin "uzawodowienie". Nie może ulegać wątpliwości dla nikogo, że "uzawodowienie" szkół /wszystkich!/ choćby w najbardziej elementarnym zakresie wymagałoby przy największych wysiłkach państwa uprzedniego przygotowania "uzawodowionej" kadry /w konkurencji z przemysłem!/, wielomiliardowych nakładów na wyposażenie oraz długiego czasu! Istnieją na świecie przykłady takich szkół, ale nawet w najbogatszych krajach mają one jedynie charakter eksperymentalny.

"Jednoliniowy" egalitaryzm

W dyskusji, szczególnie w głosach wybitnych nawet humanistów starszego pokolenia, podnosi się argument za przedłużeniem obowiązkowego kształcenia ogólnego, które stałoby się podstawą społecznego egalitaryzmu. Zdanie takie wypowiada także najnowszą ekspertyza specjalnego zespołu powołanego przez PAN /której fragmenty cytowała prasa codzienna/. Stanowisko zwłaszcza od strony argumentacji niezwykle znamienne. Autorzy są zasadniczo przeciwni wcześniejszemu kształceniu zawodowemu /choć w konkluzjach gotowi są się z tym pogodzić jako ze złem koniecznym/. Twierdzą, że wprowadzone ono zostało w "krajach kapitalistycznych, gdzie stało się podstawą dualistycznego systemu szkolnego", tzn. podziału na szkoły ogólne i zawodowe. "Nawet gdyby - czytamy w ekspertyzie - ta druga droga szkolna... zapewniała podobny wymiar kształcenia ogólnego i nie była

ślepą ulicą, nie ulega wątpliwości, iż będzie drogą, na której znajdzie się niemal wyłącznie dzieł robotnicza i chłopska... stanie się szkołą wzmacniającą przedziały socjalne w naszym kraju... nierówność wykształcenia staje się coraz silniejszym czynnikiem utrwalania i zaostrzania tych przedziałów... /Gdy chcemy/ aby egalitaryzować szanse wykształcenia, wczesne rozpoczynanie kształcenia zawodowego w wyodrębnionych szkołach jest elementem polityki społecznej przeciwstawnej tym planom". Autorzy dodają przy tym, że kształcenie podstawowych rodzajów uzdolnień manualnych jest potrzebne i możliwe w każdej szkole ogólnokształcącej.

To piękna humanistyczna wizja wychowania człowieka, której ideałem od czasów Renesansu jest "polihistor", człowiek, któremu nic co ludzkie nie jest obce. Niestety, czasy kiedy wykształcony człowiek mógł z grubsza przynajmniej orientować się w aktualnym stanie wiedzy o świecie dawno minęły. Dziś ten, kto nawet dobrze opanuje zakres wiedzy przewidzianej programem szkoły średniej, nie będzie w stanie poradzić sobie z najbardziej elementarnymi problemami naszej współczesności. Specjalizacji nikt nie wymyślił, narzuciła się sama jako konieczność. A kiedy ją zaczynać? Na ten temat są najróżniejsze zdania, niektórzy twierdzą, że od urodzenia i w ogóle nie jest to sprawa teoretycznych ustaleń czy upodobań. Decydować o tym może tylko doświadczenie - praktyka wynikająca zarówno ze społecznych jak i indywidualnych potrzeb i tendencji.

Wysoko potrzebne jest możliwie szerokie wykształcenie ogólne, ale nie należy go mitologizować, co skłonni są robić humaniści. W rozwoju człowieka należy uznać równowagę różnych typów i kierunków kształcenia. Prawda, że kształcenie zawodowe wymyślono w kapitalizmie - ale po prostu dlatego, że był historycznie wcześniejszy i nie należy chyba do tych cech kapitalizmu, które socjalizm powinien odrzucić.

Jeszcze jedna teza zasługuje na bliższą uwagę: że "nierówność" kształcenia utrwała i zaostrza społeczne przedziały. Jest w tym sporo prawdy, dużo nieporozumień i jedna zasadnicza niejasność. Istotnie, różnice w poziomie wykształcenia stanowią ważny czynnik społecznego zróżnicowania - ale wcale nie jedyny. Nasi socjologowie nie wymyślili jeszcze adekwatnych kryteriów dla analizy pionowego uwarstwienia społeczeństwa naszego typu. W systemie kapitalistycznym stratyfikacyjną drabinę układa się według wysokości dochodu, której cechy takie jak wykształcenie są podporządkowane. W naszym także dochód odgrywa ważną rolę, ale już korelacja między dochodem a wykształceniem jest zdecydowanie mniejsza, istnieje nieporównanie większa możliwość zdobycia wyższego wykształcenia przy niższym dochodzie. Jeśli uwzględnić szereg innych czynników odgrywających tu rolę, otrzymujemy w rezultacie mozaikę bardzo trudną do przełożenia na język pionowego uwarstwienia. Np. duże grupy zawodowe bez wyższego wykształcenia mają dochód nie niższy, bądź nawet wyższy, od niemałych grup wykształcenie takie mających, co w rezultacie odgrywa ważną rolę dla społecznej motywacji kształ-

cenia w różnych częściach warstw tradycyjnie uważanych za niższe /była już o tym mowa/.

Można uważać za szczególną okoliczność, że proces egalitaryzacji społeczeństwa nie zależy tylko od "równości" wykształcenia, ponieważ mało prawdopodobne, aby autorzy tego postulatu przewidywali w bliskiej przyszłości ukończenie wyższych studiów przez wszystkich obywateli.

W roli, jaką dla społecznej pozycji odgrywa wykształcenie wyraźnie przesunęła się cezura, "nobilizacyjną" funkcję dawnej matury odgrywa dziś dyplom szkoły wyższej - i to w znacznie osłabionej postaci. Wśród nie posiadających tego dyplomu podział przebiega zdecydowanie według poziomu kwalifikacji zawodowych. Ogólnokształcąca matura zatraciła /może nawet niesłusznie/ samostanny funkcjonalny sens. Podział ten, jak można przewidywać, ma charakter dość trwały, nie przewiduje bowiem radykalnego zwrotu ilościowego w kształceniu wyższym ani też zmniejszenia roli wykształcenia zawodowego. Główny problem tkwi w tym, aby istniejące społeczne przedziały nie ulegały petryfikacji. Ale dla przeciwdziałania temu nie wystarczy polityka oświatowa. Od pewnego poziomu ułatwień w zdobywaniu wykształcenia decydująca rolę zaczynają grać inne czynniki: polityka ekonomiczna, ogólnospołeczna i ogólnokulturalna stwarzające bodźce społecznej ruchliwości.

W świetle tego postulat egalitaryzacji przez "równość" wykształcenia staje się kłopotliwy i przede wszystkim niejasny. Prawdopodobnie autorzy mieli na myśli "niejednakowość" wykształcenia i to w tej jego części, którą uważa się za obowiązkową podstawę. Innymi słowy wracają do swej wyjściowej tezy, że tylko ogólnokształcąca szkoła średnia może nobilitować jednostkę i egalitaryzować społeczeństwo.

Nie może natomiast nie dziwić, że w całości dyskusji nawet obrońcy wykształcenia ogólnego gotowi są pogodzić się ze skróceniem czasu osiągania "dojrzałości" nawet o dwa lata, niektórzy proponują o jeden rok - nie przytaczając po temu żadnego uzasadnienia. Przypomnijmy, że po wyzwoleniu w kraju nieprawdopodobnie zniszczonym, mającym zaległości pięcioletniej przerwy w działalności szkolnictwa, zdecydowano się na czasowe skrócenie średniego nauczania do lat jedenastu /wyjście takie uznano za konieczne i opracowano projekty jeszcze w czasie okupacji/. Co, jakże motyw przemawiają dziś za znacznie drastyczniejszym skróceniem, które musiałoby pociągnąć za sobą długofalowe i nie dające się dziś obliczyć konsekwencje dla całej narodowej kultury?

Wyjaśnijmy przy okazji problem raczej nie poruszany w dyskusjach ale obecny w świadomości ich uczestników. Istnieje wszak przykład szkoły 10-letniej, która wytrzymała próbę czasu i ma już bogate doświadczenia - szkoła radziecka. Istotnie. Zanim jednak użyjemy tego przykładu jako argumentu, musimy sobie uświadomić, że 10-letnia szkoła wprowadzona została w okresie najtrudniejszej chyba sytuacji gospodarczej w historii Związku Radzieckiego - w okresie kolektywizacji i pierwszej przemysłowej "pięciolatki" - a więc w sytuacji w żadnym sensie niepo-

równywalnej z obecną fazą naszego rozwoju. Po drugie, ogólnokształcąca 10-latka nigdy nie była i nie jest obowiązująca dla całej młodzieży - obecnie kończy ją w przybliżeniu 30 do 50% młodzieży, reszta odpycha do innych form kształcenia. Po trzecie, nie jest strukturą obowiązującą w całym Związku Radzieckim /np. republiki bałtyckie mają 11-latkę/. I po czwarte, już po wojnie sprawa jej dostosowania do obecnych potrzeb była wielokrotnie dyskutowana a opinie poważnych radzieckich fachowców opowiadają się za jej przedłużeniem.

Słowo o szkołach zbiorczych

Akcja przeprowadzona w ciągu ostatnich lat z wyjątkową energią była reorganizacja sieci szkół wiejskich. Celem jej była słuszna w założeniu idea podniesienia poziomu organizacyjnego całego wiejskiego szkolnictwa, stworzenia sieci szkół zbiorczych o pełnej obsadzie nauczycielskiej, wyposażonych we wszystko co niezbędne dla zapewnienia efektywności nauczania.

Zauważmy nawiasem, że chociaż akcję tę przeprowadzano pod hasłem "reformy" - nie ma ona wiele wspólnego z reformą, o której tu mówimy. Przystosowanie sieci szkolnej zarówno do celów dydaktycznych jak i do warunków geo- i demo-graficznych, to znaczy zapewnienie szkołom optymalnego /w zmieniających się stale warunkach/ poziomu organizacyjnego, jest bowiem zadaniem permanentnym przy każdym modelu szkolnego ustroju.

Rezultaty tej akcji są rzeczywiście imponujące. Według danych Rocznika Statystycznego w ciągu kilku lat /1971 - 1978/ z 22 tysięcy szkół wiejskich pozostało zaledwie 9.250 - przeważnie szkół zbiorczych o 7 i więcej nauczycielach. W prosty sposób likwacji uległo 12.750 szkół mniejszych, małych i zgoła karłowatych, które wszak symbolizowały upośledzenie ludności wiejskiej w dostępie do oświaty.

Byłyby więc powody do zadowolenia. Jednakże, jak uczy bogate doświadczenie, najpiękniejsza nawet idea, jeśli zamiast przystosować się odpowiednio do rzeczywistości, będzie usiłowała ją wtłoczyć w ramy abstrakcyjnie pomyślanego schematu, łatwo przekształca się w swoje przeciwieństwo. Pojęcie "szkoły" obejmuje dwa składniki: jeden to budynek, nauczyciele, wyposażenie, drugi to uczniowie - młodzież. Można nawet powiedzieć, że ten drugi składnik stanowi istotę szkoły - tam gdzie są uczniowie istnieje szkoła, zwłaszcza w kraju, w którym ludzie na ogół umieją czytać i pisać. Toteż problem czysto fizycznej dostępności szkoły dla kandydatów do nauki odgrywa nie mniejszą a chyba nawet większą rolę od ilości i kwalifikacji nauczycieli czy wyposażenia izb lekcyjnych.

Reformatorzy zachowali się tak, jakby sądzili, że dotychczasowa organizacja sieci szkolnej była wynikiem jedynie złośliwej tendencji poprzednich działaczy oświatowych, którzy zamiast dać ludności wiejskiej szkoły zapewniające należyty poziom nauczania, rozproszyli je po całym kraju. Jest oczywiście, że w ciągu 35 lat dokonały się na mapie kraju poważne zmiany - zbudowano wiele dróg i mostów, roz-

winęła się komunikacja, zmniejszyły odległości, ułatwiła łączność ze światem dla wielu wsi "zabitych deskami" - że wobec tego możliwa i konieczna stała się rewizja organizacji szkolnictwa wiejskiego. Ale wykonanie tego zadania wymaga w każdym pojedynczym przypadku odejścia od mapy i od biurka i przemierzenie abstrakcyjnej idei do konkretnej rzeczywistości, przejścia pieszko /lub PKS-em/ drogi, którą przeznaczamy dla naszych dzieci - przebycia jej także w deszcz, błoto, mróz i śnieżyce /niestety, najlepszy okres dla wędrowek zabierają wakacje!/.

Zapewne, koncentracja i centralizacja są jednym ze środków podnoszenia poziomu szkół - najłatwiejszym, ponieważ wymagają tylko zarządzenia - ale nie jest to środek ani jedyny, ani najważniejszy, ani nawet najpewniejszy.

Spróbujmy dokonać czysto myślowej analizy uruchamiając odrobinę wyobraźni. Likwidacja 12.750 szkół oznacza, że młodzież z tylu wsi będzie musiała odbywać wędrowki na odległość od co najmniej 3 do przypuszczalnie 10 i więcej kilometrów. Dodajmy, że radykalizm tej reorganizacji objął nie tylko małe szkoły, lecz także takie, które uchodziły za wysoko zorganizowane. Spośród ponad 10 tys. szkół mających od 4 do 6 nauczycieli, a więc znajdujących się w większych i ludnych wsiach, likwidacji uległo 7.550 !/, a łącznie z mniejszymi z przeszło milio-
nem dzieci.

Zakładamy optymistycznie, że dla połowy tej młodzieży możliwe jest zorganizowanie ułatwień - korzystanie z publicznych środków lokomocji lub dowożenie. Ale i w tym przypadku może to dotyczyć tylko młodzieży starszych klas /np. od piątej/. Żatwo uzasadnić, że dla dzieci 7-10 letnich tego rodzaju wędrowki są nie tylko niewskazane ale powinny być po prostu zakazane.^{3/}

W dążeniu do podniesienia poziomu pracy dydaktycznej szkół nie wolno poddawać się sugestiom administracyjnej łatwości. Między wielkością szkoły a efektywnością jej pracy nie ma bynajmniej prostej zależności. Na temat, czy mała szkoła musi być gorsza od dużej istnieje w literaturze światowej głęboka rozbieżność poglądów - o ile fachowcy wypowiadają się przeciwko gigantom /powyżej tysiąca uczniów/, o tyle w dół, zwłaszcza dla niższych szczebli nauczania, nie istnieje ich zdaniem granica. Doświadczenia np. Szwecji /i nie tylko tam/ wykazują, że szkoła o 1 nauczycielu w realizacji nawet 8-letniego nauczania może rywalizować ze szkołami miejskimi. Pod jednym wszakże warunkiem: do tych szkół daje się naj-
bardziej doświadczonych pedagogów i znacznie wyżej opłacanych. Jeśli nawet krytycznie ustosunkujemy się do tych wniosków, nie ulega wątpliwości, że przynajmniej dla czterech pierwszych lat nauczania ważniejsza jest, aby dziecko mogło systematycznie chodzić do szkoły nieco "gorszej" niż systematycznie nie chodzić do szkoły "lepszey". Uwzględnić przy tym trzeba również czynnik trudu i czasu.

W pewnej dyskusji na te tematy ktoś zapewniał, że "dzieci lubią jeździć". Na pewno! To też trzeba im organizować przejażdżki w czasie wakacji lub w dni wolne od zajęć szkolnych i pod odpowiednią pedagogiczną opieką!

Pozostaje jeszcze ogólnospołeczny aspekt zagadnienia, który tu w ciekawy sposób krzyżuje się z kryteriami szkolno-pedagogicznymi. Druga tradycja ukształtowała hierarchię wsi od takich, w których mieszczą się urzędy, instytucje, duże szkoły, poprzez takie, które z symboli cywilizacji mają tylko szkołę, aż do takich, które nie mają nic. /Historia zanotowała przykłady dramatycznych walk wsi o szkołę/. Trzeba mieć świadomość, że pozbawienie szkoły przeszło 12 tys. wsi jest wielkim wstrząsem społecznym, zmienia ich pozycję w strukturze kraju. Wiele z tych zlikwidowanych szkół było jakimś ośrodkiem życia, w wielu organizowano swego czasu "przysposobienie rolnicze" - prawda, że niedoskonałe, ale czy nie pozostawienie niczego jest doskonałe? Niewątpliwie rola nauczyciela w życiu wsi zmalała, nie jest on już najczęściej jedynym przedstawicielem cywilizacji - ale dodajmy, zmalała także i z naszej winy. Iluż jest takich nauczycieli, których nauczyliśmy roli nauczyciela w wiejskim środowisku? Jeśli się taki samorodek czasem trafi, zabieramy go na inną posadę.

Nie idzie tu o podtrzymywanie tradycji, którą rozwój kraju i zmiany w formach życia zacierają i przekształcają. Idzie o czynnik więzi z całością społecznego życia, aby ich nie przecinać wbrew potrzebom i logice.

Patrząc na mapę kraju nasuwają się jeszcze inne melancholijne refleksje. W ciągu 7 lat zlikwidowano 6.727 szkół najmniejszych o 1 i 2 nauczycielach. Samo ich istnienie wskazuje, że mieszczyły się one w małych wioskach i przysiółkach z reguły odległych od innych osiedli a często odgradzonych naturalnymi przeszkodami /górami na południu, jeziorami i lasami na północy/. Czyżby w Polsce było tylko 140 /tyle małych szkół pozostawiono/ takich wysuniętych czy odciętych od świata osiedli, gdzie szkoła powinna pozostać już nie tylko w interesie dzieci, ale jako symboliczny łącznik z krajem i cywilizacją?

Wiadomo, że ludność wiejska żywo zareagowała na dokonaną rewolucję w życiu wsi. Do władz napływały delegacje z błaganiami o pozostawienie szkoły - o ile wiadomo, z reguły bezskutecznie. Administracja z całym rygoryzmem realizowała plan podnoszenia poziomu szkół w myśl starorzymskiej zasady: pereat mundus fiat... centralizacja. Nasuwa się tu pytanie: w świetle obowiązujących w Polsce praw i w oparciu o głoszoną ideologię - na jakiej podstawie można odmówić ludności jakiegokolwiek posiadania własnej szkoły jeśli nie przemawia przeciwko temu oczywisty interes państwa ani ewidentny interes samej ludności?

Wniosek, jaki się tu nasuwa, jest prosty: dokonana reorganizacja sieci szkół wiejskich domaga się szybkiej i energicznej weryfikacji - konfrontacji z rzeczywistością. Nie należy kompromitować akcji podnoszenia poziomu szkół ani idei szkół zbiorczych, zwłaszcza dla młodzieży starszych klas, która może odbywać nieco dłuższe wędrowki. Idea ta realizowana od dawna nie była tylko złośliwym wymysłem.

De omnibus rebus...

Wśród reformatorskich propozycji są i inne je-

szcze, które oderwały się od szkolnej i pedagogicznej rzeczywistości. Można tu wymienić rozważania nad programami - owo upychanie kolanem w zmniejszonym 10-letnim worku puchnącego nieustannie materiału programowego. Wynikają z tego dość paradoksalne konsekwencje, że dla problemów wymagających już dość sporej wiedzy i ogólnej dojrzałości jedyne miejsce znajduje się gdzieś w niższych klasach.

Innym wprowadzonym już w życie pomysłem jest przywilej dla "prymusów" - wstępu na wyższe uczelnie bez egzaminu. Nie budzi zastrzeżeń mający już sporą tradycję wstęp bez egzaminu dla laureatów przedmiotowych olimpiad. Sposób ich przeprowadzania, kilkustopniowa eliminacja, gwarantuje, że zwycięzcy wykazali się ponadprzeciętnymi uzdolnieniami w danym kierunku.

Natomiast jak najbardziej kategoryczny sprzeciw budzi rozciągnięcie tego przywileju na tzw. "prymusów". Nie dlatego nawet, że według opinii wypowiedzianej często ze strony szkół wyższych "nie sprawdzają się". Ostatecznie - nie da rady, to odpadnie. Idzie o rzecz znacznie poważniejszą. Pomysł taki mógł przyjść do głowy tylko ludziom, którzy problemy szkolne rozwiązują zza biurka urzędu, którzy nie wiedzą lub nie chcą wiedzieć, ile i jakich czynników składa się na "prymusowość", zwłaszcza takie, które nie jest tylko honorowym wyróżnieniem, lecz wiąże się z określonym przywilejem. Przywileje w ogóle mają tę właściwość, że łatwiej przylegają do uprzywilejowanych. Jakim presjom wewnątrz i z zewnątrz poddani będą nauczyciele, aby kandydatom na "prymusów" nie psuć cenzury! Czy autorzy tego pomysłu zdają sobie sprawę jakim źródłem demoralizacji stanie się to dla nauczycieli i dla uczniów, jakim obniżeniem autorytetu szkoły i jak odbije się na całej wychowawczej atmosferze? Proponować to mógł tylko ktoś, kto pogląd na funkcje tak ważnego w kształtowaniu człowieka organizmu społecznego, jakim jest szkoła, wyrabia sobie na podstawie statystyki wystawianych ocen. Znany był kiedyś konkurs matur na wyższe uczelnie, ale dziś należałoby odradzić stosowanie tej metody - byłby to wyścig nie uczniów ale szkół i nauczycieli. Pamiętajmy czym był w średniowieczu "handel odpustami" - nie wskrzeszajmy tej tradycji. Rzeczywisty prymus da sobie na egzaminie radę.

Postąpiwszy krok dalej w sprawę ocen szkolnych natrafiamy na szerszy i bardziej zasadniczy problem: efektywności nauczania. Wiadomo jak ważna dla funkcjonowania całego systemu jest "przepustowość" szkoły, minimalizacja /czy nawet likwidacja/ drugoroczności. W końcowym rachunku cały problem opiera się na tak chybottliwej podstawie jak wyrażone w cyfrach oceny uczniowskich postępów. Nie jest to ani najlepsze, ani najbardziej obiektywne kryterium, jednak innym szkoła nie rozporządza. Od nauczyciela zatem zależy, czy będzie się przyczyniał do realizacji dyrektywy podnoszenia efektywności nauczania, czy szkoła zasłuży na miano "lepszego" czy "gorszego".

Odzywa się tu odwieczny pedagogiczny problem: kto jest odpowiedzialny za postępy ucznia - on czy nauczyciel? W rozwiązywaniu tego dylematu pedagogi-

czni filozofowie doszli nawet do twierdzenia, że "nie ma złych uczniów, są tylko źli nauczyciele". Slogan ten utrwalił się nie tylko w społecznej pamięci, w dużej mierze leży on u podstaw kontrolnej działalności aparatu szkolnego, który dążąc do zwiększenia efektywności pracy szkoły wywiera /chcąc nie chcąc/ stałą presję na wzrost tego jedynego uchwytanego wskaźnika, jakim są stopnie. W konsekwencji prowadzi to do paradoksalnej sytuacji, że nauczyciel przepytując czy egzaminując ucznia wystawia notę nie jemu lecz sobie a stawiając ją powyżej wartości odpowiedzi nie robi "przysługi" uczniowi /np. dla zachęty/, lecz maskuje swoją nieudolność jako pedagoga.

Na pewno nauczyciele są i źli i dobrzy, na pewno także spora część nauczycieli jest poniżej tego poziomu, jakiego byśmy sobie życzyli /zwłaszcza że formalne przygotowanie nie jest jeszcze dowodem pedagogicznych kwalifikacji/. Ale nie dajmy się zwariować! Presja wywierana na nauczycieli ze wszystkich stron - z góry i z dołu, od środka i z boków o wystawianie "dobrych" stopni powoduje, iż w znacznej mierze stają się one fikcją, przestają świadczyć o jakości pracy nauczyciela, szkoły i o postępach uczniów - co zaś najważniejsze: doskonale świadoma jest tego młodzież, sami uczniowie. Jeśli w procesie nauczania wystawiana nota przestaje być w ręku nauczyciela środkiem pedagogicznego oddziaływania /nagrody, zachęty, ostrzeżenia/ - nauczyciel traci wobec ucznia wszelką egzekutywę, fikcją stają się stawiane przez niego wymagania. Doniosłość tego problemu dla całej dydaktycznej i wychowawczej pracy szkoły doskonale rozumieją nauczyciele i kierownicy szkół.

Przytoczyliśmy kilka tylko spośród mnogości spraw istniejących niejako w szparach wielkiej szkolnej budowli i wymykających się uwadze przy zasadniczych systemowych debatach. A ileż od nich właśnie zależy, czy cały gmach będzie dobrze służył narodowej edukacji, czy też będzie go toczył jadowity grzyb.

Kilka wniosków

Można by podsumować, że dotychczasowy stan dyskusji nad reformą nie stworzył podstawy dla dyskusji. Nie wiadomo, co zostało z projektu zawartego w sejmowej Uchwale, któremu obcina się głowę i skraca nogę. Nie wiadomo - nawet uwzględniając te amputacje - jaka ma być struktura i sieć szkolnictwa zawodowego, czy i co ma pozostać z istniejącego stanu a co i jak zmienić. Wysoce niepokojąco rysuje się perspektywa dla wsi, której upośledzenie w dostępie do wyższych szczebli kształcenia musi się pogłębić. Co zrobić z najbardziej zaniedbaną dziedziną: szkolnictwa rolniczego dla młodzieży, która zostaje na gospodarstwie i nie może od niego na czas dłuższy się oderwać? Odsyłanie do zaocznych metod nauki tego najbardziej praktycznego zawodu - którym, nota bene, praktyka nie polega na nabyciu manualnych zręczności - jest w szerszej skali nonsensem. Pytania takie można mnożyć. Przede wszystkim zaś żadna ze znanych dotychczas

wypowiedzi nie uzasadniają konieczności zmiany struktury i koncepcji naszego szkolnictwa. Obie ekspertyzy naszych fachowców, zarówno z 1973 r. jak i obecna /jak można wnioskować ze znanych fragmentów/ zawierają wiele cennych i wnikliwych uwag o stanie naszego szkolnictwa, jego brakach, podkreślają konieczność podniesienia stanu organizacyjnego, lepszej organizacji sieci szkolnej, podniesienia poziomu przygotowania nauczycieli, wyposażenia szkół itd. Ale nie są to przesłanki reformy - przeciwnie, wszystko to trzeba zrobić, aby stworzyć podstawę dla przyszłych reformatorskich poczynań, aby reforma nie wynikała tylko z woluntarystycznych, oderwanych od realnej gleby koncepcji.

Jest wśród wypowiedzi zespołu PAN zdanie, nad którym warto się zastanowić, symbolizuje ono bowiem całą sytuację. Ekspertyza ta zwraca uwagę, że rozdrobienie szkolnej nauki na wiele odrębnych przedmiotów dostarcza informacji, między którymi brakuje związków. "Ukazywanie poszczególnych dyscyplin, a więc nauki tylko jako zbioru informacji grozi rozbić procesów poznawczych, a przecież nauka powinna być ukazywana jako rozwijający się historycznie proces poznawania rzeczywistości, jako system złożony z wzajemnie powiązanych dyscyplin naukowych będących zważyte strukturami. Konieczne jest zaakcentowanie jedności kultury: humanistycznej i techniczno-przyrodniczej..." /W nawiasie: dotyczą tu nasi eksperci największej bolączki współczesnej nauki w ogóle, w której poszczególne dyscypliny żyją na coraz bardziej izolowanych wyspach, a organizowane międzynarodowe i interdyscyplinarne sympozja potwierdzają jedynie pogłębianie się izolacji/. Jako remedium proponują wprowadzenie do programów szkolnych przedmiotów integrujących, czegoś w rodzaju "propedeutyki

historii kultury". Podkreślają jednak, że takich możliwości nie daje programy 10-latk - ponadto zaś, dodają, nie ma do takiego przedmiotu specjalistów, a co więcej, "szkolnictwo wyższe nie jest dziś przygotowane do wykształcenia nauczycieli nowego typu". Otóż to! Zdanie to można odnieść do całości omawianego problemu. Z całego przebiegu debat i działań wynika, że gotowość do reformy znacznie wyprzedziła przygotowanie do niej - zarówno szkół jak i całego oświatowego i naukowego systemu.

Aby dalszy ciąg debaty nad naszym szkolnictwem mógł dać sensowne wyniki, TRZEBA ODWRÓCIĆ CAŁĄ KETODE POSTĘPOWANIA. Nie mogą być punktem wyjścia wymyslane abstrakcyjne schematy, w które będzie się usiłowało wtłoczyć żywy społeczny organizm. Metoda musi być całkiem odmienna niż przy wyborze kapelusza, kiedy wystarczy spojrzeć w lustro, aby wiedzieć, w którym nam najbardziej do twarzy. Punktem wyjścia może być jedynie stan istniejący, analiza jego jakości, braków i adekwatności do społecznych potrzeb. Znajomość tego stanu i jasno określone cele, jakie chcemy osiągnąć, winny wskazywać kierunek i kolejność zadań w ewolucji naszego szkolnictwa.

PS. W publicystycznych, nawet rozsądnych, wypowiedziach odzywa się i takie zdanie, że wprowadzenie reformatorskie pomysły nie były najszcześniejsze, ale tyle już zrobiono, że nie można się cofnąć. Na to należy przypomnieć pewną ogólną zasadę obowiązującą w każdym działaniu: z tego co zrobiliśmy dobrego - nie cofać się nie należy, natomiast zawsze trzeba się cofnąć z drogi fałszywej prowadzącej w przeciwnym kierunku niż cel, do którego dążymy.

Listopad 1979 r.

Władysław Bienkowski

Andrzej MAZUR

Ciasno w głowach i deficyt w kadrach czyli DYLEMATY WYŻSZEGO WYKSZTAŁCENIA

"CIASNO W GŁOWACH"

Pod takim tytułem w nr 1 "Kultury" z 1979 r. prof. Bogdan Suchodolski opublikował artykuł, który dał początek trwającej już ponad rok dyskusji na temat wyższego wykształcenia. Dyskusja szybko przeniosła się na łamy innych pism, głównie "Polityki", ale także "Życia Literackiego", "Życia Gospodarczego", a nawet nieruchawej "Trybuny Ludu", włączając coraz szerszy krąg fachowców i publicystów. W ciągu czterech miesięcy ukazało się nie mniej niż 50 publikacji nie licząc listów do redakcji i krótkich not polemicznych. Czasem trwania i liczbą wypowiedzi dyskusja ta już zdystansowała niegdysiejszy namiętny i przewlekły spór o humanistyczną psychiatrię. Jest więc niewątpliwie wyrazem zapotrzebowania i niepoko-

ju społecznego, jaki narasta wokół problemów wyższego wykształcenia.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć główne tezy Autora inauguracyjnego dyskusję: "Kształcenie - pisze i podkreśla Suchodolski - powinno być czymś więcej, jak tylko przygotowywaniem kadr dla gospodarki, naukowo zorganizowaną hodowlą siły roboczej. Powinno być przede wszystkim kształtowaniem obywateli, rozwijaniem i wzbogacaniem osobowości człowieka". I dalej: "Dostosowywanie rodzajów i poziomów wykształcenia do przewidywanych zapotrzebowań kadrowych tylko pozornie jest wyrazem racjonalnej i przewidującej polityki społecznej... Nie powinniśmy akceptować tendencji do jakichkolwiek ograniczeń potrzeb i dążeń w dziedzinie kształcenia, choćby te ograniczenia w bieżącej chwili wydawały się nam racjonalne...

Strategia dostosowywania procesów kształcenia do dzisiejszych przewidywań kadrowych - stawać się będzie coraz bardziej strategią konserwatywną, a ta strategia kształcenia, o której mówimy - będzie źródłem innowacji, od których w gruncie rzeczy zależy wyścig narodów i wzrost dobra wspólnego /ten ostatni fragment podkreślony przeze mnie - A.M./.

Tyle Suchodolski, który nigdy nie zwykł przykładać "cyrkla, miary i wagi" do swoich filozoficznych konstrukcji, przez co dla pragmatyków były i są one trudne do przyjęcia. Został też natychmiast zaatakowany: pośrednio przez Wesołowskiego /"Prawdy utarte, pytania nowe", "Kultura" nr 4, 1979/ i bezpośrednio przez Bortnowskiego /"Ostrożnie z szansami rozwoju", ten sam nr "Kultury"/. Bortnowskiemu z kolei ostro odpowiedział Szeliński w "Polityce" /nr 6, 1979/ dając początek odrębnemu nurtowi w dyskusji. Bortnowski wycofał się na łamy rodzimego "Życia Literackiego", skąd co jakiś czas daje wyraz konsekwentnie konserwatywnemu stanowisku w sporze. Tymczasem dyskusja rozwija się gubiąc po drodze główne tezy, h u m a n i s t y c z n e j ą d r o zawarte w inauguracyjnym ją artykule Suchodolskiego. Po doskonałym i z dużym znawstwem przedmiotu napisanym artykule Szejnacha /"Egoizm oświeconych", "Kultura" nr 16, 1979/ problem sprowadza się właściwie do pytania, czy ludzi z wyższym wykształceniem mamy za mało, dosyć, czy za dużo. Odpowiedzi są oczywiście krańcowo rozbieżne, przesłanki - bez wyjątku - spekulatywne, w najlepszym razie dobierane wybiórczo do tezy. W tej zresztą materii każdą tezę można zilustrować dowodnie: jest niewątpliwie prawdą, że w wielu ośrodkach brakuje pracy nie tylko dla polonistów, historyków, czy prawników, ale także dla lekarzy niektórych specjalności. Jest prawdą również, że brakuje nam specjalistów w każdej bez wyjątku dziedzinie, jeśli problem będziemy rozpatrywać w makroskali. Ale o tym dalej.

Gdy dyskusja trwała już dziewiąty miesiąc zabrakło kompetentny urzędnik, minister nauki, szkolnictwa wyższego i techniki, prof. J. Górski /"Nauka jest ryzykiem i konfrontacją", "Życie Literackie" nr 40, 1979/. Wypowiedź ta, zupełnie sensowna w wielu wątkach, zwłaszcza w odniesieniu do warsztatu pracy naukowej, zawierała jednak w przedmiocie interesującym nas na tym miejscu kilka chwytów demagogicznych. Zapewne były one ministrowi potrzebne do uzasadnienia dalszej planowej redukcji liczby studentów w bieżącym roku akademickim o ponad 30 tys. osób: z 491,4 tys. w 1977/78 r. i 485,2 tys. w 1978/79 r. do niespełna 460 tys. w 1979/80 r. Jeśli przyjmiemy dla uproszczenia, że ogół studentów zawarty jest w pięciu kolejnych rocznikach młodzieży /20 - 24 lata/, to populacja tych roczników liczyła w 1979 r. 3.455,6 tys. osób, zaś stopień ich skolaryzacji wyniósł zaledwie 13,3 % i był w i e l o k r o t n i e niższy niż w krajach rozwiniętych, gdzie w każdym razie przekracza 20 %, a osiąga, np. w USA, 55 % osób danego rocznika!

Wróćmy do wypowiedzi min. Górskiego. Okazuje się,

iż problemy, które wniósł prof. Suchodolski, owa humanistyczna perspektywa, są mu doskonale znane, przechodzi jednak nad nimi do porządku w sposób ciasno pragmatyczny: "...można powiedzieć, że przecież absolwent studiów wyższych, zwłaszcza humanista, może wykonywać jakąkolwiek pracę, a zdobyta wiedza i rozległość horyzontów powinna procentować jako swego rodzaju 'intelektualny kapitał' wykształconej jednostki i całego społeczeństwa. Tymczasem patrząc praktycznie na nasze obecne kłopoty z zatrudnieniem absolwentów niektórych kierunków humanistycznych, widać dość jasno, że nikt nie pali się do tej 'jakiegokolwiek pracy', a każdy magister chce mieć ją zgodną z osobistymi zainteresowaniami i kierunkiem studiów, co mu zresztą Konstytucja gwarantuje". Powiedzmy od razu, że Konstytucja "gwarantuje" bardzo wiele różnych uprawnień, między innymi właśnie uprawnienie do nauki na wszystkich szczeblach. Ale nie będziemy tu roztrząsać właściwości niebytu. Chwyt jest, jak to się mówi "poniżej pasa", bo oto minister występuje w roli obrońcy "stanu psychicznego" absolwentów: "Rozmawiałem ze studentami i absolwentami tych kierunków, wiem, że są oni sfrustrowani tą perspektywą /.../ Nie możemy igrać lekkomyślnie z ludzkimi nadziejami, nie możemy kształcić świadomie o wiele więcej humanistów, niż jest dla nich zgodnej z kwalifikacjami pracy". Utracone nadzieje i frustracje tych, którzy zdali egzamin wstępny, ale nie przyjęto ich na studia z braku miejsc, nie interesują ministra, nie jego resort. A kto pytał ludzi jaki typ frustracji i utraconej nadziei jest dla nich bardziej dolegliwy? Zdrowy rozsądek podpowiada, że łatwiej znieść pracę czasowo niezgodną z kwalifikacjami, ale mieć te kwalifikacje, niż utracić szanse ich zdobycia mimo spełnienia wszystkich formalnych i merytorycznych warunków.

Wąski pragmatyzm ministra idzie dalej i ...mija się z prawdą: "Potrzeba nam ludzi do pracy fizycznej, ludzi dobrze spełniających swoje obowiązki na niższych stanowiskach. Praktyka wskazuje, że nikt z absolwentów jakoś się do tych stanowisk nie kwapi". Czy i jeśli - to dlaczego u nas ludzie "nie kwapią się do tych stanowisk"?

Naprzód "czy". Otóż nie jest prawdą, że "nikt się nie kwapi". Oficjalna statystyka wykazała w 1977 r. 1.579 osób z wyższym wykształceniem wykonujących pracę "na stanowiskach robotniczych i pokrewnych" w gospodarce uspołecznionej.^{1/} Proporcjonalnie jest to niewiele, ale nie jest to również "nikt". Można także z łatwością wyliczyć, że nie mniej niż 30 tys. dyplomantów wyższych uczelni wykonuje zawody wymagające tylko średniego wykształcenia. Dalej: to samo źródło informuje, że na stanowiskach robotniczych w 1977 r. pracowało ponad 415 tys. osób z pełnym średnim wykształceniem, tj. z tzw. maturą, w tym ponad 303 tys. osób z dyplomem technika i 93,5 tys. osób z maturą ogólnokształcącą. To już jest ogromna masa ludzka. Jeszcze przed 15 laty sytuacja taka była nie

^{1/} Spis kadrowy 1977, GUS, Warszawa 1979, s. 120

do pomyślenia, a jednak stała się faktem. Istnieje więc proces stałego wzrostu kwalifikacji ogólnych niezależnie od charakteru wykonywanej pracy. Proces ten rozpoczął się na naszych oczach i jeśli już nie podważył rozmaitych stereotypów i tradycyjnych wyobrażeń o jakości życia, podważył je niebawem. Trudno oczekiwać, żeby zaczynał się od absolwentów studiów wyższych, dojdzie jednak w końcu i do nich. To jedno.

Drugi aspekt zagadnienia jest bardziej złożony. Odnotowana w statystyce liczba pracujących fizycznie absolwentów wyższych uczelni stanowi zaledwie ułamek liczby osób z najwyższymi kwalifikacjami po-dejmujących w ciągu paru ostatnich lat pracę fizyczną na własny rachunek: w rolnictwie, zwłaszcza w hodowli, rzemiośle, handlu agencyjnym. Tego żadna statystyka nie ujmuje, ścisłych danych nie ma. Ale jest łatwo wyczuwalny i narastający w środowiskach inteligentnych klimat zaciekania i przychylności wobec takich decyzji: jeśli tylko istnieje szansa dorobienia się, ludzie bez wahania rozstają się z biurkiem w "uspołecznionym zakładzie", wkładają kombinezon czy fartuch i zawiązują rękawy. Coraz mniej na ten temat wydziwiał, że oto inteligent zdążył się spoczyć... Jak wyglądałoby to zjawisko, gdyby poparcie władz dla pracy na własny rachunek było rzeczywiste, a nie deklaratywne, gdyby uruchomiono kredyty, przede wszystkim zaś gdyby rozsądnie mitygowano wszechwładne wydziały finansowe zdolne zrujnować każde przedsięwzięcie.

Proszę to traktować jako uwagi marginesowe. W sporze o wyższe wykształcenie nie chodzi oczywiście i nie może chodzić o to, żeby zapewnić je każdemu człowiekowi i dziś już szukać argumentów na rzecz takiego rozwiązania. Nie można jednak administracyjnymi restrykcjami zamykać drogę tym, którzy chcą, mogą i spełniają warunki, aby to wykształcenie uzyskać; zamykać drogę rzekomo w ich interesie, aby nie musieli się później "deklasować", kiedy zabraknie dla nich pracy zgodnej z wyuczonymi kwalifikacjami. Poradzą sobie, byle im nie przeszkadzać.

Spróbujmy uporządkować nasze wyobrażenia na temat zasięgu wyższego wykształcenia w społeczeństwie. Teoretycznie można wyodrębnić trzy takie systemy:

1. System o t w a r t y - dostęp na studia wyższe gwarantuje się każdemu, kto uzyskał świadectwo dojrzałości, a więc przebył pomyślnie poprzednie etapy kształcenia.

2. System k w a l i f i k o w a n y - do warunków zakładanego w systemie otwartym dochodzi egzamin wstępny zawierający wyższy pułap wymagań niż przeciętny zakres wiedzy niezbędnej na poziomie szkoły średniej.

3. System r e g l a m e n t o w a n y - spełnienie wymogów formalnych obu systemów poprzednich jest dodatkowo korygowane "limitami" wedle społecznego zapotrzebowania na fachowców, których dane kierunki studiów kształcą.

Szkolnictwo wyższe może być także po prostu ow-

ładnięte i n e r c j ą i wówczas kształci tyle osób, ile jest w stanie pomieścić i na ile starcza środków przydzielanych najzupełniej arbitralnie, bez rachunku opartego o któryś z wyżej omówionych systemów.

Zapewne w każdym bez wyjątku współczesnym społeczeństwie system rzeczywisty - jeśli nie owładnięta nim inercja - stanowi jakąś kombinację tych trzech systemów wywiedzionych teoretycznie. Także w USA system nie jest całkowicie otwarty, w każdym razie na niektórych kierunkach nie jest otwarty nawet dla osób, które mogą wnieść pełną opłatę za studia. Tendencje w świecie idą jednak wyraźnie ku systemowi otwartemu. Selekcja "kwalifikacyjna" odbywa się w trakcie studiów, a selekcja "reglamentowana" w grupach zawodowych. Pierwsza z nich polega na odsiewie studentów mniej zdolnych czy niedość pracowitych, druga - na konkurencji między specjalistami. Oba typy selekcji, zwłaszcza drugi, łączą się ze znacznymi kosztami społecznymi, fachowcy twierdzą jednak, że p e r s a l d o społeczeństwu to się opłaca, ponieważ do użytkowania najwyższych kwalifikacji dochodzą tylko najlepsi, a w każdym razie dobrzy.

Rzeczywistość wyższego wykształcenia w PRL jest bardzo trudna do określenia w rozumieniu systemu, natomiast zjawiska występujące od połowy lat sześćdziesiątych skłaniają do przypuszczeń, iż mamy do czynienia z inercją, jednak tylko w skali globalnej. Dla poszczególnych bowiem kategorii osób system ten jest otwarty /tzw. pule rektorskie i ministerialne, dzięki którym można dostać się na studia bez egzaminu; dane liczbowe są wstydliwie utajnione/; jest również - dla innych kategorii osób - otwarty, ale po spełnieniu uprzedniego warunku "kwalifikacyjnego" /tzw. olimpijczycy oraz prymusi szkół średnich; sprawa nie budziłaby zastrzeżeń, gdyby te osoby sprawdzały się na studiach, ale nie sprawdzają się, zwłaszcza bardzo liczni "prymusi"/; dla jeszcze innych kategorii osób system przyjęty jest "kwalifikowany z ułatwieniami" /tzw. punkty preferencyjne, z których korzysta nie mniej niż połowa przyjmowanych na studia/. W rezultacie pozostaje 30 - 35 % miejsc dla kandydatów nie mających żadnych ułatwień i dla nich przeważnie brakuje miejsc mimo zdanego egzaminu wstępnego. Wobec tych osób nie jest to więc system "kwalifikowany", ponieważ posiadanie kwalifikacji nie wystarcza. W poprzednim numerze "Aspektu" /"Na bezdrożach polityki rozwoju w nauce polskiej"/ podałem liczby tych "odprawionych spod bram uczelni". Poczynając od 1974 r. GUS nie publikuje już żadnych informacji na temat nieprzyjętych mimo zdanego egzaminu. Nie publikuje ani w wielkonakładowych rocznikach ogólnych, ani w wyspecjalizowanym i ukazującym się w małym nakładzie "Roczniku Statystycznym Szkolnictwa". Bardzo wstydliva sprawa...

Nie sposób także dopatrzeć się w polityce rekrutacyjnej na studia w PRL znamion systemu reglamentacyjnego, tj. dostosowania liczby absolwentów do zapotrzebowania na kadry. Mimo takich aspiracji ze strony resortowego Instytutu Polityki Naukowej,

Szkolnictwa Wyższego i Techniki, albo nie udało się opracować odpowiedniego planu, albo władze zlekceważyły jego przesłanki. Rzeczywistość bowiem jest dalece rozbieżna z potrzebami, o czym będzie szczegółowo traktował następny rozdział niniejszych rozważań.

Wróćmy jeszcze raz do wypowiedzi min. Górskiego. W jej tonacji wyraźnie przebiega sprzeciw wobec systemu otwartego: "Nie jesteśmy w stanie - ze względu choćby na materialną bazę naszych uczelni - przyjąć wszystkich uprawnionych. Na pierwszych latach najliczniej obsadzonych kierunków wytworzyłyby się przerażające stosunki i konkurencja nie zasługująca już na określenie 'zdrowa'. Samo społeczeństwo nie zniosłoby lokowania na uczelniach połowy młodych ludzi nawet na pewien czas. Na to nas nie stać". Takie stanowisko jest po prostu niepojęte. Po pierwsze - nie wiadomo jakiej "konkurencji" i jakich "przerazających stosunków" boi się minister. Powstrzymajmy się od przypuszczeń, bo mogą być tylko niepoważne. Po wtóre - dlaczego minister mówi o "połowie młodych ludzi" przyjmując już dziś jako odniesienie *n a j - w y ż s z y* wskaźnik amerykański. Sam na wstępie podał wskaźnik dla PRL: 2,3 kandydatów na jedno miejsce. Przy rzeczywistym stopniu skolaryzacji wynoszącym 13,3 % pomnożonym przez ten wskaźnik otrzymujemy 30,6 %: tyle osób z obecnych "roczników akademickich" w ogóle wyraża zainteresowanie studiami wyższymi. Wprowadzenie egzaminu wstępnego /konsekwentny system kwalifikowany/ zapewne obniży ten odsetek do średniego europejskiego, a więc do ok. 25 %. Ale z wypowiedzi ministra już nie będzie wiadome, czy nas na to stać, czy nie. Wiadomo bowiem tylko, że nas nie stać na najwyższy dziś na świecie wskaźnik przyjęć na studia. Z tym nawet można się zgodzić, ale po co ta demagogia?

I tu dochodzimy do nader niepokojącej konkluzji. Jerzy Surdykowski, prowadzący z ramienia redakcji rozmowę, ostrożnie zaoponował przeciw ministerialnej awersji wobec "konkurencji" w trakcie studiów. Oto replika, jaką otrzymał: "Nie jest prawdą, że po egzaminie wstępnym zanika selekcja, że droga do dyplomu jest dalej 'automatyczna', że daje się magisteria 'za darmo'. Na 100 osób przyjmowanych na studia dyplom otrzymuje tylko 65, co przeczy powtarzanym tu i ówdzie obiegowym stereotypom".

Tak więc rzeczywistość studiów wyższych w PRL manifestuje się nie tylko chaotycznym i wręcz inercyjnym w skali globalnej systemem rekrutacji: tok studiów ponadto jest bardzo niewydolny, mówiąc językiem fachowym - wykazuje niską sprawność. Temu zagadnieniu warto przyjrzeć się bliżej.

W roku akademickim 1977/78 /nowszych danych jeszcze nie ma/ blisko 7 % studentów wszystkich lat zostało skreślonych z listy /przez średnio 5 lat studiów daje to właśnie owe 35 % odpadu/. Ale - i tu jest istota rzeczy - odpad był wysoce nierównomierny ze względu na formę studiów. Najniższy odpad wykazały studia dzienne /4,6 %; w skali całych studiów - ok. 23 %, z tego 11,1 % na I roku/; najwyższy od-

pad wykazały studia wieczorowe /12,4 %; w skali całych studiów - to wprost niesamowite! - ok. 62 %, z tego 28,5 % na I roku/; wysoki był również odpad na studiach zaocznych /10,9 %; w skali całych studiów - ok. 55 %, z tego 22,4 % na I roku/^{2/}. W tym samym roku odsetek studiujących zaocznie i wieczorowo wyniósł 36 % /ostatnio na szczęście wykazuje tendencję spadkową, bo do tej pory rósł w zastraszająco szybkim tempie/. Nasuwa się oczywisty wniosek, iż wskaźniki niskiej sprawności studiów są zawinione przez te właśnie formy kształcenia, tj. przez studia dla pracujących. W tym stanie rzeczy fakt wysokiego odpadu ma zapewne nikiły związek z poziomem wymagań /wedle zgodnych opinii poziom ten jest raczej niski/, nie jest więc przejawem konkurencji. Natomiast decyduje o nim potocznie obserwowana trudność godzenia studiów z pracą zawodową i nierzadko - posiadaniem własnej rodziny. Chociaż odpad koncentruje się na I roku studiów, to jeszcze na IV roku studiów dla pracujących jest on wyższy niż na wszystkich latach studiów dziennych łącznie. To nie jest subtelna selekcja wynikająca ze zróżnicowanych uzdolnień i cech charakteru. To jest brutalna selekcja spowodowana warunkami bytowymi. Do końca nigdy nie będzie wiadome, ile osób z tego powodu zrezygnowało ze studiów, chociaż posiadali wszystkie dane, aby je ukończyć w normalnym, dziennym trybie. O szkolnictwie średnim pisano kiedyś, że "sito gubi diamenty". Ponad wszelką wątpliwość gubi je również szkolnictwo wyższe, chociaż pojemność tego sita jest tak niewielka, że - zdawać by się mogło - powinno działać sprawnie.

DEFICYT W KADRACH

Uważny Czytelnik zorientował się już, że w sporze o zasięg wyższego wykształcenia, jaki zapoczątkował artykuł "Ciasno w głowach" zarysowały się dwa różne stanowiska: prof. Suchodolski i jego - mniej liczni - zwolennicy stali na gruncie systemu otwartego, jego przeciwnicy natomiast, w tym szef resortu, byli systemowi otwartemu przeciwni, dając do zrozumienia, że bardziej dla nas przydatny jest system reglamentowany. Cechą charakterystyczną całej dyskusji był natomiast zupełny brak konkretnych w argumentacji obu stron. Tak czy inaczej - czy system ma być otwarty czy reglamentowany - należy dokładnie rozpoznać społeczne zapotrzebowanie na kadry z wyższym wykształceniem, przy czym mowa tu jest o zapotrzebowaniu wymiernym, policzonym, a nie o spekulacjach na dany temat, bo takich spekulacji w dyskusji nie brakowało.

Spisy kadrowe przeprowadzone przez GUS w latach 1973 i 1977 zawierały, obok danych nt. poziomu wykształcenia pracowników, także nowe, bardzo ważne informacje dotyczące poziomu wykształcenia wymaganego na każdym stanowisku. W ten sposób można było wyprowadzić dane porównawcze nt. stanu, zapotrzebowania i deficytu kadr z wyższym wykształceniem. Zawiera je niżej prezentowana obszerna tablica nr 1.

^{2/} Rocznik Statystyczny Szkolnictwa, GUS, Warszawa 1979, str. 183.

Tabl. 1 - Liczba pracowników posiadających wyższe wykształcenie oraz stanowiska pracy wymagające tego poziomu wykształcenia wg działów gospodarki narodowej w latach 1973 i 1977

dane w tysiącach

Dział gospodarki	Spis z 31.12.1973 r.				Spis z 31.10.1977 r.				Wzrost w okresie 1973 - 1977					
	Stan	Zapotrzebowanie	Deficyt	Pokrycie w %	Stan	Zapotrzebowanie	Deficyt	Pokrycie w %	S t a n		Zapotrzebowanie		Deficyt	
									L	%	L	%	L	%
O g ó ł e m	611.1	698.2	87.1	87.5	778.2	1113.2	335.0	69.9	167.1	27.3	415.0	59.4	247.9	284.6
Przemysł	126.0	144.1	18.1	87.4	155.6	197.4	41.8	78.8	29.6	23.5	53.3	37.0	23.7	130.9
Budownictwo	69.5	75.9	6.4	91.6	86.2	98.1	11.9	87.7	16.7	24.0	22.2	29.3	5.5	85.9
Rolnictwo i leśnictwo	31.9	36.1	4.2	88.4	45.3	52.6	7.3	86.1	13.4	42.0	16.5	45.7	3.1	73.8
Transport i łączność	15.8	24.5	8.7	64.5	22.4	39.5	17.1	56.7	6.6	41.8	15.0	61.2	8.4	96.6
Hanidel	28.9	36.7	7.8	78.8	34.8	58.1	23.3	59.9	5.9	20.4	21.4	58.3	15.5	198.7
Nauka i rozwój techn.	42.7	44.2	1.5	96.6	51.7	53.6	1.9	96.5	9.0	21.1	9.4	21.3	0.4	26.7
Opieka i wychowanie	145.6	162.2	16.6	89.8	199.5	380.8	181.3	52.4	53.9	37.0	218.6	134.8	164.7	992.2
Kultura i sztuka	9.8	13.0	3.2	75.4	12.0	18.5	6.5	64.9	2.2	22.5	5.5	42.3	3.3	103.1
Ochr. zdrowia i op. sp.	67.6	68.0	0.4	99.4	78.8	80.5	1.7	97.9	11.2	16.6	12.5	18.4	1.3	325.0
Adm. i wymiar sprawied.	42.3	54.1	11.8	78.2	44.9	67.6	22.7	66.4	2.6	6.2	13.5	25.0	10.9	92.4
Finanse i ubezpiecz.	7.6	10.5	2.9	72.4	9.0	14.9	5.9	60.4	1.4	18.4	4.4	41.9	3.0	103.5
Pozostałe działy	23.4	28.9	5.5	81.0	38.0	51.6	13.6	73.6	14.6	62.4	22.7	78.6	8.1	147.3

Z r ó d ł o: Spis kadrowy 1977, GUS, Warszawa 1979 r., str. 2 - 4, 51 - 52. Dane z działu spisu "1. Pracownicy wg poziomu wykształcenia" zostały wprowadzone do rubryki "stan" w 1973 i 1977 r., odpowiednio do rubryki "zapotrzebowanie" wprowadzono dane z działu "7. Pracownicy wg charakteru wykonywanej pracy, w tym wykonujący zawody wymagające wykształcenia wyższego". Wszystkie pozostałe przeliczenia moje - AM.

Spróbujemy teraz przedrzeć się przez ten gąszcz liczb i wskaźników, ale zapewniam, że będzie to wielce pouczająca wyprawa.

Na wstępie trzeba podkreślić, iż przedział czasu między dwoma spisami wynosi niespełna cztery lata, dokładnie 46 miesięcy. W tym okresie nastąpiły jednak ważne wydarzenia: gospodarka otrzymała silny impuls technologiczny, głównie dzięki zachodnim kredytom oraz przeprowadzono reformę administracyjną kraju zwiększając blisko trzykrotnie liczbę województw. Oba te fakty musiały spowodować znaczny wzrost zapotrzebowania na kadry o najwyższych kwalifikacjach. Do tego resort oświaty i wychowania zapowiedział, że do 1980 r. - czyli już niebawem - cała kadra nauczycielska musi posiadać wykształcenie wyższe. Nie zatem dziwnego, że zapotrzebowanie na kadry z wyższym wykształceniem w skali całej gospodarki narodowej wzrosło w ciągu tych 46 miesięcy o 415 tys. osób /z 698,2 tys. w 1973 r. do 1.113,2 tys. w 1977/ Tymczasem stan tych kadr wzrósł zaledwie o 167,1 tys. /z 611,1 tys. do 778,2 tys./ i pokrył tylko 40 % zapotrzebowania. W konsekwencji d e f i c y t, który odnotowano już w 1973 r. wzrósł o 285 % /! i osiągnął 335 tys. osób. Z punktu widzenia czystej statystyki tyle właśnie miejsc pracy czekało na absolwentów wyższych uczelni w dn. 31 października 1977 r. Oczywiście w praktyce sprawa jest dużo bardziej skomplikowana. Dodajmy jeszcze, że 335 tys., których b r a k o w a ł o dla odfardzenia stanowisk

wymagających wyższego wykształcenia, to jest rzeczywisty przyrost absolwentów w okresie pięciu lat:

1974 - 1978. Innymi słowy, gdyby w całej gospodarce narodowej od 1978 r. poczynając już nie zapotrzebowano ani jednego dodatkowego stanowiska wymagającego wyższego wykształcenia, gdyby nie zmarł, nie przeszedł na emeryturę i nie zrezygnował z pracy zawodowej ani jeden absolwent studiów wyższych - deficyt ujawniony przy spisie z 1977 r. zostałby pokryty dopiero w 1982 r. W rzeczywistości przecież nigdy taki stan nie istnieje. W okresie między dwoma spisami dyplomy wyższych uczelni otrzymało 246,5 tys. osób, stan kadr natomiast wzrósł o 167,1 tys. Reszta, 79,4 tys. absolwentów /32,2 %/ pokryła naturalne ubytki w kadrze^{3/}. Ubytki te będą z roku na rok większe ponieważ kadra z wyższym wykształceniem już się zaczęła starzeć. Starzeje się jeszcze nieco wolniej niż całe społeczeństwo /najstarsze roczniki mają najniższy odsetek ludzi wykształconych/, ale niebawem dorówna. W rezultacie deficyt będzie pokrywany przez nie mniej niż siedem lat, do 1984 r., jeśli w tym czasie nie przybędzie ani jedno nowe stanowisko! Ale nowe stanowiska wy-

3/ Wyłączam przypadki podejmowania pracy w działach nie objętych statystyką: organizacje społeczne i polityczne, resorty spraw wewnętrznych i obrony oraz prywatna inicjatywa. Wprawdzie resort obrony ma własny system szkolnictwa wyższego, częściowo taki system ma również PZPR i resort spraw wewnętrznych, w sumie jednak obniżają one tempo przyrostu kadr w działach objętych statystyką.

magające najwyższych kwalifikacji muszą przybywać, jeśli gospodarka ma zwiększyć efektywność. Wchodzimy w ten sposób w ślepią uliczkę: przy obecnym zasięgu wyższego wykształcenia deficyt nie tylko nigdy nie zostanie pokryty, ale będzie się stale zwiększał.

Tyle mówi nam zaledwie pierwsza linijka tablicy. Przechodząc przez wszystkie działy gospodarki narodowej z łatwością zauważymy prawidłowość generalną: w każdej pozycji wzrost zapotrzebowania był wyższy niż wzrost stanu kadr i - w konsekwencji - bo jest to już czysto arytmetyczna zależność - zmniejszył się stopień pokrycia potrzeb i zwiększył deficyt kadr. Należy zatem oddalić przypuszczenia, iżby wzrost zapotrzebowania był efektem jakiejś mody panującej tu i ówdzie. Jest to tendencja ogólna i niewątpliwie słuszna. Szczególnie słuszna jest w odniesieniu do oświaty, gdzie też wykazała największą dynamikę.

Zostanmy na chwilę przy oświacie. Jest ona głównym pracodawcą tych grup specjalistów /w tym humanistów/, dla których ponoć brakuje pracy. Tablica nr 2 przedstawia sytuację w głównych specjalnościach nauczycielskich:

Tabl. 2 - Oświata i wychowanie. Rzeczywiste wykształcenie specjalistów na stanowiskach wymagających wyższego wykształcenia w 1977. A = wykształcenie wyższe, B = policealne i średnie zawodowe, C = średnie ogólne, D = niższe niż średnie. Uporządkowano wg malejącego odsetka osób z wyższym wykształc.

nauczyciele	liczba ogółem	W tym z wykształc. w %			
		A	B	C	D
chemii	9.941	70.8	28.5	0.7	0.0
języków obcych	25.373	62.6	35.7	1.7	0.0
historii	16.616	59.7	40.0	0.3	0.0
fizyki	15.784	57.6	41.5	0.9	0.0
języka polskiego	37.816	48.4	50.8	0.8	0.0
matematyki	34.008	47.3	51.8	0.9	0.0
biologii	16.127	46.8	52.5	0.7	0.0
geografii	12.936	41.5	57.8	0.6	0.1

Źródło: j.w., str. 285, 286. Przeliczenia własne

Dodajmy, że chodzi tu o nauczycieli w klasach zaawansowanych /przeważnie od V klasy szkoły podstawowej/, a więc o specjalistów w przedmiotach. Nauczaniem początkowym zajmują się osoby określone w spisie jako "pedagodzy"; wykazano ich ponad 77 tys., z tego tylko 23 % miało wyższe wykształcenie. Zostawmy tę kategorię nauczycieli, należałoby im bowiem przyporządkować odrębną specjalność /specjalność taka, "nauczanie początkowe", istnieje już na niektórych uczelniach, ale daje bardzo niewielu absolwentów/. Interesują nas bliżej specjaliści przedmiotów, co do których wymóg kwalifikacji na poziomie szkoły wyższej nie podlega dyskusji. Czysto statystyczna interpretacja tego zestawienia pozwala wnioskować, iż możliwości zatrudniania wymienionych w nim specjalistów są ogromne. Dla przykładu podamy liczby brakujących specjalistów w niektórych przedmiotach i dla porównania liczbę absolwentów danej specjal-

ności w 1978 r.^{4/} Tak więc polonistów brakowało 19.515 /3.096 absolwentów/, filologów obcych brakowało 10.695 /3.055 absolwentów/, matematyków brakowało 17.921 /2.626 absolwentów/, biologów brakowało 8.619 /1.802 absolwentów/, geografów brakowało 7.564 /1.153 absolwentów/, historyków brakowało 6.701 /1.866 absolwentów/.

Powtarzane tu monotonnie słowo "brakowało" oraz wstępne stwierdzenie, iż możliwości zatrudnienia absolwentów są "ogromne" wymagają komentarza, który zapowiedzieliśmy konfrontując czystą statystykę z rzeczywistością w sferze zatrudnienia. W istocie bowiem nie brakowało tych nauczycieli wedle etatowej struktury oświaty, ktoś tych przedmiotów nauczał, tyle tylko, że w znacznym odsetku byli to nauczyciele o kwalifikacjach niewystarczających i to wedle oficjalnej charakterystyki resortu. O brakach sensu stricte można by natomiast mówić w innym kontekście: mam na myśli nadmierną liczebność klas szkolnych, udaremniającą indywidualizację nauczania w obliczu znacznego rozwarstwienia uczniów pod względem zdolności i wiedzy wynoszonej ze środowiska rodzinnego. Ale to nie jest przedmiotem tych rozważań.

Tak więc możliwości zatrudnienia w oświacie są obiektywnie naprawdę ogromne, ale w praktyce mogą być nieznaczące: równe lub nawet niższe od naturalnych ubytków w kadrze nauczycielskiej. W tym kraju o zatrudnieniu decyduje określona polityka kadrowa, a potem dopiero kwalifikacje. Zdać się mogło, że w pewnym momencie wytyczną tej polityki stały się najwyższe kwalifikacje kadry nauczycielskiej. Ale potem sprawa przycichła, Kuberski z oświaty odszedł, zapowiadane na rok 1980 pełne "dokwalifikowanie" kadr zakończy się oczywistym fiaskiem. Blisko połowa nauczycieli w 1977 r. nie posiadała kwalifikacji, których formalnie od nich wymagano. Poza wszystkim innym jest to potężna grupa nacisku, środowisko nauczycielskie posiada najwyższe wskaźniki tzw. upartyjnienia. Dlatego mylił się powołany wyżej Szejnoch sądząc, że tendencje do ograniczania studiów wyższych są przejawem "egoizmu oświeconych". Jest to po prostu solidarność niekompetentnych. Zjawisko jeszcze groźniejsze. Niekompetentni są podatni na każdy nacisk, spełniają wszystkie wymagania władzy oprócz tych, do jakich są powołani z tytułu swojego zawodu: do kompetentnego przekazywania wiedzy.

Deficyt kadrowy 1977 r. oprócz oświaty wykazał jeszcze 153,7 tys. osób w innych działach gospodarki narodowej. Nie od rzeczy będzie przyjrzeć się sytuacji kadrowej w niektórych działach.

Przemysł - po oświacie - zatrudnia i zapotrzebuje zarazem największą liczbę absolwentów wyższych uczelni. W 1977 r. deficyt tej kadry wynosił blisko 42 tys. osób i wzrósł - w porównaniu z 1973 r. - o 131 %. Przytłaczająca większość tego deficytu kadro-

4/ Dane nt. absolwentów wg Rocznika Statystycznego Szkolnictwa, GUS, Warszawa 1979, str. 200 - 203.

x x x

MILITARYZACJA

"Fala protestów społecznych, jaka przez długi czas utrzymywała się w Stanach Zjednoczonych spowodowała, że w USA zniesiono obowiązek służby wojskowej. W ostatnim jednak czasie różni przedstawiciele administracji waszyngtońskiej dawali do zrozumienia, że ochotniczy system werbowania w szeregi armii okazał się niewystarczający. Ostatnio podjęto wstępny krok w kierunku przywrócenia poprzedniego systemu /.../ Decyzja administracji spotkała się z głębokim oburzeniem młodzieży amerykańskiej. W wielu miastach odbyły się demonstracje protestacyjne zorganizowane przez organizacje społeczne i ugrupowania występujące przeciwko programowi ogromnych zbrojeń /.../ W piątek przeciwko obowiązkowi rejestracji demonstrowało w Beverly Hills w Kalifornii kilka tysięcy kobiet. Oczekuje się również, że decyzja prezydenta Cartera może napotkać na sprzeciw Kongresu, wobec konieczności wyasygnowania środków w wysokości około 20 mln dolarów na pokrycie kosztów rejestracji".
/"Protesty przeciwko obowiązkowej służbie wojskowej w USA" - z prasy codziennej/

Trzeba przyznać, iż Władzę mamy nad wyraz przewidującą. Jeszcze nikt nie przeczuwał grzechotu braterskich salw w Afganistanie, gdy Sejm PRL, jak zwykle jednomyślnie, obdarzył nas Ustawą "O zmianie ustawy o powszechnym obowiązku obrony PRL" z dnia 28 czerwca 1979 r. /Dz.U. nr 15 z dnia 7 lipca 1979 r., poz. 97/.

Ekipa Bieruta dekretem KRN z 21.VII.1944 zmieniła nazwę z Wojska Polskiego na Ludowe Wojsko Polskie oraz wprowadziła szczegółowe przepisy normujące zagadnienia związane z powszechną służbą wojskową.

Ekipa Gomułki opracowała aż dwie ustawy w tej dziedzinie. /Ustawa z dnia 30 stycznia 1959 r. "o powszechnym obowiązku wojskowym" - Dz.U. z 1963 roku nr 20 poz. 108 i Ustawa z dnia 21 listopada 1967 r. "o powszechnym obowiązku obrony Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej" - Dz.U. z dnia 29.XI.1967 nr 44 poz. 220/, jednak dopiero teraz błysnęliśmy znakomitym, kompleksowym ujęciem zagadnienia. Nie trzeba mieć wybujałej fantazji, aby dostrzec oczami wyobraźni /na razie!/ głębokie szeregi niepełnoletnich, żeńskiej i męskiej młodzieży, kobiet i mężczyzn w sile wieku, a także starszusków, którzy z pieśnią na ustach, ładnie jednolicie odziani, poprzedzani wiwatującymi jedynymi żywicielami rodzin, kroczą u-

formowani w plutony, kompanie i bataliony... Przy warsztatach i na roli dzielnie pracują pozostali, wykonując w ramach czynu zalecenia 2042 Konferencji Partyjnej i 120 Zjazdu.

Przesadzam?

No cóż. Prawdę tę łatwo sobie przyswoić. Wystarczy kupić za jedyne 24 złote cytowany na wstępie Dziennik Ustaw nr 15 z 1979 r., lub też szarpnąć się nieco bardziej i nabyć za 32 złote Dziennik Ustaw nr 18 z dnia 6 sierpnia 1979 r., który pod poz. 111 zawiera Obwieszczenie Ministra Obrony Narodowej "w sprawie ogłoszenia jednolitego tekstu ustawy z dnia 21 listopada 1967 r. o powszechnym obowiązku obrony PRL".

Mimo iż są to teksty trudne, bo prawnicze, nie zalecam tej lektury późnym wieczorem, chyba że komuś zależy na bezsennej nocy.

Tutaj wstępna uwaga: proszę odnotować, iż nie ogłoszono nowej ustawy. Broń Boże. Są to tylko zmiany ustawy dotychczas obowiązującej. Jeśli zaś mamy do czynienia zaledwie ze zmianami, zapewne drobnymi, to nie ma czego kwestionować. Wypróbowane to działanie. Konstytucję też "ledwie" zmieniliśmy. Trzeba przyznać, iż z psychologicznego punktu widzenia jest to posunięcie znakomite. Najlepszy dowód, iż metoda jest dobra to fakt, że jak dotąd, a pół roku minęło od ogłoszenia tekstu - nikt nie zainteresował się tym problemem.

Zauważmy więc w tym miejscu tylko, iż Ustawa składa się z 215 artykułów, zaś "zmiany" obejmują 180 pozycji, i to w większości znacznie rozbudowanych. Ustawa liczy 20 stron, zaś "zmiany" 24 strony takiego samego druku. Na razie więc tyle wiemy na pewno, iż "zmiany" są obszerniejsze od samej Ustawy.

Przystępując do analizy "zmian", dla ułatwienia i przejrzystości będę się posługiwał tekstem Ustawy z 21.XI.67 r. /Dz.U. nr 15 poz. 97/ nazywając ją w dalszej części "Ustawą" i tekstem Ustawy z 28.VI.79 /Dz.U. nr 15 poz. 97/ nazywając ją w dalszej części "zmianami". Nie będę natomiast posługiwać się tekstem jednolitym /Dz.U. nr 18 poz. 111/, gdyż utrudniłoby to rozróżnienie nowo wprowadzonych przepisów. Analiza nie jest pełna, gdyż ograniczyłem się tylko do wybranych tematów.

X X X

Art. 4 "zmian" poszerza art. 4 Ustawy stanowiąc, iż powszechnemu obowiązkowi obrony podlegają wszyscy obywatele polscy, a zatem i kobiety, zdolni ze względu na wiek i stan zdrowia do wykonywania tego obowiązku, którego ramy stanowią: przysposobienie wojskowe, służba wojskowa, zastępcza służba poborowych, służba w obronie cywilnej, przysposobienie i szkole-

nie obronne, samoobrona ludności, służba w jednostkach zmilitaryzowanych, wykonywanie innych zadań na rzecz obrony.

Całość "zmian" stanowi w zasadzie rozwinięcie tego przepisu, obejmując różnymi formami obowiązku obrony prawie całe społeczeństwo poczynając od młodzieży szkolnej do 65 roku życia.

Już na wstępie "zmian" trafiamy na przepis, którego wymowa jest wręcz groźna: "Komitet Obrony Kraju może podporządkować określone rodzaje wojsk lub jednostki wojskowe Ministrowi Spraw Wewnętrznych". /art. 9 a ust. 2/.

Jeżeli "określone rodzaje wojsk", to mogą to być, w części lub nawet w całości wojska lądowe i powietrzne, a nawet siły morskie. Minister Obrony Narodowej może okazać się łatwo wodzem bez armii lub jedynie z kompanią honorową LWP. Po cóż Ministrowi Spraw Wewnętrznych tak olbrzymie siły i przeciw komu ma ich używać? Sądzę, iż nie trzeba zadawać się do wróżki, aby odpowiedzieć sobie na to pytanie...

Ustawa przewidywała, iż odroczenia zasadniczej służby wojskowej udziela się między innymi w przypadku utrzymywania rodziny - w razie stwierdzenia, że poborowy jest jedynym żywicielem rodziny /art. 28 ust. 1 pkt 2/. "Zmiany" zerwały z tego rodzaju przestarzałymi poglądami wprowadzając zasadę, iż odroczenia można udzielić, jeżeli poborowy został uznany przez rejonową komisję poborową za jedynego żywiciela rodziny /art. 28 ust. 2 pkt 1/, przy czym decyzja wojskowego komendanta uzupełnień w sprawie odroczenia zasadniczej służby wojskowej jest ostateczna /art. 28 ust. 4/. Cóż zatem pozostaje po otrzymaniu takiej decyzji? Pozostaje płacz i zgrzytanie zębów. Ale nie tylko. Można bowiem liczyć, że państwo nie pozostawi rodziny na łasce niebios. I słusznie. Ustawodawca przewiduje bowiem, iż "członkowie rodzin żołnierzy odbywających zasadniczą służbę wojskową, uznanych za jedynych żywicieli rodzin, mają prawo do zasiłków miesięcznych" /art. 111a pkt 1/, przy czym wysokość zasiłków ustala się w wysokości: dla jednej osoby 100 %, dla drugiej 85 %, a dla każdej następnej po 75 % kwoty najniższego wynagrodzenia zasadniczego za pełny miesięczny wymiar czasu pracy /art. 111a pkt 3/. Całe szczęście, że najniższe zarobki wzrosły ostatnio aż do kwoty 2000 złotych miesięcznie. 75 % tej kwoty stanowi co prawda tylko 1500 zł, ale przy utrzymującej się od lat "sile realnej" naszej złotówki - zapewnia się tu jednak "wysoki" standard utrzymania rodzinie żołnierza! Nadmienić należy, iż Ustawodawca poszedł tu śladem rozwiązań Kodeksu Pracy, w którym pozbawiono jedynych żywicieli rodzin szczególnej ochrony prawnej, którą to ochroną przez wiele lat tak bardzo się szczyciono.

Jeszcze gorzej wygląda sytuacja poborowego, który sprawuje opiekę na przykład nad siostrą, mającą szesnaście lat i jeden miesiąc. Ustawodawca przewidział bowiem, iż "odroczenia zasadniczej służ-

by wojskowej udziela się ze względu na konieczność sprawowania przez poborowego bezpośredniej opieki nad członkiem rodziny, który nie ukończył /podkr.

16/ szesnastu lat życia, lub został zaliczony do I grupy inwalidów" /art. 28 ust. 1/. Cóż ma zatem robić szesnastoletnia dziewczyna pozostawiona sama sobie?

Można również - a nie trzeba! - udzielić odroczenia ze względu na "pobieranie nauki w szkole średniej, albo policealnej" /art. 28 ust. 2 pkt 2/, lub w razie "prowadzenia gospodarstwa rolnego, jeżeli prowadzenie tego gospodarstwa jest uzależnione od osobistej pracy poborowego" /art. 28 ust. 2 pkt 4/.

Nie jest to źle pomyślane. W praktyce udzielenie w tych przypadkach odroczeń łatwo może się przerodzić np. w swoistą formę "nagrody" za postawę polityczną. Spontaniczne wstąpienie do partii będzie tu na pewno dobrze widziane. Zaś na wątpliwości, "własne zdania", próby samodzielnego myślenia - jest tu elegancki bacik!

Do normalnej służby wojskowej można także przeznaczać kobiety w wieku od 18 do 24 lat, pod warunkiem, iż posiadają kwalifikacje przydatne do służby wojskowej i uznane za zdolne do tej służby /art. 37 ust. 1/. Kwalifikacji tych nie określono. Ma to być uczynione w terminie późniejszym /art. 37 ust. 6/. Należy przypuszczać, że zakres będzie tu odpowiednio szeroki, zaś w określeniu "można", jakże zręcznym i pożytecznym, kryją się różne możliwości. Jedne kobiety pójdą do wojska. Inne nie. Jak to jest sprytnie pomyślane.

A nasza prasa narzeka ostatnio na brzydkiego Cartera, który w związku z wydarzeniami afgańskimi ośmielił się proponować wprowadzenie w USA obowiązku rejestracji osób zdolnych do służby wojskowej. Należy wyjaśnić, iż rejestracja nie oznacza bynajmniej poboru określonych roczników, lecz tylko odebranie personalii od osób w wieku poborowym.

Jestem niestety człowiekiem niemłodym, z siwą brodą. Nie wiele może mnie już zaskoczyć, ale uczynił to jednak Ustawodawca, który w "zmianach" wprowadził taki oto przepis: "żołnierz nie będący w czynnej służbie wojskowej może być pozbawiony stopnia oficerskiego, chorążego lub podoficerskiego w razie popełnienia czynu świadczącego o utracie wymaganych wartości politycznych /podkr. A.O./ lub moralnych" /art. 68 ust. 1/. Dowiadujemy się dalej, iż o pozbawieniu lub obniżeniu stopnia wojskowego orzeka "organ właściwy do mianowania na ten stopień" /art. 68 ust. 3/.

We wszystkich krajach, gdzie władza postępuje z obywatelami w oparciu o zasady praworządności istnieje zasada, iż można pozbawić obywatela czegośkolwiek /wolności, praw publicznych i obywatelskich praw honorowych, orderów, odznaczeń, stopni wojskowych itp./ - tylko i wyłącznie w oparciu o skazujący, prawomocny wyrok właściwego sądu, który orzeknie utratę danego prawa.

Nawet przepisy wydane w PRL w okresie stalinows-

kim, a także Ustawa - honorowały w istocie te zasady stanowiąc, iż podstawą utraty stopnia wojskowego jest "skazanie na karę dodatkową utraty praw publicznych lub degradacji prawomocnym wyrokiem sądu" /art. 67 ust. 1 pkt 3/, lub decyzja Ministra Obrony Narodowej, lecz podjęta wyłącznie "na wniosek sądu honorowego o pozbawienie żołnierza posiadanego stopnia" /art. 67 ust. 1 pkt 3/. Przewidywano również możliwość pozbawienia stopnia wojskowego w razie stwierdzenia utraty wartości moralnych, w szczególności "w przypadku skazania prawomocnym wyrokiem sądu na karę pozbawienia wolności" i to tylko "za przestępstwo popełnione umyślnie" /art. 68 ust. 1/.

Obecnie zrezygnowano z jakichkolwiek pozorów. Rezerwista może być zdegradowany, gdy "organ właściwy" ustali, iż utracił on "wymagane wartości polityczne lub moralne". W tym systemie rozszerzenie dowolnych ocen na "wymagane wartości polityczne" może w praktyce oznaczać zupełną swobodę zdegradowania każdego, kto w jakikolwiek sposób stał się niewygodny lub naraził się reżimowi.

X X X

Prześledźmy teraz najważniejsze różnice występujące w Ustawie i "zmianach" i zobaczymy, jakie wprowadzono nowe zasady i instytucje, bądź też, jak bardzo poszerzono zakres ich stosowania, które to fakty upoważniają do stwierdzenia, iż mamy do czynienia ze zjawiskiem intensywniej militarystyki kraju. Oczywiście zapominać niestety nie należy, iż porównujemy złe do jeszcze gorszego, bowiem Ustawa z 21.XI.1967 r. również budziła zasadnicze sprzeciwy i zastrzeżenia.

I. PRZYSPOSOBIENIE WOJSKOWE

W miejsce przewidzianego w Ustawie "przysposobienia obronnego młodzieży" wprowadzono "przysposobienie wojskowe". Ma ono na celu przygotowanie całej młodzieży męskiej do odbycia służby wojskowej przez szkolenie, w szczególności na kursach nurków i pletwonurków, skoczków spadochronowych i pilotów. Obowiązek ten dotyczy zarówno młodzieży nie uczęszczającej do szkół, która nie ukończyła 23 lat życia, jak też może być rozciągnięty na młodzież szkolną, stanowiąc w takim przypadku obowiązkowy przedmiot nauki objęty programem nauczania. W odniesieniu do pracujących szkolenie może być prowadzone na kursach i to w godzinach pracy aż do trzech razy w tygodniu w wymiarze do trzech godzin dziennie. Uczestników przysposobienia można również szkolić na obozach, oczywiście z oderwaniem od pracy, przez okres do trzech miesięcy. W czasie trwania kursów /łącznie z obozami do 6 miesięcy/ zwolnienie od pracy przedłuża się jeszcze o uwzględnienie czasu koniecznego na dojazd, tak, iż można założyć, że przy większej odległości miejsca pracy od miejsca szkolenia, pracownik w takich dniach /czyli do trzech razy w tygodniu/ w ogóle praktycznie do pracy nie przystąpi. Za czas zwolnienia od pracy z powodu odbywania przysposobienia, pracownik otrzymuje

wynagrodzenie w pełnej wysokości w razie odbywania zajęć szkoleniowych na kursach i w wysokości 85 % w czasie szkolenia na obozie. Pokrywa się również koszty przejazdów do miejsc odbywania szkoleń. Koszty kursów są pokrywane przez terenowe organy administracji, lub z budżetu centralnego.

Może teraz któryś z Czytelników zada sobie trud, aby choć w ogromnym przybliżeniu obliczyć, ile ta nowa forma powszechnego obowiązku obrony będzie kosztować społeczeństwo, o ile zmniejszy się produkcja zakładów przemysłowych, innymi słowy - ile każdy z nas dołoży do tej inicjatywy.

Nadmienić należy, iż Ustawa przewidywała, że poborowym, którzy ukończyli przysposobienie obronne młodzieży, skraca się do połowy okres odbywania zasadniczej służby wojskowej /art. 156 ust. 1/. "Zmiany" niczego takiego nie przewidują.

II. ZASADNICZA SŁUŻBA WOJSKOWA

Trwa dwa lata, z wyjątkiem jednostek pływających, rakietowych i radiotechnicznych, gdzie okres ten wynosi 3 lata. Obowiązkowi tej służby podlegają mężczyźni w wieku od 18 do 24 lat. Do odbycia zasadniczej służby wojskowej w tym samym wymiarze czasu mogą być również powoływane kobiety w wieku od 18 do 24 lat. Zagadnienie to zostało omówione wyżej.

III. SŁUŻBA WOJSKOWA STUDENTÓW I ABSOLWENTÓW SZKÓŁ WYŻSZYCH

Została uregulowana odmiennie, niż to miało miejsce w Ustawie przy czym, jak sądzę, odmiennosc ta stwarza szerokie pole do manewru w odniesieniu do poszczególnych grup czy też jednostek, co może mieć w pierwszym rzędzie cel polityczny.

Służba ta polega na odbywaniu zajęć wojskowych w czasie trwania studiów i na odbyciu przeszkolenia wojskowego, praktycznie po ukończeniu studiów. Obowiązek zajęć wojskowych i przeszkolenia może być nałożony również na kobiety.

Na trudności interpretacyjne natrafiamy już przy analizie art. 86. Okazuje się bowiem, iż przeszkolenie w jednostkach wojskowych po zakończeniu studiów może być zarówno krótkotrwałe, czyli do trzech miesięcy, jak też długotrwałe - do 12 miesięcy. Rozpatrzmy tę drugą możliwość. Nie określono, kogo i dlaczego ma dotyczyć przeszkolenie długotrwałe. Można na nie powoływać w terminie aż do 18 miesięcy od ukończenia studiów. Co ma zatem robić ze sobą w tym czasie absolwent lub absolwentka? Czekać na wezwanie? Podjąć pracę? Nikt nie zatrudnia chętnie osób które nie mają uregulowanych spraw wojskowych. Czy jest nadto korzystne odrywanie od pracy absolwenta, gdy jest to z reguły jego pierwsza praca, która wymaga procesów adaptacyjnych, a ma być w pewnym momencie przerywana na rok czasu. Nie bez znaczenia jest również znany fakt, iż wiele osób po ukończeniu studiów zakłada rodziny. Kto na takiej regulacji korzysta, a kto traci?

Sprawa jeszcze bardziej się gmatwa, a może ra-

czej "wyjaśnienia", gdy przeanalizujemy dyspozycje ust. 4 art. 86. Ze zdumieniem dowiadujemy się bowiem, że "jeżeli powołanie w terminie określonym w ust. 3 /to znaczy do 18 m-cy - przyp. A.O./ nie mogło nastąpić z przyczyn niezależnych od organów wojskowych /podkr. A.O./, można powołać studenta lub absolwenta do odbywania przeszkolenia wojskowego najpóźniej do końca roku kalendarzowego, w którym kończy on dwadzieścia osiem lat życia". Czekaj teraz Bracie i Siostrzo do 28 roku życia, czyli około 4-5 lat. Wezmą Cię do wojska, czy nie wezmą? I kiedy to nastąpi? Może wówczas, gdy masz właśnie awansować w pracy, a może wtedy, gdy otworzyłeś przewód doktorski? A cóż to znaczy: "przyczyny niezależne od organów wojskowych" ??? Nie chodzi tu oczywiście o stan zdrowia, gdyż sprawy te są uregulowane odrębnie. A więc jakże to są przyczyny? Ktoś to dobrze wie, ale sądzi, że niezbyt rożgarnięci obywatele nie będą w stanie się domyśleć! Z określeniem tym zresztą będziemy się jeszcze spotykali w innym kontekście.

W tym dziale napotykamy także na jeden kwiatek, a właściwie piękny, barwny, duży kwiat. Otóż art. 88b ust. 1 stanowi, że w sytuacji "uzasadnionej względami obronnymi" można wprowadzić obowiązek odbycia zasadniczej służby wojskowej, która jak wiemy, trwa 2 lub 3 lata, przed rozpoczęciem studiów przez mężczyzn przyjętych na studia.

Teraz dla odpoczynku, w charakterze przerywnika, przeczytajmy sobie art. 91 ust. 1 stanowiący, iż "żołnierze rezerwy mogą być zobowiązani do doskonalenia kwalifikacji wojskowych w drodze zorganizowanego samokształcenia prowadzonego w zakładach pracy, w miejscu zamieszkania..."

Widzę już tych starszych, łysawych panów, jak gromadzą się po mieszkaniach rozważając wyższość haubico-armaty nad działem bezodrzutowym i bronią strumotorową. Pewnie, jest to bardziej pożyteczne, niż czytanie Machajka.

Doszliśmy teraz do clou programu, jakim jest zupełnie nowa instytucja:

IV. ZASTĘPCZA SŁUŻBA POBOROWYCH

Obowiązkowi odbywania tej służby podlegają poborowi, którzy nie korzystają z odroczenia zasadniczej służby wojskowej i nie mogą równocześnie odbywać służby wojskowej "z przyczyn niezależnych od organów wojskowych", jeżeli zostali przeznaczeni przez wojskowego komendanta uzupełnień do pełnienia tej służby "na swoją prośbę" /art. 117a ust. 1 i 2/.

Służba ta polega na "wykonywaniu prac w zakładach społecznych służby zdrowia, zakładach opieki społecznej, zakładach ochrony środowiska naturalnego oraz w innych zakładach użyteczności publicznej" /art. 117b ust. 1/. Czas trwania służby wynosi 24 miesiące, przy czym poborowi mogą być skoszarowani. Do służby powołuje ich naczelnik gminy /?!/. Od zakładów pracy, w których pełnią służbę otrzymują bezpłatne wyżywienie, odzież ochronną i roboczą, pieniądze na ubranie, a także uposażenie w wysoko-

ci przewidzianej dla szeregowych. W przypadkach "szczególnych", uzasadnionych warunkami służby poborowy może być zwolniony z jej odbywania, na wniosek zakładu, w którym odbywa służbę i wówczas podlega powołaniu do odbycia zasadniczej służby wojskowej na okres "pozostały do upływu 24 m-cy" /art. 117g ust. 2 lit.b i ust. 4/. Osoby odbywające tę służbę nie pozostają w stosunku pracy z zakładami, w których pracują, stosuje się jednak do nich przepisy Kodeksu Pracy /art. 117h ust. 1/.

Tyle w wielkim skrócie o tym faktycznym i prawnym dziwolu, którego działanie obejmie jednak konkretnych ludzi, którzy przez dwa lata będą korzystać z "dobrodziejstw" takiej regulacji.

Wątpliwości i zastrzeżenia aż się cisną pod pióro. Oto niektóre z nich:

1/ Jak wynika z art. 117a zastępczą służbę poborowych objęta jest taka kategoria mężczyzn, którzy równocześnie spełniają dwa warunki, jeden pozytywny, drugi negatywny: nie korzystają z odroczenia zasadniczej służby wojskowej, a zatem muszą ją odbyć, a jednocześnie nie mogą tego uczynić z przyczyn "niezależnych od organów wojskowych". Zakłada się wobec tego, iż wystąpią oni z prośbą o skierowanie do służby zastępczej. Jak widać z powyższego, cała ta dziwaczna konstrukcja musi runąć w wypadku braku prośby ze strony delikwentów. Rozważyć zatem należy, co w zastępczej służbie jest aż tak szczególnie zachęcającego, iż może skłaniać młodych ludzi do próśb o przyjęcie do tych formacji? Wygląda to na ponurą kpinę, jeżeli się zważy, iż służba ta jest w istocie zakamuflowaną formą obozów pracy.

2/ Jak już wiemy, zastępcza służba poborowych polega na wykonywaniu prac w różnych zakładach użyteczności publicznej. Jakże jednak prace mogą tam wykonywać poborowi, będący bardzo młodymi ludźmi z reguły bez żadnych kwalifikacji? Oczywiście będą to najcięższe prace fizyczne, do których wykonywania nie ma chętnych. Tajemnicą poliszynela jest np. fakt, iż przy pracach kanalizacyjnych w Warszawie zatrudnia się więźniów skazanych przez kolegia do spraw wykroczeń. Poborowi odbywający zastępczą służbę będą ponadto stanowić prawie darmową siłę roboczą, otrzymując wzamian miejsce do spania, odzież roboczą, wyżywienie stołowe i kwotę ok. 400 złotych, która stanowi uposażenie przewidziane dla szeregowych. Są to warunki gorsze nawet od tych, które mają pracujący więźniowie, gdyż nie są oni objęci obowiązkiem pracy, a jeżeli zdecydują się pracować, otrzymują za to normalne stawki wynagrodzenia przewidziane w taryfikatorach. Nie można tu pominąć faktu zasadniczego, iż więźniowie zostali prawomocnie skazani za występki lub zbrodnie, zaś jedyną "winą" omawianej grupy poborowych jest to, iż nie mogą odbywać normalnej służby wojskowej "z przyczyn niezależnych od organów wojskowych".

3/ Kim więc będzie się zasilać szeregi zastępczej służby poborowych? Ponieważ sprawa ta nie została w najmniejszy sposób sprecyzowana przez Usta-

wodawcę - wszelkie rozważania mogą obracać się jedynie w sferze przypuszczeń, jednak dotychczasowe praktyki stosowane w PRL, poczynając od haniebnych praktyk "karnych batalionów" w latach 40-tych, aż do 1956 roku, po słynne "kompanie polowe" w 1976 r. - uprawniają najgorsze prognozowanie. Jak pamiętamy, karne bataliony zasilali w pierwszym rządzie żołnierze Armii Krajowej i synowie bogatych chłopów, zwanych wówczas "kułakami". Do kompanii polowych, tworzonych tuż przed podwyżką cen w czerwcu 1976 r. trafiali zdrowi i chorzy, młodzi i starzy, w znacznej mierze intelektualisci, naukowcy, prawnicy i historycy, a także robotnicy, którzy w ocenie reżimu nie byli dostatecznie "prawomyślni". Obecnie zrodziły się nowe szeregi młodych ludzi, którzy mogą być kwalifikowani w podobny sposób z racji swego uczestnictwa lub chociażby sympatii do tzw. opozycji.

Gdyby tak było, to nadal pozostanie tajemnicą, jak zmusić tych ludzi, aby zgłosili stosowną prośbę. Sądzę jednak, iż dysponując nieograniczonym wachlarzem możliwości i niezwykle bogatą "praktyką", znajdzie się jakąś "odpowiednią" metodę.

4/ O tym, że praca w ramach zastępczej służby poborowych może być tak ciężka, że nie podoła jej młody organizm, zdaje się traktować art. 117g ust. 2 pkt b stwierdzający, iż poborowy może być zwolniony z tej służby w szczególnych przypadkach, uzasadnionych warunkami służby, jeżeli zatrudniający go zakład złoży odpowiedni wniosek. W takim przypadku poborowy będzie obowiązany odbyć normalną służbę wojskową na okres pozostały do upływu 24 miesięcy. Są to przepisy wręcz zaskakujące, pamiętamy bowiem, iż omawiani poborowi dlatego nie mogli odbywać służby wojskowej, bo istniały przeszkody tak poważne, że aż niezależne od władz wojskowych. A teraz okazuje się raptem, że przeszkody te natychmiast mogą być anulowane w związku ze stanowiskiem zakładu pracy. Poza tym każdy, kto był w wojsku orientuje się dobrze, że program szkolenia żołnierza jest tak skonstruowany, iż musi wynosić co najmniej dwa lata. Jak zatem pomieścić w tym programie ludzi, którzy zostaną skierowani do wojska z zastępczej służby poborowych na przykład tylko na 6 miesięcy?

Czy nie zbyt wiele tu sprzeczności, niedomówień i niejasności? A może tak wiele, iż przepisy te są aż nadto przejrzyste...

V. OBRONA CYWILNA

Jest to nowa instytucja, nie przewidziana w Ustawie, wprowadzona w miejsce niewielkiego działu stanowiącego o służbie w formacjach samoobrony. Obejmuje ona służbę w obronie cywilnej, przysposobienie obronne młodzieży szkolnej i powszechną samoobronę ludności. Omówimy oddzielnie te zagadnienia.

a/ służba w obronie cywilnej

W czasie pokoju polega na obowiązku odbywania ćwiczeń i zasadniczej służby lub szkolenia poborowych. Podlegają jej wszyscy mężczyźni nie podlegający obowiązkowi służby wojskowej do ukończenia 60 ro-

ku życia oraz wszystkie kobiety od 18 do 50 roku życia, poborowi przeznaczeni do tej służby, a także przedpoborowi, którzy zgłosili się ochotniczo. Zwolnieni są tylko inwalidzi, kobiety w ciąży i w okresie 6 miesięcy po odbyciu porodu oraz osoby sprawujące opiekę nad dziećmi do lat 8. Ludność otrzyma przydziały organizacyjno-mobilizacyjne do formacji obrony cywilnej lub do jednostek organizacyjnych. Poborowi przeznaczeni do OC odbywają służbę zasadniczą w OC w jednym nieprzerwanym okresie 24 miesięcy, lub w kilku okresach w ciągu 3 lat, przy czym wówczas czas trwania służby wynosi 18 miesięcy. Są oni skoszarowani. Jeżeli poborowi odbywają szkolenie, trwa ono 3 lata i polega na zajęciach szkoleniowych organizowanych w czasie wolnym od pracy i przeszkalanii na obozach. Okres szkolenia wynosi 60 dni w roku, w tym 20 dni ustawowo wolnych od pracy. Szkoleniem tym mogą być również objęte kobiety.

Pozostałe osoby obowiązane będą do odbywania ćwiczeń w formacjach obrony cywilnej w czasie wolnym od pracy w wymiarze 15 dni w roku, przy czym łączny czas trwania ćwiczeń może wynosić: dla szeregowców i podoficerów, którzy odbyli zasadniczą służbę wojskową - 12 miesięcy, dla szeregowców i podoficerów, którzy nie odbyli zasadniczej służby wojskowej - 18 miesięcy, dla chorążych i oficerów - 24 miesiące. Czas ćwiczeń może być zwiększony do 30 dni w roku w przypadkach uzasadnionych względami obrony. Można również zobowiązać osoby objęte OC do doskonalenia kwalifikacji przez samokształcenie. W razie ogłoszenia mobilizacji można OC skoszarować. Osoby odbywające służbę w OC są obowiązane do noszenia specjalnych oznak i umundurowania, mogą też być uzbrojone.

b/ przysposobienie obronne młodzieży szkolnej

Jeżeli część młodzieży nie została objęta przysposobieniem wojskowym, zostaje objęta przysposobieniem obronnym w szkołach ogólnokształcących i zawodowych. W ramach tego obowiązku można organizować w czasie wakacji obozy szkoleniowe, niezależnie od zajęć obronnych będących częścią programu szkolnego. Młodzież może też otrzymywać przydziały do wykonywania czynności pomocniczych dla potrzeb obrony cywilnej.

c/ powszechna samoobrona ludności

Podlegają jej wszyscy mężczyźni i kobiety do ukończenia 60 lat życia, łącznie z inwalidami III grupy. Polega ona na szkoleniu w zakresie powszechnej samoobrony przeprowadzanym w formie zajęć podstawowych lub ćwiczeń praktycznych. Można też zobowiązać ludność do zaopatrywania się we własnym zakresie w sprzęt ochrony indywidualnej i do przygotowania ochrony domu lub mieszkania, zabezpieczenia mienia, własnych środków wody pitnej i żywności, utrzymywania i konserwacji przydzielonego sprzętu i środków ochrony, konserwacji domowych pomieszczeń ochronnych. Można zarządzić przeprowadzenie ćwiczeń

praktycznych z udziałem ogółu lub części ludności określonych rejonów.

VI. SŁUŻBA W DZIEDZINACH ZMILITARYZOWANYCH

Dział ten uległ również znacznemu rozbudowaniu w stosunku do Ustawy, która przewidywała w szczególności, iż w razie ogłoszenia mobilizacji i w czasie wojny obejmuje się militaryzacją określone dziedziny administracji państwowej i gospodarki narodowej. Obecnie nawet w czasie pokoju można zarządzić specjalne ćwiczenia w jednostkach przewidzianych do militaryzacji, można osoby te skoszarować. W czasie ćwiczeń w jednostkach przewidzianych do militaryzacji obowiązuje umundurowanie i specjalne oznaki. Służba obejmuje mężczyzn do ukończenia 65 lat życia i kobiety do 60 roku życia. Jednostki zmilitaryzowane mogą być przydzielone do jednostek sił zbrojnych na czas określony lub dla wykonania określonych zadań.

VII. ŚWIADCZENIA DLA POTRZEB PRZYGOTOWANIA OBRONY

Obowiązkiem tym mogą być objęci wszyscy obywatele, zarówno kobiety jak mężczyźni od 16 do 60 roku życia. Świadczenia osobiste polegają na nieodpłatnym wykonywaniu w czasie wolnym od pracy różnego rodzaju prac przez czas do 60 godzin w roku. Wykonywanie świadczeń osobistych może być połączone z obowiąz-

kciem użycia własnych narzędzi i środków transportowych.

X X X

Pomijam w tym omówieniu bogaty dział traktujący o sprawach karnych. Zasygnalizuję tylko, iż np. w razie nie zgłoszenia się do czynnej służby wojskowej w określonym terminie i miejscu - grozi kara pozbawienia wolności do lat 2, zaś jeśli sprawca nie zgłasza się przez czas dłuższy niż 14 dni - kara wzrasta już do 5 lat. Uchylenie się od odbywania zastępczej służby poborowych albo służby w obronie cywilnej kosztuje do 2 lat pozbawienia wolności, jeżeli zaś powołany do wojska nie zgłosi się w określonym miejscu i czasie w okresie bezpośredniego zagrożenia bezpieczeństwa PRL - podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od 5 lat, albo karze śmierci.

Jeżeli zaś ktoś uchyla się od obowiązku przekazania środka transportowego, narzędzia, maszyny lub urządzenia wraz z niezbędnym wyposażeniem - kara pozbawienia wolności może wynosić do 3 lat.

Ustawa o zmianach weszła w życie z dniem 1 września 1979 roku. Ileż to się zmieniło przez te czterdzieści lat! Ale za to teraz już na pewno będziemy silni, zwarci, gotowi...

styczeń 1980 r.

Andrzej Ostoja-Owsiany

DEKLARACJE Ruchu Wolnych Demokratów

DEKLARACJA

Ruchu Wolnych Demokratów w sprawie realizacji w Polsce Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych

W październiku 1979 roku Komitet Praw Człowieka Organizacji Narodów Zjednoczonych, jako organ powołany do nadzorowania realizacji przez Państwa-Strony Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych, rozpatrywał w Genewie sprawozdanie rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej na temat środków przedsięwziętych przez Polskę w celu realizacji praw uznanych w niniejszym Pakcie oraz postępu dokonanego w dziedzinie korzystania z tych praw - złożone na podstawie art. 40 ust. 1 tego Paktu.

Relację o przebiegu posiedzeń tego Komitetu oraz o działalności delegacji polskiej złożył "Gazecie Prawniczej" członek tej delegacji - dyrektor Departamentu Prawnego w Ministerstwie Sprawiedliwości, Adam Zieliński.^{1/}

Wypowiedź ta skłania nas, jako uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce, który czyni Międzynarodowe Pakty Praw Człowieka podstawą

swojej aktywności obywatelskiej do zabrania głosu w tej sprawie, kluczowej dla właściwej oceny realizacji w Polsce praw obywatelskich i politycznych oraz ich dalszego rozwoju.

I.

W marcu 1977 roku Rada Państwa PRL ratyfikowała bez z a s t r z e ż e ń oba Międzynarodowe Pakty Praw, tzn. Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych i Pakt Praw Gospodarczych, Społecznych i Kulturalnych. Natomiast Polska nie przystąpiła do tzw. protokołu opcyjnego /lub fakultatywnego/ do tych Paktów.

Ratyfikacja nastąpiła prawie w dwa lata po uchwaleniu Aktu Końcowego KEWE z Helsinek i w ponad rok po dokonaniu zmian w Konstytucji PRL. Takie następstwo czasowe zdarzeń nasuwało uzasadnione przypuszczenie, że ratyfikowanie Paktów może wynikać nie tyle z woli władz PRL realizowania ich postanowień, co raczej z określonej strategii polityczno-propagandowej państwa socjalistycznego w jego konfrontacji z państwami kapitalistycznymi, z sygnatariuszami Aktu Końcowego, na tle realizacji tego Aktu.

Przypuszczenie to znalazło potwierdzenie w dalszym postępowaniu władz, które mimo ratyfikowania Paktów nie ogłaszały ich w Dzienniku Ustaw, co do-

^{1/} "Gazeta Prawnicza" nr 24 z 16.12 1979 r.

piero czyniło je częścią obowiązującego w Polsce systemu prawnego. Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela świadomy tego skutku przystąpił do jawnego organizowania opinii publicznej wokół celu jakim było opublikowanie Paktów w Dzienniku Ustaw. Akcja ta spotkała się z tak żywym oddźwiękiem społecznym, że zaniepokojone tym władze zaczęły karać w trybie karno-administracyjnym prowadzących ją uczestników Ruchu Obrony, a równocześnie, w celu zahamowania tej akcji zdecydowały ogłoszenie tekstu Paktów. Stało się to w przededniu wizyty w Polsce Prezydenta USA - Jimmy Cartera.

Uchwała Rady Państwa o ratyfikacji Paktów ukażała się w Dzienniku Ustaw nr 38, z dnia 29 grudnia 1977 roku, zaś sam tekst Paktów został ogłoszony w z a ł ą c z n i k u do tego numeru Dziennika Ustaw. Posunięcie takie miało swoje powody: spełniało postulat opinii społecznej a równocześnie stanowiło poważne ograniczenie dostępu do tekstu Paktów. Załącznik bowiem, w odróżnieniu od Dziennika Ustaw, wydawany jest prawdopodobnie w minimalnym nakładzie i doręczany tylko jego prenumeratorom.

Biorąc to pod uwagę uczestnicy Ruchu Obrony z Wrocławia wystąpili do Urzędu Rady Ministrów, jako wydawcy Dziennika Ustaw, z wnioskiem obywatelskim w sprawie wydania wspomnianego "załącznika" w ilości co najmniej odpowiadającej nakładowi Dziennika Ustaw oraz postulat odpowiedniego spopularyzowania tekstu Paktów. Wniosek ten Rada Ministrów pozostawiła bez uwzględnienia, a nawet nie udzieliła jego sygnatury odpowiedzi.

W świetle tych faktów rodzą się wątpliwości co do wiarygodności wypowiedzi dyr. A. Zielińskiego kiedy mówi, "że poza Dziennikiem Ustaw pełny tekst Paktu opublikowany został w siedmiu dodatkowych wydawnictwach w Polsce. Wskazywało to dobitnie, że do problematyki Paktu i jego realizacji przywiązuje się w Polsce ludowej wielkie znaczenie". Po pierwsze: tekst Paktu nie został opublikowany w Dzienniku Ustaw a jedynie w załączniku do niego. Po drugie: opublikowanie tekstu Paktu nawet w siedmiu dodatkowych wydawnictwach przeważnie specjalistycznych, o małych nakładach i dostępnych tylko elitarnym środowiskom, nie można ocenić inaczej jak jako kolejny chwyt propagandowy posługujący się znanym argumentem i l o ś c i o w y m. Chodzi w nim o narzucenie nie orientującym się w rzeczywistości pozytywnej opinii w sprawie j a k o ś c i działań czynników odpowiedzialnych za realizację Paktu w Polsce.

Z wypowiedzi dyr. Zielińskiego nie wynika również, czy wśród wspomnianych siedmiu wydawnictw w Polsce znalazło się także jedyne wydanie poza cenzurą, dokonane przez Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Przedłożone Komitetowi Praw Człowieka sprawozdanie z realizacji Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych nie zostało udostępnione opinii publicznej w kraju. Wiadomości o jego treści podała "Gazeta Prawnicza", która relacjonowała przebieg posiedzenia

Zarządu Głównego Zrzeszenia Prawników Polskich, na którym Minister Sprawiedliwości wygłosił referat informujący przedstawicieli środowiska prawniczego o treści przygotowanego przez Rząd sprawozdania. Biorąc pod uwagę znaczenie tego faktu dla życia publicznego w Polsce, Rada Zespołów Inicjatywy Obywatelskiej uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela wydała oświadczenie z dnia 7 października 1978 roku, w którym m.in.: a/ domagała się opublikowania tekstu sprawozdania rządowego, b/ poddała krytyce treści zawarte w referacie Ministra Sprawiedliwości, c/ wskazała na istnienie zasadniczych różnic między postanowieniami Paktu a obowiązującym ustawodawstwem wewnętrznym w Polsce, co wymaga reformy prawa.

Oświadczenie to zostało przesłane również do wiadomości Komitetu Praw Człowieka. Z tego względu pewnym zaskoczeniem były informacje ukazujące się w prasie polskiej na temat przebiegu posiedzeń Komitetu Praw Człowieka rozpatrującego sprawozdanie przedłożone przez Polską Rzeczypospolitą Ludową, a w szczególności pozytywne oceny z jakimi spotkało się to sprawozdanie. Pewne korekty do tej propagandowej dezinformacji wprowadziła dopiero wypowiedź dyr. Zielińskiego, z której można było dowiedzieć się, że owe pozytywne oceny członków Komitetu Praw Człowieka odnosili się nie tyle do treści złożonego sprawozdania przez Rząd PRL, ile raczej do metody jego przygotowania, sposobu jego przedstawienia Komitetowi oraz wprost wzorowego przygotowania od strony technicznej. Natomiast w odniesieniu do samego sprawozdania było wiele pytań, co zresztą jest w takich przypadkach zjawiskiem normalnym, a niektóre z nich dotyczyły spraw o pierwszorzędym znaczeniu. Pytano np. "o miejsce Paktu w polskim systemie prawnym, o to, czy stanowi on samoistne źródło praw i obowiązków oraz czy i gdzie był publikowany w Polsce". Jest rzeczą charakterystyczną, że dyr. Zieliński w swojej wypowiedzi ograniczył się tylko do tej ostatniej kwestii w bloku pytań skierowanych pod adresem delegacji polskiej przez członków Komitetu. Pominał natomiast inne pytania tak istotne z punktu widzenia sprawozdania Rządu PRL jak i szans realizacji Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych w Polsce.

II.

Udzielenie odpowiedzi na pytanie o miejsce Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych w polskim systemie prawnym wiąże się z dwoma zdarzeniami: pierwsze z nich, to powołanie z inicjatywy dwóch ministerstw: spraw zagranicznych i sprawiedliwości "zespołu, którego celem jest badanie związków pomiędzy prawem międzynarodowym a wewnętrznym". Na inauguracyjnym posiedzeniu tego zespołu, na którym byli obecni ministrowie obu wspomnianych resortów stwierdzono bowiem, że "stałego zainteresowania zespołu wymagać będzie także niezwykle istotny problem c e l o w o ś c i s t o s o w a n i a aktów prawa międzynarodowego do prawa wewnętrznego". Zdaniem uczestników spotkania zastrzeżenia co do takiej celowości

wynikają stąd, że "różnorodność aktów prawa międzynarodowego powstałych pod wpływem różnych poglądów i koncepcji często odległych od tradycji naszego systemu prawnego, będących wynikiem różnych, w tym i politycznych, kompromisów - nakazuje baczyć na to, aby włączanie ich do polskiego systemu prawnego nie naruszało ideologicznych podstaw tego systemu oraz jego wewnętrznej spójności i logiki".^{2/}

Sformułowane tam stanowisko staje się w pełni zrozumiałe dopiero w kontekście drugiego zdarzenia w postaci ogłoszonych w październiku 1979 roku "Wytucznych Komitetu Centralnego na VIII Zjazd PZPR". Wytuczne stwierdzają, że w minionej dekadzie "po-dejmowano konsekwentne działania celem doskonalenia socjalistycznego systemu prawnego. Doniosłe dla tego dzieła znaczenie miały zmiany w Konstytucji PRL, które dostosowały postanowienia ustawy zasadniczej Państwa do etapu rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego" /teza 11/. Otóż dokument ten ani słowem nie wspomina o ratyfikowanych w tym okresie Międzynarodowych Paktach Praw Człowieka, a jedyne zdanie jakie można odnieść do tej kwestii jest zamieszczone w dziale 5 wytucznych traktującym o "Zadaniach w walce o pokój i postęp społeczny na arenie międzynarodowej". Zdanie to stwierdza, "że kraj nasz odegrał istotną rolę w działaniach na rzecz pełnego i integralnego realizowania zasad i postanowień helsińskiego Aktu Końcowego" /teza 85/. W tym świetle jest oczywiste, że fakt ratyfikacji przez Polskę Paktów Praw Człowieka służy władzom jako dowód realizacji zasady VII "Deklaracji zasad rządzących wzajemnymi stosunkami między Państwami uczestniczącymi w Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie w Helsinkach".

Takie stanowisko "Wytucznych", jak się wydaje, w pełni potwierdza naszą tezę, że ratyfikowanie przez PRL Paktów podyktowane było względami polityki międzynarodowej, a nie potrzebami wewnętrznego rozwoju polskiego społeczeństwa, jego praw i wolności. To pominięcie Paktów jest tym bardziej wymowne, że jeszcze przed opublikowaniem Wytucznych, bo już we wrześniu 1979 roku, na zorganizowanej przez Zarząd Główny ZPP z udziałem przedstawicieli partii politycznych, FJN, a także przedstawicieli zrzeszeń prawników państw sąsiadujących - ZSRR, CSRS i NRD, konferencji pod hasłem: "Państwo, prawo i prawnicy w służbie socjalistycznego Narodu Polskiego" podkreślono znaczenie faktu ratyfikowania przez Polskę "aktów z dziedziny międzynarodowej ochrony praw człowieka, m.in. w 1977 r. - Paktów Praw Człowieka. Po ogłoszeniu w Dzienniku Ustaw ich postanowienia weszły w skład całego systemu prawnego obowiązującego w naszym kraju".^{3/}

Jeśli zatem państwo ratyfikuje bez jakichkolwiek zastrzeżeń akty prawa międzynarodowego a następnie jego przedstawiciele nakazują "baczyć na to, aby włączenie ich do polskiego systemu prawnego nie na-

ruszało ideologicznych podstaw tego systemu oraz jego wewnętrznej spójności i logiki"; zaś rządząca partia w swoim dokumencie politycznym, w którym bilansuje osiągnięcia i nakreśla program dalszego rozwoju "Polski socjalistycznej" przemilcza Pakty Praw Człowieka, to postępowanie takie można zrozumieć tylko wówczas gdy uwzględni się okoliczność, że w rozumieniu tych czynników p r a w o stanowi jedynie wyraz ich interesów i woli. Zgodnie z takim stanowiskiem zaś, czynniki te mogą w sposób dowolny kształtować prawa i obowiązki obywateli oraz tworzyć pozory przestrzegania zobowiązań wynikających dla nich z aktów prawa międzynarodowego. ratyfikowanych ze względów propagandowych. Dowodem na tak właśnie pojętą "praworządność" w stosunkach międzynarodowych było złożone Komitetowi Praw Człowieka sprawozdanie z realizacji Paktu, zaś w stosunkach wewnętrznych jest uchwała Rady Państwa, z dnia 14 lipca 1979 r., w sprawie czuwania nad zgodnością prawa z Konstytucją oraz ustalania powszechnie obowiązującej wykładni ustaw /M.P. nr 19 poz. 113/, o której delegacja polska poinformowała Komitet prawdopodobnie rekomendując ją, jako kolejny przejaw "postępowości polskiego prawa". Podobnie jak w przypadku "sprawozdania Rządu o realizacji Paktu", wobec którego zajęła stanowisko Rada Zespołów Inicjatywy Obywatelskiej, tak w związku z tą uchwałą Rady Państwa zabrali głos uczestnicy Ruchu Obrony, którzy ukazali jej właściwy sens z punktu widzenia realizacji praw obywatelskich i politycznych w PRL.

Dokument ten adresowany do "Prezydium Sejmu, Obywateli Połkó i Opinii demokratycznej w Polsce", ze względu na poruszone w nim sprawy czynimy załącznikiem niniejszej deklaracji Ruchu Wolnych Demokratów.

W świetle treści tego dokumentu znacznie łatwiejszą staje się odpowiedź na pytanie o miejsce Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych w polskim systemie prawnym. Rada Państwa wyposażona w prerogatywę czuwania nad zgodnością prawa z Konstytucją oraz ustalania powszechnie obowiązującej wykładni ustaw, będzie niewątpliwie dbała o to, by istotne postanowienia Paktu, które są w zasadniczej sprzeczności z postanowieniami obowiązującej Konstytucji, np. w zakresie prawa wyborczego, nie mogły wejść w życie - z powodu niezgodności z "ideologicznymi podstawami" i "logiką" systemu prawa wewnętrznego, ani też stanowić samoistnego źródła praw i obowiązków.

Zgodnie bowiem z ogólnymi zasadami socjalistycznego prawodawstwa wyrażonymi czy to w kodeksie cywilnym, czy kodeksie pracy, przepisy prawa powinny być tłumaczone i stosowane zgodnie z zasadami ustroju i celami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i nie można czynić ze swego prawa użytku, który byłby sprzeczny ze społeczno-gospodarczym przeznaczeniem tego prawa lub zasadami współżycia społecznego w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Takie działanie lub zaniechanie uprawnionego nie jest uważane za wykonywanie prawa i nie korzysta z ochrony /art. 4 i 5 kc oraz art. 7 i 8 kp/.

^{2/} "Gazeta Prawnicza" nr 2 z 16.01 1980 r.

^{3/} j.w., nr 19 z 1.10 1979 r.

Zwienieniem tych wszystkich uregulowań szczegółowych jest obecny art. 3 Konstytucji PRL, uchwalony w lutym 1976 r., stwierdzający, że "Polska Zjednoczona Partia Robotnicza jest przewodnią siłą polityczną społeczeństwa w budowie socjalizmu". Co to oznacza w praktyce właściwie informuje o tym teza 84 Wytycznych, w której Komitet Centralny PZPR głosi, że "Pobudzając i organizując aktywność wszystkich ludzi pracy, Partia pomna jest p o d s t a w o w e j p r a w d y, że socjalizm buduje cały naród, a Partia jest organizatorem i przewodnikiem tego wielkiego ogólnonarodowego dzieła". Jak z powyższego wynika, mamy do czynienia ze z b i o r o w y m k i e r o w n i k i e m wysiłku całego narodu zepchniętego tylko do roli czynnika wykonawczego w budowie socjalizmu.

Akceptacja takiego modelu stosunków społecznych przedstawianych jako "... sprawiedliwy ustrój socjalistyczny oraz sprawdzona w praktyce przewodnia rola partii..." /teza 61/ stanowi główny cel propagandowo-wychowawczych zabiegów PZPR, która sama uznaje, że "stanowi wiodące ogniwo socjalistycznej demokracji, inspirowanie jej rozwój i tworzy wzorce jej urzeczywistnienia w najszerszej praktyce społecznej" /teza 63/.

Wszyscy, którzy myślą inaczej niż myśli PZPR, uznawani są przez nią za tzw. "elementy antysocjalistyczne", których "działalność jest sprzeczna z żywotnymi interesami narodu, z jego konstruktywną twórczą pracą i wiąże się ściśle z propagandą i walką ideologiczną prowadzoną przeciwko Polsce Ludowej i innym krajom socjalistycznym przez zagraniczne ośrodki antysocjalistyczne" /teza 61 Wytycznych/.

W świetle tych jednoznacznych oświadczeń kierownictwa sprawującej władzę partii nie powinno nikogo dziwić ani to, że Wytyczne tak bardzo podkreślają znaczenie zmian w Konstytucji PRL dokonanych w 1976 roku oraz Kodeksu Pracy, któremu przypada szczególna rola w kształtowaniu socjalistycznych stosunków pracy tzn. w utrwalaniu kierowniczej pozycji PZPR i wykonawczej roli narodu oraz, że pomijają milczeniem ratyfikowane w 1977 r. Pakty Praw Człowieka.

W świetle przedstawionego stanowiska jasnym staje się również to, dlaczego PRL nie przystąpiła do tzw. protokołu opcyjnego przewidującego prawo skargi jednostki lub grupy osób przeciwko państwu, którego organy naruszyły prawa obywatelskie lub polityczne tej jednostki lub grupy osób.

Nawiązując do tej sprawy w swojej wypowiedzi dyr. Adam Zieliński uzasadnia stanowisko Polski i innych państw socjalistycznych tym, że zdaniem tych państw "... wszystkie organy działające na forum międzynarodowym powinny realizować główny cel Karty Narodów Zjednoczonych, tzn. służyć umacnianiu współpracy międzynarodowej". I dodaje, że "w naszym skomplikowanym świecie targanym ciągle jeszcze różnymi sprzecznościami, istnieje zawsze poważna obawa,

że owe organy międzynarodowe mogą być wykorzystywane jako forum do komplikowania sytuacji. Dotyczy to także Komitetu Praw Człowieka i obaw, jakie mogłoby powodować powierzenie mu spraw indywidualnych z punktu widzenia jego podstawowych zadań: promocji praw człowieka, ich rozszerzania i rozwoju".

Sens takiego stanowiska jest zupełnie przejrzysty. Chodzi o to, by w żadnym przypadku naruszenia praw człowieka przez organy państwa, czy to w skali społecznej czy jednostkowej, powołane do tego organy międzynarodowe nie mogły kontrolować wewnętrznych stosunków państwa komunistycznego, podobnie jak nie może tego czynić bez obawy narażenia się na represje, opinia publiczna w tym państwie. Zapewnienie wewnętrznych i międzynarodowych warunków dla niczym nieograniczonej i przed nikim nieodpowiedzialnej władzy partii komunistycznej, to podstawowy cel wszystkich działań podporządkowanego tej partii i w dużym stopniu z nią zrośniętego tzw. aparatu państwowego. Władza partii, nie oparta na mandacie uzyskanym w wolnych i rzetelnych wyborach dokonanych przez społeczeństwo, stanowi nie tylko istotę totalitarnego systemu, ale także "n a t u r a l n e" ograniczenie praw i wolności obywatelskich i politycznych społeczeństwa oraz prerogatyw organów międzynarodowych.

Usunięcie tego ograniczenia jest możliwe w wyniku realizacji Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych w stosunkach wewnętrznych oraz w wyniku rozszerzenia międzynarodowej ochrony prawnych praw uznanych w tym Pakcie. Realizacja tego celu warunkuje współcześnie możliwość osiągnięcia celu wymienionego przez przedstawiciela Ministerstwa Sprawiedliwości tzn. umocnienia współpracy międzynarodowej. Przedstawiciele reżimu komunistycznego, jak się wydaje, nie mogą tego jeszcze zrozumieć, mimo swojego deklarowanego "zaangażowania się" w proces odprężenia międzynarodowego i rozwój demokracji socjalistycznej. Być może z tego właśnie powodu nie mają oni szczerzej intencji realizacji postanowień Paktów Praw Człowieka w swoich krajach, mimo że ratyfikując je wzięli na siebie taki obowiązek.

Biorąc powyższe pod uwagę, Ruch Wolnych Demokratów, jako wewnętrzny nurt ideowo-polityczny działający w Polsce Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela uznaje za konieczne nie tylko podtrzymać ale i rozwinąć wnioski i postulaty zawarte w Oświadczeniu Rady Zespołów Inicjatywy Obywatelskiej z dnia 7 października 1978 roku.

W związku z tym uznajemy za niezbędne, by:

1. Polska Rzeczpospolita Ludowa przystąpiła do "protokołu opcyjnego" Paktów Praw Człowieka.
2. Sejm PRL podjął uchwałę w przedmiocie realizacji w Polsce postanowień Paktów Praw Człowieka, a dyskusję nad tym zagadnieniem uznał za dyskusję "nad wężkowymi problemami rozwoju kraju" w rozumieniu art. 86 ust. 1 Konstytucji PRL. Powołał specjalną komisję, lub zobowiązał istniejącą komisję sejmową do sporządzenia rapor-

tu o realizacji Paktów w prawie wewnętrznym PRL i wypracowania programu wcielania ich postanowień w cały system prawa wewnętrznego w Polsce.

Zobowiązał wszystkie organa władzy i administracji, nie wyłączając Rady Państwa do szczególnie uważnego rozpatrywania wniosków obywateli zgłaszanych w tym przedmiocie, ustosunkowywania się do tych wniosków i obowiązkowego udzielania na nie odpowiedzi wnioskodawcom.

3. Rada Państwa ustaliła powszechnie obowiązującą wykładnię art. 3 ust. 1 Konstytucji PRL z uwzględnieniem treści art. 5 Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych.

4. Organy rządowe podały do publicznej wiadomości pełny komplet materiałów związanych z realizacją przez nasze państwo Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych oraz odnoszących się do stosunków na tym tle Rządu PRL z Komitetem Praw Człowieka.

Podjęły działania zmierzające do należytej popularyzacji Paktów w społeczeństwie, włączając do tej akcji publikatory tj. prasę, radio, telewizję itp.

Ustanowiły zakaz represji i dyskryminacji uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, jako sprzecznych z postanowieniami Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych a także Konstytucją PRL i zmierzających do zahamowania lub nawet całkowitego zniweczenia społecznych działań podejmowanych w celu rzeczywistej realizacji tego Paktu w naszym kraju.

Realizację choćby tych minimalnych postulatów będzie można dopiero uznać za pierwszy realny krok w kierunku realizacji celu, akceptowanego przez siły demokratyczne, o którym mówią "Wytoczne Komitetu Centralnego na VIII Zjazd PZPR" w tezie 63, że:

"Kształtowanie i umacnianie socjalistycznego państwa ogólnonarodowego jest nieodłączne od rozwoju socjalistycznej demokracji".

Ruch Wolnych Demokratów nie będzie szczędził wysiłków w działaniach na rzecz tych celów.

P o d p i s a l i: Marek Chwalewski, Karol Głogowski, Walenty Jakobson, Stanisław Januszkiewicz, Andrzej Mazur, Andrzej Ostoja-Owsiany, Adam Pleśnar, Tadeusz Puczek, Marek M. Skuza, Bogumił Włodarski, Adam Wojciechowski, Stanisław Żaliński.

Styczeń 1980 r.

Załącznik

28 sierpnia 1979 r.

D o
Prezydium Sejmu
Obywateli Posłów
oraz Opinii demokratycznej
W _ P o l s c e

W oparciu o art. 86 ust. 1 Konstytucji PRL zgłosiliśmy, w październiku 1976 roku, w n i o s e k o ustalenie przez Radę Państwa powszechnie obowiązującej wykładni art. 3 ust. 1 Konstytucji PRL, który

stanowi, że "Przewodnią siłą społeczeństwa w budowie socjalizmu jest Polska Zjednoczona Partia Robotnicza".

W uzasadnieniu wniosku wskazaliśmy na kolizyjność takiego uregulowania prawnego z dwoma podstawowymi zasadami: zasadą suwerenności ludu pracującego miast i wsi oraz zasadą równości obywateli wobec prawa.

Niezbędność wyjaśnienia rodzących się wątpliwości w związku z wprowadzeniem do Konstytucji takiej formuły uzasadniała przekonanie, że zgłoszony przez nas wniosek jest słuszny i zgodnie z art. 9 pkt. 2 Konstytucji zostanie on przez Radę Państwa rozpatrzony i uwzględniony. Tymczasem Rada Państwa przez okres siedmiu miesięcy w ogóle nie zareagowała na naszą inicjatywę. Uznając takie postępowanie za niedopuszczalne ignorowanie działania obywateli, zwróciliśmy się, w maju 1977 roku, do Sejmu jako organu sprawującego kontrolę nad działalnością innych organów władzy i administracji państwowej /art. 20 pkt. 3 Konstytucji/, by spowodował rozpatrzenie i uwzględnienie przez Radę Państwa zgłoszonego przez nas wniosku.

Sejm, podobnie jak Rada Państwa, pozostawił nasze pismo bez odpowiedzi.

Biorąc powyższe fakty pod uwagę i doceniając znaczenie sprawy stanowiącej przedmiot wniosku Rada Zespołów Inicjatywy Obywatelskiej w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce, w swoim oświadczeniu z dnia 7 października 1978 r. w związku ze sprawozdaniem Rządu PRL do Komitetu Praw Człowieka ONZ o realizacji Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych w Polsce, przyłączyła się i podtrzymała nasz wniosek jako wciąż aktualny. Oświadczenie to zostało przesłane m.in. do Sejmu i Rady Państwa.

Oba wymienione organy, do chwili obecnej, nie zajęły żadnego stanowiska w tej sprawie mimo zawartego w tym oświadczeniu stwierdzenia, że "dalsze przemilczanie sprawy będącej przedmiotem ww. wniosku - w świetle ratyfikowania przez Polskę Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych - może nasuwać podejrzenie, iż władze państwowe chronią interesy grupowe PZPR. Ma to zasadnicze znaczenie dla oceny i perspektyw realizacji praw uznanych w Pakcie".

Jako ludzie dobrej woli nie chcemy tego podejrzenia czynić pewnikiem i dlatego powracamy raz jeszcze do tej zasadniczej kwestii.

Odpowiednią okazję dla ponownego podjęcia tej sprawy stwarza Uchwała Rady Państwa z dnia 14 lipca 1979 r. w sprawie czuwania nad zgodnością prawa z Konstytucją PRL oraz ustalania powszechnie obowiązującej wykładni ustaw, opublikowana w Monitorze Polskim nr 19 poz. 113 z dnia 8 sierpnia 1979 r. Uchwała ta w § 1 ust. 2 stanowi, że "... ustalenie powszechnie obowiązującej wykładni ustaw polega na wyjaśnianiu treści przepisu aktu ustawodawczego, ilekroć okazuje się to niezbędne dla zapewnienia rozumienia i stosowania tego przepisu w sposób od-

powiadający celom i zasadom, których realizacji służyć ma dany akt ustawodawczy".

Powyższe postanowienie rodzi poważne zastrzeżenia z punktu widzenia dalszego rozwoju porządku prawnego w Polsce. W przyjętym sformułowaniu dochodzi bowiem do głosu stanowisko według którego **p r a w o** ma charakter tylko instrumentalny wobec nadrzędnych dla niego "celów i zasad". Jeśli więc wyjaśnianie treści przepisu aktu ustawodawczego ma być dokonywane **n i e** ze względu na cele i zasady, których prawnym wyrazem jest dany akt ustawodawczy lecz z uwagi na zapewnienie rozumienia i stosowania tego przepisu w sposób odpowiadający celom i zasadom, których realizacji służyć ma dany akt ustawodawczy, to oznacza to, że wspomniane cele i zasady mogą znajdować się poza ramami danego aktu ustawodawczego. Mogą to być cele ideologiczne, polityczne lub gospodarcze.

Właściwy sens takiej regulacji ujawnia się dopiero na gruncie postanowienia § 1 ust. 3, zgodnie z którym przepisy uchwały dotyczące aktów ustawodawczych odnoszą się także do umów międzynarodowych ratyfikowanych przez Radę Państwa. Oparta na tym postanowieniu praktyka może doprowadzić do faktycznego unicestwienia postępowego dorobku w dziedzinie prawa, wypracowanego przez Społeczność Międzynarodową, mimo formalnego ratyfikowania przez Radę Państwa umów kodyfikujących ten dorobek. Jeśli bowiem wykładnia ustalająca rozumienie i stosowanie postanowień zawartych w tych umowach nie ma wynikać z ducha i litery tych umów lecz ma się odnosić do celów i zasad, których realizacji służyć ma dany akt ustawodawczy, to jest sprawą oczywistą, że w przypadkach kiedy ratyfikacja danej umowy międzynarodowej będzie miała służyć celom polityczno-propagandowym państwa socjalistycznego na forum międzynarodowym, to postanowienia takiej umowy nie będą mogły wejść w życie jako norma kolizyjna z obowiązującym porządkiem prawnym ustanowionym pod dyktando i w interesie rządzącej w naszym kraju Partii. Odnosząc tę prognozę do ratyfikowanego przez Polskę Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych łatwo można przewidzieć trudne do pokonania przeszkody realizacji tych postanowień niniejszego Paktu, które jak na przykład art. 2, art. 25 itp. są jawnie niezgodne z celami i zasadami służącymi zachowaniu monopolu władzy i uprzywilejowanej pozycji Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wspomniany art. 3 ust. 1 Konstytucji stanowi prawną dekretację takiej pozycji rządzącej partii i pozostaje on w sprzeczności z postanowieniem art. 5 Paktu.

Nie można mieć wątpliwości co do tego, że Rada Państwa ma pełną świadomość takiej niezgodności i to, być może, wstrzymuje ją od ustalenia powszechnie obowiązującej wykładni tego przepisu. Ujawnienie jego rzeczywistego sensu mogłoby stanowić wstrząs dla opinii publicznej podobny temu jaki wywołują jednorazowe radykalne podwyżki cen. Przezorność nakazuje więc ostrożne postępowanie i działanie raczej na

"drugim" planie. Ilustruje tę taktykę przypadek mgr Jacka Bartyzela z Łodzi. Był on zatrudniony jako instruktor kulturalno-wychowawczy w Osiedlowym Domu Kultury Spółdzielni Mieszkaniowej "Osiedle Młodych". Kiedy odmówił wykonania polecenia służbowego, wydanego mu przez bezpośredniego przełożonego, nakazującego Mu wywieszenie na korytarzu tegoż Klubu propagandowego plakatu wydanego z okazji 30 rocznicy zjednoczenia PPR i PPS z napisem "PZPR - 30 lat z narodem i dla narodu", został zwolniony z pracy. Okręgowy Sąd Pracy i Ub. Społ. w Łodzi, który oddalił odwołanie ob. J. Bartyzela, w uzasadnieniu wyroku stwierdził m.in.: "Osobiste przekonania polityczne pracownika nie mogą usprawiedliwiać odmowy wykonania polecenia przełożonego, gdy polecenie to dotyczy pracy, tym bardziej gdy treść plakatu, którego wywieszenia wnioskodawca odmówił, wyrażała krótko istotną rolę jaką spełniała w naszym Państwie Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, co znalazło swój wyraz prawny w art. 3 ust. 1 Konstytucji PRL".

Sądźmy, że przypadek ten dostatecznie ilustruje możliwe następstwa społeczno-prawne zawarte w art. 3 ust. 1 Konstytucji oraz ukazuje kształtujący się mechanizm jego wdrażania w życie, bez zbędnego hałasu i tylko wobec opornych!

Świadome niebezpieczeństwo ukrytego w takiej praktyce, siły demokratyczne naszego kraju, mają obowiązek moralny i polityczny przeciwdziałania takim zamierzeniom i działaniom ludzi, którzy w swojej mentalności pozostają na "poprzednim etapie" historii naszego państwa. Z tych właśnie powodów wystąpiliśmy i nadal podtrzymujemy nasz wniosek o ustalenie powszechnie obowiązującej wykładni art. 3 ust. 1 Konstytucji PRL.

Uchwała Rady Państwa z dnia 14 lipca 1979 r. aczkolwiek reguluje dwie sprawy, jedną z nich jest właśnie ustalenie powszechnie obowiązującej wykładni ustaw, to jednak nie zawiera postanowienia o u c h y l e n i u wcześniejszej Uchwały Rady Państwa w tym przedmiocie, a mianowicie Uchwały z dnia 11 listopada 1950 r. w sprawie ogłaszania wykładni i zasad stosowania prawa ustalonych przez Radę Państwa /M.P. nr 123 poz. 1514 z 1950 r./. Pominiecie to może źle świadczyć o stosunku Rady Państwa do od kilku lat realizowanego przez Rząd programu porządkowania obowiązującego prawa. "Przeoczenie" to może być także wynikiem świadomego działania zmierzającego do eliminacji pewnych niepożądanych skojarzeń, jakie niewątpliwie musiałyby powstać w przypadku przypomnienia tamtego aktu, sprzed prawie 30 lat. Istota problemu tkwi w tym, że przypomnienie tamtej uchwały wiodłoby do innej zasadniczej kwestii, jaką jest k t o , jaki podmiot prawny, jest uprawniony do występowania z wnioskiem o ustalenie wykładni. W latach pięćdziesiątych jedynym podmiotem uprawnionym, zgodnie z art. 4 ust. 1 ustawy o Prokuraturze RP z dnia 20 lipca 1950 r., był Prokurator Generalny. Do niego bowiem należało czuwanie nad praworządnością. Obecnie sytuacja uległa zmianie; Rada Państwa, w

związku z wyposażeniem jej w prerogatywę "czuwania nad zgodnością prawa z Konstytucją" w art. 30 ust. 1 pkt. 3 Konstytucji, sama stała się strażniczką praworządności i taką jej rolę stwierdza § 2 omawianej uchwały z 14 lipca 1979 r. Uległ również znacznemu rozszerzeniu krąg uprawnionych podmiotów do zgłaszania wniosku /§§ 5 i 6 cyt. uchwały/. Ale obie te zmiany wymagały regulacji ustawą Sejmu, a nieuchwałą Rady Państwa - chyba, że Rada Państwa uregulowałaby je dekretem z mocą ustawy, który musiałby zostać przedstawiony Sejmowi do zatwierdzenia. Taka forma prawna regulacji wprowadzonych zmian jest uzasadniona tym, że nie są to zmiany o charakterze proceduralnym, czy deklaracyjnym. W tym duchu wypowiadali się także specjaliści prawa państwowego, np. Leszek Garlicki piszący na temat: "Rada Państwa a konstytucyjność prawa" stwierdzał: "Mogłaby to być uchwała Rady Państwa właściwsza jednak wydawałaby się forma ustawy, zarówno ze względu na wysoką rangę problemu, jak i jego powiązanie z ochroną praw obywateli" /vide: "Prawo i Życie" nr 3 z 21.I.1979 r./.

Opinia ta dotyka sedna zagadnienia, to jest praw obywateli, które w ogłoszonej uchwale Rady Państwa zostały w istotny sposób ograniczone. Po pierwsze, Rada Państwa w sposób dowolny zdecydowała o tym kto ma prawo wystąpić z wnioskiem, po drugie, wyłączała z kręgu podmiotów uprawnionych ogół obywateli /§ 6 uchwały/. Stanowi to jawne naruszenie art. 25 Konstytucji, który wyposaża w inicjatywę ustawodawczą m.in. p o s ł ó w, co w myśl zasady a maiori ad minus uzasadnia włączenie posłów do kręgu uprawnionych podmiotów w rozumieniu §§ 5 i 6 Uchwały Rady Państwa. Jest to także ograniczenie praw ogółu obywateli, którzy zgodnie z art. 86 ust. 1 Konstytucji mają prawo zgłaszania wniosków, zaś wszystkie organy władzy i administracji państwowej, w myśl art. 9 pkt. 2 Konstytucji, o b o w i ą z a n e s ą u w a ż n i e r o z p a t r y w a ć i u w z g l ę d n i a ć s ł u s z n e w n i o s k i ...

Podobnie ma się sprawa z przyjętym unormowaniem dotyczącym udzielania odpowiedzi na wnioski przez Radę Państwa. Będzie to zależeć od dowolnej decyzji Rady Państwa.

Biorąc pod uwagę wszystkie te dane, czyż nie ma dostatecznych podstaw do niepokoju o właściwość rozwoju stosunków społecznych zgodnego z proklamacją wyrażoną w art. 7 Konstytucji PRL?

Żywiąc taki niepokój i działając, kiedy jeszcze nie jest za późno, to znaczy kiedy jeszcze nie jesteśmy całkowicie wyłączeni z podmiotowości polityczno-prawnej, d o m a g a m y s i ę u w a ż n e g o rozpatrzenia i uwzględnienia naszego wniosku z dnia 25 października 1976 roku p r z e z S e j m P o l s k i e j R z e c z y p o s p o l i t e j L u d o w e j.

Wszystkie siły demokratyczne w z y w a m y d o p o p a r c i a t e g o w n i o s k u, j a k o p r a w n e g o ś r o d k a realizacji należnych nam p r a w o b y w a t e l s k i c h i p o l i t y c z n y c h.

Karol Głogowski
Adam Pleśnar
Uczestnicy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela

A P E L

Ruchu Wolnych Demokratów do Społeczeństwa i władz państwowych, w związku z wyznaczonymi na marzec 1980 r. wyborami do Sejmu PRL

Naród Polski, na równi z innymi wolnymi narodami świata, ma niezbywalne prawo do niepodległości opartej na prawie samostanowienia o sobie i swoich sprawach państwowych, czyli suwerenności.

Tak ukształtowane prawo uznali nasi sojusznicy z okresu II wojny światowej, a także komuniści, którzy w Manifestie PKWN deklarowali uroczyste przyrzeczenie "wszystkich swobód demokratycznych, równość wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania, narodowości, wolność organizacji politycznych, zawodowych, prasy, sumienia" - a odwołując się do podstawowych założeń Konstytucji z 17 marca 1921 r. przyrzekali, że "będą one obowiązywać aż do zwołania wybranego w głosowaniu powszechnym, bezpośrednim, równym, tajnym i stosunkowym Sejmu Ustawodawczego, który uchwali, jako wyraziciel woli narodu, nową konstytucję".

Tymczasem, jedyne wybory jakie odbyły się w oparciu o te zasady w powojennej Polsce, w roku 1947, były przeprowadzone w warunkach terroru fizycznego i masowych aresztowań działaczy opozycyjnych i niezależnych wobec PPR, a wyniki wyborów - jak to ujawniono w 1956 r. - zostały sfałszowane na korzyść PPR i związanych z nią ugrupowań politycznych.

Ustanowiona w taki sposób dyktatura partii komunistycznej stała się w następnych latach jądrem reżimu politycznego, który w walce z własnym narodem nie cofał się przed zbrodnią, a w walce o władzę w partii przed prześladowaniami swoich zwolenników. PZPR, jako wykonawczyni Manifestu PKWN, wyposażona w tezę Stalina o zaostrożeniu się walki klasowej w miarę budownictwa socjalistycznego uznawała społeczeństwo za "kapitalistyczne" i - zgodnie z dyrektywą zawartą w Manifestie głoszącą, że "demokratyczne swobody nie mogą jednak służyć wrogom demokracji" - doprowadziła do wyłączenia go z należnej mu podmiotowości politycznej. Terrorizm jako norma życia społecznego tak dalece zdeformował to życie, że komuniści sami musieli odciąć się od ponurej rzeczywistości nazywając ją eufemistycznie "okresem kultu jednostki" lub nieco dosadniej "okresem błędów i wypaczeń".

To właśnie w tym okresie został "wybrany" Sejm Ustawodawczy, który w lipcu 1952 r. uchwalił obowiązującą Konstytucję PRL.

Kiedy więc, w wyniku znanych wydarzeń z października 1956 roku, na czele PZPR ponownie stanął Władysław Gomułka, sam będący jedną z ofiar systemu stalinowskiego, w Społeczeństwie odżyły nadzieje na możliwość przeprowadzenia wolnych wyborów i wyłonienia Sejmu, który będzie wyrazicielem woli narodu. Rychło okazało się jednak, że ukształtowana rzeczywistość społeczno-polityczna jest silniejsza niż wczorajsze deklaracje rządzących, a nawet aktualne nadzieje rządzących. Władysław Gomułka, ustosunkowując się do wysuwanych przez różne środowiska i grupy społeczne żądań dokonania koniecznych reform społecznych i politycznych, a w szczególności przeprowadzenia rzetelnych wyborów do Sejmu, szczerze i brutalnie odpowiedział Społeczeństwu:

"Rewolucyjna partia klasy robotniczej, jaką jest PZPR, nigdy nie odda władzy reakcji i restauratorom kapitalizmu w Polsce. Nie oddamy tej władzy nie dlatego, że jest ona słodka... lecz, że każda inna władza byłaby dla Polski tragicznym nieszczęściem, a dla klasy robotniczej, dla wszystkich ludzi pracy w mieście i na wsi byłaby wielokrotnie gorsza niż najgorsza władza ludowa. Dlatego nie o władzę w kraju chodzi, gdy mówimy o wyborach do Sejmu..." /"Trybuna Ludu" z 15.I.1957 r./.

PZPR jednak dopiero w 20 lat później zdecydowała się przekształcić własną tezę ideowo-polityczną o tzw. kierowniczej roli partii, w zasadę ustrojowo-prawną i wpisać ją do Konstytucji. Stało się to w wyniku uchwalenia przez Sejm, w lutym 1976 r., "poprawki" do Konstytucji PRL stwierdzającej, że "przewodnią siłą polityczną społeczeństwa w budowie socjalizmu jest Polska Zjednoczona Partia Robotnicza" /art. 3 ust. 1/.

Świadome politycznie siły Społeczeństwa wystąpiły przeciwko temu uzurpatorskiemu dążeniu do legalizacji partyjnej dyktatury politycznej. Uczynił to

również Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce, którego wewnętrznym nurtem ideowo-politycznym jest Ruch Wolnych Demokratów. Ruch Obrony przyjmując za podstawę swojego działania ratyfikowane przez PRL w marcu 1977 r. i ogłoszone w Dzienniku Ustaw Międzynarodowe Pakty Praw, już w styczniu 1978 r. - przed wyborami do rad narodowych niższego szczebla - zgłosił odpowiednim władzom wniosek obywatelski w sprawie zmian w obowiązujących przepisach prawa wyborczego, w celu uzgodnienia ich treści z postanowieniami Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych. Pakt ten bowiem w art. 2 i art. 25 stanowi, że "Państwa-Strony niniejszego Paktu zapewnią wszystkim osobom, które znajdują się na jego terytorium i podlegają jego jurysdykcji" r ó w n o ś ć p r a w, bez względu na jakiekolwiek różnice m.in. w poglądach politycznych lub innych i każdemu obywatelowi p r a w o i m o ż l i w o ś ć, bez żadnej dyskryminacji i bez nieuzasadnionych ograniczeń:

- a/ uczestniczenia w kierowaniu sprawami publicznymi bezpośrednio lub za pośrednictwem s w o b o d n i e wybranych przedstawicieli;
- b/ korzystania z czynnego i biernego prawa wyborczego w r z e t e l n y c h w y b o r a c h, przeprowadzanych okresowo, opartych na głosowaniu powszechnym, równym i tajnym, gwarantującym wyborcom swobodne wyrażenie woli;
- c/ dostępu do służby publicznej w swoim kraju na ogólnych zasadach równości.

Podobne wnioski jak Ruchu Obrony zostały złożone również w r. 1979 przez powołany na początku tego roku Komitet Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu, który w Memoriale obywatelskim w sprawie zmian w prawie wyborczym, datowanym z dnia 23 sierpnia 1979 r. domagał się takich zmian tego prawa, które:

- 1/ zapewnią wszystkim obywatelom czynne i biernie prawo wyborcze,
- 2/ dopuszczają do list wyborczych wszystkich kandydatów zgłoszonych przez poszczególne grupy obywateli w danym okręgu wyborczym,
- 3/ umożliwią wszystkim kandydatom i ugrupowaniom politycznym i społecznym prowadzenie kampanii wyborczej w państwowych środkach przekazu na zasadach pełnej równorzędności,
- 4/ zagwarantują taką kontrolę społeczną, która umożliwi wszystkim wyborcom swobodne wyrażenie ich rzeczywistej woli.

Tylko tak wybrany Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej może realizować prawo samostanowienia narodu.

Władze - jak dotychczas - wszystkie te wnioski pozostawiły bez odpowiedzi i bez uwzględnienia. Biorąc to pod uwagę, uznajemy w tej sytuacji za konieczne zwrócić się z a p e l e m :

- do Społeczeństwa, jako ogółu głosujących, by w przypadku niedokonania przez władze koniecznej zmiany zasad prawa wyborczego, zgodnej z Paktem Praw Obywatelskich i Politycznych i zgłoszonymi w tym przedmiocie przez obywateli wnioskami, swoim świadomym działaniem p r z e k s z t a ł c i l i formalne tylko głosowanie na kandydatów Frontu Jedności Narodu w p l e b i s c y t na rzecz w o l n y c h w y b o r ó w - i by w tym celu pisali na kartach do głosowania dwie duże litery "W", stanowiące pierwsze litery słów: wolne wybory;
- do organów władzy państwowej oraz oficjalnych czynników politycznych, które deklarują swoje poparcie dla procesu rozwoju demokracji socjalistycznej, by idąc za wskazaniem Edwarda Gierka że "demokracji muszą uczyć się wszyscy" już w tym głosowaniu znieśli na kartach do głosowania podział miejsc na tzw. mandatowe i niemandatowe i wprowadziły listy alfabetyczne kandydatów FJN, gwarantując choćby tej grupie obywateli PRL polityczną równość wobec prawa;
- do Komitetów Frontu Jedności Narodu o dopuszczenie do składu Komisji Wyborczych przedstawicieli zgłoszonych przez działające jawnie w kraju niezależne ośrodki opinii publicznej, które osobno lub w porozumieniu ze sobą zgłoszą listy takich osób, jako mężów zaufania, w okresie 30 dni przed terminem głosowania.

Realizacja choćby tych minimalnych postulatów

będzie stanowiła niewątpliwą probierzą szczerości intencji tych wszystkich, którzy powołują się na swoją troskę o dobro narodu polskiego i odpowiedzialność za jego przyszłość i rozwój, zgodny z zasadami wyrażonymi w Karcie Narodów Zjednoczonych i potwierdzonymi w Akcie Końcowym KBWE z Helsinek.

P o d p i s a l i: Marek Chwalewski, Karol Głogowski, Walenty Jakobson, Stanisław Januszkiewicz, Andrzej Mazur, Andrzej Ostojka-Cwsiński, Adam Pleśnar, Tadeusz Puczek, Marek M. Skuza, Bogumił Włodarski, Adam Wojciechowski, Stanisław Załuski.

12 stycznia 1980 r.

O Ś W I A D C Z E N I E

RUCHU WOLNYCH DEMOKRATÓW w związku z deklaracją wyborczą Frontu Jedności Narodu, z dnia 21 lutego 1980 r.

W związku z wyznaczonymi wyborami do Sejmu PRL Ruch Wolnych Demokratów zwrócił się w styczniu br. z apelem m.in. do organów władzy państwowej oraz oficjalnych czynników politycznych by już w tym głosowaniu znieśli na kartach do głosowania podział miejsc na tzw. mandatowe i niemandatowe i wprowadziły listy alfabetyczne kandydatów Frontu Jedności Narodu, gwarantując w ten sposób choćby tej grupie obywateli polityczną równość wobec prawa.

Taki postulat stanowi logiczną konsekwencję zasady, przyjętej w obowiązującej ordynacji wyborczej, zgodnie z którą wybory do Sejmu i rad narodowych odbywają się w oparciu o program Frontu Jedności Narodu /art. 1 ordynacji/. Skoro wszyscy kandydaci zgłoszeni i umieszczeni na listach wyborczych popierają program FJN, to również wszyscy oni powinni mieć także r ó w n e p r a w o ubiegania się o mandat społeczny uczestnictwa w organach przedstawicielskich władzy państwowej.

Realizacja wysuniętego przez nas postulatu zmiany zasad głosowania stanowi obecnie jeden z tych czynników, które stymulują dalszy rozwój społeczno-polityczny, a które - jak mówił prezes NK ZSL Stanisław Gucwa w czasie plenarnej sesji Ogólnopolskiego Komitetu FJN - "... określić można mianem umiejętności działania społecznego w ramach istniejących struktur politycznych, jak i wobec poszczególnych środowisk lokalnych i zawodowych." Jest bowiem prawdą, że: "Ważną rolę wśród tych czynników spełnia poczucie zaufania do partnerów politycznych i do społeczeństwa, przeświadczenie o dobrej woli, powszechne szanowanie ludzi i traktowanie ich jako współuczestników podejmowanych i realizowanych procesów społeczno-gospodarczych. Jest to niezbędny warunek realizacji jednolitej moralno-politycznej naszego narodu."

Wprowadzenie równości szans wyboru dla wszystkich kandydatów przedstawionych społeczeństwu przez FJN znajduje swoje oparcie prawne zarówno w artykułach 2 i 81 Konstytucji PRL, jak i w artykułach: 25 i 26 Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych, obowiązującego w Polsce od 29 grudnia 1977 r.

Mimo swojej oczywistości, politycznego umiarkowania i prawnej zasadności postulat Ruchu Wolnych Demokratów nie został uwzględniony przez powołane do tego organy, którym tekst "Apelu" został doręczony jeszcze przed odbyciem posiedzenia Sejmu, które, jak się później okazało, nie było ostatnim posiedzeniem w bieżącej kadencji.

Wymowa tego faktu jest jednoznaczna, a w jego świetle takie stwierdzenia zawarte w deklaracji FJN, jak to, że: "Musimy wszyscy uczyć się demokracji i postępować zgodnie z jej zasadami, urzeczywistniać jedność praw i obowiązków", lub że "Dziś sprawą najważniejszą jest doskonalenie funkcjonowania /istniejącego systemu instytucji demokratycznych/ na wszystkich szczeblach od góry do dołu, upowszechniania demokratycznych postaw i obyczajów" - stają się propagandowymi sloganami, które nikogo nie mogą przekonać. Siły skupione w FJN, działające pod ideowym i politycznym kierownictwem PZPR, wbrew tym oświadczeniom, najwyraźniej nie chcą wyprowadzać z nich praktycznych konsekwencji, które wiodłyby do przekształcenia istniejącego systemu partyjnej dyktatury w system społecznej reprezentacji, zgodnej z postanowieniami

Konstytucji, wyrażonymi w artykułach: 1, 2, 20, 43 i 44.

Ogólnopolski Komitet FJN skupiający w sobie przedstawicieli centralnej biurokracji politycznej cofnął się przed taką możliwością, czym praktycznie zdezwolnił tęzę zawartą w przemówieniu przewodniczącego tego Komitetu, iż: "... po nieuniknionym okresie rewolucyjnych przemian przeszliśmy do kształtowania państwa ogólnonarodowego". Treści zawarte w deklaracji wyborczej FJN oraz fakty polityczne i prawne, np. uchwalenie art. 3 Konstytucji przeczą temu.

Ogólnopolski Komitet FJN przedstawiając "...obywatelem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej - ludziom wszystkich zawodów i pokoleń - deklarację wyborczą, której podstawą są Uchwały VIII Zjazdu PZPR" jedynie zastosował się do uchwalonego przez ten zjazd apelu o powszechne poparcie uchwał VIII Zjazdu PZPR w wyborach do Sejmu PRL i wojewódzkich rad narodowych. I stała się wielką szkoda polityczna, że uchwalając swoją deklarację w uległości i pośpiechu, OK FJN przeszedł do porządku nad tak ważkim stwierdzeniem zawartym w Apelu VIII Zjazdu PZPR jak to, że: "VIII Zjazd PZPR wyraża przekonanie, że cała partia, jej Komitet Centralny i instancje wojewódzkie wspierać będą proces dalszego umacniania Sejmu i rad narodowych. Niech zadanie to stanie się przedmiotem wspólnej troski wszystkich obywateli, niech nadal pogłębia się więź organów socjalistycznego państwa ze społeczeństwem".

Żywimy głębokie przekonanie, że uwzględnienie zgłoszonego przez Ruch Wolnych Demokratów postulatu przeprowadzenia wolnych wyborów choćby tylko wśród kandydatów przedstawionych społeczeństwu przez FJN służyłoby zarówno umocnieniu Sejmu i rad narodowych jak i pogłębieniu więzi organów socjalistycznego państwa ze społeczeństwem. Stało się jednak inaczej. A to, czego nie uczyniła centralna biurokracja polityczna p o w i n n o u c z y n i ć

s p o ł e c z e ń s t w o, biorąc udział nie tylko w formalnym głosowaniu lecz i w wyborach, które są "... doniosłym aktem urzeczywistniania konstytucyjnej zasady ludowładztwa".

Ruch Wolnych Demokratów widzi realizację takiej możliwości w następującym zachowaniu się wyborców: każdy głosujący winien pozostawić na karcie do głosowania tylko taką ilość kandydatów, jaka ma być wybrana w danym okręgu wyborczym; wiąże się to z koniecznością korzystania z kabiny wyborczej, zgodnie z obowiązującą zasadą tajności głosowania, po drugie, ze względu na utrzymanie podziału miejsc na mandatowe i niemandatowe wyborcy powinni przyjąć zasadę nie skreślania tych spośród kandydatów, którzy zajmują miejsca niemandatowe, tj. poza liczbą przewidzianych do wyboru w danym okręgu wyborczym, zaś spośród tych kandydatów, którzy zajmują miejsca mandatowe powinni dokonywać wyboru, pozostawiając tych, którzy na to zasługują. Takie zachowanie się ogółu wyborców może nawet w tych warunkach przynieść pewien sukces, a mianowicie uzmysłowić PZPR i jej sojusznikom skupionym w FJN, że wola społeczeństwa, zmierzającego do realizacji "demokracji ludowej" jest siłą polityczną, z którą należy się liczyć nie tylko przy okazji zmiany cen artykułów spożywczych pierwszej potrzeby. Dziś bowiem artykułami pierwszej potrzeby stają się wolność i demokracja obywatelska, które stanowią konieczny warunek dalszego rozwoju Narodu Polskiego.

R o d a c y w z y w a m y W a s do poparcia tak sformułowanej alternatywy politycznej. Od podstawy świadomej i aktywnej ogółu Polaków zależy nasze wspólne dziś i nasze wspólne jutro!

W imieniu Ruchu Wolnych Demokratów: Marek Chwałowski, Karol Głogowski, Andrzej Mazur, Andrzej Ostojca-Owsiany, Bogumił Włodarski, Adam Wojciechowski, Stanisław Załuski.

Łódź, 8 marca 1980 r.

Z ostatniej chwili:

Zgodnie z oczekiwaniami FJN odniósł w głosowaniu druzgoczące zwycięstwo. Nad społeczeństwem.

Mysli nieuczesane

STANISŁAW JERZY LEC

Każda klasa ma swoje drobnomieszczaństwo.

x x x

Co lepsze: "Sztuczna prosperity" czy prawdziwa nędza?

x x x

Opowiadał mi ktoś

przyjeżdżny z Zachodu

o krzyżującej

niesprawiedliwości

w jego kraju. Mówiliśmy

o tych bolesnych

x x x

I robienie aluzji może być upaństwowione.

x x x

I fantazja zna granice. Państwowe.

x x x

Najwięcej wielkich słów mieści się zwykle w takich ustach, gdzie nie ma miejsca na zwykłe ludzkie słowa.

x x x

Ci, którzy nie mogą człowieka przerosnąć - poniżają go.

x x x

Najłatwiej sumować ludzi, odejmując im człowieczeństwo.

x x x

Nie lubię ludu, którego nie można podzielić na ludzi.

x x x

Inteligent! Przecież wystarczy jedynie schamieć, by się pozbyć tego uwłaczającego epitetu.

x x x

Oblicze człowieka jest tak zbudowane, że otwierając oczy nie może już trzymać języka za zębami.

x x x

Na pierwszych pozycjach odkryć ludzkości powinno znajdować się Odkrycie Błędu.

x x x

Najwięcej ludzi potyka się na progu świadomości.

x x x

Ten, co wdrapał się na szczyt drabiny społecznej, zapomina często, po co tam poszedł i kto go tam posłał.

x x x

Proponuję "Odznakę za bierną służbę".

x x x

Czy nie można by żaru trzymać w lodówkach, żeby był zawsze świeży?

x x x

Są wielkie słowa tak puste, że można w nich więzić całe narody.

x x x

Jedyną możliwością oddechu było tam ciągle wznoszenie wiatów.

x x x

Stanisław GOMULKA

Sytuacja gospodarcza Polski
w drugiej połowie lat siedemdziesiątych^{1/}

TŁO HISTORYCZNE

Plan pięcioletni na lata 1971-75, przyjęty przez KC PZPR 4 września 1971, przewidywał wzrost inwestycji tej samej wielkości jak ten, który miał miejsce w latach 1966-70. Decyzja znacznego wzmocnienia aktywności inwestycyjnej, poprzez import na wielką skalę maszyn z Zachodu na warunkach kredytowych, zapadła prawdopodobnie pod koniec roku 1971 lub na początku 1972. W latach 1971-76 pozwolano także na szybki wzrost dochodów pieniężnych ludności utrzymując równocześnie pod kontrolą wzrost cen /szczególnie w latach 1971-73/. Wynikiem tej polityki ekonomicznej był rzadko spotykany równoległy wzrost dynamiki płac realnych i inwestycji. Występująca na ogół sprzeczność między jednoczesnym podnoszeniem tempa inwestycji i konsumpcji została jak gdyby zawieszona. Pożyczając za granicą na bardzo poważną skalę rząd w rzeczywistości czerpał z przyszłych dochodów Polski, aby zaspokoić bieżące potrzeby. Nastąpiło więc przesunięcie zasobów nie tyle konsumpcji na inwestycje, ile, poprzez handel zagraniczny, z przyszłości ku teraźniejszości. Taka polityka była nowym i ważnym eksperymentem w powojennej historii Polski.^{2/}

Nieuniknionym efektem jakiej polityki jest bardzo nierównomierny wzrost produkcji przeznaczanej na użytek wewnętrzny: bardzo szybki przez parę lat i bardzo powolny przez parę następnych. Pierwsza faza zakończyła się w roku 1975 i po przejściowym okresie 1976-77 Polska wstępuje teraz w drugą fazę. Celem tego artykułu jest przegląd obecnych poważnych trudności gospodarczych, o potencjalnie groźnych konsekwencjach społecznych i politycznych, oraz refleksja nad rozwojem sytuacji zarówno w najbliższej jak i nieco dalszej przyszłości.

NADWYŻKA POPYTU NAD PODAŻĄ I POSZUKIWANIE POLITYKI
STABILIZACYJNEJ

W gospodarce wolnorynkowej wzrost popytu wywołuje zwykle szybkie destosowanie się podaży. Destosowanie to następuje częściowo przez zwiększenie ilości dobra do sprzedaży, a częściowo poprzez wzrost jego ceny. Ta właśnie elastyczność ilości i ceny jest główną charakterystyką gospodar

darki rynkowej i w oczach większości ekonomistów uchodzi za jej główną zaletę. W przeciwieństwie do tego, w gospodarce centralnie planowanej ceny reagują z dużym opóźnieniem, lub nie reagują wcale, na zmiany popytu. Ponadto bezrobocie jest niskie i stopień wykorzystania środków trwałych wysoki /lub też, w wielu przypadkach, wielkość produkcji jest ograniczona przez wąskie gardła/. W rezultacie nie można szybko zaradzić niedoborom poprzez wzrost podaży i są one wobec tego zjawiskiem powszechnym. Nagminność niedoborów jest więc konsekwencją małej wrażliwości produkcji i cen na zmiany sytuacji na rynku, a zatem jest to niedo-

łączna cecha gospodarki zarządzanej centralnie. Nie więc dziwnego, że Janos Kornai, wybitny ekonomista węgierski, definiuje gospodarkę centralnie planowaną jako taką władnię, którą charakteryzują niedobory.

Chociaż zaspokojenie potrzeb konsumentów na poszczególnych dobrach jest w gospodarce centralnie planowanej zadaniem zgoła beznadziejnym /nie dotyczy to oczywiście tzw. bubli/ jednym z główniejszych celów centralnego planisty było zawsze osiągnięcie równowagi rynkowej przynajmniej na poziomie makro-ekonomicznym, to znaczy stworzenia sytuacji w której niedobory pewnych dóbr są kompensowane nadwyżkami innych. Przy takiej równowadze konsument nie zawsze znajdzie to, co rzeczywiście chciałby mieć, ale ogólna ilość użytecznych dóbr na rynku powinna być wystarczająca, aby w pełni wchłonąć siłę nabywczą.

Jeśli taka sytuacja jest mniej więcej regułą w ZSRR i Europie Wschodniej, to Polska w latach siedemdziesiątych jest poważnym odstępstwem od tej reguły. Duża ilość dostępnych obecnie materiałów wskazuje bezpośrednio lub pośrednio na to, że w latach 1971-76 popyt konsumpcyjny przekraczał podaż i że ta luka między podażą a popytem warstawała. Tablica 1 przedstawia dane na poppycie tej tezy.

Dochód do dyspozycji, podaż i nadwyżka siły nabywczej nad podażą
w latach 1971-1976
(w miliardach złotych, ceny bieżące)

Nr		1965	1970	71	72	73	74	75	76
1	Dochód do dyspozycji ogółem (pieniężny + świadczenia w naturze)	414	593	656	769	839	951	1076	1223
2	Przyrost zasobów pieniężnych ludności	11,8	11,9	24,9	41,9	58,8	69,7	64,9	51,5
3	S/D								
3	w procentach	2,9	2,0	4,1	5,7	7,0	7,3	6,0	4,2
4	Oszczędności pożądane			19,7	22,2	25,2	28,5	32,3	36,7
5	Oszczędności wymuszone			7,2	19,7	33,6	41,2	32,6	14,8
6	Oszczędności wymuszone nagromadzone od roku 1970			7,2	26,9	60,5	101,7	134,3	149,1
7	Oszczędności wymuszone nagromadzone jako procent dochodów pieniężnych w danym roku			1,4	4,5	8,9	13,1	15,2	14,9

Źródło: Rocznik Statystyczny 1974, 1975, 1977.

Uwaga - definicja D: patrz Rocznik Statystyczny 1977, tablica 1(100); definicja S: patrz R.S. 1977, tablica 32(691).

Wzrost nadwyżek pieniężnych gromadzi się w gospodarstwach domowych jako oszczędności /gotówka + wkłady oszczędnościowe/. W latach sześćdziesiątych stopa oszczędności wahała się w granicach od 2 do 3 procent, jednakże w roku 1974 wzrosła ona do 7,3 %, w roku 1975 wyniosła 6 % i w r. 1976 4,2 % /wiersz 3/. Jeśli przyjąć, że pożądana stopa oszczędności wynosiła w tym czasie 3 %, to można obliczyć wielkość wymuszonych oszczędności w poszczególnych latach /wiersz 5/ a także sumę wymuszonych oszczędności akumulowanych w czasie /wiersz 6 i 7/. Z wiersza 7 Tablicy 1 wynika, że akumulowane oszczędności, wyrażone jako procent dochodów pieniężnych do dyspozycji w danym roku, osiągnęły swój szczytowy poziom w roku 1975 i wyniosły wtedy 15,2 %. Wydaje się, że taka też była wielkość niezaspokojonego po-

1/ Angielski oryginał niniejszego artykułu ukazał się w Yearbook of East European Economics, marzec 1979. Tłumaczyła Joanna Gomulka.

2/ Wpływ tej polityki na wzrost produkcji przemysłowej rozważam w artykule "Growth and the import of technology: Poland 1971-1980", Cambridge Journal of Economics, marzec 1978.

pytu, czyli wewnętrznej nierównowagi, pod koniec roku 1976 a wstępna dane za rok 1977 sugerują, że sytuacja nie uległa istotnej zmianie. Piętnaście procent dochodów pieniężnych do dyspozycji jest to około 150 miliardów złotych. Na tyle więc trzeba zapewne szacować sumę pieniędzy zaangażowanych w bezskuteczną pogonią za dobrami, których brakuje na rynku. Plan na rok 1978 przewidywał zmniejszenie tej nierównowagi, jednakże według doniesień prasowych dochody nominalne ludności w roku 1978 rosła szybciej niż przewidywał plan, a podaź towarów wolniej.

Długość okresu potrzebnego do przywrócenia wewnętrznej równowagi zależy po części od czasu, jakim będzie rząd dysponował dla usunięcia nierównowagi w handlu zagranicznym, a po części od czynników politycznych. Jest rzeczą jasną, że na przykład jednorazowy podatek w wysokości 150 mld zł, który przywróciłby równowagę natychmiast, nie wchodzi w rachubę. Mniej drastyczną akcją byłoby podwyższenie wszystkich cen o 15 %, co przywróciłoby równowagę po roku. Nie jest jednak prawdopodobne, aby robotnicy zaakceptowali tak znaczny skok cen i wydaje się, że rząd wykluczył tego rodzaju środki. Alternatywnie, szybszy wzrost wartości dóbr konsumpcyjnych niż dochodów można osiągnąć poprzez stopniowe zmiany. Ponieważ stopa wzrostu produkcji dóbr konsumpcyjnych, limitowana przez ograniczone zasoby walutowe i przez ustabilizowaną wielkość siły roboczej, nie da się zapewne podwyższyć, to ta alternatywa musi zakładać zmniejszenie stopy wzrostu płac nominalnych lub stopniową podwyżkę cen, lub też obie te rzeczy naraz. Istotne jest tutaj, że gdyby ludność zaakceptowała wzrost stopy życiowej nie większy niż 2-3 % rocznie, to rząd prawdopodobnie mógłby usunąć nierównowagę wewnętrzną w ciągu najbliższych paru lat. Pomocą dla rządu mógłby tu być czynnik częściowo iluzoryczny, a częściowo rzeczywisty. Mianowicie stopniowa redukcja rozmiaru braków zaczęłaby przywracać zaufanie ludzi w wartość ich pieniędzy, dając im złudzenie, że wyskują więcej niż wspomniane 2-3 % rocznie. Zmniejszenie braków oznaczałoby też mniejsze straty czasu w kolejkach - i to byłoby rzeczywistym zyskiem.

Niezależnie od kwestii przywrócenia równowagi wewnętrznej w skali makroekonomicznej istnieje w Polsce poważny problem ciągłych braków pewnych ważnych dóbr konsumpcyjnych, takich jak mięso i przetwory, mieszkania, meble, samochody itd. W rynkowo zorientowanych krajach Zachodu inwestycje w budowę nowych mieszkań i domów wynoszą na ogół 20 do 30 procent ogółu inwestycji. W Polsce ten udział wynosił 20 % na początku lat sześćdziesiątych, zmalał do 16 % w roku 1970 i do 13 % w roku 1975. W rezultacie liczba gospodarstw domowych przewyższa liczbę mieszkań o około 16 % /około 1,4 miliona w liczeniu absolutnych/. Jednocześnie przeciętna wielkość mieszkania jest zapewne jedną z najniższych w Europie. Podejmuje się wysiłki, aby zapobiec dalszemu pogorszeniu, nie można jednak oczekiwać zauważalnej poprawy przed końcem lat osiemdziesiątych.^{3/}

Rozmiary braków mięsa i przetworów można oszacować tylko zgrubsza i pośrednio. W okresie 1971-1976 dochody pieniężne wzrosły o 111 %. Ponieważ dochodowa elastyczność popytu na mięso szacuje się na 0,8, więc przyrost popytu w tym okresie wyniósł około 90 %. Jednakże podaź mięsa i przetworów, w cenach bieżących, wzrosła o 66 %. Z tych liczb wynika, że niedobór w roku 1976 był równy około ćwierci całej podaży w roku 1970. Niedobór ten był zapewne jeszcze wyższy

w roku 1977 i wydaje się nieprawdopodobne, aby można go było usunąć bez znacznej podwyżki cen mięsa. Podwyżka taka w gruncie rzeczy jest już w toku poprzez stopniowe wprowadzanie "komercyjnych" sklepów państwowych oferujących te same produkty po znacznie wyższych cenach. Jednocześnie istnienie dwóch systemów cen i dwóch systemów sieci sklepów, jednej dla tych którzy muszą lub wiać stać w kolejce, i drugiej dla tych którzy mogą i wolą płacić wyższe ceny, daje możliwość wyboru i wydaje się bardziej do przyjęcia politycznie niż podwyżka cen dla wszystkich.

Ogólnie biorąc władze wydają się wyciągać nauki z nieścisłej "reformy cen" z czerwca 1976. Jak pamiętamy, reforma ta polegała na względnym obniżeniu cen dóbr konsumpcyjnych trwałego użytku poprzez podniesienie cen żywności, a jej celem było przesunięcie nadmiaru popytu z kapitałochłonnych i wysoko subsydiowanych artykułów żywnościowych na mniej kapitałochłonne i zyskowe artykuły przemysłowe. Rząd planował jednak pełną kompensatę podwyżki cen. Ogólnym powodem upadku tej reformy była, jak się wydaje, niewiara polskiego konsumenta w uzyskanie pełnej rekompensaty. Jeśli jednak kompensata rzeczywiście miała być pełna, to reforma byłaby ekonomicznie bez znaczenia, ponieważ podaź większości ważnych dóbr trwałego użytku również nie zaspokaja popytu. Reforma miałaby sens tylko wtedy, gdyby zmierzała do zredukowania nadmiaru siły nabywczej. Zasada ta pozostanie w mocy dopóty, dopóki obecne braki dóbr konsumpcyjnych trwałego użytku nie zostaną usunięte.

OBCENE ZADŁUŻENIE I PERSPEKTYWY: WSCHÓD I ZACHÓD

Polska ma na ogół stosunkowo niewielki deficyt handlowy z krajami RWPG i jest on prawdopodobnie zrównoważony przez nadwyżkę w wymianie usług. Dane o wpływach ze usług nie są publikowane, trudno więc o dokładną ocenę sytuacji w bilansie płatniczym z krajami socjalistycznymi. Można jednak bezpiecznie założyć, że jedynym rzeczywistym ważnym problemem w zewnętrznym bilansie płatniczym Polski jest deficyt w handlu na rynku dolarowym.

Zadłużenie dolarowe Polski jest w tej chwili nadzwyczaj duże i wzrasta ono nadal. Deficyt handlowy w roku 1977 z krajami "niesocjalistycznymi" wyniósł 2,1 mld dolarów. Planisci mieli nadzieję zredukować go do 1,7 mld dolarów w 1978 roku: eksport miał wzrosnąć o 12 % a import tylko o 2 %. Można tu przypomnieć, że wartość eksportu na Zachód wzrosła raptownie w latach 1971-75 o 167 %, głównie dzięki wzrostowi cen, ale przyrost w roku 1976 wyniósł tylko 7,7 %, a w roku 1977 9,9 %. Dwunastoprocentowy wzrost w 1978 roku był więc celem ambitnym. Założymy jednak, że zostanie on zrealizowany^{4/}, i że eksport będzie wzrastał o 12 % rocznie również w następnych latach. Jeśli ponadto założymy, że wzrost importu da się ograniczyć rocznie do 2 % /jak przewiduje to plan na rok 1978/, to deficyt handlowy wyniesie /w miliardach dolarów/ 1,1 w roku 1979 i 0,6 w roku 1980. W roku 1981 bilans handlowy zostałby zrównoważony.

^{4/} Jak już wiadomo, w 1978 r. wzrost eksportu do strefy dolarowej wyniósł 7,3 % zamiast planowanych 12 %. Równocześnie import z tej strefy wzrósł tylko o 0,03 % zamiast planowanych 2 % rekompensując w ten sposób niewykonanie planu eksportu, oczywiście kosztem wzrostu braków na rynku wewnętrznym /dane: RS 1979, s. 305, przyp. red./

^{3/} W najbliższym numerze Aspekt poświęci temu zagadnieniu obszerny artykuł Józefa Hańskiego /przyp. red./

44

a w latach następnych wykazałby nadwyżki. Z tablicy 2 wynika jednak jasno, że ze względu na wysokie i rosnące koszty oprocentowania całkowite zadłużenie wzrastałoby aż do końca roku 1982, kiedy wyniosłoby 22,3 miliardy dolarów, przekraczając około 10 miliardów sumę z roku 1977.

	Rzeczywisty		Plan	Ekstrapolacja			
	1976	1977	1978	1979	1980	1981	1982
Eksport	4.4	4.9	5.4	6.1	6.8	7.6	8.6
Deficyt handlowy	2.9	2.2	1.7	1.1	0.6	-0.1	-0.9
Oprocentow. /8%/		0.8	1.0	1.2	1.4	1.6	1.7
Całkowite zadłuż. /na koniec roku/	10.0	13.0	15.7	18.0	20.0	21.6	22.4
Stosunek zadłuż. do eksportu	2.3	2.6	2.9	2.9	2.9	2.8	2.6

*/ Wszystkie kraje "niesocjalistyczne"

Na ile realistyczny jest ten scenariusz? Czy eksport może wzrastać szybciej i czy dałoby się zahamować wzrost zadłużenia przed rokiem 1982? A jeśli to jest niemożliwe, to czy Zachód zgodzi się na przesunięcie terminów spłat obecnego długu i pożyczanie dodatkowych 10 miliardów dolarów? Jakże byłyby implikacje, ekonomiczne i polityczne, sytuacji w której Polska nie mogłaby uzyskać dodatkowych funduszy?

Z oficjalnych wypowiedzi na Zjeździe PZPR w grudniu 1975 r. wynika całkiem jasno, że planiści liczyli na nasilenie eksportu w latach 1976-80. Premier Piotr Jaroszewicz oświadczył, że udział globalnej produkcji przemysłowej przez naczyną na eksport na wszystkie rynki wzrośnie z 14,4 % do 18 %, z czego wynika roczny przyrost eksportu przemysłowego o około 12 % w cenach stałych, czyli o 15-20 % w cenach bieżących.

Faktyczny wzrost całkowitego eksportu w cenach stałych wyniósł 5 % w roku 1976 i 8 % w roku 1977. Ponieważ eksport przemysłowy stanowi około 80 % całego eksportu, więc jest jasne, że jak dotychczas, nie osiągnięto żadnego postępu w zwiększaniu udziału eksportu w całkowitej produkcji przemysłowej. Wygląda na to, że plan pięcioletni jest w tej niezwykle ważnej dziedzinie nierealistyczny. W krajach Europy Zachodniej, które są głównym rynkiem dolarowym dla Polski, popyt jest w dalszym ciągu poniżej długofalowego trendu. Co jest jednak ważniejsze, polski sektor eksportowy, z niewielkimi wyjątkami, nadal nie jest w stanie dostarczyć na Zachód towarów przemysłowych o takiej jakości, trwałości i walorach użytkowych jakiego klient zachodni oczekuje. Wydaje się przeto, że jeszcze przez jakiś czas Polska będzie musiała polegać na eksporcie surowców i półfabrykatów. Pewne z tych produktów, na przykład węgiel lub znane z dobrej jakości przetwory mięsne, nie są wytwarzane w dostatecznej ilości, a niektóre inne, na przykład miedź i siarka, mają w tej chwili niskie ceny z powodu ogólnoswiatowej nadprodukcji. Z tych względów uważałbym 12-procentowy roczny przyrost zaplanowany na rok 1978 i założony na lata 1979-82 za bliski górnej granicy rzeczywistych możliwości Polski.

A jak się przedstawia import? Poziom importu maszyn z Zachodu zostanie zapewne obniżony. W roku 1976 import ten stanowił około 1/3 całego importu dolarowego. Ale ze względu na zwiększoną produkcję przemysłową zapotrzebowanie na ważne materiały i półprodukty prawdopodobnie wzrośnie, chyba że uda się znaleźć ich substytuty na rynku rublowym. Ponieważ ceny dóbr importowanych rosną w tej chwili w tempie

około 5 % rocznie, planowany dwuprocentowy wzrost wartości importu tych dóbr zakłada w istocie 3 procentowy spadek ich ilości i dalsza jeszcze redukcja ilościowa może się okazać niezmiernie trudna do osiągnięcia. Rząd wprowadził już pewne ostre ograniczenia na import z Zachodu, co zapewne spowoduje rosnące braki materiałów niezbędnych do produkcji przemysłowej i, w konsekwencji, obniży wykorzystanie istniejącego potencjału wytwórczego. Podobne ograniczenia, wprowadzone w latach 1966-70, miały właśnie taki skutek.

Obecna faza cyklu polskiej polityki gospodarczej ukształtuje się zapewne w zależności od tego, jak skłonne będą banki i rządy zachodnie do pożyczania Polsce dodatkowych 10 miliardów dolarów, które, jak mówiliśmy powyżej, będą potrzebne w ciągu najbliższych lat na opłacenie procentów i sfinansowanie deficytu handlowego. Dwa miliardy dolarów rocznie niezbędne na ten cel stanowią około 30 % wartości zakupów Polski na rynku dolarowym i około 15 % wartości całego importu. Nie można dokładnie oszacować szkód, jakie poniosłaby gospodarka polska, gdyby import został nagle zmniejszony o taką sumę, ale nie ulega wątpliwości, że zarówno gospodarczo jak i politycznie implikacje mogą być - i zapewne byłyby - bardzo poważne.^{5/}

Natychmiastową konsekwencją takiego zmniejszenia byłby gwałtowny spadek tempa wzrostu podaży konsumpcyjnych artykułów przemysłowych na rynek wewnętrzny. To z kolei pogłębiłoby brak równowagi na tym rynku i mogło zmusić rząd do zamrożenia płac nominalnych, co pociągnęłoby za sobą poważny spadek płac realnych. Ten przejściowy spadek stopy życiowej nie musiałby być bardzo poważny - być może nie większy niż 10 % - ale mógłby wystarczyć do wywołania kryzysu politycznego o potencjalnie katastrofalnych konsekwencjach.

Wracając do obecnej sytuacji, są podstawy by przypuszczać, że przez jakiś jeszcze czas banki i rządy zachodnie będą skłonne udzielać Polsce dalszych kredytów, chociaż ich koszt, w formie procentów i wymaganych gwarancji, prawdopodobnie wzrośnie. Depresja gospodarcza w większości krajów Zachodu sprawia, że zachodnie instytucje handlowe i polityczne są silnie zainteresowane w utrzymaniu nadwyżki w handlu ze Wschodem. Ponadto niektóre kraje naftowe zaopatrują banki zachodnie w pieniądze do pożyczania. Wewnętrzne zapotrzebowanie na kredyt jest nieco mniejsze, więc banki nader chętnie pożyczają pieniądze każdemu, kto ich adaniem jest w stanie je w końcu spłacić. Ten korzystny klimat do pożyczania może ulec szybkiej zmianie na gorsze, gdy ożywienie gospodarcze na Zachodzie nabierze rozmachu.

SZANSE REFORM GOSPODARCZYCH

Wypowiada się często pogląd, który można poprzec wielu

15/ Powinno być może podkreślić, że nie krytykuję rosnącego zadłużenia jako takiego. W innych artykułach na ten temat byłem za tym, aby Polska importowała maszyny i technologię z Zachodu na kredyt, szczególnie jeśli stopa inflacji na rynkach zachodnich jest bliska lub przewyższa stopę procentową. Rzecz, która obecnie budzi mój niepokój, jest wielkość polskiego zadłużenia i wiążąca się z tym możliwość, że banki zachodnie odmówią pożyczania dalszych wielu miliardów dolarów, potrzebnych do bezwstrząsowego przejścia z etapu szybko rosnącego zadłużenia do okresu stabilnego zadłużenia. Mój niepokój wyrażony w tym artykule wynika z obawy kryzysu gospodarczego i politycznego w przypadku takiej odmowy, lub narodowego upokorzenia w przypadku niewywiązania się Polski z podjętych zobowiązań dotyczących spłaty zaciągniętych pożyczek.

sensownymi, choć niekoniecznie rozstrzygającymi argumentami że w miarę upływu czasu gospodarka centralistyczna typu radzieckiego napotyka coraz większe trudności w szybkim przyswajaniu innowacji technicznych i organizacyjnych, i że aby utrzymać wysokie tempo wzrostu, trzeba radykalnie zwiększyć również zakres podejmowania decyzji przez poszczególne przedsiębiorstwa, jak i rolę rynku w sterowaniu produkcją. Równocześnie stało się całkiem jasne, że biurokracja centralna ma duże opory w zaakceptowaniu tego poglądu, częściowo dlatego, że - słusznie czy niesłusznie - wydaje się one uważać decentralizację gospodarczą za groźbę dla istniejącej struktury politycznej, a częściowo dlatego, że pewne produkty uboczne takiej decentralizacji, jak wyższe bezrobocie, większe ryzyko utraty pracy, większa niestabilność cen i większe zróżnicowanie dochodów są uważane za szkodliwe i nie do zaakceptowania ze względów społecznych, politycznych i ideologicznych. W związku z tym, biurokracja centralna wkłada wiele trudu w usprawnienie istniejącego systemu ekonomicznego. Szukają one też rozwiązań w dziedzinie polityki gospodarczej, które uczyniłyby poważne zmiany systemowe abstrakcyjnymi.

Znaczny wzrost przepływu maszyn i umiejętności technicznych z Zachodu, który na początku lat siedemdziesiątych pojawił się jako realistyczny wariant polityki gospodarczej, wydawał się możliwością szczególnie wartą zbadania. Ta forma pobudzania wzrostu gospodarczego przez import, jaką zastosowano w Polsce, ma dwie fazy - A i B. W fazie A następuje gwałtowny wzrost importu maszyn. Finansuje się go częściowo lub całkowicie z kredytów. Ale wcześniej czy później przychodzi moment, kiedy trzeba zatrzymać wzrost nagromadzonych długów. W jakiś czas przed tym momentem zaczyna się faza B, w której wzrost eksportu przekracza wzrost importu, a cały dług zostanie spłacony. Polska weszła w fazę B w roku 1977 i w tej chwili stoi w obliczu rosnącej konieczności sprzedawania dużych ilości dóbr przemysłowych na bardzo konkurencyjnych rynkach zachodnich. Polskie przedsiębiorstwa, przyzwyczajone do łatwego rynku wewnętrznego, mają duże trudności z wyprodukowaniem dóbr odpowiadających standardom zachodnim. Przedsiębiorstwa w gospodarce rynkowej operują pod stałą presją groźby wyeliminowania z rynku. Aby przeżyć, muszą one ustawicznie poszukiwać nowych produktów i procesów wytwarzania, aby zdobyć zamówienia i zredukować koszty. W gospodarce centralnie planowanej tego rodzaju presja jest znacznie mniejsza. Ujawnia się tu wyraźny konflikt między potrzebą zwiększania importu z Zachodu a centralistycznym systemem zarządzania, który w efekcie ogranicza możliwości eksportowe. Potrzeba importu z Zachodu jednak nigdy nie wygaśnie, ponieważ utrzymanie a nawet zwiększenie przepływu technologicznego jest kluczowe dla dalszego zmniejszania różnic w poziomie technologicznym i standardzie życiowym, które to różnice nadal są znaczne. Wydaje się więc, że na dłuższą metę musi w krajach Europy Wschodniej przeważyć tendencja do bardziej elastycznych, rynkowo zorientowanych form zarządzania gospodarką.

Potrzeba reformy jest szczególnie silna w mniejszych krajach, które na ogół więcej eksportują i importują, jak Węgry, Czechosłowacja, Niemcy Wschodnie, i obecnie Polska. Potrzeba ta wydaje się narastać. Przyjście przez Polskę i inne kraje wschodnio-europejskie reform typu węgierskiego może więc być tylko sprawą czasu. Jednakże rząd polski bę-

dzie prawdopodobnie niechętny wkroczeniu na drogę poważniejszych reform gospodarczych przed przywróceniem równowagi na rynku wewnętrznym. Z drugiej strony, brak równowagi w handlu zagranicznym powinien być bodźcem raczej niż czynnikiem zniechęcającym.

Choćby względy ekonomiczne będą zapewne najważniejsze przy wyborze momentu i zakresu reform gospodarczych, to jednak czynniki społeczne i polityczne muszą również grać tu pewną rolę. Z tego punktu widzenia doświadczenie węgierskie jest bardzo pouczające. Doświadczenie to powinno łagodzić niepokoje elit politycznych, ponieważ wskazuje ono, że jeśli w ogóle istnieje jakiś związek między centralizacją gospodarki a ogólniejszą polityczną demokratyzacją, to jest on słaby. Decentralizacja gospodarki wiąże się wprawdzie z pewną dekoncentracją podejmowania decyzji i wpływów, ale proces ten jest w zasadzie ograniczony do nieco szerszej elity i nie wydaje się sam przez się prowadzić do współzawodnictwa między różnymi grupami tej elity o zdobycie poparcia zwykłych ludzi.

Ideologiczne i gospodarcze argumenty przeciwko reformie /która by przecięła obecny bezpośredni związek centrum z przedsiębiorstwami i dała przedsiębiorstwom swobodę w podejmowaniu o tym co, jak i w jakich ilościach produkować w odpowiedzi na sygnały rynku/ wydają się w dalszym ciągu cieszyć dużym respektem przywódców partyjnych. Tradycyjna doktryna marksistowska, że rynek i stosunki towarowo-pieniężne są charakterystyczne dla kapitalizmu i mogą być zaakceptowane przez socjalizm tylko jako coś przejściowego, nie została jeszcze, jak sądzę, całkowicie zarzucona. Członkowie partii wyznaczający tę doktrynę muszą uważać znaczniejsze reformy gospodarcze za krok w tył w kierunku "kapitalistycznej dżungli", gdzie tajemnicza "niewidzialna ręka", a nie partia, steruje biegiem wydarzeń. PZPR w Polsce, i w ogóle władze w całej Europie Wschodniej, obawiają się także wystąpienia szeregu społeczno-ekonomicznych zjawisk charakterystycznych dla gospodarki zorientowanej rynkowo. Trzy takie zjawiska przyczyniają zapewne najwięcej niepokojów: duże zróżnicowanie dochodów i bogactwa, wysokie bezrobocie, oraz tendencja do eksplozji płac i cen. Jednakże - w przeciwieństwie do Jugosławii - węgierska gospodarka nie jest w rzeczywistości w pełni rynkowo zorientowana. Państwo zachowało znaczną kontrolę zarówno nad rozkładem dochodów, jak i nad zmianami w czasie płac i cen. Nacisk na zyskowność został wzmocniony, ale stabilność zatrudnienia /w sensie małego ryzyka utraty pracy, niezależnie od rentowności przedsiębiorstw/ i kwestia nierówności dochodów w dalszym ciągu grają ważną, być może nawet dominującą rolę. Plany centralne nie są wiążące dla przedsiębiorstw, ale rynek jest silnie regulowany, zarówno za pomocą szeregu instrumentów monetarnych, jak i przez bezpośrednią kontrolę, nie jest wykluczone, że tolerowanie tego rodzaju mieszaniny wolnego rynku z centralizmem będzie coraz szerzej akceptowane jako cena za osiągnięcie przez gospodarki wschodnio-europejskie lepszej pozycji konkurencyjnej na rynku międzynarodowym.

PERSPEKTYWY W ZAKRESIE ROLNICTWA

Globalna produkcja rolnicza w Polsce podwoiła się w okresie 1950-1975, osiągając przeciętną stopę wzrostu 2,9 % rocznie. Jest to całkiem znaczne tempo wzrostu, tym bardziej

że powierzchnia ziemi pod uprawę zmniejszyła się o około 0,2 % rocznie. Jednak wydajność polskiego rolnictwa w dalszym ciągu jest jedną z najniższych w Europie, zarówno pod względem produkcji na jednostkę powierzchni, jak i na godzinę pracy. Bariery kulturalne, edukacyjne i strukturalne ograniczały asymilację współczesnej technologii rolniczej, przemysł produkujący na potrzeby rolnictwa rozwijał się stosunkowo wolno, a ponadto społeczność wiejska pracowała i inwestowała pod ciągłym zagrożeniem, czasem bardzo silnym, przymusowej "socjalizacji". W ciągu ubiegłych 30 lat dochody realne w Polsce były stosunkowo niskie, ale wzrastały znacznie szybciej niż produkcja rolnicza. Tempo wzrostu popytu na żywność powinno się jednak zmniejszać w miarę jak poziom dochodów rośnie. Od strony podaży, rezerwy produkcyjne są tak znaczne, że przeciętna stopa wzrostu 2,9 % powinna się jeszcze przez jakiś czas utrzymać. W zasadzie, wyjąwszy lata szczególnie niskiej produkcji, Polska powinna być w stanie opłacić import żywności wpływami z eksportu artykułów rolniczych. Przewidywanie to może brzmieć nader optymistycznie, co jest prawdą o tyle, że zakłada ono, iż rząd będzie się kierował w swojej polityce bardziej chęcią zwiększenia produkcji rolniczej niż doktryną "socjalizacji". Jednakże polscy komuniści niejednokrotnie okazali się rozsądnymi pragmatykami, zwłaszcza w czasach poważnych trudności gospodarczych.

Produkcja rolnicza w Polsce jest również pod dużym wpływem wahań pogody, co powoduje silne okresowe fluktuacje wokół długofalowego trendu. W latach 1969-71 poziom produkcji był około 5 % poniżej trendu, po czym podniósł się do około 5 % powyżej trendu w latach 1973-74. Nastąpiły trzy lata spadku produkcji, w roku 1977 znalazła się ona 10 % poniżej trendu. Ta luka jest teraz ważną rezerwą: w ciągu najbliższych 4-5 lat produkcja może się podnieść o 15-20 % ponad poziom z roku 1977. Wzrost tej wielkości mógłby znacznie poprawić zaopatrzenie w żywność, zwłaszcza że oczekuje się poważnego ograniczenia rocznych przyrostów siły nabywczej aż do początku lat osiemdziesiątych.

W okresie powojennym liczba zatrudnionych w rolnictwie była mniej więcej stała. Jednakże przeciętny wiek tej ludności wzrastał i w ostatnim okresie zaczęła poważnie rosnąć powierzchnia gruntów oddawanych przez starszych rolników. Proces ten stwarza możliwości dla młodszych lub bardziej przedsiębiorczych rolników, aby powiększyli swoje małe gospodarstwa. Jednakże rząd może łatwo zakłócić ten delikatny proces przejściowy, co miałyby bardzo niedobre skutki. Rząd może na przykład narzucić ograniczenie powierzchni gruntu, jaki wolno kupić prywatnemu rolnikowi lub, co znacznie gorsze, może ulec pokusie wykorzystywania omawianego procesu do wzmożonej socjalizacji. Sądząc z odgłosów prasowych pokusy takie były dość silne w latach 1974-75 i były zapewne czynnikiem, który miał swój udział w obniżeniu produkcji rolnej w tym okresie.

POLSKO-RADZIECKIE STOSUNKI GOSPODARCZE

Nieco cynicznie, być może, ale nie bez racji można powiedzieć, że Związek Radziecki wywiera stabilizujący wpływ zarówno na gospodarkę, jak i na życie polityczne Polski. Nie jest jednak całkiem jasne, co by się stało, gdyby Polska nie zdołała uzyskać dalszych kredytów na Zachodzie, lub nie

była w stanie spłacić któregoś z obecnych długów. Wydaje się mało prawdopodobne, aby w takiej sytuacji Związek Radziecki odmówił przyjęcia z pomocą. Pomoc radziecka byłaby zapewne obłożona warunkami, jak redukcja importu z Zachodu i ostry reżym oszczędnościowy wewnątrz kraju. W każdym wypadku byłaby to sytuacja ogromnie upokarzająca dla Polaków, a zapewne także dla polskiej elity rządzącej.

Zmiany w systemie cen RWPG w 1975 roku były krokiem w kierunku oparcia wymiany handlowej między ZSRR a Europą Wschodnią o bieżące ceny światowe w miejsce cen sprzed kilku lat. Związek Radziecki postanowił jednak nie zmieniać za szybko cen na swoją korzyść, bojąc się widocznie, że wyrządzą to zbyt wielkie szkody gospodarce krajów wschodnioeuropejskich i zagrożiliby ich stabilność. W szczególności cenę ropy naftowej podnosi się stopniowo: w 1976 roku wynosiła ona około 2/3 ceny światowej. Polski import ropy i produktów naftowych z ZSRR wyniósł w 1976 roku 14 mln ton i ta różnica w cenie oznaczała około 350 mln dolarów oszczędności. Jednocześnie Polska wraz z innymi krajami wschodnioeuropejskimi partycypowała we wspólnych przedsięwzięciach inwestycyjnych na terytorium radzieckim. Udział taki jest rodzajem kredytu dla ZSRR i ma być spłacony w przyszłości dostawami gazu naturalnego i innych surowców. W obecnej chwili byłoby trudno powiedzieć, czy Polska straci czy zyska na tych przedsięwzięciach.

UWAGI KOŃCOWE

Gdyby spróbować przewidywać przyszłość, można być niemal pewnym, że Polsce nie uda się zwiększyć w jej eksporcie udziału eksportu na Zachód, i to pomimo napływu w ostatnich latach nowoczesnej technologii. Jak często w przeszłości, Polska znów stoi w obliczu niepokojącego dylematu: albo dokonać reform gospodarczych i spróbować jeszcze raz zacieśnić więzy ekonomiczne z bardziej technologicznie zaawansowanym Zachodem, albo zostać przede wszystkim dostawcą na stosunkowo mniej wymagające i mniej konkurencyjne rynki ZSRR i Europy Wschodniej.

Jednakże bliższym i bardziej obecnie palącym problemem jest przywrócenie równowagi na rynku wewnętrznym i w handlu zagranicznym. Wymaga to między innymi wprowadzenia w życie niepopularnej polityki znacznego zwolnienia wzrostu dochodów pieniężnych. Posunięcie takie nie może liczyć na szersze poparcie ludności, zwłaszcza że uważa się słusznie, że kosztowne i w tej chwili już potencjalnie bardzo ryzykowne zakłócenie równowagi w obu tych sferach jest rezultatem decyzji podjętych nie tylko bez mandatu społeczeństwa, ale nawet bez konsultacji z nim. Również obecnie nie informuje się narodu o aktualnym zadłużeniu Polski, o oprocentowaniu i terminach spłat zaciągniętych pożyczek, ani o tym, czego w tym zakresie można oczekiwać w przyszłości /względem tego typu informacje są dostępne bankom i rządowi zachodnim/. Dyskusje na ten temat w środowiskach masowego przekazu toczą się w sferze ogólników, bez podawania pełnego obrazu lub szczegółowej analizy. W tych okolicznościach zwyczajni ludzie mogą uważać, że jeśli rząd im nie ufa, to nie ma powodu aby ani ufali rządowi. Niestety ta bariera nieufności jest ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili w Polsce trzeba.

POST SCRIPTUM /kwiecień 1979/

Na żądanie grupy banków zachodnich, do których Polska zwróciła się ostatnio z prośbą o pożyczkę w wysokości 500 milionów dolarów, Bank Handlowy w Warszawie przygotował memorandum, w którym ujawnia aktualny stan zadłużenia kraju oraz wysokość kolejnych rocznych rat, w jakich dług ten ma być spłacony. Istotne punkty tego dokumentu opublikował londyński *Financial Times* /16 marca 1979/ w artykule *Polish debts will cost half earnings* /Polskie długi będą kosztować połowę wpływów/. Okazuje się, że zadłużenie Polski na Zachodzie pod koniec 1978 r. wynosiło "nieco ponad 15 miliardów dolarów". Mój szacunek w Tabeli 2 /15,7 mld/ jest więc nieco zawyżony. Blisko połowę tego długu stanowią pożyczki krótkoterminowe, które trzeba spłacić w latach 1979-1981, przy czym 2,75 mld przypada na rok bieżący, 2,4 mld na rok przyszły oraz 1,5 mld na rok 1981. Ponadto, w roku 1979 procenty wyniosą dodatkowe 1,35 mld dolarów, czyli w sumie procenty i tegoroczna spłata wyniosą 4,1 mld dolarów. Polski eksport w roku 1979 ma przynieść 6,2, a wpływy za usługi, eksport wewnętrzny i przekazy Polonii zagranicznej dalsze 1,4 mld dolarów. Tak więc w roku 1979 około 54 % wszystkich wpływów dolarowych trzeba przeznaczyć na spłatę długu i procentów /stąd tytuł artykułu w *Financial Times*/. Pozostałe 46 % wpływów /3,5 mld/ wystarczy na opłacenie mniej niż połowy tegorocznego importu dóbr i usług, szacowanego na 7,6 mld dolarów. Pozostałe 4,1 mld trzeba pożyczyć. Wynik netto jest taki, że w roku bieżącym samierza się spłacić 2,75 mld starych długów i zaciągnąć 4,1 mld nowych pożyczek, zwiększając całkowite zadłużenie pod koniec 1979 do około 16,4 mld dolarów. Jest to o 1,6 mniej niż podaję w Tabeli 2. Mój szacunek nie uwzględnia /dotąd nieznanego/ wpływu netto za usługi i eksport wewnętrzny, które wg memorandum wyniosą około 650 mln dolarów w roku 1979. W świetle tej nowej informacji, zadłużenie Polski będzie prawdopodobnie rosnąć do końca roku 1981, zamiast do końca 1982, i wyniesie około 18 mld pod koniec roku 1981. Planisci w Polsce są nader optymistyczni przewidując szybki wzrost wpływów z eksportu i praktycznie niesmienne wydatki na import. Sumę 18 mld trzeba więc uważać za dolną granicę zadłużenia pod koniec roku 1981, przy górnej granicy wynoszącej 20 mld dolarów /co najmniej/.

Od napisania niniejszego artykułu upłynęło szereg miesięcy. Wydarzenia w tym czasie potwierdzają istnienie bardzo napiętej i autentycznie kryzysowej sytuacji gospodarczej kraju. Władze polityczne zdecydowały się wreszcie na daleko idące cięcia wydatków inwestycyjnych, szczególnie w przemyśle produkującym dobra inwestycyjne. Zwiększono także dyscyplinę w dziedzinie importu i dochodów ludności. Wreszcie, co jest również bardzo ważne i pomyślnie, banki zachodnie okazują się być nadal skłonne do dalszego udzielania Polsce wielomiliardowych pożyczek. W sumie trzy te czyniki mogą wyprowadzić Polskę ze stanu obecnego, potencjalnie niebezpiecznego kryzysu, ale na to potrzeba aby one wszystkie działały przez okres dwóch do trzech lat. W tym czasie wiele się wszak może wydarzyć.

Stanisław Gomułka

Edward SZCZEPANIK

Poglądy polskiego ruchu oporu na politykę gospodarczą

I. Wstęp

1. Polski ruch oporu u schyłku lat 70-tych nie posiada jeszcze wyraźnie ukształtowanych, jednolitych poglądów na politykę gospodarczą. Nie ma więc on uzgodnionego programu reform ekonomicznych ani na najbliższe lata ani na dalszą przyszłość. Można jedynie mówić o zasadach ekonomicznych Programu Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, o kilku głównych postulatach przyjętych przez Ruch Demokratyczny i o szeregu propozycji reformatorskich wysuwanych bądź przez poszczególnych ekonomistów bądź przez ich małe zespoły jako materiał do debaty na łamach niecenzurowanych wydawnictw krajowych lub emigracyjnych. Poważne nieraz różnice zdań odzwierciedlają oczywiście indywidualne poglądy na cele, środki i sposób formułowania polityki gospodarczej. Poglądy te są kształtowane zarówno pod wpływem polskich jak i obcych doktryn ekonomiczno-politycznych oraz pod wpływem osobistej interpretacji doświadczeń ostatnich 34 lat.

2. Zgodnie z powyższym obrazem ogólnym, niniejsze opracowanie przedstawi:

- zasady ekonomiczne Programu Polskiego Porozumienia Niepodległościowego,
- postulaty gospodarcze Ruchu Demokratycznego,
- poglądy ekonomiczne czołowej postaci Ruchu Demokratycznego, prof. E. Lipińskiego,

- "minimalny" program reform gospodarczych,
- "maksymalny" program reform gospodarczych,
- próbę podsumowania programu i taktyki reform gospodarczych polskiego ruchu oporu.

II. Zasady ekonomiczne Programu Polskiego Porozumienia Niepodległościowego

3. Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego /PPN/ ogłoszony w maju 1976 stawia jako ogólne cele gospodarcze "dobrobyt mierzony poczuciem ludzi, nie naciągany przekroczeniami wydymanych planów" oraz "postęp gospodarki narodowej bez ciągłego wymagania poświęceń i wyrzeczeń od wielomilionowych rzesz pracujących" /PPN - Polskie Porozumienie Niepodległościowe, Instytut Literacki, Paryż, 1978, str. 11/. Jak wykażemy poniżej, ta "zasada dobra społecznego" leży u podstaw wszystkich poglądów polskiego ruchu oporu na politykę gospodarczą. Program PPN rozwija tę zasadę i zarysowuje drogi do jej realizacji w następujący sposób:

- "Musimy odciążyć zmuszane do największego wysiłku grupy ludności /rolnicy, pracownicy słabiej inwestowanych gałęzi przemysłu, górnicy/, natomiast pełniej spożytkować możliwości innych" /str. 21/.
- W tym celu "należy wprowadzić konsekwentne rozdzielenie politycznej i gospodarczej sfery życia państwowego" /s. 23/

- W szczególności, "ożywienie gospodarki narodowej wymaga... zniesienia narzuconych przez ideologiczny dogmatyzm ograniczeń, dotyczących przedsiębiorstw nie-państwowych, przede wszystkim wielkich kooperatyw i spółek akcyjnych. Państwo zachowa w swoim ręku całkowicie kluczowe gałęzie przemysłu, przede wszystkim energetycznego" /str. 24/.
- Podobnie, "przedsiębiorstwa państwowe i spółdzielcze powinny ograniczyć się do prowadzenia handlu na wielką skalę, w formie firm przewozowych, domów towarowych i supermarketów. Cała reszta sieci handlowej i usługowej będzie działać o wiele bardziej sprawnie i dochodowo, kiedy się ją odda w ręce prywatnych właścicieli albo małych spółek, samorządnie organizowanych" /str. 25/.
- Wreszcie - "last but not least" - "polityka agrarna musi ulec zasadniczej zmianie". Rolnikom trzeba zagwarantować własność posiadanej ziemi, usuwając widmo kolektywizacji. Należy im umożliwić dowolne skupywanie ziemi i maszyn rolniczych, a także zatrudnianie pracowników. Należy znieść ograniczenie obszarów uprawianych przez indywidualnych właścicieli, a spółki oprzeć na zasadzie dobrowolności i całkowitej autonomii. Modernizującym gospodarstwa rolnikom należy udzielać odpowiednich kredytów. Specjalne znaczenie ma podniesienie poziomu życia na wsi i unowocześnienie mieszkań, budowa dróg dojazdowych, udostępnianie ciągników i samochodów, nadających się na potrzeby indywidualnych gospodarstw" /str. 25/.

4. Ponadto Program PPN podkreśla - podobnie jak i większość wypowiedzi, które omówimy poniżej - konieczność dopuszczenia "pracowników wszystkich przedsiębiorstw państwowych, a przede wszystkim zakładów produkcyjnych do współzarządzania tymi przedsiębiorstwami" /str. 23/. Wielka waga przywiązywana do tego postulatu, prawdopodobnie w zapatrzeniu na wątpliwą wartość wzorcowego jugosłowiańskiego, nie wydaje się być należyście uzasadniona - w przeciwieństwie do innych punktów Programu. Opinię tę wysuwamy w odpowiedzi na "Oświadczenie" PPN z grudnia 1976, wyrażające "nadzieję, że emigracja pomoże w kontynuowaniu dyskusji" na temat Programu /str. 33/, gdyż "Polonia zagraniczna stanowi bezcenny kapitał narodowych możliwości i doświadczeń" /str. 20/.

5. W związku z powyższym należy zwrócić uwagę na pogląd PPN, że Europejska Wspólnota Narodów, jako "zespół państw, który ze względu na specyfikę gospodarczą jest dla nas najpoważniejszym partnerem handlowym, jest również naszym naturalnym ideowym sprzymierzeńcem" /str. 19/, a więc nie Związek Sowiecki i nie "rządzone przez komunistów kraje wschodniej i środkowej Europy", które "zapatrzone są w przeszłość, nie przyszłość" /str. 20/. "Potrzebne jest samodzielne i twórcze przemysłowe możliwości ekonomiczne naszego kraju i jego miejsca w gospodarce Europy i świata" /str. 20-21/. Jak wykażemy poniżej, w tym kierunku pracuje ruch oporu w kraju i obowiązkiem polskiej emigracji politycznej jest włączenie się do tej pracy.

III. Deklaracja Ruchu Demokratycznego

6. Deklaracja Ruchu Demokratycznego z r. 1977, podpisana przez 110 czołowych przedstawicieli wolnościowego ruchu oporu w Kraju, w części pierwszej, wśród ogólnych postulatów, wolności, jak wolność przekonań, słowa i informacji, zrzeszeń, stowarzyszeń i zgromadzeń, kładzie silny nacisk na wolność pracy. Deklaracja stwierdza, że "Wolności tej nie ma, gdy władza państwowa uznaje sobie prawa jedynego

pracodawcy, a związki zawodowe podporządkowane są partii rządzącej... Dlatego wszystkim pracującym należy zapewnić możliwość swobodnego wyboru własnej reprezentacji zawodowej, niezależnej od organów państwowych lub partyjnych. Należy zagwarantować również prawo do strajku". W szczególności, "niezbędne jest tworzenie przedstawicielstwa chłopów i drobnych wytwórców - w oparciu o istniejące na wsi organizacje lub niezależnie od nich".

7. Deklaracja również podkreśla wagę swobody konsumenta, mówiąc że "celem stałej i odpowiedzialnej kontroli jakości produktów i cen, spółdzielczości mieszkaniowej i nieucziwej dystrybucji towarów - nieodzowne jest sformowanie się ruchu konsumentów, który kontrolę taką wzięby w swoje ręce".

8. Deklaracja ponadto wystosowuje apel, głosząc, że "od ekonomistów, inżynierów, socjologów i wszystkich tych, którzy z racji zatrudnienia i kwalifikacji świadomi są stanu gospodarki narodowej i konieczności jej naprawy - oczekujemy współdziałania w pracy nad zagadnieniem reformy gospodarczej oraz publikowania w niezależnym ruchu wydawniczym sprawozdań, tez, projektów związanych ze stanem gospodarki i jej reformą".

9. Powyższy apel należy chyba rozumieć jako z jednej strony przyznanie, że poglądy Ruchu Demokratycznego na politykę gospodarczą Kraju są dopiero w trakcie formułowania, z drugiej zaś strony jako wzwanie do wzięcia udziału w tym procesie, odnoszące się w pierwszym rzędzie do odpowiednich ekspertów w Kraju, ale chyba również - jak apel PPN - do polskich ekspertów wśród emigracji politycznej, których nie brak, lecz którzy, niestety, w znikomej tylko liczbie i w bardzo ograniczonym zakresie wykorzystują swoje możliwości.

10. Odpowiadając więc choćby częściowo na powyższy apel, należy stwierdzić, że pomimo całkowicie słusznego postulatu wolności pracy, Deklaracja nie stawia kropki nad "i". Nie wysuwa bowiem ona bezpośrednio żądania wolności w wyborze rodzaju, miejsca i formy organizacyjnej pracy, z czym łączy się oczywiście postulowana przez PPN możliwość zakładania indywidualnych, grupowych lub spółdzielczych przedsiębiorstw gospodarczych oraz zapewnienie warunków swobodnego działania, rozwijania się, sprzedaży i dziedziczenia takich przedsiębiorstw. Bez takich warunków nie może być mowy o pełnej wolności pracy w systemie, gdzie jedynym pracodawcą jest państwo, nawet jeśliby uznało ono zasadę wolności związków zawodowych i prawo do strajków oraz wprowadziło Kodeks Pracy proponowany przez Deklarację.

11. Co więcej, wolność pracy jest tylko jednym z wielu aspektów szerszego pojęcia wolności ekonomicznej, obejmującego oczywiście swobodę konsumenta w wyborze dóbr i usług oraz ich dostawców, której nie ma w systemie monopolizującym w rękach państwa wewnętrzny i zewnętrzny handel. Nie zaprzeczając pożądaności "ruchu konsumentów" proponowanego przez Deklarację jako środka do zapewnienia swobody konsumenta, należy podkreślić, że jego wpływ byłby znikomy bez zniesienia państwowego monopolu w handlu wewnętrznym i zagranicznym. Trzeba też pamiętać, że ideał wolności ekonomicznej obejmuje również swobodę każdej jednostki gospodarczej i narodu jako całości w rozdziale swego dochodu między spożyciem /konsumpcją/ i oszczędnościami /inwestycjami/, eksportem i importem /dokład, skąd i na jakich warunkach/. Wolność ekonomiczna oznacza też swobodę w posiadaniu, gro-

madzeniu, dysponowaniu, użytkowaniu i dziedziczeniu kapitału, zgodnie z demokratycznie ustalonymi zasadami sprawiedliwości społecznej. W związku z tym, uderza w Deklaracji brak wyraźnego postulatu zachowania prywatnej własności w rolnictwie i rzemiośle.

12. Idąc dalej po linii apelu Ruchu Demokratycznego, należy stwierdzić, że Deklaracja, koncentrując się słusznie na najbardziej zagrożonych celach polityki, która dążyłaby do maksymalizacji dobra społecznego, tj. na wolności pracy i swobodzie wyboru konsumenta, pomija zupełnie inne tak zasadnicze cele, jak sprawiedliwość gospodarczą, pełne zatrudnienie, wzrost dochodu i majątku narodowego oraz stabilność całego systemu ekonomicznego. Nie ma też w Deklaracji, oczywiście, omówienia ani hierarchii tych konkurujących ze sobą celów /poza wyraźnie naczelną wolnością pracy/, ani warunków i środków do ich osiągnięcia. Zobaczymy, jak te różne pominięte zagadnienia są traktowane przez ekonomistów krajowych związanych z Ruchem Demokratycznym. Ograniczymy się jednak tylko do kilku ważniejszych niedawnych wypowiedzi, jakie do nas dotarły.

IV. Poglądy prof. Edwarda Lipińskiego

13. Prof. Edward Lipiński, nestor polskiej ekonomii politycznej, jest czołową postacią Ruchu Demokratycznego. Podpisując się pod Deklaracją dał on dowód przyjmowania jej tez, ale rozpracował swoje poglądy niedawno w Głosie /nr 2, początek 1978 r./ w artykule pt. "Fikcja i Rzeczywistość". Na specjalne podkreślenie zasługuje twierdzenie, że "zasada dobra społecznego może być realizowana jedynie w drodze konfrontacji i walki sprzecznych interesów", akcentujących różne cele. Zasada ta jest "sprzeczna z naczelną zasadą panującej /w PRL/ ideologii, że partia i państwo same zapewniają pełną realizację dobra społecznego". Ideologię tę należy więc odrzucić i zapewnić takie zmiany polityczne, które by umożliwiły swobodę zrzeszania się grup społecznych w obronie swoich interesów. Innymi słowy, prof. Lipiński potępia totalitaryzm i woła o pluralizm polityczny, bez którego nie może być mowy o polityce wiodącej do maksymalizacji dobra społecznego.

14. Krytykując system centralnego planowania jako rzekome narzędzie do maksymalizacji dobra społecznego w PRL, prof. Lipiński demaskuje ten system jako fikcję, która ma charakter zupełnie przypadkowych decyzji pobieranych pod naciskiem "różnych uprzywilejowanych grup i jednostek", powodując ogromne zaniedbania szczególnie w takich dziedzinach jak budownictwo mieszkaniowe, szpitale, publiczne środki transportu i komunikacji. "Plany są z reguły zbyt ambitne, stawiane im terminy wykonania są za krótkie, a zaplecze kooperacyjne nie zapewnione czy wręcz nie wzięte pod uwagę. To z kolei powoduje... zjawisko wykonania niedbałego - czy po prostu fikcyjnego". I dalej: "Zamiast planowania centralnego zastosowano... zasadę zarządzania centralnego.. To zaś... prowadzi do biurokratyzowania działalności gospodarczej, do administrowania w sposób dyktatorski czy wprost policyjny... zapominając, że wszelki postęp, a więc i gospodarczy wynika z kreatywności człowieka i jego kwalifikacji intelektualnych i moralnych". W pośredni więc sposób prof. Lipiński precyzuje zasady dobrego planowania gospodarczego, które popiera, podkreślając jednak, że jest to zadanie niezwykle trudne i skomplikowane, wymagające przede wszystkim wiarygodnego systemu informacji w szcze-

gólności co do inwestycji, wśród których pierwszeństwo należy dawać tym, które "usuwać... jakieś wyjątkowo dotkliwe wąskie gardło, limitujące normalny rozwój wielu innych działów gospodarki".

15. Rozwijając wysuniętą w Deklaracji zasadę swobody wyboru konsumenta w odniesieniu do produkcji, prof. Lipiński potępia istniejący system organizacji i funkcjonowania państwowych przedsiębiorstw przemysłowych. "Producent wytwarza to, co dla niego jest najłatwiejsze i najbardziej korzystne, a nie to, czego chce konsument. Jakość wyrobów jest zła, ponieważ cały system bodźców jest nastawiony na ilość - na wykonanie planów, w imię mitu maksymalnej stopy wzrostu. W przedsiębiorstwie powstają kliki i niekiedy zgoła 'gangi', rządzące się wyłącznie własnym interesem. Uległo też ruinie tzw. morale pracy, a jej niska jakość i wydajność wynika... z tego, że sama organizacja zakładów jest... wadliwa. Istnieje ujemna selekcja kadry kierowniczej, dobranej z punktu widzenia przynależności partyjnej i stopnia gwarancji, że dany człowiek będzie całkiem posłuszny. Zamiast selekcji kierującej się wyborem najlepszych - systematycznie wybiera się miernoty i w rezultacie dało to zanik inicjatywy". I dalej: "Istnieje wiara w moc i efektywność wielkich organizacji gospodarczych ze względu na rzeczywiste niekiedy, ale często rzekome tylko korzyści wielkiej skali produkcji. Zniszczono rzemiosło, drobny przemysł, pozbawiając kraj bardzo ważnych źródeł zaopatrzenia. To prowadzi... do powstawania monopolu 'pseudo-socjalistycznych'... które są w stanie korzystać z wszelkiej okazji podnoszenia cen, natomiast nie pracują pod jakimkolwiek realnym naciskiem w kierunku obniżania kosztów i poprawiania techniki... Brak jest wszelkiej konkurencji zagranicznej, która mogłaby zmusić przedsiębiorstwa do produkowania wyrobów lepszych i tańszych... Nie istnieje żadna organizacja obrony czy samoobrony konsumentów". Ten silny atak prof. Lipińskiego na wadliwość organizacji, funkcjonowania i kontroli przedsiębiorstw przemysłowych w PRL ilustruje oczywiście, choć znów raczej w sposób pośredni, jakiego rodzaju reformy w tej dziedzinie wydają się być palącą koniecznością. Temat ten wydaje się również zajmować pokaźne miejsce w toczącej się w Kraju debacie na temat obecnej sytuacji gospodarczej i dróg naprawy, przesuwając na dalszy plan cały szereg bardziej zasadniczych problemów.

V. "Minimalny" program reform gospodarczych

16. W marcu 1978 roku Niezależna Oficyna Wydawnicza opublikowała "Uwagi o Sytuacji Gospodarczej Kraju" opracowane przez anonimową grupę "zawodowych ekonomistów"; poprzedzone jednak wstępem prof. Lipińskiego, a więc niewątpliwie stanowiące ważny przyczynek do krystalizowania się poglądów Ruchu Demokratycznego na politykę gospodarczą. Prof. Lipiński podkreśla "minimalizm" autorów "Uwag", co tłumaczy tym, że "postanowili oni zmieścić swe propozycje w ramach tak zwanej kierowniczej roli partii", ufając, że dzięki temu opracowanie ich "zostanie zauważone przez władze". Większa część "Uwag" jest poświęcona omówieniu sytuacji gospodarczej i przyczyn obecnego kryzysu, wśród których wymienia się konserwatywny system polityczny i brak programu. Aby zbyt nie przedłużać niniejszego referatu, pominiemy tę część "Uwag", zakładając, że obecny kryzys gospodarczy Kraju i jego przyczyny są powszechnie znane. Ograniczymy się więc do streszczenia części programowej "Uwag".

17. Zdaniem autorów "Uwag", warunkiem wyjścia z kryzysu gospodarczego są minimalne zmiany w systemie społeczno-politycznym, zrozumienie przez całe społeczeństwo obecnej trudnej sytuacji i opracowanie doraźnego i długookresowego programu polityki gospodarczej. Jako minimum zmian społeczno-politycznych autorzy wymieniają ograniczenie działalności cenzury, bez czego "nie jest możliwa dyskusja o problemach gospodarczych"; "umożliwienie swobodnego przepływu informacji", zmiany "w sposobie funkcjonowania instytucji przedstawicielskich, tj. Sejmu i Rad Narodowych"; "samodzielność związków zawodowych" oraz tworzenie "autentycznych organów samorządowych w zakładach pracy". Jeśli chodzi o zrozumienie kryzysu przez społeczeństwo, autorzy "Uwag" kładą nacisk na konieczność ogólnego uświadomienia, "że wzrost spożycia i płac nie może być obecnie szybki" ze względu na olbrzymie zadłużenie, przekraczające 20 mld dolarów, spadek przyrostu ludności w wieku produkcyjnym, pogorszenie się bilansu surowców energetycznych i konieczność "zwiększenia nakładów na rolnictwo w związku z jego mechanizacją". Autorzy "Uwag" nie widzą możliwości przekraczającego 3-4 % rocznie wzrostu płac realnych /raczej o wiele mniej, jeśli nie zahamowania tego wzrostu/, ale podkreślają jednocześnie "niebezpieczeństwo rozwiązywania kryzysu kosztem społeczeństwa", tj. po prostu przez drastyczne ograniczenie spożycia przy rezygnacji z reform.

18. Propozycje zmian doraźnych autorów "Uwag" obejmują jednak "pewne zmniejszenie globalnego popytu ludności, tzn. podwyższenie niektórych cen bez rekompensat dochodowych", w szczególności cen mięsa, wódki /pochłaniającej 12,7 % wydatków ludności/ i ewentualnie tytoniu. Równolegle jednak "powinny być również podjęte środki w rolnictwie gwarantujące znaczny przyrost podaży mięsa". Zdaniem autorów, natomiast należy obniżyć ceny artykułów dziecięcych i książek, szczególnie przez ograniczenie "bezwartościowej literatury propagandowej". "Program oszczędnościowy" powinien też obejmować "kroki zmierzające do likwidacji przywilejów i ograniczenia rażąco wysokich dochodów niektórych grup ludności". Wśród innych zmian doraźnych, autorzy "Uwag" proponują, że "do czasu wprowadzenia zreformowanego systemu funkcjonowania gospodarki - należy ustabilizować /nieco tylko poprawiony/ system zarządzania". Pomysł ten budzi poważne zastrzeżenia. Sugerują oni jednak dokonanie jak najszybszego przesunięcia środków w obrębie rolnictwa, ograniczenie relatywnie wysokich środków /szczególnie nawozów i pasz/ kierowanych do rolnictwa uspołecznionego i zwiększenie przydziałów dla rolnictwa chłopskiego". Konieczne jest również "zredukowanie nadmiernie rozbudowanego aparatu centralnej biurokracji". Dalej, zdaniem autorów "Uwag", "konieczne jest natychmiastowe podjęcie środków zmierzających do poprawy w budownictwie mieszkaniowym" oraz ograniczenie spekulacji mieszkaniowej. Wreszcie, "analizie poddany powinien być program inwestycyjny, pod kątem poszukiwania możliwości redukcji nakładów na pochłaniające gigantyczne sumy takie przedsiębiorstwa, jak np. Huta Katowice". "Rezerw należy również poszukiwać w redukcji programów inwestycyjnych nastawionych na produkcję dóbr luksusowych. Oszczędności te pozwoliłyby na zwiększenie inwestycji w dziedzinach takich jak służba zdrowia, gospodarka komunalna czy ochrona środowiska".

19. Kierunki zmian długoplanowych są tylko z grubsza

przez autorów "Uwag" zarysowane w postaci czterech następujących zasad:

- "Samorząd pracowniczy w organizacjach gospodarczych powinien mieć duży wpływ na ich działalność, a szczególnie na obsadzanie stanowisk kierowniczych oraz na decyzje rozwojowe". Zasada ta jest rozwinięciem postulatu wolności pracy zawartego w Programie PPN i w Deklaracji Ruchu Demokratycznego. Prof. Lipiński nazywa to koncepcją Rad Nadzorczych.

- "Centralne organa gospodarcze dysponować powinny dostateczną gamą instrumentów ekonomicznego oddziaływania na organizacje gospodarcze, tak by istniała gwarancja planowego regulowania wszystkich istotnych procesów gospodarczych zgodnie ze społecznymi preferencjami". Ten raczej mgliście sformułowany postulat wydaje się pokrywać z "planowaniem w imię dobra społecznego" według wyżej przedstawionych poglądów prof. Lipińskiego.

- "W system powinny być wbudowane rozwiązania przeciwdziałające nadmiernemu różnicowaniu dochodów płacowych między poszczególnymi organizacjami gospodarczymi i wewnątrz nich". Ten słuszny postulat wydaje się iść wyrażnie w kierunku realizacji zasady sprawiedliwości gospodarczej, chociaż ani autorzy "Uwag" ani "Deklaracja" lub nawet prof. Lipiński nie dają pełnej analizy znaczenia tej zasady i środków do wprowadzenia jej w życie.

- Powołanie niezależnej od władz państwowych "organizacji konsumentów". Organizacja ta powinna być samorządna, a do jej kompetencji powinno należeć przede wszystkim badanie wyrobów wytworzonych na użytek ludności pod kątem oceny ich walorów użytkowych, porównanie walorów użytkowych wyrobów substytucyjnych, krajowych z zagranicznymi oraz ocena walorów użytkowych wyrobów w stosunku do ceny. Organizacja ta powinna mieć również prawo do określania cech wyrobów standartowych, przyznawania znaków jakości oraz oczywiście publikowania wyników swoich badań". Ten postulat jest znów rozwinięciem zasady swobody konsumenta przyjętej przez "Deklarację" i podkreślanej przez prof. Lipińskiego. Wątpliwości dotyczące tego "instytucjonalnego" rozwiązania problemu swobody konsumenta wyrażiliśmy wyżej w par. 11.

20. Reasumując, wydaje się, że propozycje reformatorskie autorów "Uwag" są naogół słuszne, że praktycznie nie wykraczają one poza ramy Deklaracji Ruchu Demokratycznego i że pokrywają się z poglądami prof. Lipińskiego, który ten "minimalny program" uważa za podejście "racjonalne, a w chwili obecnej - jedynie możliwe", podkreślając że "program... jest adresowany... do rządu, do kierownictwa partii sprawującej władzę". Powstaje jednak kwestia, czy rzeczywiście program reform w imię wolności ekonomicznej i dobra społecznego skierowany jest pod właściwym adresem. Podejmując to pytanie i zmieniając "adres" programu, niektórzy ekonomiści krajowi dochodzą do o wiele śmielszych postulatów, które z kolei omówimy.

VI. "Maksymalny" program reform gospodarczych

21. Artykuł "Diagnoza i program", zamieszczony w 1 numerze niezależnego pisma Droga /Warszawa, czerwiec-lipiec 1978/ zawiera stenogram ze spotkania ekonomistów Walentego Niedbała, Krzysztofa Ostańca i Andrzeja Skrzętnego /nazwiska te wydają się być pseudonimami/ z członkami zespołu redakcyjnego Drogi. W czasie tego spotkania dyskutowano nad wyżej omówionymi "Uwagami". Artykuł Drogi, podobnie jak i

"Uwagi" zostały opublikowane w nr 20 Aneksu w Sztokholmie w r. 1979 i na tej publikacji oparte jest poniższe omówienie. Dla skrótów, wspomnianych ekonomistów będziemy nazywać symbolem "NOS".

22. NOS twierdzi, że minimalizm autorów "Uwag" jest błędem taktycznym i psychopolitycznym: "Wieloletnie doświadczenie współistnienia z komunistami uczy nas, że na racjonalność argumentów nie są oni wrażliwi, minimalizm przeciwników traktują jako ich słabość, a ustępują przed siłą, która może zagrozić ich władzy... Formułować program minimalistyczny to znaczy dobrowolnie rozbrajać się z tej siły". NOS krytykuje więc autorów "Uwag", że proponują oni tylko zmiany w funkcjonowaniu sejmu i rad narodowych, podczas gdy "społeczeństwo musi być suwerenne w wysuwaniu kandydatów na swoich przedstawicieli" i w tym celu wybory muszą być politycznie zorganizowane według ideowych zasad.

23. Przechodząc do propozycji gospodarczych i zaczynając jak "Deklaracja" od wolności pracy, NOS uważa, że powołanie organów samorządu robotniczego w zakładach pracy jest propozycją niepełną. "Realizacja prawidłowego samorządu pracowniczego musi zmienić nie tylko tzw. system zarządzania, lecz również stosunki własności". Zanotujmy zbieżność tego stanowiska z naszym poglądem wyrażonym w par. 4 i 10 powyżej. NOS dodaje też konieczność odbudowy samorządu terytorialnego i uwolnienie go od dyktatu centralistycznego państwa.

24. NOS przeciwstawia się autorom "Uwag" w odniesieniu do propozycji ograniczenia żądań podwyżek płacowych i odrzuca motywację opartą na wielkości długów zagranicznych. Długi te, zdaniem NOS'a, powinny być spłacone przez przemysł, który z nich korzystał. Natomiast "żądania podwyżek płac ze strony szerokich rzesz ludzi pracy są jak najbardziej uzasadnione", gdyż "stopa życiowa polskiego robotnika i pracownika jest... o wiele niższa niż w krajach Europy zachodniej i niższa niż w większości europejskich krajów tzw. socjalistycznych". NOS przypomina, że tzw. "manewr gospodarczy" /częściowe zmiany struktury produkcji przemysłowej, budownictwa, handlu zagranicznego i systemu zarządzania/ został ogłoszony pod presją wypadków z czerwca 1976 r... gdy ludzie pracy przeciwstawili się zamachowi na ich płace realne. "W tej sytuacji nawoływanie przez opozycję do rezygnacji z podwyżek płac oznaczałoby rezygnację z jedynego narzędzia, przy pomocy którego można wymusić na partii pewne, tak konieczne zmiany gospodarcze". W związku z tym, odnośnie proponowanych przez autorów "Uwag" zmian w strukturze /cen/, NOS zgadza się z koniecznością podniesienia cen wód, papierosów i mięsa, aby powiększyć produkcję zwierzęcą, sugeruje jednak zmiany kompensacyjne w postaci obniżki cen towarów przemysłowych pierwszej potrzeby, głównie odzieży i materiałów włókienniczych.

25. Zdaniem NOS'a, w programie autorów "Uwag" nie ma "propozycji najważniejszej": szybkiej i głębokiej zmiany struktury produkcji przemysłowej, struktury handlu zagranicznego i struktury płac. Wadliwość struktury płac ilustruje "fakt, że lekarz lub nauczyciel zarabia połowę tego, co pomocnik robotnika na budowie Huty Katowice". W związku z koniecznością głębokich zmian strukturalnych, NOS odrzuca zaletę autorów "Uwag", aby na okres przejściowy ustabilizować obecny nakazowy system zarządzania oraz by wzmocnić centralne planowanie. Zastrzeżenia co do tego pomysłu wyra-

ziliśmy powyżej w par. 18. NOS idzie dalej i otwarcie woła: "Panowie, przecież tego właśnie chce władza! Oni nic innego nie robią, tylko stabilizują i wzmacniają, ale czynią to wszystko naszym - społeczeństwem - kosztem. Stabilizacja i wzmacnianie centralnego planowania niczego już nie poprawi, ani doraźnie, ani perspektywicznie, natomiast wzmocni tylko bezprzykładną eksploatację, jakiej nasz kraj jest poddany". Najbardziej jaskrawą formą tej eksploatacji jest wywóz polskiego węgla, mięsa i cukru do Związku Radzieckiego. Na tle postulatów wzmacniania planu już nawet nie dziwi NOS'a nadzieja, jaką autorzy "Uwag" wiążą z niezależną od państwa organizacją konsumentów. Przypomnijmy raz jeszcze nasze zastrzeżenia co do tego pomysłu wyrażone w par. 11 powyżej. NOS twierdzi, że autorzy "Uwag" zdają się nie dostrzegać tego, że punkt ciężkości leży w tej właśnie niezależności od władz państwowych, co wymaga uprzednio powstania ważniejszych organizacji niż stowarzyszenie konsumentów".

26. Konkludując, NOS uważa że program minimalistyczny autorów "Uwag" w pewnych punktach jest powierzchowny i naiwny, choć zawiera pewne postulaty słuszne. Błąd zasadniczy jednak widzi NOS w adresowaniu "Uwag" do władzy, a nie do społeczeństwa, które powinno otrzymać od ekonomistów program ideowy umożliwiający paktowanie z partią z pozycji siły, a więc program maksymalny. Propozycje NOS'a idą w kierunku takiego programu, ale dalekie są jeszcze od kompletności. Debata więc trwa dalej, chociaż czas nagli, bo obecny kryzys gospodarczy stwarza wyjątkowo dobrą okazję do konfrontacji partii ze społeczeństwem na płaszczyźnie kluczowych zagadnień polityki ekonomicznej. Nie możemy oczywiście przewidzieć, z jakim programem gospodarczym społeczeństwo polskie zgodnie ewentualnie wystąpi dla wyjścia z kryzysu /zmiany doraźne/ i dla naprawy fundamentalnej /zmiany długo-okresowe/. Warto jednak zaznaczyć, że inny znany nam przyczynek do krajowej debaty, mianowicie wypowiedzi "prof. Karola S." w wywiadzie z redakcją Głosu /nr 7, Warszawa, maj 1978, przedrukowane przez Aneks, nr 20 /1979/, idą raczej po linii NOS'a niż po linii autorów "Uwag".

27. Prof. Karol S. wnosi do krajowej debaty bardzo ważny pogląd dotyczący układu cen w PRL, który po kilkudziesięciu latach praktyk opartych na niesłychanie szkodliwej zasadzie "prób i błędów", sformułowanej przez prof. Oskara Lange jeszcze we wczesnych latach 30-tych tego wieku, jest "kompletnie wypaczony, co uniemożliwia jakikolwiek rachunek gospodarczy i zupełnie wypacza zarówno strukturę produkcji, jak i strukturę popytu". Radykalna reforma cen ma więc podstawowe znaczenie dla uzdrowienia polskiego gospodarstwa, ale nikt jeszcze takiej reformy nawet nie zaczął przygotowywać. Podobnie ważnym zagadnieniem jest zmiana zasadniczych kierunków produkcji i "przeistawienie jej z obłądnych torów produkcji dla produkcji na produkcję dla człowieka", tj. przejście z przemysłu "ciężkiego" do przemysłu "lekkiego" i spożywczego, czyli zarzucenie modelu sowieckiego. Trzecią ważną sprawą, zdaniem prof. Karola S., jest wprowadzenie nowej polityki rolnej, która by zapewniła rozwój gospodarstw indywidualnych i zyskała zaufanie chłopów, zgodnie więc z Programem PPN.

28. Obok powyższych reform o charakterze długo-okresowym, choć wymagających natychmiastowego zapoczątkowania, prof. Karol S. wymienia reformy doraźne, stawiając na pierwszym miejscu "przywrócenie gospodarki towarowo-pieniężnej". W

obecnym okresie tzw. "planu otwartego", podział rzeczowy dochodu narodowego dokonuje się w całkowitym oderwaniu od jego strony wartościowej, tj. pieniężnej. W rezultacie dobra są faktycznie uzyskiwane z arbitralnego przydziału dokonywanego przez centralnego planistę, który nie ogląda się na podział pieniędzy między jednostki gospodarujące. Arbitralność ta występuje szczególnie w odniesieniu do inwestycji, co trzeba "natychmiast i radykalnie zmienić" i w ten sposób pozbawić centralnego "planistę" głównego narzędzia dezorganizowania gospodarki.

29. Następnie, mówi prof. Karol S., trzeba "przywrócić dyspozycje nad pieniędzmi tym, którzy go zarabiają, to znaczy przedsiębiorstwom", poprzez zmniejszenie podatków i umożliwienie tworzenia funduszy do samofinansowania rozwoju przedsiębiorstw. Ponadto trzeba zmienić pozycję polityczno-gospodarczą banku centralnego, uniezależniając go od centralnego planisty w zakresie emisji i osłabiając tę zależność w bieżącej polityce kredytowej. W ten sposób rola planisty powinna być ograniczona do planu perspektywicznego. Decyzje inwestycyjne i produkcyjne natomiast powinny być całkowicie oddane przedsiębiorstwom i "trzeba otworzyć możliwości tworzenia przedsiębiorstw poza układem państwowym, w szerokiej sferze usług drobnego przemysłu, rolnictwa itd." tj. znów zgodnie z Programem PPN. Zmiany tego rodzaju doprowadzą do dostosowania produkcji do potrzeb rynku, poprawy jakości i oszczędności w surowcach i sile roboczej.

30. Podobnie jak NOS, prof. Karol S. program swój adresuje do społeczeństwa jako całości i do ekonomistów polskich, jako tych, którzy mają obowiązek szczegółowego rozpracowania programu reform. W związku z tym, prof. Karol S. rozprasza hipnotyzujące działające przekonanie o niezmierzzonej jakoby potęgze Rosji, zbiegając się w tym punkcie z prof. Stefanem Kurowskim, Historyczny Proces Wzrostu Gospodarczego, Warszawa, 1963/. Rosja jest uważana za gwarantkę obecnego stanu w Polsce i partii "udało się wmówić ludziom, że jej socjalizm jest tak nieuchronny jak śmierć". W rzeczywistości, "obecny system został stworzony przez ludzi i przez ludzi może być obalony". Zdanie to jest chyba, jak dotąd, najmocniejszym wyzwaniem do walki o radykalną przebudowę polityki ekonomicznej w Kraju przez atak na pseudo-socjalizm przykryty "żelaznym gorsetem centralizmu gospodarczego" według modelu sowieckiego.

VII. Próba podsumowania programu i taktyki reform gospodarczych

31. Propozycje i poglądy przedstawione w częściach II-VI niniejszego opracowania można podsumować w sposób następujący:

- Zapewnienie podstawowych wolności politycznych /wolność przekonań, słowa i informacji; zrzeszeń, stowarzyszeń i zgromadzeń/ jest nieodzownym warunkiem dla sformułowania i urzeczywistnienia programu reform gospodarczych w imię dobra społecznego.

- Hierarchia celów takiej polityki gospodarczej powinna obejmować:

- wolność ekonomiczną, w szczególności wolność pracy i swobodę konsumenta oraz prawo do zgodnej z dobrem społecznym prywatnej przedsiębiorczości w przemyśle, rolnictwie, handlu i usługach;

- sprawiedliwość społeczno-gospodarczą, szczególnie w rozdziale dochodu narodowego między ludźmi i ich grupami, między spożyciem i inwestycjami oraz między potrzebami wewnętrznymi i obcymi;
- pełne zatrudnienie ludności w pracach produkcyjnych i redukcja politycznego i biurokratycznego aparatu partyjno-rządowego;
- wzrost dochodu narodowego i realnych zarobków ludności w takim tempie, aby jak najszybciej podnieść przeciętną stopę życiową w Polsce do poziomu zachodnio-europejskiego;
- stabilność całego systemu ekonomicznego w znaczeniu harmonijnego rozwoju rolnictwa, przemysłu i usług bez gwałtownych wstrząsów powodowanych przez nagłe zmiany układu cen, zawr. tny wzrost zewnętrznego zadłużenia lub otwartą czy ukrytą inflację.

- Centralne planowanie gospodarcze typu "nakazowego" powinno być zastąpione perspektywicznym, tj. długo-okresowym planowaniem typu "kierunkowego". Z wyjątkiem niepodzielnych inwestycji społecznych o charakterze ogólnopolskim oraz inwestycji usuwających "wąskie gardła", które hamują normalny rozwój gospodarstwa narodowego, wszelkie inne decyzje inwestycyjne należy pozostawić odpowiednim przedsiębiorstwom prywatnym, spółdzielczym, samorządowym lub państwowym. Udział pracowników w zarządzaniu wszystkich przedsiębiorstw jest uważany za konieczny.

- Ustalanie układu cen nie powinno należeć do kompetencji centralnego organu planowania lecz do rynkowego mechanizmu gospodarki towarowo-pieniężnej, opartego o zasadę konkurencji między producentami z jednej strony i nabywcami z drugiej strony oraz o zasadę niezależności banku centralnego od rządu w zakresie emisji pieniądza. Ze względu na istnienie monopolu państwowych trzeba popierać organizacje konsumentów dla zapewnienia należytej jakości i sprawiedliwych cen dóbr i usług.

- Interwencja publiczna w zakresie cen, głównie przy pomocy podatków pośrednich i ewentualnie subsydiów konsumpcyjnych lub produkcyjnych, powinna być ograniczona do wypadków, gdzie wymaga tego dobro społeczne. Ceny alkoholu i tytoniu są przykładem właściwej interwencji, która powinna ograniczać konsumpcję tych produktów. W wypadku książek, artykułów dziecięcych i ewentualnie odzieży pożądana byłaby interwencja zapewniająca dostatecznie niski poziom cen. Ograniczenie bezwartościowej literatury propagandowej mogłoby zmniejszyć popyt na papier i przyczynić się do obniżki cen wydawnictw poświadczonych przez społeczeństwo.

- Zmiana pewnych podstawowych kierunków rozwojowych gospodarstwa polskiego /"odświeżenie"/ jest konieczne i na tym powinna być skupiona uwaga organów perspektywicznego planowania w łączności z należyte zapewnionym udziałem przedstawicieli wszystkich działów gospodarstwa, ekonomistów, socjologów, inżynierów, robotników, rolników i konsumentów. Niezbędne jest przesunięcie środków inwestycyjnych, zasobów naturalnych, ludzkich i talentów organizacyjnych w ogólności z przemysłu "ciężkiego" do "lekkiego" i w szczególności do rolnictwa, budownictwa mieszkaniowego, transportu i komunikacji, szpitalnictwa i pokrewnych saniezbanych działów użyteczności publicznej. Zasilanie rolnictwa i sformułowanie wyraźnej długo-okresowej polityki rolnej jest specjalnie pilnym zagadnieniem. Ważną jest też reforma

kierunków i struktury handlu zagranicznego /drugi rodzaj "odsowietyzowania"/, z czym łączy się reforma polityki walutowej i monetarnej.

32. W powyższych ramach mieszczą się wszystkie podstawowe postulaty polskiego ruchu oporu w odniesieniu do polityki gospodarczej Kraju. Celowo pominęliśmy punkty, co do których poglądy są rozbieżne, choć wydaje się nam, że różnice są stosunkowo mało istotne. Zasadnicze różnice występują głównie wobec taktyki politycznej, tj. co stawiać jako żądania natychmiastowe i co jako reformy długookresowe, skąd powstaje różnica między programem "minimalnym" i "maksymalnym". Wydaje się nam, że nadrzędnym zadaniem jest opracowanie długo-okresowego programu maksymalnego, któremu należy podporządkować doraźny program minimalny, pojęty wyraźnie jako pierwszy krok w wytyczonej również wyraźnie drodze do realizacji Nowej Polityki Gospodarczej, a nie tylko "reformy" istniejącego porządku.

33. Należy zaznaczyć, że różnica między zwolennikami taktyki "minimalnej" i "maksymalnej" wynika niewątpliwie z przekonania o większej skuteczności jednej taktyki od drugiej. Przekonanie to odzwierciedla, po pierwsze, tłumaczenie reformatorskich doświadczeń w ciągu 34 lat istnienia PRL, po drugie nabytą lub odziedziczoną teorię polityki ekonomicznej oraz ogólne poglądy polityczne. Te dwie sprawy wymagają krótkiego przynajmniej omówienia.

34. Historia reform gospodarczych w PRL jest dość bogata. W pierwszym trzyleciu /1945-48/ może nie tyle reformy ile raczej zręby polityki gospodarczej próbowali położyć ekonomiści Centralnego Urzędu Planowania /CUP/, szczególnie Czesław Bobrowski i Jan Drewnowski. Opierali się oni na demokratycznym socjalizmie i na zasadzie dobra społecznego, zgodnie z Teorią Gospodarki Planowej opublikowaną przez prof. Drewnowskiego tuż przed wybuchem wojny. Natrafili jednak na twardy opór partii, która pogrzebała demokratyczny socjalizm przez przymusowe połączenie PPS z PPR w roku 1948 i CUP po prostu zlikwidowała. Zignorowano również niesłychanie cenny wkład prof. Michała Kaleckiego /genialnego ekonomisty polskiego o sławie światowej/ do teorii planowania perspektywicznego. Dlatego dzisiaj, już na emigracji, prof. Drewnowski głosi, że "tylko takie zmiany, które naruszają podstawy systemu, mogą doprowadzić do naprawy gospodarki" i że zmiany te można wprowadzić w życie tylko przeciw partii /Anex, nr 20/1979, str. 52/. Prof. Drewnowski więc odrzuca taktykę "minimalnego" programu, adresowanego do "władz" i zaleca "dążenie do stopniowego, ale konsekwentnego podważania i osłabiania pozycji partii. Bo tylko osłabiając partię, można ją zmusić do kolejnych ustępstw, pozwalających na coraz dalej idące zmiany instytucjonalne, które stanowią o naprawie gospodarki" /str. 53/.

35. Po likwidacji CUP-u zostały w Polsce stworzone podstawy systemu gospodarczego, który w swej istocie trwa do dziś. Jednakże teza prof. Drewnowskiego znalazła potwierdzenie w r. 1956, kiedy "październikowy" ruch całego społeczeństwa zmusił partię do zarczenia kolektywizacji rolnictwa. Główny punkt dyskusji krajowej skupił się jednak niestety na drugorzędnej sprawie decentralizacji gospodarki państwowej, podczas gdy zmiany zasadnicze przesunięto na boczny tor nowoutworzonej Rady Ekonomicznej pod przewodnictwem prof. Oskara Lange, autora wspomnianej wyżej niesłychanie szkodliwej tezy o możliwości ustalania układu cen sposobem "prób i błędów". Rada Ekonomiczna, niemal podobnie jak prof. Lange, zmarła "śmiercią naturalną". Obłądaną jednak próbę radykalnej podwyżki cen żywności podjął Gomułka i na niej przewrócił się, znów pod naporem społecznym "Rewolty na Wybrzeżu" w grudniu 1970 r. Teza prof. Drewnowskiego została ponownie potwierdzona.

36. Wczesne lata nowego reżymu pod kierownictwem Gierka przyniosły podjęcie przez partię stosunkowo jałowej dyskusji na temat organizacji i funkcjonowania przedsiębiorstw państwowych, w której głównie była zainteresowana tzw. Szkoła Wakara /profesora SGH, tragicznej raczej postaci, która zasługiwałaby na odrębne omówienie/. Powołano w tym celu specjalną Komisję Partyjno-Rządową pod przewodnictwem Szydłaka, która opracowała w r. 1973 projekt stworzenia tzw. Wielkich Organizacji Gospodarczych /WOG/. Do projektu tego partia nie przywiązywała żadnej wagi i wkrótce (WOG-ach przestano mówić. Społeczeństwo natomiast w czerwcu 1976 r. zareagowało znów mocno /Radom, Ursus, Płock/ na ponowną próbę podwyżki cen żywności i zmusiło partię do ustępstwa. Jeszcze raz okazała się słuszną taktyka zalecana przez prof. Drewnowskiego, przez NOS-a i prof. Karola S.

37. Reasumując, taktyka, która z historycznego punktu widzenia ma szanse powodzenia powinna akcentować punkty, na których można skupić zorganizowaną presję społeczną na partię. Zagadnienia cen żywności, rozwoju rolnictwa i budownictwa mieszkaniowego wysuwają się na czoło reform, które powinny być częścią składową skoordynowanego programu nowej polityki gospodarczej polskiego ruchu oporu.

Edward Szczepanik

Dr Edward Szczepanik jest profesorem University of Sussex, ponadto pełni funkcję wiceprezesa Instytutu Badania Zagadnień Krajowych w Londynie.

Tekst niniejszy został zgłoszony na obrady Zjazdu Jedności z Walczącym Krajem, Londyn, wrzesień 1979 r. Drukujemy z nieznacznymi skrótami.

STANISŁAW JERZY LEC
Myśli nieuczesane

Najwzry Fr. Kafka powiedział: "Kajdany są z papieru". Nie. One są z krwi i kości.

x x x

Podajrzewam, że niektórzy władcy odrąbali by podany ręce, gdyby nie potrzebowali ich choćby dla oklasków.

x x x

Hipnotyzerszy polityczni rzadko mogą spojrzeć ludowi w oczy.

x x x

Niebezpieczna jest szaryzna życia, niekiedy bierze ludzi chętna zabarwić ją krwią.

x x x

Jaki Pawłow odkrył kiedyś, że istnieją r o z r u c h y warunkowe. To znaczy wywołane warunkami.

x x x

Walcz przeciw nocy pod jej osłoną.

x x x

Powoli znika romantyzm zbrodni. Staje się ona klasyką dnia codziennego.

OD REDAKCJI

Przedstawiamy obszerny materiał dotyczący problemu niemieckiego w polskich oczach. Są to głównie przedruki, rozproszone dotychczas w rozmaitych wydawnictwach krajowych i emigracyjnych, także jeden tekst oryginalny /Stefan Kisielewski, "Głos z drugiej Europy"/. Charakterystycznym jest fakt, iż wobec licznych rozważań traktujących o naszych stosunkach ze wschodnim sąsiadem - sprawa niemiecka zepchnięta została na margines zainteresowań demokratycznej opozycji. Tymczasem staje się coraz bardziej oczywiste, że przyszłość Polski w równym, jeśli nie w pierwszym stopniu zależeć będzie od tego, w jaki sposób potrafimy zabezpieczyć trwałość naszych zachodnich granic i rozwiązać całokształt stosunków z Niemcami. Połączenie państw niemieckich - czy nam się to podoba, czy nie - wydaje się w perspektywie nieuchronne, a fakt taki stworzy zupełnie nową jakość stawiając nas w obliczu potężnego sąsiada z Zachodu i zupełnie nowych problemów politycznych.

Stan obecny w polskiej geopolityce przypomina sytuację państwa w rozgrywce szachowej: nie ma rozsądnego ruchu w kierunku wschodnim i nie ma rozsądnego ruchu w kierunku zachodnim. Kosztem suwerenności otrzymujemy ze Wschodu gwarancję integralności terytorialnej; suwerenny Zachód nie może nam zagwarantować ani samodzielnego bytu państwowego, ani - tym bardziej - obecnych granic w inny sposób, niż poprzez wiarygodne i trwałe ułożenie naszych stosunków z Niemcami. Świadomość tego rozdroża jest w każdym z nas. Ale na tej wielkiej szachownicy mogą się przesunąć inne figury i w miejsce sytuacji patowej powstaną możliwości dalszej gry. Wyrażamy przekonanie, iż polskie społeczeństwo nie jest do takiej gry przygotowane ani emocjonalnie, ani intelektualnie. W milionach naszych prywatnych orientacji geopolitycznych dominuje histo-

ryczny resentyment wobec obywateli wielkich sąsiadów. Resentyment historyczny jednak, nawet jeśli powstał w wyniku bardzo ciężkich i bolesnych doświadczeń, jest złym doradcą w polityce.

Co myślimy o Niemcach? Różnie myślimy. Myślimy, że stali się narodem pokój miłującym, głęboko zreflektowanym ogromem zbrodni, jakie popełnili w niedawnej przeszłości; ale myślimy również, że pod powłoką konsumpcyjnego "społeczeństwa obfitości" czai się duch odwetu za klęskę na Wschodzie. Chcielibyśmy widzieć Niemcy zjednoczonymi, ale chcielibyśmy również, aby ich podział utrzymał się po wieczne czasy. Interesującą przedstawiają się propozycje neutralizacji Niemiec, ale krzepi także przekonanie, iż Bundeswehra jest drugą armią w Europie i powstrzymuje aspiracje rosyjskie przynajmniej w tym regionie. Zaiste, oż nie myślimy o Niemcach.

Najmożliwiej byłoby sądzić, iż najbardziej nawet jednolita opinia Polaków w sprawie niemieckiej może aktywnie ukształtować sytuację w środkowej Europie. Z drugiej jednak strony pozostaje fakt, że łatwiej manipulować społeczeństwem, którego poglądy i postawy w doniosłych sprawach geopolitycznych są tak bardzo, k r a ń c o w o rozbieżne, jak nasze dzisiejsze myślenie o Niemcach. Głęboki podział naszych poglądów i postaw w sprawie niemieckiej sprzyja natomiast wrogom naszej suwerenności i naszej integralności, tak na Wschodzie, jak na Zachodzie.

To nie jest nasz głos w sprawie niemieckiej. Odwołujemy głos tym, którzy wypowiadali się w ciągu minionych trzech lat. W wypowiedziach tych odnajdą Czytelnicy całe bogactwo poglądów i kontrowersji. Materiał podaliśmy w porządku chronologicznym, w obecnej fazie niesposób zresztą uporządkować go inaczej.

A co Ty myślisz o Niemcach? Otwieramy dyskusję.

POLSKA A NIEMCY

■ Tekst Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. Przedrukujemy w całości.

Stosunki z Niemcami, obecne i przyszłe, należą do najważniejszych i najdrażliwszych zagadnień naszego bytu narodowego i państwowego. Zbyt rzadko i nieśmiało podejmujemy wysiłek przemyślenia tego problemu od nowa, wysiłek oderwania się od sloganów, spojrzenia na stosunki polsko-niemieckie z perspektywy nie tylko tego, co było, ale przede wszystkim tego co nas czeka.

Poniższy tekst stanowi wyraz przemyśleń licznej grupy. Jest próbą ogólnego uporządkowania ciągle kontrowersyjnej problematyki. Z uwagi na doniosłość sprawy, ogłaszamy równocześnie, jako tekst "autorski" nr 19, wyrażający w postaci bardziej rozbudowanej i publicystycznej opinii niemieckiego grona piszących. Oba teksty są zaproszeniem do samodzielnego zastanowienia się i do dyskusji - skierowanym zarówno do Polaków jak i Niemców.

x x x

x x x

Jeżeli wysuwanie przez nas postulatów niepodległości ma być aktem w pełni świadomym, pociągającym za sobą obowiązek prze-

myślenia, jak zmieni się międzynarodowe położenie Polski w chwili, kiedy odzyska ona niepodległość.

Jako kraj centralnie położony, największy i najsilniejszy, Polska jest obciążona krytycznym dla całego układu sił w Europie środkowo-wschodniej. Dla całego kryzysu czy konfliktu międzynarodowego w tej części Europy, decydujące będzie to, co stanie się na terytorium Polski. Również dlatego, że zmiana systemu rządzenia w Polsce otwiera możliwości zmian u jej sąsiadów.

Jedną z konsekwencji odzyskania przez Polskę niepodległości stanie się otwarcie nowych możliwości dla pojedynczenia Niemiec. Są tacy, którzy uważają to za argument przeciwko staraniu się o niepodległość. Nie zgadzamy się z nimi.

Trzejmy spojrzenie na sprawę przyszłych stosunków polsko-niemieckich jest utrudniane przez naszą przeszłość i teraźniejszość. Na bezpośredniej przeszłości ciąży ogrom zbrodni, dokonanych przez III Rzeszę na ludności Rzeczypospolitej Polskiej. Porozumienia albo przyjaźni między Polakami a Niemcami nie mogą opierać się na zapomnieniu o latach 1939-1945. Sądzimy, że w naszych myślach i postawach powinniśmy kłaść nacisk na przyszłość, nie na tragiczną przeszłość. Ale Niemcy muszą pamiętać, że wymaga to od nas odwrócenia oczu od domniemych krzywd.

Nasza teraźniejszość - to położenie przymusowego wasala ZSRR, państwa społecznie i administracyjnie zacofanego. Oddając od możliwości swobodnych, naturalnych procesów politycznych sprawia, że nasze kategorie myślenia politycznego stają się coraz bardziej archaiczne.

Nasz los polityczny skłania nas do wyolbrzymiania roli sąsiedztwa, "Obóz", do którego należymy, wyznaczyć nam Niemcy za "naturalnego" wroga i wieczysty straszak; drugi natomiast sąsiad, ZSRR, trzyma nas w paraliżującym uścisku Wielkiego Brata. Tymczasem we współczesnym świecie, przy dzisiejszej technice wojskowej i możliwościach technologicznych, nie sąsiedztwa, ale sojusze i układy decydują o zachowaniu samostanności państwowej: przykładem Izrael a z drugiej strony Kuba.

Polska granica zachodnia nie została ostatecznie uznana przez Niemcy. Istniejące układy obowiązują w myśl Bundestaagu i orzeczenia Trybunału konstytucyjnego RFN tylko istniejące państwo RFN, nie zaś przyszłe zjednoczone Niemcy. Być może, gdyby nasze kraje nie należały do antagonistycznych bloków polityczno-wojskowych i gdyby granica polsko-niemiecka była tak łatwo przekraczalna, jak np. niemiecko-holenderska, nie doszłoby do takiej deklaracji i orzeczenia. Niemcy muszą sobie jednak zdać sprawę, że pozostawienie sprawy w zawieszaniu nastroja Polaków nieufnie i uniemożliwia wybycie się podejrzeń o ekspansjonizm. Polacy muszą sobie uświadomić, że w całej Europie poza "naszym" blokiem granice odgrywają rolę coraz mniejszą zarówno w życiu codziennym, jak w świadomości obywateli. Tak je łatwo przekraczać, że przestaje się je zauważać. W naszej części świata granice pozostają ogromnie ważne, bo są nieprzenikliwe. Porównajmy na przykład doniesienia przebiegu granic między Polską a ZSRR - i granicy między Niemcami a Francją. A przecież Francuzi więcej wojowali z Niemcami o granice, niż my.

Sprawę stosunków polsko-niemieckich musimy stale przeżywać na nowo, unikając właśnie takich przestarzałych formuł i nie poddając się propagandowym szablonom, chociaż niezapominając zarazem o gorzkich naukach historii. Jeżeli tej sprawy śmiało i twórczo nie przeżyjemy, pozostaniemy tylko biernym przedmiotem rozgrywek. Uważamy, że jeden aspekt tych stosunków powinien zostać poza ramami rozważań i dyskusji; niezależnie od tego, co sądzimy o sposobie wytyczania naszych granic w roku 1945 i o ówczesnej możliwości bardziej racjonalnego ich przeprowadzenia - obecne granice z Niemcami uznajemy za niezmienne.

Wbrew temu, co nam wmałwia propaganda, ZSRR nie jest gwarantem naszych granic, ale gwarantem określonego, narzuconego nam systemu politycznego. Zmiana tego systemu jest niemożliwa bez uwolnienia się od przymusowej opieki tego gwaranta. Jednakże z chwilą, kiedy rozluźnimy więzy kurateli - staniemy twarzą w twarz z Niemcami. Jest więc jasne, że na naszą determinację niezależnienia się od ZSRR wpływa fakt, czy RFN dość przekonująco wypowiada się będzie o bezwzględnej uznaniu integralności terytorialnej Polski.

Ci wszyscy, którzy głoszą konieczność "sojuszu" z ZSRR, czyli w rzeczywistości podporządkowania się jego interesom państwowym i oficjalnej ideologii jako obrony przed niemieckimi zakusami - muszą stawiać sprawę jasno: trwanie tego sojuszu w obecnej formie oznacza trwanie poddaństwa. Rozluźnienie sojuszu oznacza podjęcie ryzyka: od PRL zależy, jak niebezpieczne będzie to ryzyko w świadomości Polaków. Niemcy natomiast muszą zdać sobie sprawę, że jeżeli Polska nie odzyska niezależności - szanse na niezależnienie się NRD są bardzo znikome.

Zjednoczenie Niemiec jest zasadniczym dalekodystansowym celem obu obozów politycznych w Republice Federalnej Niemiec. Nie można wątpić, że będą do tego celu dążyć Niemcy. Wschodnie, pozbawieni suwerenności i swobód obywatelskich. Fakt, że na temat zjednoczenia tak mało się dziś w RFN otwarcie pisze i głośno mówi, nie powinien nas wprowadzać w błąd. Nie świadczy to bynajmniej o zapomnieniu o celu - ale o panującym wśród tutejszych polityków przekonaniu, że wybrane pokojowe metody działania wymagają dyskrecji. My z kolei musimy pamiętać, że w wieku XIX przez całe dziesięciolecie głucho było o możliwościach wskrzeszenia zjednoczonej po rozbiorach Polski; również o tym, że Niemcy mają takie same prawo do zjednoczenia, jak my do niepodległości.

Dla Niemców, przywykłych do podziału na niezależne lub pół-niezależne państwa oraz do tego, że ich granice państwowe nie pokrywają się z językowymi, "zjednoczenie" może oznaczać związek znacznie luźniejszy, niż okazało dla Polaków połączenie trzech zaborowych dzielnic w roku 1918.

Dwa wielkie obozy polityczne w RFN starają się dążyć do zjednoczenia odmiennymi drogami. SPD poprzez porozumienie z istniejącymi rządami ZSRR i PRL oraz powolne zbliżanie ekonomiczne i społeczne obu państw niemieckich, CDU/GSU poprzez stopniowe ograniczanie wpływów radzieckich w Europie. Żaden z obozów nie zdaje się przywiązywać wagi do nastawienia społeczeństwa polskiego. Przywódcy zachodniemieccy wiedzą, że PRL nie może prowadzić niezależnej polityki zagranicznej i są skłonni przyznawać Polakom rolę biernego przedmiotu międzynarodowych rozgrywek. Jest to stanowisko krótkowzroczne, bo dla przyszłości Niemiec nie jest obojętne, czy Polska jest suwerenna, czy nie.

Powtarza się często slogan, że Polska ma bezwzględnie

położenie geopolityczne. Twierdzi się, że wołanieci między dwa potężne państwa musimy, aby nie paść ofiarą obu na raz, utrzymać ścisły sojusz z jednym z nich - sojusz który wobec nieścisłości sił i naszej przymusowej sytuacji, staje się zależnością. Jednakże położenie geopolityczne nie jest niezmiennie. Inne było dla nas w wieku XVI, inne w wieku XVIII, inne pięćdziesiąt lat temu - a inne jest dzisiaj, i należy to zauważyć.

Możemy dziś nasze położenie geopolityczne widzieć dwójako.

1. Jesteśmy otoczeni przez ZSRR i jego wasali. Paraliżuje to ewolucję w kierunku niepodległości i demokratycznego postępu. NRD, nasz "dobry sąsiad, wierny przyjaciel", jak głosi propagandowe hasło, jest naszym przyjacielem z obowiązku - co nie anaczą, by czasem nie występowała z sugestiami rewizji granic /bo im Szczecin "potrzebny"/.

2. Polska nie leży już między Rosją a Niemcami - ale między imperialnym ZSRR a integrującymi się swolna państwami Zjednoczonej Europy, której częścią składową jest RFN.

RFN nie jest przy całej swej potęgze, jak dawne Niemcy mocarstwem zdolnym do całkowitej samodzielnej polityki zagranicznej w wielkiej skali - a już zwłaszcza do polityki agresywnej. Próbuje takiej polityki utraciłaby natychmiast nie tylko osłonę obronną Stanów Zjednoczonych, ale przede wszystkim poparcie innych krajów Wspólnoty Europejskiej. Związki ze Wspólnotą stają się z każdym rokiem coraz trudniejsze do rozluźnienia gospodarczo, politycznie, a nawet wojskowo. Jest też zgoła nieprawdopodobne, aby dla jakichś niepewnych zdobyczy terytorialnych RFN skłonna była wydać się na łaskę ZSRR.

Zjednoczenie Niemiec ma dwu zasadniczych przeciwników: ZSRR i sfery rządzące NRD. Dla ZSRR zjednoczenie oznaczałoby skurczenie się obszaru imperium; dla obecnej ekipy rządzącej NRD - utratę władzy.

Na możliwości zjednoczenia patrzą również bez entuzjasmu inne kraje Wspólnoty Europejskiej. Obawiają się bowiem dalszego wzmocnienia gospodarczego i politycznego Niemiec oraz ich chęć dominowania nad Wspólnotą. Można jednak przypuszczać, że im bardziej zintegrowana będzie Zjednoczona Europa tym mniejsze stawad się będą w jej ramach opory przeciwko zjednoczeniu Niemiec.

Opory Polaków przeciwko możliwości zjednoczenia Niemiec plyną z podobnych źródeł. Obawiamy się, że wzmocnione Niemcy zechcą wykorzystać swą siłę dla wymuszenia rewizji terytorialnych. Gdyby zjednoczenie miało się dekada jednolite w ramach Wspólnoty Europejskiej, gdyby obszar, stanowiący obecnie NRD, stał się częścią sfederowanej Europy, a nie tylko częścią RFN i wzmocnił całą Wspólnotę, a nie tylko jedno państwo członkowskie - wówczas opory Polaków mogłyby osłabnąć. Zjednoczenie się Niemiec w ramach Wspólnoty Europejskiej sprawiłoby, że Polska uzyskałaby bezpośrednią styczność z Zachodem, z którym jest związana całą swoją tradycją i współczesnością kulturalną, możliwość współpracy ze Wspólnotą, wreszcie możliwość autentycznego wyboru sojuszu i związków gospodarczych.

Polacy mogliby więc uznać, że zjednoczenie Niemiec leży w interesie polskim, pod dwoma warunkami:

1. bezwzględne uznanie naszej granicy zachodniej
2. zasadnicza integracja Niemiec we Wspólnotę Europejską. Natomiast niespełnienie tych warunków stanowi stały i koronny argument za sojuszem z Rosją, niezależnie od formy rządów w Polsce i Rosji.

Wykazując zrozumienie dla niemieckich aspiracji narodowych, a jednocześnie posiadając jasne pojęcie własnych interesów, możemy ułatwić przyszłe kształtowanie się rzeczywistych dobrosąsiedzkich stosunków. Dla dobra przyszłości powinniśmy się zdobywać na wielokudusze przezwyciężanie uprzedzeń i obaw.

Oficjalne stosunki polsko-niemieckie są dzimstaj w znacznym stopniu szalenie kierowane przez Kreml. Na stosunki międzynarodowe wpływają również nasze potrzeby gospodarcze, które sprawiają, że RFN jest naszym najważniejszym kredytodawcą i europejskim partnerem handlowym.

Stosunki między społeczeństwami, środowiskami i jednostkami pozostają nadal w cieniu tragicznych przeżyć lat 1939-45. Nieoficjalne kontakty były w ciągu ostatnich trzydziestu lat znikome. Władze ZSRR i PRL, potrzebujące Niemiec w roli czynnika zastraszającego, utrudniają próby pojednania podejmowane przez niektóre koła zachodniemieckie oraz polskie środowiska katolickie. Nie podaje się więc do wiadomości publicznej faktów takich, jak przyjazdy młodzieży niemieckiej do Polski w ramach "akcji pokuty", liczących zbiórek na polskie cele i potrzeby, organizowanych w RFN głównie przez organizacje religijne, zainteresowania odczytami o okupacji, wygłaszanych w RFN przez polskich intelektualistów, przede wszystkim katolickich, ogłaszania tam licznych przekładów z literatury polskiej, itd. Natomiast na komendę rodmuchuje się antyniemieckie nastroje, wyolbrzymia informacje o zachodniemieckich organizacjach pracowniczych i wydawnictwach neohitlerowskich, które robi re-

klamę ugrupowaniom i wydawnictwom o niewielkim zasięgu.

Szczególnie dla nas bolesna, wstydliva i niestety powaszechnie przemilczana jest sprawa wielu tysięcy Mazurów i Opolan, którzy, oparłszy się przez setki lat germanizacji, zostali sztucznie zgermanizowani przez głupotę władz komunistycznych. Większość tych ludzi nie zna niemieckiego i emigruje nie z pobudek narodowych, ale w poszukiwaniu swobody i łatwiejszego życia.

Nastroje i postawy są w RFN rozmaite, ale mają tę zaletę, że są autentyczne, przez nikogo z góry nie planowane i nie dyrygowane. Powinniśmy jak najszerzej współpracować z tymi, którzy nam sprzyjają, którzy rozumieją nasze problemy, którzy uświadamiają niemieckim rodakom historyczne tło naszych dzisiejszych stosunków.

Słusznie dopominając się o to, by młodzież niemiecka zważała sobie sprawę z podłoża i rozmiaru hitlerowskich zbrodni, musimy pamiętać i o tym, że młodzież polska jest przez reżym wychowywana w nieznajomości naszej własnej najnowszej historii. Mamy słuszne pretensje, że kilkunastoletni Niemcy nie wiedzą co to Oświęcim, ale nasze dzieci nie mają możliwości dowiedzenia się o zbrodniach stalinizmu, a nawet o tym, co stało się na polskim wybrzeżu przed niespełna ośmiu laty.

Zadośćuczynienie za zbrodnie niemieckie ostatniej wojny nie jest możliwe. Jakikolwiek wymiar kary może mieć tylko charakter symbolu: żadna kara nie wyrówna straty milionów ludzkich istnień. Należy jednak pamiętać i o tym, że RFN jest pierwszym w historii państwem, które chociaż powoli i nieraz opieszale - karze własnych obywateli za przestępstwa, popełnione parędziesiąt lat temu na obywatelach innych państw. Natomiast w NRD odpowiedzialność za zbrodnie wojenne została złożona ogólnikowo na instytucje i organizacje hitlerowskie: nikt za nie osobiście nie jest sądzony. Zaś w ZSRR, który spowodował około 50 polskich strat ludnościowych podczas ostatniej wojny /tj. około miliona dwustu tysięcy zgonów/ nikt nie wspominał nawet o odpowiedzialności karnej.

Na przykładzie stosunków polsko-radzieckich wiemy, ile jest warta obowiązująca w NRD przyjaźń do PRL. Przyjazne gesty, dyrygowane przez władze obu krajów, pokrywają wzajemną nieufność, a nawet wrogość. Wiele wskazuje na to, że właśnie NRD jest potencjalnie ośrodkiem najbardziej antypolskich tendencji w Niemczech. Rozgoryczeni, pomżani, zmuszani codziennie do fałszu mieszkańcy NRD mogą się stać w przyszłości największą przeszkodą w ułożeniu dobrosąsiedzkich stosunków między oba narodami.

Pamięć o zbrodniach niemieckich ułatwia dziś wielu Polakom godzenie się z sowieckim jarzmem. Ludzie, którzy pamiętają hitlerowski terror - a zwłaszcza ci, którzy nie zetknęli się z sowieckim - są często skłonni, dla osłonięcia wstydliwego faktu braku suwerenności Polski, wysuwać argument, że ZSRR "uwolnił" nas od Niemców i broni przed ich "zakusami". Jest to rozumowanie fałszywe. Zbrodnie ludobójstwa, dokonywane na narodzie polskim przez ZSRR w latach 1939-41, nie stały się dla Polaków argumentem za kolaboracją z Niemcami. Tak samo ludobójstwo niemieckie nie może być argumentem za wiernopoddańczością wobec ZSRR.

Autentyczna, nie manipulowana, obustronna poprawa stosunków polsko-niemieckich na płaszczyźnie międzypaństwowej i międzyludzkiej jest jednym z najważniejszych zadań, jakie stoją przed nami w ostatniej ćwierci XX wieku. Nie możemy sobie pozwolić na postawę: Niemiec - wieczny wróg. Żaden mądry naród nie kieruje się w polityce zasadą kultywowania wrogów.

Od rozsądku, dobrej woli i poczucia odpowiedzialności Niemców z jednej strony a odwagi twórczego politycznego myślenia Polaków z drugiej zależy wyjście z obecnego impasu, zależą przyszłe losy obu naszych narodów.

Stosunki z Niemcami, obecne i przyszłe, należą do najważniejszych i najdrażliwszych zagadnień naszego bytu narodowego i państwowego. Zbyt rzadko i zbyt nieśmiało podejmujemy wysiłek przemyslenia tego problemu od nowa, wysiłek oderwania się od sloganów, spojżenia na stosunki polsko-niemieckie z perspektywy nie tylko tego, co było, ale przede wszystkim tego, co nas czeka.

Z uwagi na doniosłość sprawy poniższy tekst "autorski" wyrażający poglądy grupy piszących, ogłaszamy równocześnie z tekstem nr 18, opracowanym przez liczny Zespół Problematyczny. Oba teksty są zaproszeniem do samodzielnego zastanowienia się i dyskusji - skierowanym zarówno do Polaków jak i Niemców.

NIEMCY, POLACY I INNI

Text Polskiego Porozumienia Niepodległościowego określony jako praca indywidualna. Przedrukujemy w całości.

- I -

Przez środek kraju, który choć różnorodny wewnętrznie, był wszakże zawsze - i jest nadal, geopolityczną i kulturalną całością, przez środek Niemiec, przebiega granica dwóch światów. Jest to granica widoczna tak, jak niegdyś.

Rzymskie wały, oddzielające świat cywilizowany od barbarzyństwa, jak mur chiński zamykający Państwo Środka w wielkiej izolacji. To pasy zaczerpnięte z ziemi, na których oko strażnika tropi ślady uciekinierów, to kilometry drutów kolczastych, to wieże strażnicze, to wreszcie w samym Berlinie mur, fosy i naelektryzowane druty. Wzdłuż całej tej granicy, a zwłaszcza w Berlinie wciąż giną Niemcy z rąk Niemców. Tego jeszcze nie było nigdy i nigdzie. To trwać nie może. Ta granica drażni uczucia narodowe Niemców i grozi ich eksplozją w przyszłości. Ta granica jest obrazą dla całego świata cywilizowanego. Polacy w okresie rozbiorów byli również zmuszani do strzelania wzajem do siebie, nikt im wszakże wtedy nie wmawiał, że nad swymi rodakami z granicznej rzeczki mają wyższość historyczną. Gwałcono ich uczucia i wolę, ale nie świadomość. Polska została podzielona przez trzy imperia różne co do języka i kultury, ale podobne co do ustrojów i struktury gospodarczej. Absurd obecnego podziału Niemiec polega na tym, że każde z dwóch państw niemieckich należy do formacji politycznych i gospodarczych różniących się co do formy, ideologii, stopnia rozwoju standardu życia i rywalizujących ze sobą w skali globu. Absurd ten stał się szczególnie jaskrawy, odkąd oba państwa niemieckie - każde na swoją skalę - uzyskały wyższość nad gwarantami swej separacji, to jest europejskimi sojusznikami byłej antyhitlerowskiej koalicji. Taką przewagę ma RFN nad Anglią i Francją; taką przewagę ma NRD nad Polską i Czechosłowacją, a w niektórych dziedzinach także nad ZSRR.

Wszystkie czynniki utrzymujące dotychczasowy podział Niemiec są anachroniczne, należą do starzejącego się gwałtownie układu powojennego. Podział ten nie jest zresztą przymuszany dziełem politycznym, lecz wypadkową braku polityki i został utworzony jako stan przejściowy mający przeciwdziałać odradzaniu się niemieckiej potęgi gospodarczej i wojskowej. Wobec istnienia dzisiaj dwóch prosperujących państw niemieckich, z których każde stanowi podstawę militarną antagonistycznych bloków wojskowych, podział ten nie tylko przestał służyć swemu celowi, ale także obrócił się przeciw niemu.

Komu dziś służy?

Po pierwsze Związkowi Radzieckiemu, który dzięki niemu utrzymuje swą obecność w Europie Środkowej w charakterze ostatniego okupanta byłej III Rzeszy, a zarazem gwaranta polskich i czeskich granic zachodnich.

Po drugie partiom komunistycznym we wschodnich Niemczech, w Czechosłowacji i w Polsce, które tylko dzięki takiemu układowi mogą utrzymać się w władzy.

Oczywiście, istnieją też uboczne korzyści wynikające z podziału Niemiec dla RFN i państw sojuszu atlantyckiego.

Dla Republiki Federalnej wschodnie Niemcy stanowią pas izolacyjny od ZSRR i zapewniają jej spójność własnego społeczeństwa. Pewną rolę odgrywają jeszcze dawne antagonizmy między zachodnimi a południowymi państwami niemieckimi, a Prusami, które stanowią centrum NRD. Sprawa zjednoczenia, odwołana w nieskończoność służy za monetę przetargową zarówno w stosunkach RFN z ZSRR, jak z jej zachodnimi sojusznikami. RFN mogła w tej sytuacji stosunkowo łatwo przystać na "istniejącą" granicę zachodnią Polski, gdyż to dziś nie jej granica. Układ z 1970 roku w niczym nie zmienił położenia ani terytorium zachodniego państwa niemieckiego, a zapewnił mu duże zyski polityczne i gospodarcze.

Podział Niemiec jest też praktyczny dla Anglii i Francji, ponieważ osłabia ich tradycyjnego, europejskiego rywala i tworzy korzystną dla nich równowagę sił w Europie.

Są to jednak korzyści czysto koniunkturalne, z których tylko ZSRR i jego wielkorządcy w NRD usiłują zrobić trwałą fakt historyczny. Robią to zresztą bez wielkiego zapалу, co widać m.in. po tym, że do dziś dnia nie spełnili dawnej groźby: nie zawarli odrębnego traktatu pokojowego. Czy zatem ZSRR i NRD nie traktują tego podziału również koniunkturalnie i czy nie są gotowe do odstąpienia od jego obrony za cenę nowych korzyści politycznych?

Głównym celem strategicznym ZSRR w Europie jest zmuszenie Stanów Zjednoczonych do wycofania swych wojsk z kontynentu, a to wymaga neutralizacji Niemiec.

Myśl o neutralizacji jest też nieobca samym Niemcom. Pojawia się ona w latach pięćdziesiątych w planach socjaldemokratów /Mendego i Ollenhauera/, którzy sprzeciwiali się układowi paryskiemu, domagali się wycofania NRF z paktu Północno-Atlantyckiego i podjęcia polityki zjednoczenia Niemiec w ramach europejskiego paktu bezpieczeństwa. Plan ten tzw. "Deutschlandsplan" - uzyskał gorące poparcie niemieckich nacjonalistów. "Pacyfizm mógłby stać się formą niemieckiego nacjonalizmu" - pisze amerykański historyk powojennych Niemiec /James H. Wolfe: Indivisible Germany... The Hague, 1963/.

Ten plan nie uzyskał aprobaty obydwu supermocarstw. Stany Zjednoczone obawiały się wciągnięcia neutralnych Niemiec w orbitę wpływów radzieckich, dla ZSRR plan był nie do przyjęcia, ponieważ miał być połączony z wycofaniem wojsk radzieckich także z Polski, Czechosłowacji i Węgier. Ryzyko było zbyt duże.

Skutkiem odrzucenia tego planu było zacieśnienie więzów łączących oba państwa niemieckie z ich blokami wojskowymi, masowe ucieczki Niemców ze wschodu /4 miliony do roku 1960/ i - mur berliński.

Ale to nie znaczy, że plan ten został porzucony na zawsze, a stosunek supermocarstw do niego może zmienić się w związku z rosnącymi kosztami utrzymania wojsk, zmianami w priorytetach strategicznych i nową oceną sytuacji politycznej.

Nowym faktem jest według cytowanego autora amerykańskiego zniechęcający się związek Polski z Zachodem, przy jednoczesnym rozluźnieniu, a nawet ochłodzeniu jej stosunków z NRD. "Wschodnie Niemcy, niestabilne i politycznie izolowane od Polski, będą miały dla ZSRR ograniczoną wartość. Gdyby ta sytuacja się utrzymała, zachodnia Europa stanie wobec możliwości partraktowania z ZSRR w sprawie wycofania się z Niemiec wzamian za pewne koncesje. Wśród nich mógłby znaleźć się pakt o nieagresji między obydwojoma blokami oraz umowa gospodarcza zbliżająca Wspólny Rynek do RWPG. Zadaniem zachodnich państw byłoby przekonanie ZSRR o wartości takiego układu wobec ryzyka, jakie przynosi utrzymywanie Wschodnich Niemiec". /Wolfe, op. cit. str. 120/

Reorientacja polityki zachodniej wobec zjednoczenia Niemiec, reorientacja polityki radzieckiej wobec ich neutralizacji, skupienie się wokół tego problemu tak przeciwnych sobie sił politycznych w Niemczech jak lewica i skrajna prawica, to byłoby dość aby zjednoczenie Niemiec stało się realne. W istocie podział Niemiec nie jest żywotną i bezwarunkową koniecznością dla nikogo, kto dziś z niego korzysta.

Dla nikogo z wyjątkiem Polski. Nie tylko dla obecnego jej reżymu ze względu na wartość polityczną, jaką dla niego stanowią owe "ziemie odzyskane", ale dla Polski historycznej, na całą jej przyszłość, ze względu na fakt zintegrowania tych ziem z resztą kraju i zamieszkania tam milionów Polaków.

Polska w obecnym kształcie terytorialnym powstała na podzielenych Niemczech. Jedna trzecia obecnego polskiego terytorium, stanowiąca prawie równowartość całego obszaru NRD, to część radzieckiej strefy okupacyjnej, oddana przez ZSRR pod administrację polską wbrew protestom zachodnich aliantów, którzy w końcu przyjęli ten fakt do wiadomości, a następnie uznali "w zasadzie" jako wykonanie postanowień dotyczących podziału i okupacji Niemiec. Inkorporacja tych ziem do Polski nie została nigdy uznana de jure przez żadne z dwóch państw niemieckich: układ z NRD 1950 mówi o wytyczeniu "obecnej i istniejącej" granicy, zaś układ z RFN z roku 1970 tylko stwierdza jej istnienie. Wartość radzieckich i wszelkich innych deklaracji ustanie z chwilą zawarcia traktatu pokojowego, lub innego układu z połączonymi Niemcami, albowiem żadne z dwóch państw niemieckich nie przewidywało w imieniu całych Niemiec. To, że polskie "ziemie odzyskane" ZSRR traktuje nadal jako część swej strefy okupacyjnej podkreślone jest przez równomierne rozłożenie dywizji radzieckich po obu stronach "granicy pokoju". Dobrowolne, czy wymuszone wycofanie się ZSRR z Niemiec oznaczałoby prawdziwie opuszczenie przez nich całej ich strefy okupacyjnej: tej, która nazywa się dziś NRD i tej, która nazywa się polskimi Ziemiemi Odzyskanymi. Dla Wschodnich Niemiec będzie to oznaczać połączenie z resztą ojczyzny na zasadzie aneksji, czy przystąpienia do federacji, dla Polski jako państwa i Polaków jako narodu może to oznaczać nową konfrontację z Niemcami w sprawie granic.

Ziemia nad Odrą i Nysą, Pomorze Zachodnie i dawne Prusy Wschodnie stanowią dziś około 30 % całego polskiego obszaru i znaczną część polskiego potencjału gospodarczego. Dla nas dzisiejsze granice Niemiec nie mają charakteru konstytucyjnego i tymczasowego, lecz stanowią podstawę naszej państwowej i gospodarczej egzystencji. W oficjalnej doktrynie politycznej PRL i w prywatnej opinii polskiej utrzymuje się wobec tego przekonanie, że w interesie Polski

i całej Europy jest utrzymanie podziału Niemiec tak długo jak tylko się da, aż się utrwali i wejdzie Niemcom w krew. Wielu Polaków sądzi, że radziecka obecność w Niemczech i w zachodniej Polsce oraz wynikające z niej skutki polityczne są mniejszym złem niż to, które mogłoby wynikać z pozostawienia Niemców samym sobie, i nas sam na sam z nimi oraz z ich ewentualnymi rozszczeniami granicznymi. W tym jednym bodaj punkcie polityka PRL zgadza się z opinią większości polskiego społeczeństwa.

Jest to strusia polityka i strusia filozofia. Nie można bytu państwowego i narodowego opierać na układzie koniunkturalnym, stanowiącym pogwałcenie procesów społecznych i praw ludzkich, a zależnym od czynnika zewnętrznego. Na utrzymanie podziału Niemiec nie mamy i nie będziemy mieli w przyszłości żadnego wpływu. Jeżeli zostanie zlikwidowany na skutek nowego wirażu radzieckiej polityki zagranicznej, lub innych wydarzeń, będziemy zmuszeni do współżycia z tym faktem i pogodzenia się z jego konsekwencjami i tak, jak musieliśmy się pogodzić z tym, że wzamian za ziemię od wieków scaloną z Polską, których wartość uczuciową, kulturalną, historyczną dla Polaków nie da się wymierzyć w cyfrach ani wyrazić w ogólnikach, dano nam miasta i wsie spustoszone, od 700 lat znajdujące się poza orbitą polskich wpływów, pozostawiając w dodatku nam do wykonania dzieło wypędzenia prawie ośmiu milionów ich mieszkańców /tak jest w oryginale: wypędzenia. Naszym zdaniem lepiej nie posługiwać się terminologią nadużywaną przez nielicznych, ale krzykliwych rewanżystów w RFN. Wysoce kontrowersyjna i na pewno daleka od B. mln jest także liczba tych osób - przyp. red. Aspektu/ i przyjęcie na siebie wynikających stąd moralnych obciążeń. Na decyzje te podjęte w Poczdamie pod dyktando Stalina, naród Polski jako całość nie miał wpływu: gdy go spytano o zdanie w referendum w roku 1946 /nb. nigdy nie dowiemy się jakie były jego prawdziwe wyniki/, nowe granice Polski były już gotowe, przesiedlenie Polaków i Niemców w pełnym toku. Taka była akurat wartość referendum, jaki był udział Polski w podejmowaniu przez mocarstwa zwycięskie decyzji dotyczących jej granic, ustroju i związków politycznych.

Dla nas problem zjednoczenia Niemiec nie polega na "przyzwoleniu" czy "sprzeciwie", ale na tym, aby po pierwsze - podział ich i wynikające z niego skutki nie były elementem trwałego zniewolenia Polski, i na tym, aby - po drugie - likwidacja tego podziału, która jest co najmniej prawdopodobna, a w naszym przekonaniu nieunikniona, nie została dokonana przez Polaków, z Polakami jako jedynym elementem temu faktowi przeciwnym, jedynym, który się z nim myślowo i uczuciowo nie pogodzi.

Przesunięci na Zachód zostaliśmy pozbawieni części naszej historycznej Ojczyzny i sami pozbawiliśmy części historycznej ojczyzny miliony Niemców. Jest to dzieło Rosji, która narodziła się w zasięgu jej siły wydziedzicza z przeszłości i skłóca między sobą na przyszłość. Budować byt narodowy na warunkach stworzonych przez Rosję to znaczy zadomowić się w jej niewoli.

- II -

Europa Wschodnia i centralna przeżyła w ciągu XIX i XX wieku trzy stadia organizacyjne: podział i aneksja przez do minujące w tej strefie mocarstwa, następnie tworzenie państw narodowych w historycznych i etnicznych granicach, wreszcie narzucenie całemu obszarowi jednolitej dominacji i jednolitego ustroju połączone z masowym, przymusowym przesiedlaniem ludności.

Narody zamieszkujące tę część kontynentu rozciągniętą między Bałtykiem, Morzem Czarnym a Adriatykiem, są zbyt mocno określone pod względem historycznym i kulturalnym, aby poddać się obcej dominacji, zbyt różne od siebie, aby utworzyć większe całości polityczno-gospodarcze, zbyt razem słabe i przemienne z sobą, aby stanowić państwa narodo we zdolne we własnym zakresie zaspokoić swe potrzeby, sprostać rozwojowi technologii, zapewnić sobie bezpieczeństwo. Ruchy narodowe, które w Europie zachodniej doprowadziły do tworzenia nowych związków politycznych takich jak zjednoczone Włochy, Rzesza Niemiecka, Federacja Szwajcarska, w Europie wschodniej i centralnej przyniosłyby skutek odwrotny: dezintegrację wielonarodowych imperiów, a mianowicie Turcji, Austro-Węgier oraz częściowo Rosji do powstania małych państw skazanych na konflikty graniczne, konwulsje wewnętrzne, a w końcu na pochłonięcie kolejno przez III Rzeszę i ZSRR. Narody Europy Wschodniej arcydziśszy jarzmo monarchiczne, dostały się w jarzmo totalitarne.

Brakowało tu i nadal brakuje atrakcyjnej siły skupiającej. Żaden z występujących tutaj pretendentów do tej roli nie okazał się zdolny do jej odegrania. Najdłużej, bo aż przez trzy stulecia rolę taką spełniała Polska w unii z Litwą i Rusią, dopóki nie uległa wewnętrznej erozji i nowoczesnym centralistycznym monarchiom absolutnym jakie powstały w jej sąsiedztwie. Reforma w duchu demokracji i pluralizmu, zapoczątkowana Konstytucją 3 Maja 1791, mogła uratować Unię

i całą wschodnio-centralną Europę skierować na drogę postępowego rozwoju. Reformie tej położyły kres rosyjskie i pruskie ekspedycje w 1792 i 1794 roku.

Nieoczekiwanym pretendentem do urzędzenia Europy Wschodniej okazał się Napoleon po zwycięstwie nad Prusami i Austrią. Wyparty stąd głównie siłą Moskwy, pozostawił nacjonalizm rozszarpane do białości i nierealny w tej części Europy i w tym czasie, młot państwa narodowego, którego Rosja i Austria po kongresie wiedeńskim niepodzielnie władające tą częścią kontynentu - przeciwstawiły pojęcie ojczyzny prawnej. O przynależności narodowej Polaków, Czechów, Słowaków, Rusinów, Litwinów, Węgrów itd. miały odtąd decydować biura policyjne i wojskowe, przyczyniając się do ustawicznego wzrostu gorączki nacjonalistycznej.

Wzmogły ją jeszcze Niemcy. Ich próba opanowania i "zorganizowania" Europy Środkowo-Wschodniej była ze wszystkich dotychczasowych najbardziej katastrofalna. Wkroczyli uzbrojeni w młot wyjątkowej cywilizacyjnej i etnicznej, i kierując się w swym postępowaniu wyłącznie celami wojennymi pozostawili po sobie w Polsce, na Ukrainie, na Białorusi, w Serbii, w Słowacji i wszędzie gdzie tylko stanęła stopa żołnierza, żandarma i urzędnika III Rzeszy, wspomnienie, którego stulecia nie wymażą z pamięci narodów.

Zwycięzca III Rzeszy na wschodzie, ZSRR, przekształcił całą Europę Środkowo-Wschodnią oraz Półwysep Bałkański, w strefę własnego bezpieczeństwa. Swego potencjalnego przeciwnika, Niemcy, odepchnął od swych granic tak daleko, jak tylko umożliwiły mu to okoliczności wojenne, posługując się m.in. Polską jako buforem. Stalin na konferencji w Jaltie nie ukrywał celów, dla których domagał się ustanowienia w części Niemiec wschodnich polskiej administracji, twierdząc że wobec masowej ucieczki ich stałych mieszkańców, tylko Polacy w oparciu o własny kraj, mogą zapewnić ożyłą administrację na zapleczu Armii Czerwonej działającej w Niemczech środkowych... Potem wielokrotnie twierdził, że likwidacja sił "antysocjalistycznych" w Polsce jest konieczna ze względu na zabezpieczenie radzieckich szlaków komunikacyjnych, a przede wszystkim Niemiec. Bezpieczeństwu granic radzieckich służyły potem wszystkie posunięcia polityczne, wojskowe, gospodarcze i policyjne przeprowadzone wedle tych samych zasad na całym obszarze dominacji ZSRR od jezior fińskich po Adriatyk: fałszowane wybory, narzucone konstytucje i ustawy, prowokowane przewroty, czystki w aparatach rządowych, wymuszane inwestycje, stałe kontyngenty wojskowe, a w ostatecznej potrzebie bezpośrednie interwencje i inwazje zbrojne. ZSRR kontynuuje wzdłuż swych zachodnich granic politykę dawnych imperiów, których granice schodziły się na otwartych przestrzeniach Europy Środkowo-Wschodniej i które traktowały je w całości jako przedpole swych granic, no mans land, wielki poligon. Dla radzieckich strategów epoki sztucznych satelitów i samostwierdzających rąk przestrzeni ma tę wartość geopolityczną, co w czasach pozycyjnych wojen.

Wszystkie dotychczasowe próby organizowania Europy Środkowo-Wschodniej, podejmowane od końca XVIII wieku, tj. od czasu ostatecznego załamania Unii Polsko-Litewskiej, wynikały z rywalizacji stykających się tu mocarstw, miały na celu jej złagodzenie, lub były rezultatem przewagi jednej ze stron. Aneksje, tworzenie narodowych państw buforowych, homogenizacja polityczna. Aneksje doprowadziły do wzrostu nacjonalizmu, zacofania, rozerwania organicznych związków, a w końcu do rozpadu monarchii zaborczych. Tworzenie państw buforowych doprowadziło do bałkanizacji całej Europy Środkowo-Wschodniej, oddało ją w ręce imperializmów, odrodzonych w totalitarnej formie, "Homogenizacja" pod patronatem radzieckim zahamowała rozwój polityczny tych krajów, narzuciła im ociężały i niefunkcjonalny ustrój, a hegemonowi zapewniła potęgę, jakiej nigdy dotąd nie miało żadne europejskie państwo.

"Homogenizacja" nie przyczyniła się zresztą wcale ani do zżycia narodów tej strefy, ani do złagodzenia konfliktów, ani do zacieśnienia rzeczywistej współpracy gospodarczej. Stosunki między "bratnimi krajami" reguluje właśnie ZSRR, nie pozwalając na żadne w tej dziedzinie ekscesy: nie dopuszcza do konfliktów ale też powstrzymuje od przesadnego bratania się, jak to było w okresie otwarcia polsko-czeskiej granicy i projektowanego otwarcia granicy polsko-czechosłowackiej. Dawne tereny sporne między Polską a Czechosłowacją /Śląsk Cieszyński i Spisz/, między Węgrami a Rumunią /Transylwania/, Węgrami a Jugosławią /Voivodina/, Bułgarią a Jugosławią /Macedonia/ pozostały nadal sporne i trwa w nich, dawny, tyle że bardziej ukryty, nacisk narodowych mniejszości; konflikty i uciśki trwają na największą skalę w zachodnich republikach radzieckich. Państwa członkowskie RWPG unikają nadal, tak jak unikały w dwudziestolecie międzywojennym wymiany gospodarczej między sobą, która niewiele przynosił partnerom o podobnej strukturze i znajdującym się na zbliżonym stadium ekonomicznego niedorozwoju. Traktując ją jako wymuszone zło konieczne i spłacając należny trybut hegemonowi, który przy całej swej potęgze wojskowej i pomimo bogactw

naturalnych, jest ze wszystkich krajów wschodniej wspólnoty najbardziej zacofany, szukając na wysłoni na zachodzie partnerów dysponujących rozwiniętą technologią i twardą walutą.

Problem Europy Środkowo-Wschodniej pozostał nierozwiązany i pod wieloma względami jest wciąż ten sam. Natomiast wszystkie owe etapy organizacyjne - aneksje, bałkanizacja, homogenizacja - pozostawiły po sobie złe skutki, które dodatkowo problem komplikują.

Przyszłe stosunki polsko-niemieckie są tylko częścią sprawy, która jest jak wulkan przygaszony, ale wciąż czynny. Wybuchnie, gdy tylko poruszy się skorupa europejska zastygła po ostatniej wojnie.

- III -

Zjednoczenie Niemiec, gdy do niego dojdzie, nie powinno spowodować nowego zakłócenia w stosunkach polsko-niemieckich i stworzyć nowego układu sił w całej Europie Środkowo-Wschodniej, lecz przeciwnie, powinno stać się czynnikiem ogólnej integracji tej części kontynentu. Oba państwa niemieckie są dziś z nią związane: NRD jako uczestnik wszystkich procesów politycznych i gospodarczych w radzieckiej strefie wpływów, RFN jako główny zachodni partner gospodarczy większości państw tej strefy /przede wszystkim Polski i Czechosłowacji/. Przyszłe zjednoczone Niemcy będą miały bardziej niż kiedykolwiek przedtem rozwinięte stosunki z Europą Wschodnią.

Będą je kształtować bez pośredników. Dotyczy to przede wszystkim stosunków polsko-niemieckich. Najbardziej zaangażowane w przeszłości, najbardziej obciążone resentymentami wzajemnymi, z największą ilością spornych tematów, były testem dla dojrzałości politycznej całego obszaru wyzwolonego spod kurateli wschodniego gwaranta.

Przystąpmy już dziś do kształtowania tych stosunków w sferze myślowej i psychologicznej, zanim będzie to możliwe w sferze politycznej.

Na stosunkach polsko-niemieckich w dużej mierze zaważyły stereotypy we wzajemnej interpretacji postępowania i charakterów.

Negatywny stereotyp Polaków stworzyli Niemcom pruscy pisarze. "Wszelkie odmiany w niemieckim spojrzeniu na Polaków, były okraszane ściśle przez przejaśnione potrzeby indywidualne Niemca, który tym obrazem się posługiwał" - pisze amerykański badacz polsko-niemieckiego konfliktu - "gdy Niemiec chciał wymusić od swego rządu kredyty, podkreślał masowo i siłą Polaków. Gdy chciał podkreślić wyższość narodową Niemców, twierdził, że Polacy są skłabi i że łatwo ich usunąć. Gdy chciał dać upust swym resentymentom i doprowadzić do poprawek terytorialnych, oskarżał Polaków o okrucieństwo i agresywność. Gdy szukał sojuszu z Polakami stawiali się oni w jego oczach godni samych pochwał. Łatwo spostrzec, że żadna istotna grupa niemieckiego społeczeństwa nie stworzyła nigdy obrazu Polaka, który kolidowałby z jej własnym interesem". /Harry Kenneth Rosenthal: "German and Pole. National Conflict and Modern Myth". Universit Presses of Florida, 1976/.

"Niemcy nigdy nie mogli zrozumieć, że polskie osiągnięcia na rzecz przetrwania były równie realne, jak niemieckie na rzecz stworzenia własnej potęgi" - pisze dalej H. Rosenthal. - "Być może rozumieją to teraz lepiej, w epoce swych rozbiorów".

Aż do XVIII wieku negatywny obraz Polaka nie odgrywał żadnej roli w niemieckiej polityce. Stosunek Niemców do Polaków był taki sam, jak do wszystkich innych krajów i narodów sąsiedzkich. Polskie przewagi militarne, bogactwo i obszar Rzeczypospolitej, prestiż królów polskich, korzyści handlowe wynikające ze stosunków - wszystko to wpływało raczej na respekt niemiecki dla wschodnich sąsiadów; szybkie polszczenie się osiadłych w Polsce rodzin niemieckich świadczyło o zupełnym braku owej wyższości, jaka objawiła się później w stosunku Niemców do Polaków i "wschodniej cywilizacji".

Dopiero elekcja Augusta Mocnego na króla Polski i ostatecznej i spustoszonej po najazdach szwedzkich i po wojnie północnej zrodziła w Niemczech, a zwłaszcza w Prusach obfitą literaturę pamfletową i satyryczną. Przeciwnicy Augusta oraz dalszy upadek Polski za panowania jego i jego następcy został przypisany samym Polakom, a nie nieudolności saskich królów i ich skorumpowanej administracji.

Jeszcze obfitszą negatywną literaturę o Polsce spowodowały rozbiory. Sam Fryderyk Wielki, chociaż zarzekał się, że rozbiory nie były jego pomysłem, twierdził, że tylko Niemcy mogą wyciągnąć Polaków z nieładu i anarchii. Poglądy Fryderyka Wielkiego rozpowszechnione przez popularną, szkolną literaturę wraz z całą jego legendą utrwaliły stereotypowy pogląd niemiecki na Polaków.

Natomiast przesunięcie granic pruskich aż poza Warszawę i prąd umysłowy przychylny dla etnicznych kultur, wywo-

wały krytykę pruskich aneksji i spowodowały korzystne zmiany w obrazie Polaka. Te dwa obrazy: negatywny, pochodzący z oświeceniowego, i pozytywny, pochodzący z romantycznego, wymieniały się z sobą przez cały wiek XIX. Polak leniwy, niezdolny, brutalny i pijany ustępował miejsca Polakowi żądnemu, przywiązanemu do swej ojczyzny i do wolności, pracowitemu i przyjaznemu.

Zależało to też od sytuacji politycznej. Losy Polski i Prus upodobiły się wówczas, a szanse zrównały. Po bitwie pod Jeną Prusy właściwie zniknęły z mapy Europy jak Polska; dwaj cesarze w układzie w Tyliczu zrobili z nich państwo buforowe, tak jak z Polski. W razie zwycięstwa Napoleona nad Rosją Polska po odzyskaniu swych wschodnich posiadłości i odtworzeniu Unii z Litwą miałaby o wiele większe szanse od Prus. Te ostatnie zadowolili swe dalsze istnienie tylko zwycięskiej Rosji, tak samo jak Królestwo Polskie /kongresowe/, i poddane były rosyjskiej kontroli co najmniej do roku 1848. Dlatego też w tym okresie Polacy byli naturalnymi sprzymierzeńcami Prus i odpowiedzieli na to byli traktowani przez pruską władzę i pruskich mężów stanu. Premier pruski von Stein w memoriale wydanym w Nassau w roku 1806, podkreślił doniosłe znaczenie Konstytucji 3 Maja, przypomniał polskie osiągnięcia historyczne i potęgę rozbiory Polski, tworząc podstawy do liberalnej polityki pruskiej w księstwie poznańskim, która utrzymywała się aż do roku 1830 a nawet częściowo aż do 1848 roku.

Ale obok tendencji do zacieśnienia współpracy z Polakami jako sprzymierzeńcami przeciwko Rosji pojawił się w świadomości niemieckiej /po klęskach w wojnach z Francją/ kompleks okrażenia i widmo sojuszu francusko-rosyjskiego. Clausewitz ogłosił wówczas teorię, w myśl której Polacy, z racji swego położenia geopolitycznego pomiędzy Niemcami a Rosją, będą zawsze dążyć do sojuszu z Francją i odgrywać rolę narzędzia w jej polityce okrażenia Niemiec.

Z teorii okrażenia wynikała myśl o współpracy z Rosją, a zarazem myśl o likwidacji na zawsze polskiego buforu dzielącego te kraje. W tym duchu zaczęła rozwijać się pruska polityka po klęsce powstania listopadowego /Polaków z księstwem poznańskim idących na pomoc powstaniu okrzykano "zdrajcami"/ i likwidacji Królestwa Polskiego, a zastrzyżka się jeszcze bardziej po wypadkach 1848 roku. 20 kwietnia 1848 roku gazeta magdeburska ogłosiła list młodego Bismarcka twierdzący, że Polacy, jeśli zostawi się im najmniejszą autonomię, domagają się będą zupełnej suwerenności oraz zwrócenia im nie tylko Prus Południowych, lecz także Prus

Wschodnich oraz Śląska i Pomorza. "Polacy i Niemcy są skazani na wieczną walkę" - twierdził przyszły kanclerz.

Pod wpływem wypadków 1848 roku zmalały sympatie dla Polaków nawet w zachodnich krajach niemieckich, gdzie uczucia antyrosyjskie były silniejsze, a obawy przed Francją mniejsze. Marks i Engels, których poglądy były typowe dla tamtych szych kół liberalnych, pisali początkowo, że udział w rozbiórach Polski uzależnił Prusy od Rosji, ale w roku 1851 Engels pisał do Marksa: "Im więcej myślę o tej sprawie, tym bardziej jasne wydaje mi się, że Polacy to u n e n a t i o n a l e f o u t u s e, to narzędzie potrzebne tylko do chwili wybuchu w Rosji rewolucji agrarnej. Odtąd Polska nie będzie miała zupełnie dalszej r a i s o m d e t r. Polacy nigdy nie robili w historii nic prócz angażowania się w głupią brawurę".

W miarę jak sytuacja Polski stawała się bez wyjścia, pogarszała się jej obraz w oczach Niemców, którzy w rzeczywistych lub rzekomych wadach Polaków szukali racji do ich wywłaszczania i spychania do podrzędnej roli. "Polacy są niezdolni do lojalności i pozbawieni politycznych talentów" - pisał Heinrich von Treitschke. Silny nacisk kładziono na "anachroniczny", "średniowieczny" i "feudalny" charakter polskiego społeczeństwa, przy czym szczególnie podkreślano rolę szlachty i katolickiego kleru w utrzymywaniu zapóźnionych rozwojowych oraz krzewieniu szowinizmu narodowego. Odnawili się też XVIII-wieczne stereotypy. Oparł się na nich Bismarck w swej antypolskiej retoryce i akcji. Zarówno Bismarck jak i jego następca Capriwi w ogóle nie zauważyli polskiego chłopca i polskiej klasy średniej, które od Niemców nauczyły się w i e d e i stały się ich silnym konkurentem. Fakt ten zauważyła dopiero słynna HAKATA /Ostmarkenverein/. Będąc organizacją ochotniczą, prywatną, zmuszoną do zabiegów o subwencje rządowe, HAKATA przesadzała z kolei w obrazie "polskiego niebezpieczeństwa". Polacy w pismach hakatystów są pracowici, zdolni, świetnie zorganizowani, i w przeciwieństwie do egoistycznie i aspołecznie nastawionych Niemców, niewzruszenie oddani swym narodowym celom.

Utrzymywano nadal pogląd, że Polacy nie zasługują na odrębny byt polityczny. Typowe dla tego okresu pisma Georga Gleinowa pełne podziwu dla polskich osiągnięć gospodarczych w łonie Rosji, dla ich talentów propagandowych, a nawet dyplomatycznych okazanych zwłaszcza w czasie I wojny światowej, kiedy zdolał sprawę polskiej przywrócić znaczenie międzynarodowe. Pomimo obiektywnego uznania Gleinowa przyznawali się do uczynienia z Polaków "super-wroga" Niemców,

zwłaszcza gdy klęska poniesiona w wojnie, która niemal do ostatka wydawała się wygrana, dostarczała nowej pożywki niemieckiemu nacjonalizmowi. "Odbudowa Polski, podobnie jak rozbrojenie oraz klauzule reparacyjne traktatu wersalskiego stanowiły sygnał tego, co większość Niemców uważała za niesprawiedliwe zakończenie wojny, której przegrana nie przyjmowali do wiadomości" - pisze H. K. Rosenthal.

Pośród różnych tłumaczeń owej klęski znalazł się również negatywny obraz Polski i Polaków. Zapomniano o respektach, jakie miała dla nich HAKATA i jaki programował von Gleinow. Spórą rolę odegrała także ignorancja na temat Polaków, jaka panowała do niedawna w zachodnich prowincjach niemieckich, odbudowa niepodległej Polski spowodowała tam szok i niechęć, które stały się przeważającym nastrojem w ocalałych Niemczech po roku 1921. Wszystkie partie polityczne republiki weimarskiej, nie wyłączając komunistów, były przeciwnie wschodnim granicom Rzeszy. Podkreślano stroniwość alianckich komisji oraz krzywdzące dla Niemców i niezgodne z wynikami plebiscytu decyzje ostateczne dotyczące Górnej Śląska.

Nacjonalistyczni pisarze okresu weimarskiego przesadzali tendencyjnie wartość niemieckiego wkładu w zagospodarowanie Europy Wschodniej, a wschodnią granicę Rzeszy przedstawiali jako granicę zachodnią cywilizacji. Podkreślali przypadkowość powstania Polski niepodległej, które ktoś określił jako "dar niebios" dla Polaków. Wszyscy wyrażali przekonanie, że państwo polskie jest "nienaturalne", "niehistoryczne", że zawdzięcza swoje istnienie tylko przejęciu woj skłóści Niemiec i Rosji oraz francuskim intrygom. Nazywano je "najważniejszą częścią francuskiego systemu antyniemieckiego na wschodzie".

Wtedy też pojawił się mit "parcia na Wschód" /Drang nach Osten/, który miał być historycznym powrotem Niemców na Wschód, skąd byli niegdyś przysłali... "Zadaniem wymagającym od nacjonalistycznych pisarzy przez niemiecką opinię było wyjaśnienie klęski niemieckiej w I wojnie światowej i przekreślenie skutków tej klęski" - pisze H. K. Rosenthal.

Odbudowa Polski była jedną z ówczesnych konsekwencji. Twierdząc, że Polacy są zasadniczo niezdolni i brutalni, pisarze nacjonalistyczni stwarzali przesłankę do uznania klęski Niemiec za niewiarygodną. Ponadto uświadamiając Niemcom ich moralne prawa do dawnych pruskich terytoriów, które stały się częścią nowego państwa polskiego, pisarze ci stwarzali przesłankę do uznania odbudowy tego państwa za bezprawne... polskie osiągnięcia należało pomniejszać... Polaków należało przedstawiać jako tępych i brutalnych wieśniaków... /op. cit. 88/.

Jak nic nie znaczą takie uogólnienia, jak są zmienne, jak służebne w stosunku do celów politycznych, świadczy fakt, że z chwilą dojścia do władzy hitlerowców zawarcia z Polską paktu o nieagresji, oficjalna prasa hitlerowska wypełniła się pochwałami polskich osiągnięć, polskiego wojenka, polskiej organizacji życia, polskich mężów stanu, a zwłaszcza Piłsudskiego. Instrukcje Goebbelsa dla prasy /znotowane przez Karola Brammera i towarzyszy/ nie pozostawiały żadnych wątpliwości, że Polska jest pod specjalną ochroną. Jeszcze w 1938 roku konfiskowano antypolskie artykuły. Za to na dwa tygodnie przed wypowiedzeniem przez Hitlera paktu o nieagresji, w kwietniu 1939 roku, cała prasa nagle uderzyła w ton oskarżeń i oszczerstw. Odczyły nagle pomówienia Polaków o zdradę i przyłączenie się do "anglo-francuskiej polityki okrażania Niemiec" w czasach Clausewitza i Bismarcka, odczyły wszystkie tematy z czasów weimarskich a nawet jeszcze dawniejsze, "fryderycjańskie" argumenty o niższości i bezwartościowości Polaków. Znow, jak dawniej polski chłop i robotnik byli chwaleń za wierność i poddanie niemieckiemu przewodnictwu, a miejsce szlachty, którą dawniej oskarżano o organizowanie oporu i nienawiści narodowej, zajęła inteligencja.

Reszta jest znana: "Weimarski mit Polaka sprawił, że dla hitlerowców życie polskie wydawało się tanie" - pisze H. K. Rosenthal.

Co pozostało nadal przy życiu z całej tej historii niemieckiego stereotypu Polaka, a jakie się wytworzyły elementy nowe?

Nowe jest to, iż na skutek powstania Paktu Północno-Atlantyckiego, którego czynnikiem dominującym w Europie jest współpraca RFN-USA oraz Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej której najsilniejszym partnerem jest również RFN, a pośrednio także na skutek podziału Niemiec i rywalizacji dwóch bloków, potencjalny przeciwnik Niemiec znajduje się dziś tylko na wschodzie. Ze świadomości niemieckiej, z niemieckich rachub politycznych zniknął kompleks okrażenia, w którym tak ważną rolę odgrywała Polska. Przeciwnikami Niemiec na wschodzie są ZSRR i reżim w NRD. W tej sytuacji problem Polski został przesłonięty przede wszystkim przez problem stosunków niemiecko-radzieckich i był traktowany jako ich fragment.

Polacy ze swym narzuconym reżimem i quasi-okupacją radziecką mogą wydawać się i wydają raczej sojusznikiem Nie-

mieć w pewnych przynajmniej sprawach, np. w oporze przeciw reżimowi, w swoich dążeniach do związków z zachodem, w swoim przywiązaniu do tradycji narodowej i religijnej. Znalazło to wyraz w oświadczeniach kościołów, w wizytach różnych nieformalnych grup, a ostatecznie w owym układzie z roku 1970, który ważny był może nie tak ze względu na treść, ile na interpretację, jaką nadała mu niemiecka opinia oraz sam kanclerz Brandt.

Ten ostatni oświadczył, że "pojednanie z Polską ma dla Niemiec równe znaczenie historyczne jak pojednanie z Francją". To oświadczenie zdaje się zamykać fazę w stosunkach polsko-niemieckich, która wynika z teorii okrążenia.

Niemalą też rolę odgrywa w świadomości zwłaszcza niemieckiej elity intelektualnej poczucie winy wobec Polaków; wielu pisarzy niemieckich łączy pojednanie z Polakami ze sprawą duchowego odrodzenia Niemców po klęskach, jakie zadał im hitlerizm oraz poprzedzające go inne formy szowinizmu. Poglądy takie wypowiadali Karl Jaspers, Golo Mann; sprawa polska jest motywem przewodnim twórczości Guntera Grassa.

Natomiast niedźwiedzią przysługę wyświadcza sprawie polskiej propaganda i oficjalna historiografia w NRD. Dla utrwalenia w umysłach niemieckich podziału kraju - granic na Odrze i Nysie oraz związków Niemiec wschodnich z Paktem Warszawskim i RWPG, głosi się tam coś w rodzaju "mitu weimarskiego na opak"; jak to nazwał H. K. Rosenthal. Według owego mitu obszary na wschód od "granicy pokoju" są, oczywiście, pra-polskie, ilość polskich autochtonów przesadza się w duchu polskiej propagandy, a ilość wysiedlonych Niemców podaje zgodnie z polsko-radziecką wersją "ok. 2 milionów". Pominiejsza się tam udział Niemców w życiu gospodarczym Polski i innych krajów wschodniej Europy wbrew prawdziwie historycznej itd. Jak wszelkie kłamstwo historyczne wywołuje to reakcję odwrotną: wznieca mianowicie szowinizm, zamiast go uśmiercać.

- IV -

Równie niebezpieczny jest polski manipulowany szowinizm. Polacy mają, niestety, bardziej jednoznaczny obraz Niemca utrwalony w psychologii zbiorowej. Wpłynęli na to ci wszyscy Niemcy, z którymi Polacy mieli bezpośrednie do czynienia agresywni wojownicy pogranicznych monarchii, koloniści przybywający w zorganizowanych grupach, przez królów, księzątki udzielnych i przez polską duchowieństwo obdarzani specjalnymi przywilejami, a następnie kupcy, mnisz, najemni żołnierze, a więc z reguły element bądź to awanturniczy, bądź to uprzywilejowany, bądź interesowny, bądź przekupny. Ogromną rolę w ukształtowaniu owego stereotypu odegrali Krzyżacy, którzy na długo zastąpili w wyobraźni Polaków obraz Niemiec w ogóle; w istocie po odłączeniu się od Polski Pomorza, gdy te germanizujące się z wolna księstwa piastowskie stanowiły oś w rodzaju "państw buforowych" między Polską a Niemcami, Polacy mieli do czynienia z sąsiedztwem niemieckim tylko na północy, właśnie z Zakonem, i konflikty z Niemcami tylko na pograniczu ich wojennego i kupieckiego państwa. Sekularyzacja Zakonu i podział jego ziem położyły kres polsko-niemieckim konfliktom na przeszło dwa stulecia, a obraz Niemca, nawet Prusaka, wyraźnie złagodniał w oczach Polaków, zwłaszcza z okrucieństwem Szwedów i dzikością "Moskali". Poparcie pruskiemu i klęskom w wojnie z Turcją Polska zawdzięcza krótki okres swobody politycznej upamiętniony Konstytucją 3 Maja. Dopiero zdrada Prus w roku 1792, czyli odstąpienie od sojuszu z Polską i udział ich w rozgromieniu insurekcji kościuszkowskiej, udział w rozbiorach i okupacja całej prawie Polski centralnej włącznie z Warszawą, odnowiły dawny stereotyp Niemca, na który zresztą złożyły się także gwałty i podstęp austriackie oraz znacznie szerszy od pruskiego ucisk narodowy w Galicji, trwający tam nieprzerwanie aż do sześćdziesiątych lat XIX wieku. Niemalą rolę w tworzeniu tego stereotypu odegrali też Niemcy w służbie rosyjskiej, poczynając od samej Katarzyny Wielkiej.

Stereotypy takie wszędzie utrwalają pisarze. Jak politycy pisarze pruscy oraz nacjonalistyczni publicyści okresu weimarskiego stworzyli niemiecki stereotyp Polaka, tak polski stereotyp Niemca stworzyli publicyści i powieściopisarze patriotyczni głównie w XIX wieku - w czasach rozbiorów. A ponieważ centrum życia intelektualnego i narodowego znajdowało się wtedy w Warszawie, pod władzą i cenzurą rosyjską, gdzie nie wolno było słowem wspomnieć ani o minionych ani o współczesnych uciskach rosyjskich i konfliktach z Rosją, pisarze cały swój zapał patriotyczny kierowali przeciw Niemcom, Krzyżakom i Prusakom. W opisywaniu ich gwałtów, w wychwalaniu dawnych polskich przewag nad nimi i w budzeniu przeciw nim oporu, szukali sposobu dla wyrażenia uczuć patriotycznych, dla budzenia ducha narodowego i przypominania Polakom o ich jedności. Sienkiewicz nawet nie mógł wspomnieć w "Potopie" o tym, z jakiej to wojny wraca Kmicic, za to w "Krzyżakach" i "Bartku Zwykłym" mógł pozwolić sobie na wyrażenie polskości pełnym głosem. Prus musiał otoczyć przeszłość bohatera "Lalki" mgłą tajem-

nicy, i do dziś dnia trzeba komentować, aby nieuprzedzony czytelnik odnalazł w charakterze Wokulskiego niezagojoną bliznę roku 63; w "Placówce" krępować się nie musiał. Podobne przesunięcie akcentów wymuszone przez cenzurę rosyjską widoczne było także w publicystyce i wpłynęło znacznie na to, że obraz niemieckiego rozbioru kształtował się znacznie gorzej od obrazu rozbioru rosyjskiego. I taki obraz został przekazany następnym pokoleniom.

Coś podobnego nastąpiło po drugiej wojnie światowej. Oczywiście, zbrodnie hitlerowskie przez swoją masowość i metodyczność przekroczyły wszystkie dotychczasowe miary, i nic dziwnego, że po dziś dzień końca nie ma dokumentom, wspomnieniom, utworom literackim i filmom, które utrzymują pamięć Polaków w stanie stałego podrażnienia. Jednakowoż cenzura nie pozwalająca wypowiedzieć się tym, którzy ucierpieli od okupacji radzieckiej - a była nią objęta prawie połowa dawnego polskiego terytorium - tym, którzy przeszli przez radzieckie obozy karne, przez więzienia NKWD, lub choćby przez zsyłkę "na osiedlenie", zmienia obraz historii narodowej, czyniąc Niemca jej złem jedynym. Nie chodzi nam w tej chwili o prawdę historyczną, ani o sprawiedliwość historyczną, to inne zagadnienie. Chodzi nam w tej chwili o to tylko, że stłumienie siłą cenzury wszelkie resentymenty kierujących się w stronę wschodniego agresora, wzmacnia resentymenty kierujące się w stronę agresora zachodniego, utrudniające jeszcze bardziej porozumienie i pogłębiające w Polakach przekonanie, że zależność od ZSRR jest mniejszym złem od ewentualnej konfrontacji z Niemcami.

- V -

Stosunki międzynarodowe wchodzą w nową fazę historyczną. Zależność od zasobów surowcowych, źródeł energii oraz wysoko rozwiniętej technologii produkcyjnej, komunikacyjnej i obronnej, wpływa i zapewne będzie na integrację całych kontynentów i makroregionów, na powstawanie nowych, ponadnarodowych związków gospodarczych i wojskowych. Z drugiej strony jednak, jak gdyby na przeciwnym procesowi, rysuje się proces wyodrębniania się narodów nawet takich, które nigdy dotąd nie miały własnego bytu politycznego, a dziś domagają się odrębnej reprezentacji na zewnątrz, odrębnej formy prawnej, udziału w dystrybucji dóbr i podziale władzy. Ich aspiracje zagrażają dziś całości i spójności organizmów tak ugruntowanych historycznie i terytorialnie, jak Francja, Wielka Brytania i Hiszpania. Może się zdawać, że odródkowy ruch narodowy w Europie Środkowo-Wschodniej, tak uparty w oporze przeciw scentralizowanemu imperium i ich rozsadzaniu od wewnątrz, stanowił będzie model dla narodów w całej Europie; amerykański historyk Europy Środkowo-Wschodniej nazywa go "profetycznym" /Joseph Rothschild, "East Central Europe between the Two World Wars", Seattle 1976/.

W istocie czyż Baskowie, Bretończycy, Szkoci, Walijszycy, Irlandczycy, Flamandowie i inni nie zachowują się dziś, nie postępują i nie myślą podobnie jak Polacy, Czesi, Chorwaci, Ukraińcy w XIX wieku? To prawda, że brak im takiej tradycji jak nasza - ale czyż nie są również tragiczni, czy "romantyczni", równie nieobliczalni i czy ich różne trzęswe głosy nie oskarżają o "mrzonki", jak nas dawniej oskarżały?

Te ruchy są reakcją społeczną na nadmierne ujednolicenie form życia we wszystkich krajach uprzemysłowionych znajdujących się w zasięgu wielkich międzynarodowych spółek, które produkują dla całego świata jednakowe domy, samochody, jednakowe jedzenie, ubranie, papierosy, narzucając wszystkim jednakowe wzory i standardy życia.

Narodowe ruchy na rzecz suwerenności i autonomii są wyrazem poszukiwania własnego oblicza kulturalnego w dzisiejszym świecie międzynarodowej, ujednolicającej i wyjątkującej kultury masowej. Są też reakcją na powiększającą się nieudolność centralistycznych aparatów państwowych, na biurokrację, na bezradność władz wobec coraz bardziej złożonych problemów życia przy jednocześnie pogłębiającej się ingerencji państw w życie jednostki. Skala tego zjawiska jest duża i zmienne jego nasilenie, w różnych krajach i różnych ustrojach. Niemniej niezadowolenie występuje wszędzie i ma te same motywy; Kurdowie i Baskowie, Gruzini i Irlandczycy działają z podobnych powodów, choć w różnych warunkach.

Ruch narodów na rzecz suwerenności i autonomii, na rzecz duchowej tożsamości i politycznej obecności, nabiera cech uniwersalnych.

Aby nie zmienić całej Europy w jeden "kocioł nacjonalistyczny", aby jej w całości nie "zbałkanizować" i znów nie poddać jakimś imperialistom, musi ten ruch mieć również uniwersalistyczną ideę. Powinien rozwijać się i realizować w ramach powszechnego ruchu na rzecz praw człowieka. Do praw tych, oprócz prawa do sprawiedliwego podziału w bogactwach zbiorowych, do pracy i do opieki na starość, do kształcenia, do otrzymywania wiadomości i głoszenia poglądów, do wyznawania religii, podróżowania bez przeszkód i do osiedlania się w wybranym miejscu, należy także prawo do tożsamości polityczno-narodowej. Każdy człowiek ma prawo do tego, aby kraj, który z urodzenia lub wyboru uważa za swoją

ojczyzn, mógł uznać za identyczny ze swymi pragnieniami co do formy rządów, co do kierunku rozwoju i pola działania, co do sojuszków i zależności, co do wewnętrznych form życia takich jak język, obyczaj, styl kultury i zagospodarowanie środowiska naturalnego.

Ideologia narodowa łatwo może się wyrazić w nienawiści, gdy opiera się na przekonaniu o szczególnym prawie pojedynczych narodów do rozwoju i ekspansji a także o szczególnej misji, jaka każdemu z nich przypada, czy o szczególnych prawach do rządu historycznego. Uniwersalna idea narodowa opiera się na powszechnym i niezbywalnym prawie każdego z i o w i e k a do wolnej ojczyzny. Cechą szowinistów narodowych jest posługiwanie się stereotypami w ocenie charakterów narodowych. Niezbędnym warunkiem układania współżycia narodowego na nowych, uniwersalnych, humanistycznych zasadach, jest pozbycie się stereotypów, wedle których rywalizujące ze sobą narody oceniały się nawzajem. W wypadku Polaków i Niemców pozbycie się tych stereotypów jest szczególnie ważne, albowiem historia ich układania i stosowania jest bardzo długa i bardzo zawiła.

Stereotypy rodzą się ze złości, ze strachu oraz z ignorancji. Na złą wolę, na strach oraz na ignorancję jest rada ta sama: obfita, rzetelna, wzajemna wiedza.

Historia stosunków polsko-niemieckich poucza nas, że krótkie okresy wzajemnego negatywnego lub pozytywnego zainteresowania wynikającego z potrzeby chwili, dzielą długie okresy wzajemnej ignorancji. Te właśnie okresy sprzyjały wybuchom sentymentalnej sympatii albo bezmyślnego awersji. Ignorancja dawała pole do popisu pisarzom, retorom i demagogom, którzy tworzyli uogólnienie stosownie do potrzeb.

Charakter narodu tworzą jego losy i jego ustroje. Narody są takie, jakie były wydarzenia, które je spotykały i jakie były rządy, które miały nad nimi władzę. Wydarzenia przychodzą najczęściej tak, jak klęski żywiołowe - nie raz najświatlejsi ludzie nie potrafili przewidzieć ich biegu - a rezultaty są zawsze wypadkową. Rządy wkładają się w życie narodów nieraz chyłkiem, czasem wdzierają się do niego siłą, często narzuca je obca ręka. W ocenie charakterów narodów, w ocenie ich postępowania i osiągnięć trzeba odróżnić element ludzki - zawiniony, czy zasłużony - od pozaludzkiego, którym jest narzucona im forma życia.

Dzisiaj Polacy wiedzą lepiej, niż wiedzieli 40 lat temu co to jest życie w totalitarnym ustroju, w jakim stopniu pozbawia on pojedynczych ludzi i cały naród wiedzy o sobie i odpowiedzialności za siebie; wiedzą dziś lepiej, niż wiedzieli w czasie okupacji hitlerowskiej jakie zmiany w charakterach ludzkich wywołuje zniewolenie; wiedzą lepiej co to znaczy żyć w zakłamanym świecie, w społeczeństwie rozbitym na nieznające się nawzajem grupy i nierozumiejące się pokolenia; Polacy wiedzą dziś jak bezbronne jest społeczeństwo pozbawione samorządu, samorządnych więzi i informacji.

Niemcy po wszystkich truciznach totalizmu poznali jeszcze goręcej klęskę zniszczenia, obcej okupacji, rozbiórów i bratobójstwa. Niemiec z zachodu przekraczający odrutowaną granicę, która go oddziela od rodzinnego miasta, i Niemiec ze wschodu, którego druty oddzielają od reszty Niemiec i świata, powinni zrozumieć dzisiaj "charakter narodowy" Polaków, którzy w ciągu stu lat z górą przez takie właśnie granice, z narażeniem życia przekradali się po to, aby utrzymać jedność narodu i kraju.

- VI -

Podróżny przejeżdżający przez Polskę po dziś dzień widzi ślady przecinających ją dawniej granic: zmieniający się styl budownictwa i plan zabudowy osiedli i inne jeszcze różnice - nawet w zachowaniu ludzkim i w języku, ale nade wszystko spostrzec musi rozciągnięte wzdłuż owych granic garnizonowe miasteczka obudowane ceglanyimi blokami rosyjskich, niemieckich i austriackich koszar oraz głęboko w ziemię wkopane porośnięte lasami fortece - dziś najczęściej zamienione na składy - pamiętki po masach wojsk, które strzegły nietykalności imperialnych terytoriów, świętej równowagi sił w Europie, czyli całego porządku ustanowionego na kontynencie, jednocześnie zaś zapobiegały ponownemu połączeniu się narodu, który aspirował do posiadania własnej, wolnej ojczyzny.

Gdy rozpadły się imperia, całą Europę Środkowo-Wschodnią pocięły granice suwerennych, narodowych państw, którym traktat warszawski spisał rzekomo wszystkie romantyczne reindykacje. Granice te, wywalczone, wytargowane, wydarte siłą lub podstępem, były dla każdego z tych państw świętą, strzeżoną przez doborowe formacje wojskowe - jak Polski Korpus Pogranicza, czy niemiecki Grenzschutz - były mitem narodowym brzemieniem w nową wojnę.

Te "święte granice" stały się jeszcze "świętsze" gdy ich nienaruszalność ZSRR zaliczył do własnej racji stanu, nadał im własną interpretację ideologiczną, gdy na nich spotkały się dwa ustroje, dwa bloki, dwie koncepcje życia, dwa światy, i gdy ich przekroczenie jest dla mieszkańców świata ra-

dzieckiego zupełnie, szczególnym przywilejem. Nigdy, nigdzie granice nie były tak strzeżone, jak są dzisiaj w Europie znajdującej się pod kontrolą radziecką, nawet te, które odzielają od siebie "bratnie" kraje demokracji ludowej.

W tym samym czasie granice państwowe w Europie Zachodniej stały się abstrakcyjnymi, przeźroczystymi liniami, które przekracza się często, nie zauważając ich prawie.

To nie właśnie narodów, ani wzajemne zawiści, tworzą granice pomiędzy państwami Europy Środkowo-Wschodniej. Jedynym ich twórcą i gwarantem zainteresowanym w ich wiecznym trwaniu jest ZSRR. Zainteresowany jest wiecznym ropieciem granicy polsko-niemieckiej i wszystkich innych granic - polsko-czeskiej, rumuńsko-węgierskiej, węgiersko-jugosłowiańskiej - a także własnej. Wynika to z jego strategii, albowiem niczego nie boi się tak, jak porozumienia satelitów między sobą; wynika to z jego własnych potrzeb wewnętrznych, albowiem obawia się nadmiernego ruchu swych własnych obywateli oraz ujawniania swych tajemnic wewnętrznych. Od wieków zamknięta przed światem, policyjna, nieufna Rosja narzucała swój styl polityczny Europie aż po Łabę i Dunaj.

Nie ma już w Europie granic innych niż radzieckie; nie ma mitologii granic poza tą, którą stwarza ZSRR.

Przyszłe stosunki polsko-niemieckie, jeśli układać się będą między wolnymi narodami, nie będą zależały od wytyczenia granic, lecz od ich interpretacji. Gdziekolwiek będą przebiegały, jeśli otoczy je narodowa, czy inna mitologia, staną się złe. Nowe, uniwersalistyczne stosunki między narodami wolnymi, suwerennymi, współpracującymi z sobą w ramach szerokiej wspólnoty, muszą opierać się na przekonaniu, że granica jest miejscem spotkania, a nie miejscem konfrontacji, linią która łączy a nie dzieli, nie matrawą strefą, wzdłuż której pustoszeje miasteczka, osiedla i drogi, lecz najżywszą właśnie strefą intensywnego przepływu ludzi, idei i towarów.

- VII -

Zły duch historii podszeptuje najrozsądniejsze rozwiązania na przyszłość.

Albo Niemcy pozostaną na zawsze podzielone, a Polacy na zawsze pod dominacją radziecką, albo Niemcy zostaną zjednoczone, a Polacy...

Albo zjednoczone Niemcy będą demokratyczną federacją pokojowo usposobioną, albo centralistycznym, agresywnym mocarstwem.

Albo będą swe przyszłe miejsce w Europie, swe granice, wpływy i interesy uzgadniać ze swym nowym sojusznikiem, ZSRR, który będzie równie potężny jak jest dzisiaj, albo z zachodnimi sojusznikami, w nowych warunkach, jakie powstaną na skutek ewentualnej utraty przez ZSRR roli w tej części kontynentu, albo narzucą nowe rozwiązania siłą.

Albo będą miały za partnera suwerenną Polskę wyzwoloną spod radzieckiej kurateli, albo jej kosztem wzmocnią swą pozycję na wschodzie.

Słowem, albo dojdzie do nowego rozbioru Polski, albo do odrodzenia jej suwerenności w dzisiejszych granicach.

Takie rozwiązanie podszeptuje zły duch historii, którego całą wiedzą jest przeszłość. Naszym zadaniem nie jest to przewidywanie przyszłości, lecz stwarzanie idei, które mogą mieć na nią wpływ.

"Po raz pierwszy w historii polskiego zagadnienia naród niemiecki nie stoi wobec przestarzałych, destrukcyjnych alternatyw: z Rosją kosztem Polski, czy z pomocą Polski przeciw Rosji" - napisał niemiecki publicysta /Werner Czenze: "Polnische Nation und deutsche Politik..." Keeln und Graz, 1957/.

My także nie rozważamy alternatywy: z Rosją przeciw Niemcom, czy odwrotnie.

W chaosie przyszłych wydarzeń widzimy dwa punkty pewne: Niemcy wystąpią kiedyś znowu wspólnie na arenę historyczną, a Polacy pozostaną tam gdzie są. Wierzymy bowiem w powszechną ewolucję stosunków międzynarodowych w kierunku współpracy wolnych, równoprawnych, znających się nawzajem narodów i w dalszą erozję centralistycznych mocarstw.

Wierzymy w suwerenną Polskę w jej dzisiejszych granicach, z których każda będzie bramą szeroko otwartą, zabezpieczoną szanowanym powszechnie prawem, a nie drutem kolczastym, murem i fosą.

CZWÓRKA

Mówić dobrze o swym nieprzyjacielu jeśli po to, aby mu oddać sprawiedliwość, jest pięknym czynem, jeśli po to, aby utrzymać go w fałszywym bezpieczeństwie i tym skuteczniej zgubić, jest perfidią.

/Diderot, Zasady polityki władców/

Adam WOJCIECHOWSKI

ZJEDNOCZENIE NIEMIEC A POLSKA

► Pierwodruk: "Opinia", nr 8, grudzień 1977 r. Przedrukujemy obszernie fragmenty.

ŹRÓDŁO REMILITARYZACJI

Popularne mniemanie jest takie: Niemcy podzielone, to Niemcy słabe. Kto się z tym zgadza, będzie prawdopodobnie popierał program utrwalenia podziału Niemiec. Mówiąc inaczej - będzie popierał program PZPR czyli politykę przeciwstawiania się konsekwentnie zjednoczeniu Niemiec. Mówiąc jeszcze inaczej równa się to popieraniu polityki ZSRR, która w rozbiciu Niemiec widziała zrazu sposób radykalnego rozwiązania problemu militarnego niemieckiego, a później osłabienia Europy Zachodniej.

Ale jest też druga strona medalu. Niemcy podzielone to Niemcy zremilitaryzowane po obu stronach Łaby, to stała groźba konfliktu między supermocarstwami w Europie. Że jest to groźba rzeczywista świadczy dwa kryzysy berlińskie: w 1948 i 1961 r. W wypadku wojny nad Łabą Polska stanie się z miejscem krajem przyfrontowym z wszelkimi katastrofalnymi skutkami związanymi z przeszłością.

Powiedzieliśmy, że podział Niemiec przyniósł w rezultacie ich remilitaryzację. Jest to skutek rywalizacji mocarstw o Niemcy, bowiem panowanie nad Niemcami daje klucze do panowania w Europie. Występuje zatem tendencja do obustronnego wzrostu potencjałów militarnych, w tym potencjałów nuklearnych. Na pewno nie zwiększa to bezpieczeństwa Polski.

Polacy nie powinni mieć złudzeń na wykorzenienie w narodzie niemieckim nadziei zjednoczenia. Zarówno rządzący socjaldemokraci, jak i opozycja chadecka w RFN nie wykreśliły zjednoczenia państwa niemieckiego ze swoich programów politycznych. Z drugiej strony nasze doświadczenia historyczne pouczają, jak silne i niezniszczalne mogą być te nadzieje. Trzeba przypomnieć, że już po Kongresie Wiedeńskim w 1815 r. Stanisław Staszyc wykluczał możliwość długotrwałego pokoju w Europie, jak długo mocarstwa nie naprawią zła rozbiorów Polski. Można więc przypuszczać, że pokój w Europie będzie nie-trwały, jak długo Niemcy będą podzielone.

Kończąc przegląd elementów wyjściowych do analizy problemu niemieckiego dodajmy, że bez przychylnego stosunku ZSRR zjednoczenie Niemiec nie będzie możliwe. Nie można abstrahować od pytania, czy dotychczasowe nieprzychylnie stanowisko w tej kwestii ZSRR nie ulegnie w przyszłości zmianie. W każdym razie waga głosu polskiego w tej sprawie będzie zależała od wcześniejszego uzgodnienia przez Polaków stanowiska w kwestii zjednoczenia Niemiec.

GRANICA NA ODRZE-NYSIE

Zwolennicy podziału Niemiec, a więc zwolennicy oficjalnej polityki reżymu i aktualnej racji stanu ZSRR natrafiają jednak na przeszkodę nie do pokonania. Chodzi o granicę na Odrze i Nysie. Oficjalna propaganda skrzętnie ukrywa przed opinią publiczną w Polsce, iż ZSRR nie uznał de jure, jak dotychczas, granic na obu rzekach jako granicy między Polską a Niemcami. Radziecki "sojusznik" uznaje tę granicę jako granicę pokoju i gwarantuje jej nienaruszalność pod warunkiem dotrzymania przez Polskę sojuszu z ZSRR. Jest rzeczą nieokreśloną, kto będzie w przyszłości rozstrzygał, czy sojusz został przez Polskę dotrzymany. Można przypuszczać, że zadecyduje o tym silniejszy z partnerów, a więc ZSRR. Wydaje się zatem, że rozsądniej będzie opierać nasze prawa do ziem odzyskanych na traktacie międzynarodowym - układach poczdamskich z 1945 r. - niż na wątpliwych gwarancjach wątpliwego sojusznika.

Trzeba jednak pamiętać, że wspomniane układy, wyznaczające granicę na Odrze i Nysie odłożyły "ostateczną delimitację zachodniej granicy Polski" do czasu układu pokojowego z Niemcami. Zawarcie takiego układu uniemożliwia podział Niemiec. Jak długo będzie on trwał, tak długo nie możemy liczyć na uznanie de jure naszej zachodniej granicy przez mocarstwa zachodnie, które w tej mierze są związane z RFN układami paryskimi z 1954 r.

Natomiast wydawałoby się rzeczą naturalną, żeby tę granicę uznał de jure nasz rzekomy sojusznik - ZSRR. Niestety, i w tym przypadku nie możemy się spodziewać uznania z tamtej strony, ponieważ jest to sprzeczne z aktualną racją stanu ZSRR, która polega na utrwaleniu podziału Niemiec oraz uzależnieniu PRL od ZSRR przez utrzymanie stanu prowizoryczności polskiej granicy zachodniej. /.../

Proponuję więc program, który zmierza do urzeczywistnie-

nia gwarancji układów poczdamskich. Oznacza to popieranie programu zjednoczenia Niemiec jako warunku sine qua non uzyskania gwarancji międzynarodowych dla zachodniej granicy Polski. Układy poczdamskie dają ponadto podstawę do roszczeń Polski pod adresem mocarstw w przedmiocie demilitaryzacji Niemiec i wycofania z ich terytorium potencjałów nuklearnych. Utrzymanie podziału Niemiec nie tylko nie daje szans na demilitaryzację, ale przynosi w rezultacie postępującą remilitaryzację Niemiec po obu stronach Łaby. Widać z tego, że zmierzając powinniśmy jednocześnie do osiągnięcia dwu celów: zjednoczenia i demilitaryzacji Niemiec. /.../

Adam Wojciechowski

Leszek MOCZULSKI

JEDNOŚĆ I PODZIAŁ NIEMIEC

► Pierwodruk: "Opinia", nr 8, grudzień 1977 r. Przedrukujemy w całości.

Czy podział Niemiec, który nastąpił ostatecznie blisko 30 lat temu, w 1948 r., jest zjawiskiem normalnym? A jeśli nie, to czy stan taki ma szansę trwałości? Wreszcie, czy podział Niemiec jest zgodny z prawem narodu do samostanowienia i wszystkimi innymi prawami człowieka? Te pytania myślicy Polacy zadają sobie już od lat. Padają na nie różne odpowiedzi.

JEDNOŚĆ NIEMIEC

Utrzymanie trwałego podziału Niemiec jest niemożliwe i moralnie niesłuszne - brzmi pierwsza odpowiedź. A oto uzasadnienie:

Każdy naród ma prawo do samostanowienia, również niemiecki. Jeśli Niemcy chcą jednności, jest to zrozumiałe i sprawiedliwe. Nie można Niemców pozbawiać prawa przysługującego innym narodom. Domagając się powszechnego respektowania praw człowieka, a wśród nich prawa do samostanowienia w jego wymiarze państwowym, nikt nie może żądać, aby nie objęło ono najliczniejszego narodu europejskiego o ponad tysiącletniej tradycji własnej państwowości. Nikt nie może żądać, aby Niemcy zrezygnowali z któregośkolwiek z przysługujących im praw człowieka.

Likwidacji podziału Niemiec wymagają też względy bezpieczeństwa europejskiego. Utrzymanie tego stanu, wbrew woli większości Niemców, stanowi zarzewie konfliktu zbrojnego, który musiałby ogarnąć całą Europę. Wreszcie, podział Niemiec jest czynnikiem budzącym nacjonalizm niemiecki.

WIELOŚĆ NIEMIEC

Podział Niemiec nie jest stanem nowym, lecz zjawiskiem normalnym. Niemcy zawsze składały się z różnych państw, a Rzesza była tylko luźnym związkiem odrębnych organizmów państwowych. Zachowane to zostało do dzisiaj w znacznym stopniu w strukturze państwowej RFN, na którą składają się odrębne kraje o znacznym stopniu autonomii. Obecna granica między RFN a NRD - to istniejąca trwale przez 1200 lat limes sorabium, która zawsze pod względem politycznym, a także społeczno-gospodarczym i kulturowym dzieliła Rzeszę na część wschodnią i zachodnią. Wielekroć podejmowane próby jej zatarcia zawsze kończyły się fiaskiem. A ponadto - do dzisiaj istnieją inne, historycznie błędne granice polityczne, dzielące dawną Rzeszę z Austrią, historycznymi Niderlandami czy niemiecką częścią Szwajcarii lub Adygi. Konsekwentne stosowanie zasady jednności Niemiec /zaś jedynym ruchem społecznym, który do tego dążył, był pangermanizm, zwłaszcza hitlerowski - wymagałoby włączenia do jednego państwa również Austrii, Holandii, przynajmniej flamandzkiej części Belgii, niemieckiej Szwajcarii i Adygi - a przecież mieszkańcy tych państw czy obszarów wcale tego nie pragną.

Problem niemiecki nie polega więc na zjednoczeniu, lecz na zapewnieniu praw człowieka Niemcom we wszystkich państwach niemieckich. Kwestia podziału Niemiec została zdramatyzowana przez fakt przynależności NRD i RFN do przeciwstawnych bloków militarnych oraz przez totalitarny i satelicki system państwa wschodnoniemieckiego. Obywatele tych dwu państw winni wykazać maksimum odpowiedzialności i nie dążyć do zjednoczenia, w wyniku doświadczeń historycznych większość społeczeństw europejskich uważa bowiem zjednoczenia Niemiec za groźbę dla pokoju, a przynajmniej za otwarcie drogi do dominacji gospodarczo-politycznej Rzeczy nad kontynentem.

PRAWA CZŁOWIEKA

Obie zarysowane wyżej odpowiedzi mają to do siebie, że

mimo oczywistej przeciwstawności są w równej mierze słuszne. Jak jednak z tej przeciwstawnej słuszności wyprowadzić wewnętrznie spójne, praktyczne postulaty polityczne?

Niemcy mają takie same prawa człowieka, jak którykolwiek inny naród. Pozbawienie ich jakiegos z tych praw, a co więcej - nadawanie temu sankcji międzynarodowej - jest niedopuszczalne, jako sprzeczne z zasadami moralności międzynarodowej, a także groźne politycznie, bowiem zmierza do utrzymania stanu, który - przy sprzeciwie narodu niemieckiego - na stałe utrzymać się nie da, co może prowadzić do skutków groźnych dla całej Europy.

Wśród niezbywalnych praw człowieka jest prawo do samostanowienia: wewnętrznego - oznaczającego możliwość swobodnego wyboru ustroju i władzy, oraz zewnętrznego - czyli niezawisłości wobec innego państwa. Niemcy - wszyscy Niemcy - posiadają to prawo i powinni odzyskać możliwość nieskrępowanego korzystania z niego.

Co więcej, w interesie społeczności europejskiej Niemcy powinny i muszą rozwijać systemy demokratyczne, oparte na pełnym poszanowaniu praw i godności człowieka - bowiem jest to najważniejsze zabezpieczenie przed restytucją znanych z historii militarystycznych i ekspansyjnych Niemiec.

PRAWA NARODU

Do praw człowieka należy również prawo do zjednoczenia narodu w ramach jednego państwa. Jeśli traktujemy tę kwestię odrębnie, to tylko z przyczyny doświadczeń historycznych i wynikających z nich skutków. Po prostu sprawa zjednoczenia Niemiec jest nie tylko sprawą wewnętrzną samych Niemiec, lecz zagadnieniem kluczowym dla całej Europy. Mówiąc inaczej, zjednoczenie Niemiec wymaga - w następstwie znanej przeszłości - akceptu międzynarodowego, zwłaszcza ze strony najbliższych sąsiadów - bowiem mają oni prawo obawiać się, że utworzenie jednolitego państwa niemieckiego mogłoby być groźne dla ich bezpieczeństwa i pokoju na kontynencie.

Stwierdzić należy jednak wyraźnie, że ten stan w którym ewentualne zjednoczenie Niemiec wymaga akceptu międzynarodowego, jest przejściowy. Zaniknie on wówczas, gdy rozplyną się w czasie obawy innych narodów w następstwie zbrodni, jakich zjednoczona Rzesza dokonała ostatecznie nie tak dawno.

Na nasze polskie stanowisko wpływać musi jednak pewien czynnik szczególny, nie znany innym narodom. Otóż Polska przez blisko 150 lat podzielona była między trzech zaborców. Uwzględniając nawet różnice wynikające z polskiej tradycji jednolitej, choć federacyjnej Rzeczypospolitej i niemieckiej tradycji wielopaństwowej Rzeszy - pamiętamy doskonale, że rozzerwanie narodu kordonami granicznymi jest niczym innym, jak zbrodnią na tym narodzie. Wiemy też, że wcześniej czy później naród podzielony uczyni wszystko, aby się zjednoczyć.

DROGI WYJŚCIA

Być może jest jeszcze zbyt wcześnie, aby je formułować. Niemniej jednak niektóre projekty godne są zastanowienia. Wydaje się, że dobrym punktem wyjścia do dalszych rozważań jest teza Franz-Josefa Straussa sformułowana przed ponad 10 laty w książce "Entwurf für Europa". Przywódca CSU głosi tam pogląd, że zjednoczenie Niemiec powinno stanowić ostatnią fazę procesu zjednoczenia Europy. Uzupełnia to następującym wnioskiem, który również stanowi punkt wyjścia dla dalszego programowania: "Europa... nie może skończyć się na Łbie, ani też na Odrze... Przez utworzenie narodowego państwa niemieckiego byłoby to trudne do osiągnięcia; swoboda poruszania się wszystkich ludzi w powstającej w rezultacie swobodnie wyrażonej woli Europy narodów - powinna stać się częścią składową obowiązujących ogólnie zasad państwowo-prawnych".

Oczywiście, do zjednoczenia Europy droga jeszcze bardzo daleka - o czym świetnie wie i Strauss. Jego teza, odkładająca do tego momentu zjednoczenie państwowe Niemiec ma ten walor, że w zasadzie usuwa główne obawy zwłaszcza sąsiadów Niemiec, wynikające z pragnienia pokoju i bezpieczeństwa. Wprawdzie nie usuwa obaw co do dominacji gospodarczej zjednoczonych Niemiec nad kontynentem.

Jeśli jednak problem zjednoczenia obu państw niemieckich rysuje się w tym kontekście dopiero w dłuższej perspektywie - to sprawą coraz pilniejszą staje się doprowadzenie do sytuacji, w której oba państwa niemieckie, w pełni niezawisłe, respektować będą wszystkie prawa człowieka i obywatela. Wówczas nawet tak trudne dzisiaj problemy, jak łączenie rodzin, możliwość utrzymywania bezpośrednich stosunków między ludźmi niezależnie od ich miejsca zamieszkania, swoboda poruszania się i osiedlania w obu państwach niemieckich - zanikną same przez się, a granica - dzieląc państwa, łączyć będzie ludzi. Wówczas też nadejdzie czas, gdy obywatele obu państw niemieckich, w sposób rzeczywiste wolny i po dojrzałym namyśle, określą swój stosunek do zjednoczenia.

Nie są to kwestie wyłącznie wewnętrzniemieckie; przeszłość, której następstwa ciągle są obecne, powoduje, że zmian demokratycznych i respektowania praw człowieka w każdym z państw niemieckich wymagać powinny inne narody.

Leszek Moczulski

NIEMCY W ZJEDNOCZONEJ EUROPIE

Pierwodruk: "Kultura", Paryż 1978 r., nr 6. Fragment artykułu "Ile jest dróg" sygnowanego pseudonimem "Socjusz". Obecny tytuł pochodzi od redakcji.

Zwróćmy wzrok w drugą stronę. Nie dotarło jeszcze do świadomości Polaków, że nasza międzynarodowa pozycja gospodarcza, a także i polityczna, uległa w ostatnim ćwierćwieczu ważnej poprawie. Jest to poprawa w tej chwili tylko potencjalna, ale zasadnicza. Dzięki węglowi jesteśmy, obok Norwegii, jedynym krajem Europy, który jest i będzie mógł długo pozostać eksporterem energii. Ponieważ zasoby energetyczne są kluczowe dla gospodarki każdego kraju i jego roli w ekonomice międzynarodowej, rozporządzamy /potencjalnie/ kartą bardzo silną. Najlepiej pasuje ona do gry w Wspólnotę Europejską, dla której stanowić możemy coraz cenniejszego partnera. Powstanie Wspólnoty jest drugim czynnikiem, wyraźnie polepszającym naszą sytuację.

Niemcy jako część zjednoczonej Europy muszą zatracać możliwość agresywnej polityki zagranicznej /nawet gdyby ją chciały wznowić/; zanik ostrej rywalizacji między państwami Zachodu może nam ułatwiać znalezienie w nich sprzymierzeńców. Co jeszcze istotniejsze, kiedy Wspólnota Europejska rozszerzy się o Hiszpanię, Portugalię i Grecję, Polska stanowić będzie dla niej potencjalnie wartościowe uzupełnienie zarówno ekonomiczne /zmniejszyłaby deficyt energetyczny/ jak polityczne /wzmocniłaby państwa średnie w ich dialogu z Niemcami, Francją i Anglią/.

Ścisłejsze związki Polski ze Wspólnotą otworzyłyby oczywiście nowe perspektywy dla zjednoczenia Niemiec /w ramach Wspólnoty/; byłyby też po myśli Stanów Zjednoczonych z którymi nie mamy żadnych sprzecznych interesów ekonomicznych ani politycznych, lecz przeciwnie - więzy tradycyjnej przyjaźni.

Brzmi to wszystko jak fantastyczna bajka. Nie prorokuję jednak, tylko twierdząc, że taki rozwój wydarzeń jest możliwy i że tę możliwość należy brać pod uwagę. Nie sugeruję również, że kraje Europy Zachodniej będą skore do poniesienia jakichkolwiek ofiar czy ryzyka na naszą korzyść; stwierdzam tylko, że nasze bliskie związki ze Wspólnotą Europejską, nawet wejście w jej skład, leżą w interesie wszystkich zainteresowanych - wyjąwszy ZSRR. I twierdząc także, iż przeciwstawianie się tym zgodnym interesom może się na bardzo długą metę okazać dla ZSRR nieopłacalne lub wręcz niewykonalne. /Nota-bene przypomnijmy, jak nasza cenura tępi pozytywne informacje na temat Wspólnoty, którą wolno określać tylko jako "Wspólny Rynek"/.

Trzeba brać pod uwagę także i ten czynnik, że USA muszą w swojej światowej rozgrywce z Sowietami kierować się rachunkiem: gdzie można znaleźć sprzymierzeńców, lub gdzie można osłabić front przeciwnika kosztem najmniejszych nakładów i najniższego ryzyka? /Czasy nieliczenia się z kosztami minęły bezpowrotnie/. Terenem takim jest oczywiście Europa, włączając Europę Środkowo-Wschodnią. Niektórzy publicyści emigracyjni, jak Jędrzej Giertych, też to zauważają - i nawołują do zaniechania w kraju wszelkiej aktywności opozycyjnej, bo jest ona rzekomo sztucznie podsycana

przez Amerykanów /i oczywiście Żydów/ dla ich własnych celów. Pomijając już drobny a widać nie zauważony przez sędziwego endeke fakt, że Polacy doprawdy mają własne powody do konfliktu z sowiecką i rodzimą partyjną dominacją; a również i to, że oficjalne władze amerykańskie wykazywały dotychczas minimalne zrozumienie dla polskiej działalności opozycyjnej i starały się do niej raczej zniechęcać niż zachęcać - powiedzied trzeba, że interesy polskie są w tej chwili w znacznym stopniu zbieżne z amerykańskimi i że z tej zbieżności powinniśmy starać się skorzystać. Nie dając się sprowokować do aktów nierozumnej rewolty /do której nikt nas zresztą, z wyjątkiem niekiedy organów bezpieczeństwa, nie podburza/, powinniśmy po prostu dążyć do podnoszenia kosztów utrzymania Polski w pozycji moskiewskiego satelity. Skoro interesują się nami dwa supermocarstwa, należy dążyć do tego, by się licytowały. Jedno trzyma nas pod butem; w interesie drugiego jest nasze wyśilenie się spod tego buta; nie doprowadzając do wybuchów powinniśmy się pod butem wiercić.

Ale co z Niemcami? Czy nie stanowią oni groźby większej, niż Rosja? Ci wszyscy, którzy w dobrej lub złej wierze straszą nas tym teutońskim odwetem, powołują się nie tyle na teraźniejszość, ani na przewidywania przyszłości, ale na doświadczenia historyczne. Niemcy słuszne. Istniejących nadal w RFN tendencji rewizjonistycznych nie wolno nam nie zauważać i lekceważyć - ale przyjrzenie się historii musi prowadzić do wniosku, że chociaż okresami Niemcy groziły nam śmiertelnie - na długą metę od wieku XVII począwszy głównym niebezpieczeństwem była Rosja.

Z tego prostego powodu, że w konflikcie z nią trudniej albo zgoła niemożliwe było znaleźć sprzymierzeńców. Przekonaliśmy się o tym dotkliwie w roku 1920 i 1945. Dotychczasowe doświadczenia wskazują również, że większe są możliwości ewolucji i pozytywnych zmian w stosunkach polsko-niemieckich, niż polsko-rosyjskich.

SOCJUSZ

Zbigniew RAPACKI

INNY PUNKT WIDZENIA

Pierwodruk: "Kultura", Paryż 1978 r., nr 11. Obszerny fragment artykułu "Przyjemne złudy i niemiłe realia". Obecny tytuł pochodzi od redakcji.

Chciałbym na tym etapie podjętych rozważań zapewnić Czytelników, od Socjusza i autorów memorandum P.P.N. poczynając, że jeśli to co wyczytali do tej pory robi wrażenie krytyki pod adresem Niemców, to nie odpowiadałoby to ani moim przekonaniom ani moim intencjom. Wychodzę z założenia, że polityka zagraniczna każdego państwa jest funkcją jego własnych interesów, które mogą być zgodne lub sprzeczne z interesami innych; na wyznaczenie dla tej polityki zadań na krótką i daleką metę wpływa stosunek sił własnych do cudzych, istniejący obecnie, a także spodziewany w przyszłości.

Nie jest winą Niemców, że Zachód jest taki, jaki jest ze wszystkimi konsekwencjami, jakie to stwarza dla niego samego i dla innych. Nie sposób winić Niemców za ewentualny brak ochoty do obrony Zachodu aż do ostatniej marki czy

do zaprzepaszczenia własnych interesów gwoździ wierności zawartym sojuszom. Podobnie nie wystarczy chyba sygnalizowanie niekorzystnych skutków, które wynikają dla nas z obecnego układu sił, aby brać udział w histerii antyniemieckiej, reżyserowanej swego czasu przez propagandę komunistyczną, która oddała tyle usług Kremlowi, jak i PZPR. Obowiązkiem każdego z nas - i was tam i nas tu - jest podejść do tej sprawy rzeczowo, unikając zabarwienia emocjonalnego.

Ze zdumieniem wyczytałem pod piórem Socjusza, że "choćby okresami Niemcy groziły nam śmiertelnie - na długą metę od wieku XVII począwszy głównym niebezpieczeństwem była Rosja". Oczywiście, jeśli wyłączyć doświadczenia lat 1939-45, to Polacy, tak indywidualnie jak i zbiorowo, więcej ucierpieli od Rosjan niż od Niemców, ale tłumaczy się to przede wszystkim różnicą poziomu cywilizacyjnego tych dwóch narodów. Natomiast polskim interesom państwowym zagrażały w sposób decydujący Prusy, skoro w samym naszym istnieniu upatrywały śmiertelne dla siebie zagrożenie, a nasza zagłada była nieodzownym warunkiem ich historycznej kariery. Już na przestrzeni XVII wieku, dzięki osłabieniu Rzeczypospolitej w wyniku wojen kozackich i szwedzkich, dokonała się emancypacja Elektora. Już na progu XVIII wieku powstanie Królestwa Pruskiego, podzielonego jeszcze polskimi ziemiami, było zapowiedzią finis Poloniae. Toż przeważająca część jego terytorium leżała na wschód od Odry i Nysy, a więc na ziemiach skolonizowanych kosztem Polski. Wiek XIX bynajmniej tego antypolskiego ostrza polityki pruskiej nie stępił, a utosiamał ją nie tylko Bismarck, którego portrety wiszą nabożnie w niemal wszystkich biurach dygnitarzy państwowych RFN.

Dziewiętnastowiecznego Polaka do desperacji przywodziła brutalność, niechlujstwo i prymitywizm naroznego stółkowego i po tej osi kryształizowały się jego poglądy na sprawę polską, podczas gdy równocześnie, ale w sposób mniej dla godności osobistej zainteresowanych dotkliwy, polski stan posiadania na ziemiach zaboru pruskiego był przedmiotem śmiertelnego zagrożenia. Warto przy tej okazji przypomnieć, że mimo rozbiorów i polityki rusyfikacyjnej wpływu kulturalnego i gospodarstwa żywności polskiego przeważały na niemal wszystkich obszarach, które wchodziły w skład przedrozbiorowej Rzeczypospolitej i to aż do wybuchu pierwszej wojny światowej /świadczy o tym choćby wynik wyborów do pierwszej Dumi/. Dopiero bolszewizm rozprawił się i z polską kulturą i z polskim żywiołem i z polską własnością na terenach między Dnieprem i Bugiem, likwidując w ten sposób owoc 700-letniej ekspansji kulturalnej i gospodarczej i to mimo, że polska ekspansja polityczna na Wschód została zahamowana już 300 lat przed Rewolucją Październikową.

W tej mierze w jakiej powinniśmy uwzględniać doświadczenia historyczne w wypracowywaniu polskiego programu niepodległościowego, nie wolno nam zapomnieć o precedensie przymierza pruskiego z 1790 roku, które miało rozszerzyć naszą swobodę ruchów, odegrało rolę gwoźdźdź do naszej trumny.

W naszej pamięci, a zwłaszcza w naszej świadomości, winny być ponadto zawsze przytomne dwa inne, bliższe nam czasowo, precedensy. Jednemu na imię Rapallo, drugiemu Locarno. Mają one wydzźwięk tym bardziej złowróżbny, że zdają się nieźle pasować do obecnej sytuacji, jako że odpowiadają

dwóm głównym możliwym opcjom polityki niemieckiej i dobrze obrazują natychmiastowe konsekwencje każdej z nich.

W takim układzie, jaki powstał na gruzach Trzeciej Rzeszy, pogodzenie się Niemców z nowym status quo granicznym na Wschodzie nie było niemożliwe z uwagi na ogrom doznanej klęski. Wystarczyło konsekwentnie tego od nich wymagać. Tymczasem zaledwie w 16 miesięcy po zakończeniu działań wojennych słynna mowa Byrnesa w Stuttgarcie dała już śmiałą do narodzin program rewizjonistyczny. Musiało upłynąć 20 lat, żeby zaistniały nareszcie przesłanki dla wyrównania sporów narosłych między Republiką Federalną a Polską. Okazja taka zaistniała w okresie rządów Wielkiej Koalicji, tj. w latach 1966-69, i została zmarnowana przede wszystkim z winy reżymowych władców Polski, których służalstwo wobec Wielkiego Brata i kompleksy zrodzone przez własną, powszechnie znaną nieudolność powstrzymały od wyjścia naprzód ewolucji, którą wówczas wszyscy uważali za nieuniknioną. Zamiast tego, woleli wlec się w jej ogonie, wyciągając aż do ostatniej chwili kasztany z ognia dla Ulbrichta.

Mozna było wówczas wygrać dwa atuty: naprzód wykorzystać sielankowe wówczas stosunki niemiecko-francuskie i posłużyć się naciskiem Paryża na Bonn pod kątem przyjęcia gaullistowskiej koncepcji /sformułowanej na wiosnę 1959 roku/ zgody Niemiec na status quo graniczny w wypadku ich zjednoczenia na zasadach pokojowych. Naciski francuskie pod tym kątem widzenia mogłyby być uruchomione gdyby i stronie polskiej takie postawienie sprawy odpowiadało. Dobrze pojęte interesy polskie znalazłyby w takiej klauzuli dużo lepsze zabezpieczenie niż w późniejszym uznaniu przez Republikę Federalną granicy na Odrze i Nysie przy obecnym kontekście podziału Niemiec i Europy i oczywiście na okres jego trwania. "Zagrożenie" niemieckie w tejże sytuacji było, rzecz jasna, natury werbalnej i wbrew pozorom podpis niemiecki, najpierw pod traktatem moskiewskim, a następnie pod traktatem warszawskim, żadnej zasadniczej zmiany sytuacji tu bynajmniej nie przyniósł.

Drugim atutem był fakt sprawowania rządów przez Wielką Koalicję tj. dwie wielkie partie, których łączny potencjał wyborczy był wówczas bliski 90 %, a w międzyczasie ten próg przekroczył. Niełatwo do znalezienia w sprawie polskiej wspólny mianownik między CDU i SPD mógł wówczas łatwiej się skryształizować dokoła takiej klauzuli. Dalej - osiągnięte na takich zasadach porozumienie zostałoby wówczas zaakceptowane przez zachodnoniemiecką opinię publiczną. W drugiej bowiem połowie lat 60-tych dokonywał się rachunek sumienia, droga do odzyskania indywidualnej i zbiorowej równowagi moralnej wiodła wówczas poprzez wysiłki pojednania z narodem polskim i znalezienie z nim płaszczyzny wspólnych interesów.

Zażyrowanie przez opinię zachodnoniemiecką status quo granicznego z Polską wymagało przecież nie tylko przyjęcia odpowiedzialności za popełnione na Polakach zbrodnie /wiadomo, że od tej odpowiedzialności NRD się uchyla/, ale także i pogodzenia się - choćby ex post - ze sposobem jej urzeczywistnienia. Jeżeli ogrom tych zbrodni pozostaje bez precedensu, to brak też precedensu do utraty 100.000 km² z pozostawionym tam mieniem, do odmowy prawa powrotu 3,5 milionom osób, które uciekły przed wkroczeniem wojsk sowieckich czy wreszcie wysiedlenia ponad 3,5 miliona tych, którzy uciec nie zdołali.

Nic dziwnego, że niemało Niemców, którzy przyjmowali zasadę odpowiedzialności, nie wyrażało zgody na ekspiację

win na tej drodze, podczas gdy zachodni sąsiedzi Niemiec zadowolili się odszkodowaniami materialnymi.

Skoro tak wyjątkowa okazja została zmarnowana, problem polsko-niemiecki doczekał się następnie tylko załatwienia formalnego, które niczego definitywnie na przyszłość nie przesądza. Przypomnijmy, że zachodnoniemiecka Chadecja, która traktatu warszawskiego nie atakuje, ale która też jego klauzul terytorialnych nie zaakceptowała, osiągnęła w ostatnich wyborach powszechnych 48,6 % głosów wobec 50,5 % uzyskanych łącznie przez obie partie rządowe.

Wreszcie została zaprzepaszczone i inna okazja, gdyż istniały wówczas korzystniejsze warunki do uzyskania wysokich odszkodowań, a to z uwagi nie tylko na lepszy klimat polityczny, ale i z racji doskonałej koniunktury gospodarczej.

Jak wiadomo stało się inaczej. Kierownictwo reżymowe nie wykorzystało ówczesnego marginesu swobody wobec Kremla /następcy już nim dzisiaj nie dysponują/ dla przeformowania korzystnego dla Polski układu i wolało zabezpieczyć swoje własne, małosłowne interesy ograniczając się do wypełnienia paru pustych miejsc pozostawionych w układach moskiewskich, gdzie zapadły już decyzje o wszystkim, co było istotne.

Nie pora tu na bilans traktatu warszawskiego. Wiadomo, że z punktu widzenia odszkodowań przypadły Polsce miszerne ochłapy, że sprawa odszkodowań indywidualnych została załatwiona w formie ryczału wyraźnie dla obu partnerów wygodnego: dla rządu federalnego bo zaoszczędził masę pieniędzy, dla towarzyszy z Warszawy bo mogli zabrać pieniądze przeznaczone dla "podopiecznych", nie pytając się oczywiście ich o zdanie.

Co gorsza, układy Gierka-Schmidt z 2.8.1975 roku otworzyły drogę do dalszego ogaławiania Polski z sił żywotnych via emigracja "Niemców z Polski", której tekst PPN słusznie poświęca tyle uwagi. Niedługo nie będzie już w Polsce - poza cmentarzami - ani pozostałych na jej terytorium w 1945 roku autochtonów, ani ich urodzonych w Polsce dzieci. Kto wie, czy proces wyprzedawania ludzi nie rozciągnie się w przyszłości pod łącznym naciskiem RFN i konieczności płatniczych także i na inne kategorie potencjalnych "Niemców".

Nie sposób się zresztą temu dziwić. Pod koniec lat 70-tych PRL ukazuje się Niemcom Zachodnim jako kraj do tego stopnia źle rządzony, że nierządem stojący, gdzie znane a ujemne skutki ustroju gospodarczego przybierają obrót dużo groźniejszy dla interesów i przyszłości państwa niż gdziekolwiek indziej i gdzie rebus się stantibus wyjąca z obecnej, jakżeż ponurej sytuacji nie widać i nie ma. Niemcy wiedzą, że operatywność ogromnego programu inwestycyjnego gierkowej ery nie przekracza, według najbardziej optymistycznych szacunków 30 % /to znaczy, że 70 % zakupionych dóbr inwestycyjnych ulega zaprzepaszczeniu na skutek bałaganu, niekompetencji, przestojów itd./, podczas gdy spłata kredytów wymaga zwrotu całości plus procenty, co stanowi ogromne obciążenie. Tłumaczy to nie tylko przewlekły i coraz dotkliwszy kryzys żywnościowy, ale i zahipotekowanie i to na lata znacznych zasobów polskich surowców.

Taka Polska to znowu wyraźna zachęta dla sąsiadów do uzyskania doraźnych korzyści.

Wróćmy w tym miejscu raz jeszcze do cytowanego na początku zdania Socjusza, że "Niemcy, jako część zjednoczonej Europy muszą zatracić możliwość agresywnej polityki zagra-

nicznej". Zgoda, jeśli rozumie się pod tym próbę wymuszania na nas ustępstw poprzez groźbę użycia siły, co w aktualnym układzie politycznym jest wykluczone. Ale nawet w ramach takiego układu może nastąpić zwrot w orientacji Wielkiego Brata, dla którego "perswazja" pod naszym adresem może się stać monetą przetargową w wielkiej grze o Niemcy, czy zwłaszcza o dostęp na dogodniejszych warunkach do niemieckiej technologii.

O losie Polski może zdecydować stan w jakim się znajduje w przełomowym momencie. W tym może leży klucz jej przyszłości na najbliższe lata.

Zbigniew Rapacki

Rowmund PIŁSUDSKI

STOSUNKI POLSKO-NIEMIECKIE

► Pierwodruk: "Trybuna", Londyn, nr 30/86. Przedrukujemy w całości.

Jest rzeczą oczywistą, że w geopolitycznym położeniu Polski dążenie do dobrosąsiedzkich stosunków z obu jej wielkimi sąsiadami - Rosją i Niemcami - musi być z natury rzeczy jednym z głównych celów każdej niezależnej polskiej polityki zagranicznej. Trudność osiągnięcia tego celu polega jednak przede wszystkim na tym, że jego realizacja zależy w niewspółmiernie większym stopniu od postępowania naszych sąsiadów aniżeli od narodu polskiego. Jeżeli chodzi o Rosję to jej przywódcy narzucili Polsce status satelicki i posłuszny sobie rząd, przez co pozbawili ją wolności i jak długo trwa ten stan rzeczy trudno mówić o możliwości pojednania polsko-rosyjskiego. Wprost przeciwnie, przeciąganie się w obecnej sytuacji grozi narastaniem niebezpiecznych napięć.

Sprawa stosunków polsko-niemieckich jest bardziej skomplikowana. Główną przeszkodą na drodze do pojednania polsko-rosyjskiego jest teraźniejszość wytworzona przez Moskwę, którą - gdyby chciała - mogłaby w każdej chwili zmienić. Natomiast nad stosunkami polsko-niemieckimi ciąży z jednej strony niedawna przeszłość w postaci wspomnień ogromu zbrodni dokonanych w Polsce podczas ostatniej wojny, a z drugiej niepewność co do przyszłości jeżeli chodzi o stosunek narodu niemieckiego do granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. A utrzymanie tej granicy z punktu widzenia możliwości odzyskania przez Polskę prawdziwie niepodległego bytu jest dla niej zagadnieniem zasadniczym. Bez ziem zachodnich bowiem i tego wszystkiego co one sobą reprezentują obszarowo, gospodarczo i komunikacyjnie - Polska nie miałaby warunków naturalnych dla samodzielnej egzystencji jako nowoczesne państwo, nawet gdyby jutro Moskwą zdecydowała się zwrócić jej wolność. Dlatego wszelki kompromis w sprawie tej granicy, który by miał zmieniać obecny stan rzeczy jest nie do przyjęcia z punktu widzenia polskiej racji stanu.

O ile uras emocjonalny na tle zbrodni niemieckich z ostatniej wojny będzie z natury rzeczy stopniowo zacierał się w miarę upływu czasu w pamięci narodu polskiego i coraz mniej wpływał na jego stanowisko wobec narodu niemieckiego, o tyle sprawa granicy na Odrze i Nysie Łuży-

kiej będzie jeszcze przez wiele lat kształtowała stosunki między obu narodami. Niewątpliwie poważnym czynnikiem natury psychologicznej dla poprawy tych stosunków było pogodzenie się przez stronę niemiecką w obecnej sytuacji międzynarodowej z faktem istnienia tej granicy. Taki jest bowiem sens zarówno umowy podpisanej przez PRL z RFN w roku 1970 w sprawie normalizacji stosunków między obu państwami, jak i podobnej umowy z NRD w roku 1950.

Oczywiście umowa z RFN jest znacznie bardziej miarodajna dla oceny stosunku narodu niemieckiego do problemu granicy na Odrze i Nysie od umowy z NRD jako, że została zawarta przez rząd niemiecki pochodzący z wolnych i demokratycznych wyborów. Otóż umowa ta chociaż stworzyła przychylny klimat dla poprawy stosunków polsko-niemieckich w dobie obecnej, to jednak nie rozwiała bynajmniej obaw o przyszłość. Wynika to zarówno z okoliczności w jakich doszło do jej podpisania i ratyfikowania, jak i z jej tekstu.

Przypomnijmy stan faktyczny w tym zakresie. Umowa z PRL /7.12.1970/ nie była wydarzeniem autonomicznym, lecz pochodną układu podpisanego przez RFN z ZSSR o parę miesięcy wcześniej /12.8.1970/. W układzie tym bowiem /art.3/ znajduje się już zobowiązanie co do nienaruszalności linii "Odry-Nysy, która stanowi zachodnią granicę Polskiej Republiki Ludowej". Tak więc zobowiązanie co do nienaruszalności tej granicy zawarte w późniejszej umowie z PRL jest tylko powtórzeniem przyjętego zobowiązania w tej sprawie wobec ZSSR. Ma to swoją głęboką wymowę polityczną. Z jednej strony nadaje ZSSR niejako rolę formalnego gwaranta tej granicy a z drugiej nasuwa niepokojące pytania: czy naprawdę kierował się rząd RFN uznając granicę na Odrze i Nysie? Chęcią oparcia polsko-niemieckich stosunków na nowych przyjaznych zasadach, czy też raczej świadomością, że bez tego uznania nie mógłby - ze względu na stanowisko Moskwy - zawrzeć z nią wspomnianego układu, który miał zapoczątkować okres zbliżenia między obu państwami pod hasłem "Ost Politik".

Równie niepokojące - jeżeli chodzi o stanowisko opinii niemieckiej wobec granicy na Odrze i Nysie - były okoliczności w jakich wreszcie doszło w maju 1972 r. do ratyfikacji umowy z PRL przez parlament w Bonn, który podzielił się w tej sprawie na dwie połowy. Za ratyfikacją wypowiedziała się koalicja rządowa socjalistyczno-liberalna w liczbie 248 głosów, to znaczy o jeden głos mniej od absolutnej większości; przeciwko padło 17 głosów chadeckich i innych, a reszta Chadeckich w liczbie 23 głosów powstrzymała się od głosowania. Wynik głosowania nad umową z ZSSR, jako że zawierała też klauzulę graniczną, był zbliżony. Z punktu widzenia formalnego ratyfikacja została dokonana /głosy nie oddane się nie liczą/, ale fakt, że połowa posłów odmówiła wzięcia odpowiedzialności za ratyfikację /głosowali by nawet przeciwko gdyby nie obawa o komplikacje międzynarodowe z Moskwą/ nie wydaje się świadczyć, aby druga główna partia polityczna w RFN, reprezentująca blisko połowę opinii publicznej tego kraju, przywiązywała większą wagę do sprawy niemiecko-polskiego pojednania.

DE FACTO, A NIE DE JURE

Należy przy tym pamiętać, że ta całkowita abstynencja

Chadecji nastąpiła mimo tego, że z inicjatywy kanclerza Brandta /który chciał pozyskać choć część jej głosów dla ratyfikacji/ doszło uprzednio do uzgodnienia między koalicją rządową a opozycją a następnie i do wspólnego głosowania specjalnej deklaracji interpretującej po linii postulatów opozycji niektóre z postanowień przedstawionych do ratyfikacji umów. W sprawie granicznej deklaracja oświadcza m.in. że "umowy te wychodzą z założenia istniejących dziś faktycznie granic, których jednostronną zmianę wykluczają". Natomiast "nie zastępują one" traktatu pokojowego z Niemcami "i nie stwarzają podstawy prawnej dla istniejących dziś granic". Innymi słowy, że RFN uznaje granicę Odry i Nysy de facto, a nie de jure.

Taka interpretacja umowy z Polską przez cały Bundestag nie stanowi oczywiście bezpośredniego zagrożenia dla tej granicy, ponieważ RFN nawet gdyby chciała ją zmienić nie ma możliwości tego dokonać w obecnej sytuacji. Z drugiej jednak strony wskazuje, że jeżeli chodzi o przyszłość, to sprawa granicy z Polską jest nadal otwarta w opinii Niemiec mimo umowy z roku 1970 i pełna niepewności. Poglębia tę niepewność fakt, że demokracja niemiecka jest wciąż jeszcze bardzo świeżej daty i stanowi przedmiot ciągłych ataków ze strony czynników ekstremistycznych starających się ją podważyć /terrorysty i neo-naziści/, których nie umiała dotąd unieszkodliwić. Nie można więc całkowicie wykluczyć ewentualności, że może się to im kiedyś udać przy sprzyjających okolicznościach, co otworzyłoby drogę dla nawrotu do rządów autorytatywno-nacjonalistycznych.

W tym świetle, takie czy inne zobowiązania traktatowe mają mniejsze znaczenie dla trwałości granicy na Odrze i Nysie /szczególnie pouczającym w tym zakresie jest los Traktatu Wersalskiego/ niż utrzymanie obecnego podziału dawnej Rzeszy na dwa państwa niemieckie RFN i NRD. Wystarczy bowiem spojrzeć na mapę Europy, by uświadomić sobie, że dopóki ten stan rzeczy istnieje, dopóty wszelkie niemieckie aspiracje rewizjonistyczne w stosunku do tej granicy noszą charakter raczej teoretyczny. Dopiero gdyby na zachodnim brzegu Odry i Nysy stanęła nowa zjednoczona Rzesza Niemiecka, aspiracje takie nabrałyby cech realnego niebezpieczeństwa.

Czy jednak odbudowa takiej Rzeszy jest do uniknięcia? Jest to pytanie, na które nie da się dziś odpowiedzieć. Jedno jest natomiast pewne, że umowa, zawarta w listopadzie roku 1972 a ratyfikowana w roku następnym /7.6.1973/ między NRD a RFN, w której ta ostatnia godzi się /podobnie jak w wypadku Odry i Nysy/ z istnieniem na obszarze dawnej Rzeszy dwóch suwerennych państw niemieckich oraz fakt uznania NRD w następstwie tej umowy jako państwa suwerennego przez wszystkie rządy świata, odsunęły niewątpliwie na wiele lat praktyczną możliwość odbudowy Rzeszy. A to dla utrwalenia granicy na Odrze i Nysie ma kapitalne znaczenie.

Ale sprawa istnienia dwóch państw niemieckich ma jeszcze inny, znacznie szerszy pozytywny aspekt. Historia bowiem jedności państwowej Niemiec ma specyficzny charakter. Podczas gdy jedność narodowo-państwowa większości innych społeczeństw europejskich ukształtowała się setki lat temu w drodze długotrwałych procesów historycznych, to zjednocze-

nie narodu niemieckiego w jednym państwie /zresztą niepełne, bo bez Austrii/ nastąpiło dopiero w drugiej połowie ubiegłego wieku /18.1.1871/ i to nie jako wynik dążeń zaskórnych mas społecznych, ale w formie narzuconej z góry przez ambicje imperialne dynastii Hohenzollernów, oparte o siłę militarną Prus.

Jest przy tym rzeczą znamioną, że okres tych wielu stuleci, podczas których naród niemiecki żył w dziesiątkach a nawet setkach oddzielnych i słabych organizmów państwowych /tak np. Traktat Westfalski z roku 1647, który zakończył wojnę trzydziestoletnią, przyznał prawa suwerenne 269 państwom i państewkom niemieckim/ był okresem największego rozwoju jego wartości humanistycznych i największego wkładu do kultury i cywilizacji europejskiej. Natomiast w okresie zaledwie kilkudziesięciu lat swojej jedności państwowej podjął on dwukrotną próbę podboju Europy i świata oraz popełnił olbrzymią ilość okrucieństw. Trudno więc oprzeć się wrażeniu, że jedność państwowa i związana z nią potęga militarna wyzwoliły w narodzie niemieckim najgorsze instynkty szowinistyczno-imperialistyczne, które nabrały rozmiarów monstrualnych i cech prawie psychopatycznych w okresie Trzeciej Rzeszy stworzonej przez Hitlera, którego można uważać za właściwego twórcę pełnej jedności państwowej narodu niemieckiego, ponieważ dopiero Trzecia Rzesza objęła także i Austrię.

"Power corrupts" głosi angielskie powiedzenie. Odnosi się ono niewątpliwie do wszystkich ludzi i narodów. Na podstawie jednak doświadczeń z ostatniego stulecia można powiedzieć, że widocznie właściwości narodowe społeczeństwa niemieckiego są powodem, iż jest ono bardziej podatne od innych na demoralizujący wpływ faktu posiadania wielkiej władzy, czy siły. Zarówno więc z punktu widzenia dobrego pojęcia interesu narodu niemieckiego i pozytywnego wkładu, jaki może on wnieść do ogólnego dorobku ludzkości, a także z punktu widzenia bezpieczeństwa jego bliźszych i dalszych sąsiadów - jest lepiej gdy nie posiada on nadmiaru siły, to znaczy gdy zamiast jednego państwa niemieckiego istnieje ich kilka, jak na przykład teraz: RFN, NRD i Austria.

Wreszcie jeszcze jedna uwaga tym razem pro domo sua. Słyszysz się czasem głosy polskie, że powinniśmy popierać sprawę zjednoczenia Niemiec ponieważ przybliżyłoby to chwilę odzyskania przez nasz kraj wolności, jako że miałyby wtedy wspólną granicę z Zachodem. Ci co tak mówią zapominają jednak, że nie byłaby to granica z Zachodem lecz z potężną Rzeszą Niemiecką oraz że fakt posiadania takiej granicy /via Austria/ przez Czechosłowację nie uchronił jej bynajmniej przed sowiecką inwazją w roku 1968 i narzuceniem jej jednego z najbardziej bezwzględnych reżymów komunistycznych.

Możliwość odzyskania wolności przez Polskę i inne kraje naszego regionu nie jest dziś funkcją sprawy niemieckiej lewej rosyjskiej. Zagadnienie to jednak wykracza daleko poza temat tego artykułu i dlatego ograniczymy się tu tylko do wyrażenia poglądu, że utrzymanie odrębności państwowej NRD nie oznacza bynajmniej, aby miała być ona zawsze Państwem komunistycznym pozbawiającym swych mieszkańców praw obywatela i obywatela. Los NRD w tym zakresie jest bowiem ściśle związany z losem pozostałych krajów satelickich. Gdy powstaną - w co wierzymy - warunki umożliwiające demokratyzację ich ustrojów ludność NRD będzie miała także

możność pełnego ich wykorzystania, a wzorem dla statusu międzynarodowego NRD w nowej sytuacji mógłby stać się wtedy przykład Austrii. Ze względu na bezpieczeństwo Europy została ona po drugiej wojnie światowej odłączona decyzją czterech mocarstw od Rzeszy hitlerowskiej jako odrębne państwo o statusie neutralnym pod gwarancją międzynarodową. W podobny sposób mogłaby zostać rozwiązana sprawa NRD, co byłoby zresztą zgodne z wielowiekową tradycją narodu niemieckiego: kształtowania swej osobowości narodowej w systemie szeregu państw niemieckich. Podważył tę tradycję Bismarck a złamał ją ostatecznie Hitler ze znanym tragicznym skutkiem zarówno dla narodu niemieckiego jak i całej Europy.

NIERODPOWIEDZIALNE WYPOWIEDZI

Jeżeli przypomnieliśmy niektóre aspekty stosunków polsko-niemieckich, to nie dlatego, aby w tej dziedzinie zaistniała jakaś nowa sytuacja, ale z powodu, że stały się one ostatnio przedmiotem niepokojących wypowiedzi na łamach prasy emigracyjnej. Wspólną ich cechą jest pro-niemieckie naświetlanie tych stosunków, wykraczające daleko poza obiektywizm, a czasem nawet mijające się z prawdą historyczną. Nie jest to zresztą pierwszy tego rodzaju wypadek. W okresie ponad trzydziestoletniego trwania emigracji mieliśmy już kilka takich fałz filo-niemieckich głosów. Trudno jest ustalić ich faktyczne podłoże, zresztą nie jest to obecnie naszym celem. Zapewne przyczyny ich są różnorodne: przede wszystkim naiwność polityczna, dalej frustracja spowodowana obojętnością na los Polski ze strony "tradycyjnych" jej przyjaciół na Zachodzie i stąd dość niewybredne szukanie nowych, a czasem może nawet padanie ofiarą obcej inspiracji.

Zajmiemy się teraz najbardziej rażąca z tych wypowiedzi, która ukazała się w dwóch obszernych odcinkach w londyńskim "Tygodniku Polskim" pod tytułem "Niemcy, Polacy i inni". Została ona opracowana w kraju przez anonimowych autorów występujących pod pseudonimem "Czwórka" z Zespołu Problemów również anonimowego Polskiego Porozumienia Niepodległościowego.

Znaczna część pierwszego odcinka tego opracowania poświęcona jest podziałowi Niemiec i granicy między RFN a NRD. Do zagadnienia tego autorzy podchodzą nie mniej emocjonalnie niż robiliby to sami Niemcy pisząc: "Wzdłuż całej tej granicy, a zwłaszcza w Berlinie wciąż giną Niemcy z rąk Niemców. Tego jeszcze nie było nigdy i nigdzie. To trwać nie może. Ta granica drażni uczucia narodowe Niemców i grozi ich eksplozją w przyszłości. Ta granica jest obrazą dla całego świata cywilizowanego". W tym swoim pełnym pasji ataku na obecny podział Niemiec, autorzy zapominają się do tego stopnia, że nie tylko pozwalają sobie na absurdalne porównywanie go do rozbiorów Polski /mimo że była ona wtedy całkowicie wyznaczona z mapy Europy podczas gdy dziś istnieją dwa państwa niemieckie, z których jedno jest w pełni niepodległe/ ale także twierdzą, że Polacy byli wówczas ich uczucia i wolę ale nie ich świadomość". Trudno zrozumieć z tekstu o jaką to gwałconą świadomość niemiecką chodzi "Czwórce", natomiast wynika z niego jasno, że mija się ona z prawdą historyczną, gdy przemilcza brutalne wysiłki

państw rozbiorowych zabicia w społeczeństwie polskim najważniejszej świadomości, jaką jest świadomość narodowa. Tyle na temat podziału Niemiec.

Drugim zagadnieniem, którym zajęła się "Czwórka" w sposób nie mniej tendencyjny jest sprawa odzyskania ziem zachodnich. Fakt ten określa ona jako pozbawienie "części historycznej ojczyzny milionów Niemców", a także uważa, że nie jest on wynikiem aspiracji polskich, ale tylko decyzji sowieckiej. Tu znów mija się z prawdą historyczną ponieważ jeszcze na długo przed Jaltą rząd polski w Londynie miał opracowane plany rewindykacyjne w stosunku do Niemiec obejmujące całe Prusy Wschodnie, cały Śląsk i sięgające na zachód po Odrę. Przyczym rewindykacje te nie były wówczas rozumiane jako rekompensata za ziemie wschodnie, do których wysuwała roszczenia Moskwa, lecz jako wojenne odszkodowanie za masową eksterminację ludności i zniszczenia dokonane w Polsce przez Niemców.

Dalej, "Czwórka" ma pretensje do oficjalnej historiografii NRD, że "dla utrwalenia w umysłach niemieckich ... granic na Odrze i Nysie" głosi mit, według którego "obszary na wschód od granicy pokoju /tzn. Odry Nysy - nasz dop./ są oczywiście prapolskie, ilość autochtonów przesadza się w duchu polskiej propagandy, a ilość wysiedlonych Niemców podaje się zgodnie z polsko-radziecką wersją /ok. 2 milionów/". "Czwórka" woli natomiast wersję zachodnio-niemiecką: ok. 8 milionów.

Jeszcze bardziej rażąca politycznie jest jej teza, że przysługujące stosunki między wolnymi narodami polskim i niemieckim "nie będą zależały od wytyczenia granic, lecz od ich interpretacji". Z jednej strony robi to wrażenie próby nawrotu do koncepcji Adenauera: kondominium polsko-niemieckiego na ziemiach zachodnich, a z drugiej doprowadzi do zupełnej nieznajomości stosunków międzynarodowych. Wiadomo jest bowiem, że we wszystkich układach strona słabsza zawsze dąży do możliwie jak najdokładniejszego ich sformułowania, aby uniknąć w przyszłości potrzeby ich interpretacji, która z natury rzeczy działa na korzyść strony silniejszej, jaką w danym wypadku byłby naród niemiecki. "Czwórka" daje również upust fantazji, a może ignorancji, gdy dla podbudowania wspomnianej wyżej tezy twierdzi, że granice są dziś tylko wymysłem sowieckim, podczas gdy "w Europie zachodniej stały się abstrakcyjnymi, przezroczystymi liniami". My, którzy od lat mieszkamy w Europie zachodniej dotąd jednak tego nie zauważyliśmy w świetle trudności na jakie napotyka jej integracja. Natomiast fakt, że możemy podróżować po niej bez wiz nie jest znów wydarzeniem specjalnie nowym, czy rewolucyjnym, jeśli się weźmie pod uwagę, że przed pierwszą wojną światową wizy w ogóle nie były wymagane w całej Europie.

Szczegółem jednak tendencyjności, charakteryzującej opracowanie "Czwórki" jest wniosek, do którego dochodzi przy analizie stosunków polsko-niemieckich, że jakoby ujemny stereotyp Niemca w opinii polskiej nie jest następstwem doświadczeń historycznych, lecz że stworzyli go dopiero polscy "publicyści i powieściopisarze patriotyczni głównie z XIX wieku". Podobną rolę przypisuje także niemieckim publicystom jeżeli chodzi o negatywny stereotyp Polaka w opinii niemieckiej. Można by więc na tej podstawie sądzić, że gdyby nie literaci obu stron to stosunki polsko-niemieckie byłyby sielsko-anielskie!

Mamy więc tu do czynienia znów z rażąco próbą zaciśnięcia prawdy historycznej, że na przestrzeni tysiąca lat stosunków polsko-niemieckich od margrabiego Gerona do Fryderyka II i Hitlera to Polska zawsze padała ofiarą agresji zestrony Niemiec, gdy tylko mogli sobie na nią pozwolić, a nigdy nie było odwrotnie. O hekatombie ostatniej wojny, której koszmar wciąż ciąży nad stosunkami polsko-niemieckimi, mimo ich poprawy w wyniku umowy z roku 1970, "Czwórka" w ogóle nawet nie wspomina.

Pisaliśmy już na początku tych rozważań, że dążenie do dbrósędzich stosunków z obu naszymi wielkimi sąsiadami, a w omawianym przypadku z narodem niemieckim, musi być jednym z głównych celów każdej niezależnej polskiej polityki zagranicznej i powtarzamy to raz jeszcze. Ale tego celu nie osiągnie się przez ukrywanie prawdy historycznej lub schlebienie niemieckim aspiracjom nacjonalistycznym i powtarzaniem ich sloganów propagandowych. Trzeba mówić prawdę, nie stwarzać fikcji jakoby granice państwowe nie miały dziś znaczenia, natomiast starać się wyjaśniać opinię niemieckiej, że granica Odrzy i Nysy jest dla narodu polskiego sprawą życiową i dlatego nie może on iść w tej dziedzinie na żadne ustępstwa, że wreszcie jest ona tylko sprawiedliwym zadośćuczynieniem ze strony niemieckiej za ogrom krzywd wyrządzonych mu podczas ostatniej wojny. Jednocześnie należy popierać wszystko to co może przyczynić się do pogłębiania przyjaznych i pokojowych stosunków między obu narodami oraz lepszego ich wzajemnego poznawania się drogą rozwijania między nimi współpracy kulturalnej, naukowej i gospodarczej.

Z natury rzeczy będzie to proces trudny i powolny, gdyż byłoby nierealne oczekiwać, że można szybko wymazać ze świadomości obu narodów urazy i nawyki narosłe w okresie stuleci. Ten proces o podłożu przede wszystkim psychologicznym powinien być jednak ułatwiony - jeżeli chodzi o Niemców - przez okoliczność, że granica na Odrze i Nysie, stanowiąca nawrót do sytuacji jaka istniała za Chrobrego, jest bezspornym dowodem błędności i całkowitego bankructwa doktryny "Drang nach Osten", na której opierała się przez wieki niemiecka polityka w stosunku do Polski. Realizm polityczny i dobrze pojęty interes narodu niemieckiego wymaga więc wyciągnięcia z tego faktu daleko idących wniosków i oparcia stosunków z narodem polskim na takich nowych założeniach, które by umożliwiały prawdziwe i trwałe pojęcie polsko-niemieckie.

Rowmund Piłsudski

tu Warszawa-Bonn. Były nimi na pewno. Równocześnie jednak prasa zachodnio-niemiecka zwracała uwagę, że przyszły one w momencie pewnego, względnego co prawda zadrażnienia we wzajemnych stosunkach. Czy przyczyną jest tylko to - jak twierdzą niektórzy - że straszak niemiecki wypływa w Polsce zawsze w okresie trudnych napięć wewnętrznych, w myśl starej zasady, że zewnętrzny wróg jest potrzebny do utrzymania wewnętrznej jedności? Tak oczywiście bywa. Ale są tego i głębsze przyczyny.

Tematem rozmów z ministrem sprawiedliwości RPN były oczywiście problemy natury prawnej, między innymi gorąca w tej chwili sprawa utrzymania czy nieutrzymania w mocy po 31 grudnia br. zasady o nieprzedawnieniu zbrodni hitlerowskich z czasów wojny - i sprawa ostatecznego uznania przez RPN granicy na Odrze i Nysie. Bo dotychczasowe uznanie z grudnia 1970 roku nie jest jeszcze w interpretacji niemieckiej ostatecznym uznaniem w sensie prawa międzynarodowego i w imieniu całych Niemiec, w razie gdyby w przyszłości doszło do ponownego zjednoczenia Niemiec. To zastrzeżenie znalazło wyraz w tak zwanej deklaracji o jedności Niemiec przyjętej zarówno przez partie rządowe jak i partie opozycji w przededniu ratyfikacji traktatu Warszawa-Bonn w maju 1972 r. Było ono koniecznym politycznym warunkiem ratyfikacji; dzięki niemu partie opozycji w swej masie powstrzymały się od głosu zamiast głosować przeciw traktatowi. Polska ze swej strony nigdy nie przyjęła tej deklaracji do wiadomości, stwierdzając, że dla niej jedynym obowiązującym tekstem jest sam tekst traktatu.

Ale teraz ta drażliwa sprawa wypłynęła znów. Dlaczego? Kto myśli o ponownym zjednoczeniu Niemiec? Wprawdzie sprawa przyszłego zjednoczenia figuruje w konstytucji RPN i każdy rząd zachodnio-niemiecki jest zobowiązany dążyć do zjednoczenia, ale od wielu lat było to uważane za pobożne życzenie. Przeciwnie od tego czasu Bonn uznało istnienie drugiego państwa niemieckiego i zawarło z nim osobny "Grundvertrag". Ale i ten układ wewnętrzno-niemiecki jest obwarowany zastrzeżeniami. Te z kolei znalazły wyraz w orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego RPN w Karlsruhe w 31 lipca 1973, który /wbrew stanowisku powoda - opozycyjnej partii CSU/ uznał Grundvertrag za zgodny z konstytucją, uzasadniając to tym że uznanie istnienia drugiego państwa niemieckiego nie przekreśla formalnie dalszego istnienia Rzeszy Niemieckiej i jednego narodu niemieckiego. Co więcej, w orzeczeniu Trybunału znalazło się między innymi takie zdanie: "Układ ten ... może być pierwszym krokiem w dłuższym procesie, który doprowadzi wreszcie do konfederacji /obu państw niemieckich/ w jednej ze znanych w prawie międzynarodowym odmian tego pojęcia".

Wynikają z tego dwie rzeczy. Po pierwsze, że Niemcy, w każdym razie kompetentni i wpływowi Niemcy, nie zapomnieli o sprawie zjednoczenia i bynajmniej tego nie ukrywali przed światem. Po drugie, że o zjednoczeniu można myśleć w pozornie najmniej pomyślnych dla tego okolicznościach, bo zjednoczenie może przybrać różne formy: jeśli przestaje być możliwe w jednej formie, to może się okazać możliwe w innej. Rozwodniona zapewne, ale bynajmniej nie teoretyczna a bardzo konkretną formę jedności Niemcy utrzymują w mocy przez cały czas. Każdy obywatel NRD, ba, każdy Niemiec obszaru Rzeszy z r. 1937, a nawet etniczni Niemcy spoza tych obszarów /np. Niemcy nadwołżańscy/ mają w każdej chwili

Antoni POSPIESZAŁSKI

CZY GROZI ZJEDNOCZENIE NIEMIEC?

Pierwotnie: "Trybuna", Londyn, nr 32/88. Przedrukujemy w całości.

Na początku kwietnia br. był w Polsce z kilkudniową wizytą na czele delegacji parlamentarnej Herbert Wehner, przewodniczący frakcji parlamentarnej rządzącej partii SPD. Prawie równocześnie, ale niezależnie był w Polsce zachodnio-niemiecki minister sprawiedliwości Hans Jochen Vogel. Można powiedzieć, że obie te wizyty były elementami trwającego już blisko 10 lat procesu normalizacji stosunków między PRL a RPN po podpisaniu w grudniu 1970 roku trakta-

prawo do obywatelstwa RFN. Pomiędzy RFN a NRD nie istnieje granica celna i Wschodni Niemcy stale korzystają z wielomilionowego nieoprocentowanego kredytu w RFN /tzw. Swing/ i w rezultacie gospodarka wschodnio-niemiecka mimo przynależności do RWPG korzysta również z pewnych przywilejów gospodarczych członka wspólnego rynku EWG. Stąd wśród koncepcji zjednoczeniowych lansowanych ostatnio jest także ogólnoniemiecka wspólnota gospodarcza, niezależnie, albo też w związku z szerszą koncepcją "konfederacji".

A jednym z najbardziej konsekwentnych rzeczników tych koncepcji był zawsze właśnie Herbert Wehner. Inna rzecz, że Wehner, były komunista, dziś socjaldemokrata, mówił dotychczas raczej o zjednoczeniu niemieckiej klasy robotniczej niż narodu niemieckiego, ale to właśnie jest istotne. "Wujek Herbert" nie jest nacjonalistycznym rewanżystą, ale wpływowym przedstawicielem rządzącej partii socjaldemokratycznej /jego szczerze demokratyczne przekonania są dziś na ogół podawane w wątpliwość/ i jest jednym z najgorętszych rzeczników zachodnio-niemieckiej Ostpolitik i odprężenia. Potrafi utrzymać osobiste kontakty ze swoim starym przyjacielem i niegdyś towarzyszem partyjnym Erichem Honeckerem. W roku 1973 potrafił /rzecz znamienna, w czasie wizyty w Moskwie/ krytykować niedosć konsekwentną jego zdaniem politykę odprężeniową swego szefa partyjnego i szefa rządu kanclerza Brandta; to m.in. też przyczyniło się do ustąpienia Brandta na wiosnę 1974 roku. Ostatnio w czasie debaty na temat polityki obronnej w Bundestagu Wehner wywołał burzę twierdzeniem, że zbrojenia radzieckie mają tylko czysto obronny charakter i że minister spraw zagranicznych Genscher hamuje postępy w wiedeńskich rozmowach w sprawie ograniczenia sił zbrojnych w środkowej Europie.

Dla Wehnera więc sprawa zjednoczenia Niemiec jest funkcją polityki odprężenia między Wschodem i Zachodem a to nieuchronnie wciąga do tej gry Związek Radziecki. I to właśnie budzi u wielu dreszcz zgrozy, u innych przynajmniej groźne historyczne skojarzenia: Rapallo, pakt niemiecko-radziecki z 1922 roku, a zwłaszcza pakt Ribbentrop-Mołotow z sierpnia 1939 roku. Powiedzmy sobie na pociechę, że to właśnie prasa zachodnio-niemiecka /ta krytyczna wobec Wehnera/ przywołuje na pamięć te groźne duchy przeszłości i piętnuje je jako groźne, podkreślając, że w przeszłości każde intymne zbliżenie między Niemcami a Rosją, odbywało się kosztem Polski. Z tych głosów prasy szczególnie rozgłos zdobyło sobie ostre wystąpienie przeciw Wehnerowi hamburskiego "Spiegla".

Z tego punktu widzenia właśnie patrzyła prasa zachodnio-niemiecka na wizytę Wehnera w Polsce na początku kwietnia. Wehner pojechał tam - pisano - by wytknąć swoim polskim rozmówcom, że jego koncepcje zjednoczeniowe nie są dla Polski groźne. I nie są też groźne dla Europy. Wehner faktycznie przedstawił się w Warszawie raz jeszcze jako zwolennik ostatecznego uznania zachodniej granicy Polski /to przecież jego przeciwnicy polityczni, chadecy byli autorami deklaracji o jedności niemieckiej/ i po powrocie do Bonn podkreślał konieczność dalszej normalizacji stosunków i wypełnienia ich pozytywną treścią, nie przez zawieranie nowych układów, ale przez pełną realizację układów już zawartych. Jako rzecznik polityki odprężenia i normalizacji Wehner był niewątpliwie dla Warszawy miłym gościem. Ale jeśli chodzi o konsekwencje jego koncepcji

zjednoczeniowych, to - jak pisała znów prasa niemiecka - swoich rozmówców w Warszawie nie przekonał.

Na dobrą sprawę nie bardzo wiadomo, o czym faktycznie w czasie tej wizyty rozmawiano, bo rozmowy były niezmiernie poufne. Komunikaty dla prasy ograniczały się do nic nie mówiących ogólników i ciekawa rzecz, pisma zachodnio-niemieckie - "Spiegel", "Die Zeit" i inne - winą za to obciążały nie tyle stronę polską i polską cenzurę ale głównie Wehnera, który w czasie wizyty i sam wziął wodę w usta i członkom swej delegacji zabronił wszelkiego gadania z prasą. O autorytecie Wehnera świadczy fakt, że jego towarzysze, również posłowie SPD do Bundestagu, mimo szeregu kłopotliwych sytuacji posłusznie zastosowali się do jego żądania. Planowana na zakończenie wizyty konferencja prasowa też została odwołana - podobno na żądanie Wehnera. Oczywiście to dało asumpt do majrozmaitszych domysłów i tylko pogłębiło obawy.

Nie tylko polskie obawy. "Spiegel" w swej obszernej analizie problemu mówi również o obawach zachodniego sąsiada, Francji przed pełnym odrodzeniem potęgi Niemiec, zwłaszcza zjednoczonych Niemiec. Dlatego też prezydentiscard d'Estaing usiłuje Niemcy jak najściślej związać - i skrzepować - z Europejską Wspólnotą Gospodarczą. To według "Spiegla" było główną motywacją ze strony Francji budowania silnej osi Bonn-Paryż w ramach EWG, inicjatywa, która się nie całkiem powiodła. Natomiast gaulliści, przeciwnie, obawiają się, że to oznaczałoby nieuchronnie kierowniczą rolę Niemiec w EWG i ostateczne skrzepowanie Francji, koźnie jej niezależności. Reakcje więc są różne. Dla Rosji - według "Spiegla" - Zachodnie Niemcy odegrają kluczową rolę w polityce Europy wobec Chin, a Europa jest dla Związku Radzieckiego niezbędnym sojusznikiem w grożącej walce z "złotym niebezpieczeństwem". Do tego nie wystarcza zbliżenia z Zachodnimi Niemcami dyktują Moskwie nie tylko jej potrzeby gospodarcze. W tym świetle widzi "Spiegel" zeszłoroczną wizytę Breżniewa w Bonn /w czasie której znalazł podobno czas nawet na przyjazną rozmowę ze Straussem/ i mianowanie w listopadzie najwybitniejszego kremlowskiego eksperta od spraw niemieckich Władymira Siemionowa ambasadorem w Bonn. Nawet we Wschodnich Niemczech dostrzega "Spiegel" pewne wyłomy w dotychczasowej polityce zarzekającej się przeciw istnieniu jednego narodu niemieckiego. I tu koncepcja zjednoczenia okazuje się niecałkiem martwa. Czyżby za cichym zezwoleniem Moskwy? A może to jest więcej niż zezwolenie, konkretna presja na Honeckera w tym kierunku? W dalszej perspektywie, czy jakiegokolwiek zjednoczenie jest możliwe bez wyłączenia Zachodnich Niemiec z Sojuszu Atlantykowego, bez jakiegóś neutralizacji czy finlandyzacji? I czym poza zjednoczeniem jest Moskwa gotowa za to zapłacić?

I w Polsce reakcje na te zapierające dech w piersiach wizje są różne. Mieczysław Rakowski dwukrotnie wykił zę w "Polityce" /po raz pierwszy jeszcze w zeszłym roku, po raz drugi w odpowiedzi na artykuł "Spiegla", 24 marca br./ twierdząc, że to wszystko jeden wielki nonsens; przede wszystkim polityce radzieckiej takie myśli są całkowicie obce. Oczywiście inni twierdzą, że Rakowski tak pisze, bardzo mądrze, w interesie polskiej racji stanu - przypominając w ten sposób Moskwie jej zobowiązania wobec Polski i redaktor "Polityki" nic nie może poradzić na taką inter-

pretację jego artykułów. Reprezentuje on niewątpliwie oficjalne stanowisko Warszawy w tej sprawie. Ale Warszawa nie może na ten temat nie myśleć. Na pewno są tam ludzie, którzy na ten temat myślą bardzo poważnie; "Spiegel" cytuje Mirosława Wojciechowskiego z wydziału zagranicznego KC i Mieczysława Tomalę z Instytutu Spraw Międzynarodowych. Dlatego dla Warszawy tak ważna była kwietniowa wizyta Wehnera.

Jak realne są te obawy? Zgódźmy się przede wszystkim, że Wehner nie jest sam w RFN. Jeden z twórców polityki wschodniej RFN Egon Bahr powiedział: "Nie wiercie żadnemu Niemcowi, który wam powiada, że kwestia niemiecka zmierza śmiertelnie naturalną, bo jeśli tak mówi, to albo kłamie albo jest głupi." Zadanie zjednoczenia Niemiec jest wpisane do konstytucji RFN. W każdym razie dla wielu, nawet bardzo rozsądnych Niemców dążenie do zjednoczenia to nie nacjonalizm, ale najzwyczajniejszy obowiązek patriotyczny. W rozmowach z Polakami często porównują obecny podział Niemiec do rozbiorów Polski. A skoro podział Niemiec jest wynikiem podziału Europy, polityka odprężenia dążąca do zniesienia podziału Europy zmierza też eo ipso do przezwyciężenia podziału Niemiec. W tym sensie właśnie Zachodnie Niemcy są szczególnie zainteresowane w polityce odprężenia. A politykę odprężenia robi się przede wszystkim z Rosją. I to jest również stanowisko kanclerza Schmidta. Zapewne, nie idzie on tak daleko jak Wehner /pamiętajmy, przewodniczący frakcji parlamentarnej partii kanclerza/, który ostrzega przed "osią Bonn-Waszyngton" porównując ją do katastrofalnej dla Niemiec osi Berlin-Rzym.

Rząd zachodnio-niemiecki jest wiernym członkiem Sojuszu Atlantycznego i stale powtarza, że polityka odprężenia jest możliwa tylko z pozycji jeśli nie siły, to bezpieczeństwa, które zapewnia właśnie Sojusz Atlantyczny. Ale Zachodnie Niemcy, kraj w pierwszej linii obrony Zachodu nie ma też ochoty narażać swej własnej polityki odprężenia przez stacjonowanie na swoim terytorium amerykańskiej broni nuklearnej średniego zasięgu /koniecznej według NATO dla przeciwdziałania radzieckim pociskom SS-20 et sequentes/ w każdym razie nie jako jedyny kraj obciążony tą bronią. I kanclerz Schmidt nie od dziś jest krytyczny wobec wielu aspektów polityki prezydenta Cartera; zwłaszcza altruistyczna polityka obrony praw człowieka w Związku Radzieckim wydaje mu się raczej kontraproduktywna w tej dziedzinie, powiada, że RFN osiągnęła znacznie więcej przez swą giętką, niepryncypialną Ostpolitik. A równocześnie wszyscy Niemcy od kanclerza w dół bronią się przed przyjęciem na siebie roli światowego mocarstwa - wbrew faktom, nie tylko gospodarczym. Bo im większa jest potęga jednej tylko, zachodniej części Niemiec, tym groźniej w oczach świata rysuje się potęga ewentualnie zjednoczonych Niemiec. A to może tylko opóźnić zjednoczenie.

To są negatywy. Czy mogą w tym wszystkim być pozytywy? Niemądre byłoby pocieszanie się tym, że jest to proces na bardzo długą historyczną metę - jeśli istotnie jest to proces tak naturalny i dlatego nieunikniony. Ale w to wolno wątpić. Niedawno monachijski Instytut für Jugendforschung przeprowadził w Zagłębiu Ruhry ankietę wśród młodzieży od lat 14 do 29. Zapytano tych młodych ludzi, jakie zagadnienia najbardziej ich pasjonują, o co byliby gotowi wyjść na ulice i demonstrować. W odpowiedziach stosunkowo

wysokie miejsca zajęły takie sprawy, jak walka o czystość środowiska i walka o równe prawa do należytego wykształcenia. Walka z faszyzmem czy komunizmem zajęła niższe miejsce, a jeszcze niższe dążenie do ponownego zjednoczenia Niemiec. Zaledwie 1.5 procent zapytywanych oświadczyło, że ta sprawa naprawdę leży im na sercu. I znamienne jest, że już trzy lata temu w podobnej ankiecie 50 procent wszystkich zapytywanych oświadczyło, że uważają Niemcy za kraj obcy, po prostu mówiący językiem niemieckim tak jak Austria. Tylko 42 procent nadal uważało NRD za część Niemiec.

Innymi słowy młode pokolenie nie uważa już sprawy zjednoczenia Niemiec za sprawę tak naturalną jak 72-letni Wehner i Egon Bahr i Helmut Schmidt, nie mówiąc już o ojciech Republiki Federalnej, którzy 30 lat temu wpisali tę sprawę do konstytucji RFN. Dodajmy nawiasem, że sytuacja przedstawia się zapewne wprost na odwrót w NRD, gdzie wbrew staremu pokoleniu polityków SED młodzież zdaje się spontanicznie ciążyć ku zachodniemu państwu niemieckiemu, często po prostu w czysto osobistym interesie. Ale różnice pokoleń mogą wnieść bardzo istotne zmiany do zarysowanego przez "Spiegel" obrazu tendencji zjednoczeniowych. Zwróćmy uwagę, że istnieje nawet różnica poglądów między pokoleniem Adenauera i Schumachera a pokoleniem dzisiaj czynnych polityków niemieckich, łącznie z Wehnerem. Jeśli tamci mieli na myśli po prostu całkiem unitarne państwo ogólnoniemieckie, to dziś i Wehner myśli ostrożnie w kategoriach jakiejś wspólnoty gospodarczej czy konfederacji dwóch państw niemieckich.

I wreszcie istnieje różnica między odległymi już hitlerowskimi Niemcami czy jeszcze odleglejszymi Niemcami cesarskimi a Niemcami dzisiejszymi. Nastroje antytotalitarne i antymilitarystyczne są w dzisiejszej RFN bardzo silne. Jest dużo prawdy w dowcipnym powiedzeniu, że najlepszymi żołnierzami są dzisiaj Żydzi, a najlepszymi kupcami są Niemcy. Zachodnie Niemcy są jedną z wielkich potęg gospodarczych świata, gdzie eksport broni, zwłaszcza na obszary międzynarodowego napięcia jest wprost zakazany, a pozostały eksport broni bardzo ograniczony /jest to głównie produkcja broni dla innych krajów NATO/. Pod tym względem potężne Zachodnie Niemcy stoją dopiero na siódmym miejscu, daleko za Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim, a nawet Francją i Wielką Brytanią. Dlatego istnieje przynajmniej możliwość, że stosunkowo luźno zjednoczone Niemcy nie byłyby owym militarystycznym potworem, za jaki przyzwyczailiśmy się je uważać.

Historia jest często bardzo zwodniczą nauczycielką życia. Tak myślą niewątpliwie ci /w tym także odpowiedzialni ludzie w Polsce/, którzy uznając naturalność niemieckich tęsknot zjednoczeniowych domagają się od Niemców odpowiednich gwarancji na przyszłość. Do tych należy przede wszystkim takie uznanie zachodniej granicy Polski, które zobowiązywałoby również ewentualnie zjednoczone Niemcy. To w RFN jest, niestety sprawą partyjno-polityczną; opozycja przeciw temu pochodzi głównie z prawego skrzydła chrześcijańsko-demokratycznej opozycji. Ale nie jest to żądanie nierealne. W rzeczy samej, czytając prasę niemiecką odnosi się czasem wrażenie, że najbardziej boją się nadmiernej potęgi niemieckiej sami Niemcy. W każdym razie są Niemcy, którzy boją się pokusy, jaką taka nadmierna potęga mogłaby być dla innych Niemców.

Wspomniałem wyżej o różnych reakcjach politycznych na te zjednoczeniowe wizje czy obawy. Oczywiście, polityka, a definicje nie idzie linią prostą i historia jest w rezultacie wypadkową działania różnych sił politycznych. Na przykład trudno sobie wyobrazić, jaką rolę w tym nieuniknionym pono procesie zjednoczeniowym miałyby grać ostatnie zaostrzenie stosunków między RFN a NRD, spowodowane nałożeniem przez władze NRD drakońskich ograniczeń na działalność korespondentów zagranicznych we Wschodnich Niemczech. To wywołało bardzo silne reakcje w RFN, choć i to jest charakterystyczne - rząd boński cofa się przed powzięciem realnych kroków odwetowych, właśnie by nie narazić dotychczasowego zbliżenia i osiągniętego poziomu kontaktów personalnych poprzez wewnętrzną-niemiecką granicę. Gdyby te zarządzenia przeciw dziennikarzom - jak i przyhamowanie konsumpcyjnych apetytów społeczeństwa wschodnio-niemieckiego przez przymus wymieniania marek zachodnio-niemieckich na bony - gdyby i to miało być wynikiem presji radzieckich, przeczyłoby to zarysowanym przez "Spiegel" celom polityki niemieckiej Moskwy. Przeczyłoby, ale nie unieważniałoby całkowicie - właśnie dlatego, że w polityce często działają sprzeczne motywy i impulsy, nawet z tej samej strony.

W rezultacie nagłe wypłynięcie uspięnego, zdawałoby się, problemu jedności Niemiec nie jest okazją do panicznych reakcji. Natomiast jest okazją do przemyślenia na nowo problemu, w kategoriach realnych faktów politycznych. W historii nigdy nie ma absolutnej stabilizacji.

Antoni Pospieszalski

Stefan KISIELEWSKI

LEPSZE PODZIELONE...

Pierwodruk "Res Publica", Warszawa 1979, nr 1. Obszerne fragmenty artykułu "Czy geopolityka straciła znaczenie?" Obecny tytuł pochodzi od redakcji.

Celem niniejszych rozważań jest teza, że problematyka geopolityczna, zaniechana w dużym stopniu przez opozycję z winy ekipy Gierka, wobec zaabsorbowania się myślącej młodzieży rewoltującą sytuacją wewnętrzną i skupienia uwagi na kwestiach ideowo-ustrojowych - nie straciła wcale swego znaczenia. Wrażenie, iż jest przeciwnie, to złudzenie, wywołane dość długą stabilizacją sytuacji międzynarodowej w Europie, swego rodzaju geopolitycznym zawieszeniem broni. Ale to zawieszenie broni nie będzie trwać wiecznie, wydaje się, że zbliża się ono do końca. Geopolityka może się zmienić i to wcale nie na naszą korzyść. A sygnałem do zakończenia spokoju będzie - sprawa niemiecka.

Sprawa niemiecka - wielkie słowo! Zrobi na niej karierę Roman Dmowski, podczas gdy Piłsudskiego zakwalifikowano już na zawsze do zawodowych przeciwników Rosji. Osobiście sądzę, że jeśli z politycznych dzieł młodego czy średniego Dmowskiego więcej dziś mamy aktualnej korzyści niż z romantyczno-taktycznych impresji, zawartych w pismach Piłsudskiego, to nie wynika to z takiej czy innej orientacji, lecz z faktu, że Dmowski w swych głównych książkach dał nam kurs bystrej a gruntownej analizy geopolitycznej. /Abstra-

huje tu oczywiście od dziwnego użytku, jaki z niektórych obsesji Dmowskiego robią dziś pewni starsi panowie z Londynu, eksponując w jego twórczości to akurat, co nieaktualne i szkodliwe/. Na marginesie zauważę zabawny szczegół, że wśród naszej opozycji raczej KOR, pomawiany o pilsudczyznę, skłonny bywa do rozsądnych analiz sytuacyjnych /patrz np. świetny artykuł Marka Turbacza: "Polska rok 1984" w "Zapisie" nr 6/, podczas gdy Leszek Moczulski na przykład przejął w pełni pilsudczykowski romantyzm i bliska maksymą "mierz siły na zamiary".

Więc sprawa niemiecka "powróci na tapetę" i stanie się motywem zmian geopolitycznych w Europie - uważam to za pewnik. Dlaczego? Nie tylko dlatego, że wszyscy o tym mówią, że były różne oburzone dementi w sprawie Egonu Bahra i że Rosjanie mianowali ciekawego "rapallowskiego" ambasadora w Bonn. To są objawy - przyczyny są głębsze. Stabilizacja sytuacji europejskiej na styku Niemiec Wschodnich i Zachodnich jest najsłabsza ze wszystkich frontów Europy i najbardziej sztuczna - panuje tu równowaga chwiejna, naruszona jeszcze ostatnio przez fermenty i fluktuacje w NRD. Ten specyficzny twór państwowy, oparty na berlińskim murze, zakazach, terrorze i także równowadze materialnej, zachwiał się ostatnio mocno, nie wytrzymując psychicznie handlowo-dewizowego otwarcia na Zachód, sklepów pewexowskich i kontaktów z Republiką Federalną. Pełna izolacja lepiej sprzyjała gruntownemu patriotyzmu NRD, teraz przychodzi nowy etap. Mówi się, że sytuacje prowizoryczne mają tendencję do trwania, ale w tym zapalnym miejscu Europy "przejściowa stabilizacja" trwała już dość długo, a to co trwa bez zmian zaczyna się w końcu degenerować. Rosjanie doskonale o tym wiedzą, dogmatyczni i bezradni w swoich sprawach wewnętrznych, w polityce zagranicznej potrafią być elastyczni i przewidującymi szachistami.

Zmusza ich zresztą do tego strategia ogólnoswiatowa. Perspektywa olbrzymich Chin, sprzymierzonych z Japonią i Ameryką i uzbrojonych przez nie z jednej strony, a sił Paktu Atlantycznego i zjednoczonej Europy Zachodniej z drugiej jest nie do przyjęcia - trzeba coś zrobić aby ten pierścień rozerwać. Jedyna rzecz jaka jest do zrobienia, to powrócić do starej propozycji zjednoczenia Niemiec za cenę ich neutralizacji, czy, jeśli kto woli "finlandyzacji". O tym, że jest to jedyny możliwy, dalekosiężny cel polityki rosyjskiej w Europie pisałem zresztą już dawno, m.in. w felietonie "Moje proroctwo" dedykowanym Zbigniewowi Brzezińskiemu /Kultura, Paryż, 1977/11/. Rzecz nie przestaje być aktualna, choć realizacja trwać może i długie lata.

Warto przypomnieć, że zjednoczenie Niemiec /czytaj: umożliwienie pokojowej penetracji sowieckiej aż po Ren/ było ideą Stalina jeszcze parę lat po wojnie, dopiero, widząc nieustępliwość tkwiących na Łabie aliantów, Dżugaszwili zdecydował się na utworzenie NRD i przejście na frazeologię dwóch państw niemieckich /u nas niektórzy nadgorliwi dziennikarze zauważyli tę zmianę z pewnym opóźnieniem, np. Z. Arski w Świecie, dziś podobnie choć na odwrót dzieje się z M. Podkowińskim/. Później jednak sugestie neutralizacji Europy Środkowej, neutralizacji stopniowej, prowadzącej nieuchronnie do takiej czy innej unii dwóch państw niemieckich, powracały parokrotnie, choćby w postaci tzw. "planu Rapackiego". Zawsze jednak projekty takie odrzucane były skwapliwie przez Adenauera i w ogóle politycznie konserwatywne

Niemcy, bojąc się jak ognia utraty amerykańskiego "parasola". Dziś jednak, można by sądzić, nastawienie to ulega ewolucji, przedłużająca się stabilizacja podziału Niemiec wywołała stan znużenia po obu stronach Łaby. Odczuwa się potrzebę zmiany politycznej mody. Atak sowiecki w Europie nigdy nie nastąpi /to nie samobójcy, wolą cudzymi rękami walczyć w Afryce czy Azji/ a zbrojne oczekiwanie coraz więcej kosztuje...

W tym miejscu rozproszyć trzeba złudzenie, któremu ulegają niektórzy publicyści geopolityczni, jakoby zjednoczenie Niemiec mogło być wynikiem nacisku ze strony zachodnich mocarstw atlantyckich i stanowić porażkę Rosji. Nic podobnego: nikt na zachód od Renu czy w krajach anglosaskich nie domaga się na serio zjednoczenia Niemiec, rzeczywiście zainteresowany tą sprawą byłby tylko Związek Sowiecki, pod swoimi warunkami naturalnie. Jako przykład nieporozumienia w tej sprawie zacytuję opinię krajowego publicysty Ryszarda Jagży, który w paryskiej Kulturze /1978/12, "Optymizm pesymisty" / pisze o Rosjanach: "Jeśli nie oddali Wysp Kurylek, to jest oczywiste, nie oddadzą dobrowolnie NRD. Oznaczałoby to bowiem niepodległość Polski, krajów bałtyckich i być może całej Europy Środkowo-Wschodniej". Dowolność oczywista: cóż ma wspólnego sowiecka wersja unii politycznej NRD z RFN, czy zachodniemiecka próba "kupienia" NRD z niepodległością np. krajów bałtyckich lub Polski? Do zupełnego zaś nadużycia zdrowego rozsądku dochodzi Janusz Zabłocki, gdy w wydanej w londyńskiej Odnowie, niezbyt poważnej broszurze "Tożsamość i siły narodu" pisze: "Już sam program zjednoczenia Niemiec, a więc ich odbudowania w granicach z 1937 roku, jest z polskiego punktu widzenia niepokojący, bo zagraża integralności naszego terytorium państwowego". Mamy tu oczywiście do czynienia ze świadomym wprowadzeniem w błąd czytelnika. W jaki sposób zjednoczenie Niemiec, dokonane za zgodą czy pod egidą Rosji /a inne w grę tu nie wchodzi/ miałoby się połączyć z restytucją granic z roku 37? To rzut oka na mapę przekonywa nas, że Rosja, przehandlowując NRD, nie odda ani Prus Wschodnich, ani Pomorza, ani obu Śląsków, ziem już etnicznie odniemczonych. Rosjanie nie oddadzą nawet Szczecina, nie są przecież samobójcami i nie zrezygnują z niczego, co zdobyli w ostatniej wojnie. Mogą co najwyżej sprzedać NRD na dobrych warunkach, ale to była wszakże zdobycz ponadplanowa, wykracająca wyraźnie poza umowy jaltańskie.

Odrzuciwszy więc supozycje, oparte na nieporozumieniu idźmy dalej i zapytajmy: jeśli Rosja zdecyduje się wyrazić zgodę na stopniową integrację dwóch państw niemieckich za cenę rozluźnienia kontaktów z Porozumieniem Atlantyckim, za częściową chociaż neutralizację, "pozaatomową demilitaryzację" /bo "parasol" zostanie - na to się wszyscy godzą/ i szeroką współpracę gospodarczą, czy jednak będzie to możliwe do strawienia dla Zachodu? W szczególności: 1/ Czy Niemcy z Republiki Federalnej zdecydują się oddać na łaskę i niełaskę Rosji? 2/ Czy Amerykanie zdecydują się na sytuację w której potężny potencjał produkcyjny Republiki Federalnej poddany by został sowieckim wpływom i pokusom?

Na pytania te trudno odpowiedzieć jednoznacznie: nikt nie jest absolutnym prorokiem, można by tu snuć nieskończone historyczno-psychologiczne impresje, na co w niniejszym szkicu miejsca nie ma. Mógłbym tylko ogólnie zauważyć, że: ad 1/ Mądrość polityczna Niemców częstokroć na pstryk jeź-

dziła koniu. Adenauer był bardzo mądry, ale miał też minimalistyczną szkołę nadreńskiego separatyzmu, przezornie stroniącego od spraw Wschodu. Co do mądrości politycznej Brandta, człowieka zresztą nader sympatycznego, mam zdanie raczej krytyczne. Trudno wyrokować o przyszłej modzie politycznej Niemców, z jednej strony obawiających się wewnętrznych kłopotów przy integracji NRD, z drugiej jednak znużonych już długą a negatywną stabilizacją na odcinku NRD-RFN. Dużą przy tym rolę odegrać może presja kapitału, który jest ponadnarodowy i nowych rynków zbytu zawsze spragniony /pisał o tym we wspomnianym "Moim proroctwie"/. A także czas: jak długo można się zbroić, gdy atak przeciwnika nie następuje?

Ad 2/ Co zrobią Amerykanie, nigdy nie wiadomo, są zawsze gotowi do aktów szaleńczej odwagi, lub małego a nieodpartego kapitulancja. Działania Nixona, inteligentnego gangstera /bardzo dobry partner dla Rosjan/ można jeszcze było przewidzieć, co zrobi chimeryczny Carter lub jego nieznany jeszcze następca, jaki styl myślenia przeważy w amerykańskiej polityce i kiedy - to są rzeczy nie do odgadnięcia. Lecz i tutaj miraż współpracy gospodarczej z Rosją mogą się okazać decydujące, jeśli i tak terytorialno-politycznego statusu w Europie nikt ze strony amerykańskiej od lat naruszać nie miał zamiaru. Pozorny nawet prezent może być w tej chwili kuszący, a wysokość rekompensaty do dyskusji. Znużenie wieloletnimi wydatkami zbrojeniowymi też potrafi zrobić swoje.

W sumie - rzecz nie jest, może po latach, psychologicznie niemożliwa. A teraz, skłonieni do tego odwiecznym dylematem "słoń a sprawa polska", zastanówmy się, czy warunkowe zjednoczenie Niemiec pod egidą Rosji a za zgodą Ameryki jest dla interesów Polski dobre czy nie. Znam w tej kwestii dwa sprecyzowane stanowiska, oto one w skrócie:

1/ Będzie to niezwykle korzystne, oznaczać może początek końca rosyjskiego imperium w Europie Środkowo-Wschodniej. Polska przestanie odgrywać rolę kraju tranzytowego do NRD, uzyska wspólną granicę z cywilizowanym zachodem, liberalizacja nad Wisłą i Odrą przestanie zagrażać Rosjanom zbuntowaniem się NRD. Ustanie totalistyczny nacisk Ulbrichtowsko-Honeckerowski na polskich komunistów, przestanie też działać od dwustu lat straszące hasło niebezpieczeństwa prusko-niemieckiego. Likwidacja jednego państwa "demokracji ludowej" da hasło do ogólnej liberalizacji i emancypacji, kto wie czy nie do pełnej niepodległości innych krajów Bloku. Zniknie dla nas wreszcie odwieczny dylemat balansowania między Niemcami a Rosją, bo zneutralizowane Niemcy nie będą imperialistyczne, lecz staną się pomostem między Wschodem a Zachodem. Zaś sporne sprawy z pokojowymi Niemcami załatwiać zaczniemy dwustronnie, bez pośrednictwa Rosji, etc., etc...

2/ Sytuacja Polski i innych krajów Bloku stanie się katastrofalna, bo zjednoczenie Niemiec za zgodą Rosji i Ameryki oznaczać będzie rezygnację Zachodu z jakiegokolwiek ingerencji czy w ogóle zainteresowań na wschód od Odry. Sprawa NRD była jedynym elementem sporu, napięć i destabilizacji w tej części Europy. NRD to jedyny kraj na wschodzie, którego los nie był Zachodowi obojętny, załatwienie tej sprawy doprowadzi do renesansu Jałty "czystej", nie skażonej żadnymi ubocznymi sporami wielkich mocarstw: otworzy drogę ~~przez~~ do wpływów sowieckich na Zachód, a zamknie

drogę państwom Zachodu do nas. Granica na Odrze-Nysie stanie się hermetyczna, 20 dywizji sowieckich z NRD przeniesie się do Polski, nastąpi tu umacnianie Imperium czyli pełna sowietyzacja, co Zachód uzna wtedy za sprawę czysto wewnętrzną swego wschodniego partnera. Był państwowy Polski stanie się w ogóle dla Zachodu obojętny, o ile przy istnieniu zniewolonej NRD, Polska, jako enklawa pewnej niezależności i źródło fermentów miała jeszcze dla polityki europejskiej jakieś znaczenie, obecnie straci wszelkie. Słowem - powstań warunki do powtórnego wymazania państwa polskiego z mapy.

Bardzo przeciwstawne poglądy, prawda? Osobiście opowiadam się raczej za drugim. Uważam, że podział Niemiec, utrzymywany sztucznie, po prostu nas "urządza", choć chwilowo, ale żywo, fermentując, bo daje jakąś okazję do manewru, nawet szantażu - wszak w sytuacji niepewnej jesteśmy w końcu "Wielkiemu Bratu" potrzebni, a i Europa nie całkiem o nas zapomina. /Nota bene nasze komunistyczne rządy nawet z tej minimalnej możliwości manewru boją się korzystać/. Sumarycznie zdefiniowałbym moją tezę tak: zjednoczenie Niemiec według planu sowieckiego przesądziłoby sprawę polską negatywnie, trzymany podział Niemiec, zarówno ustrojowy jak państwowy, zostawia ją otwartą. Planu zjednoczenia Niemiec na modłę zachodnią nie rozpatruję, bo go nie widzę - Zachód ani go nie przewiduje ani niczego w tej dziedzinie nie żąda. Wchodzi więc w grę jedynie /wcale zresztą nie przesadzony/ projekt stopniowej neutralizacji całych Niemiec, zaspokajający zjednoczeniowe aspiracje niemieckich patriotów, a otwierający Rosji perspektywy zachodnie. Ameryka zaś może spać bez przeszkód, bo obopólny parasol atomowy pozostanie i pokoju nikt nie naruszy!

Jak więc z tego widać, pozostawienie stanu obecnego uważam dla istniejącej państwowości polskiej za najkorzystniejsze, nie wykluczam jednak realności zmian, które /choć nie wszystko da się przewidzieć/ będą dla nas raczej niekorzystne. Tutaj jednak ludzie, czy to uznający *s t a t u s q u o* za zło konieczne, czy też spragnieni jakichkolwiek przemian, lecz się ich nie spodziewający, wysuwają w ogóle podstawową wątpliwość, której dotąd nie wymieniliśmy, formułując pytanie trzecie. A mianowicie: czy Związek Sowiecki, jako kraj oficjalnie marksistowski i ideologiczny, może zaprzeczyć pierwszego niemieckiego państwa komunistycznego, o którym marzyli kolejno Marks, Róża Luksemburg, Trocki, Lenin, Stalin i inni, wyrzec się go i zdezwuować dla celów czysto geopolitycznych i taktycznych? Czy nie będzie to już nadmierna herezja, która skompromituje Rosję nawet w oczach tych komunistycznych grup, które jeszcze jej wierzą?

Moim zdaniem, dla dzisiejszych kierowników Rosji wszystko jest możliwe. Trzymają się ślepo litery swej swoiście zresztą zinterpretowanej ideologii dla celów stałego urabiania umysłów swych poddanych i utrzymywania monolitycznej władzy. Jeśli natomiast chodzi o politykę zagraniczną, to wszelkie elastyczne wolty taktyczne wydają się w tej dziedzinie możliwe i nikogo chyba nie zadziwią, od czasu takich ewenementów jak traktat w Rapallo czy pakt Ribbentrop-Mołotow /czyli Hitler-Stalin/. Nakierować przeciwny wiatr na swoje żagle, budować socjalistyczny przemysł rękami burżuazji, to są przecież normalne elementy sowieckiej taktyki na co dzień. Każdą wolę polityczną umotywować można wobec le-

wicowych kół Zachodu dalekosiężnym interesem eksportu rewolucji, która zbyt już długo daje się ekaportować jedynie do prymitywnych krajów Afryki i Azji, co wcale a wcale nie zgadza się z teorią Marksa. Pora spróbować ostrożnie, lecz frontalnie, zdyscyplinowani towarzysze wschodni Niemcy na pewno pogodzą się z chwilową koniecznością taktyczną, zresztą nie wiadomo jak dalece kompromisową, federacyjno-mieszana forma zjednoczenia proponuje Rosja Republice Federalnej. Ustrój kapitalistyczny pozostanie, tyle, że kapitał pracować będzie dla Rosji. Komuniści rosyjscy twarz ocalą zawsze - bo Zachód po dziś dzień nie wierzy, że działają oni tak prosto i tak cynicznie, jak działają.

Wróćmy do skłopotanych ludzi w Polsce. Z jednej strony opisane powyżej zmiany geopolityczne na terenie Niemiec grożą zupełnym rozwiązaniem rąk Sowietom wobec Polski, gdy zniknie wszelka nadgraniczna przeciwwaga, zaś konwencjonalne zagrożenie militarne ze strony Zachodu przeniesie się za Ren, czyli w istocie, wobec neutralizmu Francji, zniknie w ogóle z Europy, utajając się najwyżej gdzieś za Atlantykiem, jedynie równowaga atomowa pozostanie nienaruszona. Z drugiej strony optowanie za *s t a t u s q u o*, wobec wciąż nieznośniejszej sytuacji wewnętrznej w Polsce staje się dla coraz większej ilości Polaków nie do przyjęcia, bo grozi nieobliczalnymi stratami w postaci ogólnej degeneracji społecznej, upadkiem patriotyzmu i utratą tożsamości narodowej. Myślenie i czucie narodowe kieruje się tu przeciw formalnym racjom geopolityczno-historycznym. Konflikt niezwykły, tym groźniejszy, że przemiany geopolityczne, jeśli nadejdą /w końcu snujemy tu hipotezy/, mogą go tylko zaostrzyć. Co w tej sytuacji doradzić, co ma wybrać przejęta troską o narodową istotność i tożsamość opozycja? Oto nasz problem na dzisiaj!

Stefan Kisielewski

CO NAS BOLI

Pierwodruk: "Kultura", Paryż 1979, nr 3. Fragment "syntetycznego" wywiadu Jana Nowaka "Trzy lata ruchu oporu w Polsce". Obecny tytuł pochodzi od redakcji.

P.- Interwencja sowiecka nie jest jedynym niebezpieczeństwem. Polska jest przywiązana do sowieckiego rydwanu obawą przed zjednoczeniem Niemiec i roszczeniami terytorialnymi. Po układzie Bonn-Warszawa obawy te niewątpliwie osłabły, ale wciąż drzemą w głębi polskiej duszy.

O.- Zgadza się, że na dalszą przyszłość to jest nasz największy i najtrudniejszy dylemat polityczny. Osobiście uważam, że głównym zadaniem żyjącego pokolenia kto wie, może jednego czy dwóch następnych, jest odzyskanie niepodległości i utrwalenie granicy zachodniej. Jedno jest nierozzerwalnie związane z drugim. Utrata Ziemi Zachodnich oznaczałaby zredukowanie nas do państwa kadzubowego, niezdolnego do samodzielnego bytu. Ale droga do utrwalenia granicy na Odrze i Nysie prowadzi przez pojednanie z Niemcami, albo jeśli pan woli, przez pogodzenie się większości społeczeństwa niemieckiego z obecnym statusem terytorialnym. Odzyskanie niepodległości nie jest możliwe dopóki Niemcy Wschodnie są satelitą ZSRR. Chyba nie trzeba tego udowadniać. A wyzwolenie Niemiec Wschodnich od sowieckiej kurateli prowadzi do zjednoczenia Niemiec, czy tego chcemy czy nie. Zmierzam do

tego, że szantażem niebezpieczeństwa niemieckiego nie wolno dać się zmusić do wyrzeczenia się niepodległości.

P.: - Wynika z tego, że solidaryzuje się pan z oświadczeniem PPN.

O.: - Zgadza się z zasadniczą myślą, lecz niektóre sformułowania były nieszczyśliwe i niepotrzebne. Zjednoczenia Niemiec nie można wysuwać jako postulatu polskiej racji stanu, bo tego społeczeństwo nie przełknie. Nie tylko Polska, ale zachodni sąsiedzi Niemiec woleliby Niemcy podzielone, ale tamci nie będą mieli ochoty, a my siłą, aby temu zapobiec. Przyszłe zjednoczenie Niemiec trzeba po prostu traktować jako rzecz w wymiarze historycznym nieuniknioną i należy się do tej ewentualności zawczasu przygotować. Polski nie stać na agresję moralną /czyli kultywowanie wieczystej nienawiści/ ani przeciw narodowi rosyjskiemu ani niemieckiemu. Podkreślam przeciw narodom, których nie należy nigdy identyfikować z rządami. Domagamy się tego rozróżnienia dla siebie, stosujemy je więc wobec innych. Drogę postępowania wobec Niemiec wytyczył Prymas i Episkopat. Kościół ma olbrzymie zasługi dla scalenia Ziemi Zachodnich z resztą kraju i jeszcze większe dla wywalczenia uznania granicy przez Watykan, co stało się pierwszą międzynarodową wykładnią układu Warszawa-Bonn. Ale równocześnie Kościół był pierwszym, który wyciągnął rękę do pojednania. Nauczmy patrzeć się w przyszłość poza obecny stan rzeczy. Marzymy o wykonieniu się koniunktury, która pozwoli nam odzyskać niepodległość, ale nie dopuszczamy nieprzyjemnej myśli, że ten sam układ doprowadzi najprawdopodobniej do zjednoczenia Niemiec choćby w postaci federacji dwóch organizmów o odmiennej strukturze społeczno-gospodarczej. W Niemczech Wschodnich antypolskie nastroje rewindykacyjne tłumione są siłą. Tym mocniej prawem reakcji wystąpią na powierzchnię w chwili wyzwolenia. Czas, który nam pozostał należy wykorzystać dla wspierania i zachęcania tych elementów w Niemczech Zachodnich, które dążą do pojednania z nami na gruncie uznania granic. Ogromne zasługi ma pod tym względem grupa skupiona wokół Tygodnika Powszechnego. Zdumiewają natomiast wystąpienia niektórych polityków i grup emigracyjnych, które sprzymierzają się z rewizjonistami, elementami szowinistycznymi i nieprzyjaciółmi choć ich w dzisiejszym społeczeństwie niemieckim nie brakuje. Gdyby, co nie dać Boże, elementy neohitlerowskie i nacjonalistyczne wzięły w Niemczech górę - nie pozostałoby nam nic innego jak związanie się z Rosją w roli mniejszego a więc zależnego partnera. Powinniśmy lepiej poznać geografii polityczną dzisiejszych Niemiec. Odrzućmy traktowanie ich en bloc w jednym czarnym kolorze. Obraz jest złożony i zróżniczkowany. Także z polskiego punktu widzenia.

POLSKA, NIEMCY I INNI

► Pierwodruk: "Res Publica", Warszawa, 1979, nr 2. Przedrukujemy obszernie fragmenty.

Najważniejszą lekcją, jaką wynieśliśmy z drugiej wojny światowej, było upewnienie się w zasadności tego, co świat przywykł nazywać polską obsesją na punkcie Niemiec i Rosji. Za to, że nie umieliśmy innych przekonać o słuszności naszych obaw, sobie przede wszystkim musimy przypisać winę, więc anachroniczności naszego myślenia politycznego i argu-

mentów, którymi staraliśmy się dotrzeć do naszych prawdziwych, rzekomych lub potencjalnych przyjaciół.

Pierwszy okres drugiej wojny światowej stał pod znakiem podwójnej okupacji Polski, ściślej mówiąc przedwojennych terytoriów państwa polskiego. Formy tej okupacji i metody stosowane przez okupantów świadczyły o tym, że wyciągnęli oni praktyczne wnioski z niepowodzeń półtorawiekowych wysiłków mających na celu zlikwidowanie "problemu polskiego". Polacy zachowali wówczas swą narodową tożsamość i wolę odbudowy swego państwa, mimo brutalnych, jak się podówczas zdawało, starań zaborców o wymazanie Polski z mapy Europy w imię swych nie identycznych lecz zbieżnych interesów. Tym razem postanowiono więc ten cel osiągnąć metodami, jeśli nawet nie uzgodnionymi, to jednak identycznymi.

Dla nas lata 1939-1941 oznaczały otwarcie oczu na nową rzeczywistość geopolityczną. W dwudziestym wieku utrata państwowości grozi przekreśleniem bytu narodowego. Wręcz instynktownie podjęta decyzja utworzenia - niezależnie od istniejących na emigracji reprezentacji politycznej i wojska - podziemnego państwa z wszystkimi jego atrybutami oraz zapewnienia temu państwu sprawnego funkcjonowania kosztem największych ofiar oznaczało głębokie zrozumienie tej prawdy.

Państwo polskie, które dzięki temu przetrwało w niezmienionej postaci lata wojny i okupacji, wykonało się z niej na mocy jednomyślnej decyzji zwycięskich mocarstw sojuszników w całkowicie odmiennym kształcie. Wcielone do tak zwanej strefy wpływów Związku Radzieckiego zostało pozbawione głównych znamion suwerenności. Znacznie jednak bardziej brzemienne w następstwa było przesunięcie terytorium państwa polskiego na zachód i związana z tym zmiana jego struktury narodowościowej. Utrata ziem ukraińskiego, białoruskiego i litewskiego była równoznaczna z wyeliminowaniem z polskiego myślenia politycznego wariantu ekspansji na wschód, a także wszelkich pochodnych tego wariantu, nacechowanych z reguły, jeśli nie bez wyjątku, paternalizmem i obciążonych anachronicznymi ambicjami.

Częściowa rekompensata ubytków terytorialnych nastąpiła kosztem Niemiec. Alianci, podejmując tę decyzję, nie powołali się względami na nasze historyczne prawa do tych ziem, lecz prawem zwycięzców do wykreślenia nowych granic.

Naturalnym gwarantem nowych zachodnich granic Polski został Związek Radziecki. Przywilej ten, bynajmniej nie tak jednoznaczny dla Rosji, jak to niektórzy skłonni byli uważać, stał się mieczem Damoklesa zawieszonym nad niepewnym i niesferym satelitą polskim, równocześnie jednak zmuszał do chwilowego zaniechania gry kartą niemiecką w polityce światowej. Tylko pozornie można było szantażować Polaków ewentualnością zwrotu Niemcom zabranych terytoriów, a co za tym idzie, odbudową zjednoczonego państwa niemieckiego. Wtedy więc narodził się dylemat, który odtąd miał trapić politykę radziecką i skazał ją na lawirowanie między taktyką mnożenia atrybutów państwowości swej strefy okupacyjnej w celu potwierdzania woli utrzymania jaltańskiego status quo a dalekosiężnymi planami realizowania marzeń w ścisłym współdziałaniu z Niemcami, co z kolei wymagało dostarczania Niemcom dowodów, że mają w Związku Radzieckim wiernego sojusznika.

Przypominano o tym niemieckim ośrodkom politycznym stale. Już z okazji urzędowego "dnia zwycięstwa" /8.5.1945/

Stalin ogłosił swe jednostronne oświadczenie, że Związek Radziecki nie ma zamiaru zniszczyć ani rozczłonkować Niemiec. W latach 1946 i 1952 ogłoszone zostały radzieckie propozycje zjednoczenia Niemiec. W roku 1955 nastąpiła propozycja przeprowadzenia wyborów w obu państwach niemieckich. W tymże roku szef delegacji radzieckiej na rokowania w sprawie traktatu z Austrią sugerował podobne do austriackiego rozwiązanie problemu niemieckiego. W marcu 1963 roku Chruszczow ujawnił, że "w pierwszych dniach po śmierci Stalina, Malenkov wystąpił z prowokacyjną propozycją likwidacji NRD", sam jednak w rok później wysłał w tajnej misji do Adenauera swego zięcia Adzubeja. W Niemczech pamiętano, że jednym z zarzutów jakie początkowo stawiano obalonemu Berlii był rzekomy plan "oddania NRD", w Warszawie zaś wiadano, że zarzuty te nie były bezpodstawne. Miecz Damoklesa budził strach, ale nie rodził uczuć przyjaznych. Do bogatego zestawu animozji polskich dochodziła jeszcze jedna postać nieufności do Związku Radzieckiego, tym razem jako gwaranta granicy zachodniej.

Czy nieufność ta jest nadal uzasadniona? Czy rzeczywiście realna jest perspektywa zjednoczenia Niemiec w jakiejś przewidywanej i zasługującej już w chwili obecnej na uwagę przyszłości?

Trwałość podziału Niemiec uzasadniana bywa zazwyczaj dwojakiego rodzaju argumentami, które najogólniej można zakwalifikować jako polityczne i historyczne. Pierwsze, o czym już wspominaliśmy, opierają się na przekonaniu, że zjednoczenie Niemiec nie jest możliwe, ponieważ pociągnęłoby za sobą konieczność narysowania na nowo mapy Europy i naruszyłoby w sposób zasadniczy układ sił, którego fundamentalnym celem jest zachowanie sytuacji światowej, którą najszuszniej bodaj można by określić jako pax americano-sovietica. Drugie, historyczne, powołują się na to, że zjednoczone państwo niemieckie jest stosunkowo świeżym fenomenem w historii Niemiec.

Nie trudno zauważyć, że argumenty polityczne, które mają służyć obaleniu tezy o możliwości zjednoczenia Niemiec, w rzeczy samej tezę tę wspierają. Układy, które doprowadziły do obecnego stanu rzeczy, zawarte zostały w okolicznościach od dawna już nie istniejących i w warunkach, które uległy kompletnej erozji. Układy te opierały się na dziś już nie aktualnych sił i możliwości; nie uwzględniały i nie mogły uwzględnić przyspieszenia procesów, jednocześnie integracyjnych i dezintegracyjnych, będących następstwem ściernia się globalizmu współczesnej ekonomiki i technologii z odśrodkowymi dążeniami narodów i kultur do zachowania swej identyczności. Nie doceniały też sił, które doprowadziły do zjednoczenia Niemiec w XIX wieku i pełnej ich integracji w wieku dwudziestym.

Uważam, że podział Niemiec, sztuczny zresztą i dowolny nawet z punktu widzenia ich dawniejszego rozbitcia, w paradoksalny sposób przyczynia się do nasilenia tendencji zjednoczeniowych. Paranoicznie strzeżona granica między dwoma państwami niemieckimi, uniemożliwiając naturalny przepływ ludności nie osłabiła więzi rodzinnych, obyczajowych i kulturalnych lecz je wzmocniła. Starają się zresztą o to oba rządy. Obserwatorzy polityczni, którzy zdają się doceniać znaczenie telewizyjnego parasola zachodnoniemieckiego rozpiętego nad Niemcami wschodnimi, stwierdzają równocześnie,

że jego oddziaływanie jest czysto naskórkowe, nie docierające do głębszych warstw świadomości zbiorowej, pozostającej rzekomo pod wpływem komunistycznej propagandy. Skwapliwie odnotowują zjawiska oporu lub protestu lecz równocześnie podkreślają ich skąpość i sporadyczność. Z oburzeniem mówią o barbarzyńskich formach izolacji obywateli wschodnoniemieckich, ale utrzymują, że dziś już zniesienie tych barier nie spowodowałoby masowego odpływu ludności na zachód. Nie dostrzegają, względnie nie przywiązują większej wagi do mniej spektakularnych choć lardzo znaczących faktów sprzyjających pogłębianiu poczucia niemieckiej wspólnoty. Należy do nich chociażby nauka historii i literatury, które nawet wtedy, gdy jak to się dzieje w NRD bywa faszerowana formułkami uzasadniającymi "istnienie dwóch narodów niemieckich", w oczywisty sposób tezie tej zaprzecza. Nie wymaga jakiegś złośliwej wnikliwości dopatrzenie się w dwustronnej szerokiej infiltracji wywiadów, we wzajemnym przenikaniu się życia akademickiego i kulturalnego, głębokiego poczucia jedności, dzięki któremu zjawiska takie mogą istnieć. W Polsce skrupulatniej bodaj te fakty są odnotowywane i wyciągane z nich są właściwsze wnioski. I dlatego właśnie uważam zjednoczenie Niemiec za rzecz nie tylko możliwą lecz i nieuchronną. Oczywiście nie wszyscy wyobrażamy je sobie tak samo i nie wszyscy przewidujemy takie same tego następstwa.

Pozałowania godne i szkodliwe dla kształtowania się polskiego myślenia politycznego jest to, że wszelkie rzeczowe dyskusje nad problemem niemieckim nie mogą być prowadzone inaczej niż pokątnie. Sprzyja to jedynie dezinformacji opinii publicznej i utrudnia formułowanie hipotez i sądów nawet w środowiskach, których obowiązkiem jest rozpatrywanie tego problemu. Pojawienie się w tej sytuacji opracowania wydanego pod egidą Polskiego Porozumienia Niepodległościowego trzeba uznać za wydarzenie doniosłe, stanowiące zapoczątkowanie dyskusji nie krępowanej policyjnym nadzorem i cenzuralnymi ograniczeniami.

Zjednoczenie Niemiec nie dojdzie do skutku bez zgody Związku Radzieckiego, innymi słowy bez wycofania wojsk radzieckich z Niemiec wschodnich. Wycofując swe wojska z Niemiec wschodnich, Związek Radziecki stanie przed alternatywą rozmieszczenia ich albo na swych terenach właściwych, albo na terenie PRL. W jednym i drugim przypadku trzeba będzie uwzględnić wszelkie potencjalne konsekwencje faktu niezaprzeczalnego, że PRL jest sojusznikiem czy też satelitą niepewnym i kłopotliwym.

Napięcia polityczne i społeczne w kraju wynikają przede wszystkim z trwałego nie akceptowania przez społeczeństwo modelu ustrojowego, który wciąż jeszcze nie uzyskał znamion legitymizmu, lecz są również konsekwencją dysfunkcyjności tego modelu, nie poddającego się jakimkolwiek próbom reformowania w sposób odpowiadający psychologicznym i materialnym potrzebom społeczeństwa. Efemeryczność ograniczonego kredytu, udzielanego kolejnym ekipom rządzącym stwarza sytuację chronicznej niepewności, z którą Związek Radziecki może pogodzić się obecnie, której jednak nie będzie mógł tolerować z chwilą, gdy zaistnieje bezpośredni styk między Polską a Niemcami, z Niemcami czy to wchodzącymi w skład bloku państw zachodnich czy też usamodzielnionymi i dążącymi do zdobycia prymatu w tym bloku.

Zjednoczenie Niemiec stworzyłoby dla Związku Radziec-

kiego sytuację, która z punktu widzenia obronności państwa przypominałaby - nawet po uwzględnieniu nowych broni - lata 1939-1941. Polska historiografia komunistyczna jedynie półgębkiem wspomina o oficjalnej radzieckiej motywacji zaboru kresów wschodnich, jako przyłączenia ziem ukraińskich i białoruskich dotąd znajdujących się pod okupacją polską, podkreśla natomiast ze względów propagandowych strategiczne motywacje tego aktu, choć o nich dyskretnie milczy historiografia radziecka. W przypadku zaistnienia granicy polsko-niemieckiej powstanie potrzeba zapewnienia całkowitego bezpieczeństwa na przedpolu, którym teraz będzie całe terytorium PRL, co oznaczać będzie konieczność przeprowadzenia operacji różnej być może w szczegółach, lecz nie w charakterze od tej, jaka została przeprowadzona na kresach wschodnich w latach 1939-1941. Wymaganego bowiem bezpieczeństwa nie może zapewnić władza znajdująca się między młotem obcych dyspozycji i kowadłem własnego społeczeństwa nie darzącego tej władzy zaufaniem.

Uważam, że szczegółowa motywacja naszego pesymistycznego prognostyku, nawet na łamach publikacji ukazującej się poza zasięgiem cenzury, byłaby nie na miejscu w obecnej sytuacji. Narażam się wobec tego na to, że alternatywna szansa konstruktywnego ukształtowania stosunków między Polską, Rosją i Niemcami potraktowana będzie jako pobożne względnie niepobożne życzenie, niemniej jestem przekonany, że wyzute z emocjonalnego zaciętrzewienia przyjrzenie się tej szansie pozwala odkryć w niej przynajmniej pewne umotywowane prawdopodobieństwo.

Jestem zdania, że istnienie naprawę suwerennego państwa polskiego, cieszącego się pełnym zaufaniem społeczeństwa, stworzyłoby sytuację, która umożliwiłaby zagranicznej polityce radzieckiej odejście od schematu, który niezmiennie prowadził ją do doraźnych sukcesów, za które później trzeba było płacić pyrrusowymi zwycięstwami, a co ważniejsze, który fatalnie ciążył na polityce wewnętrznej tego państwa. Rewizja obowiązujących dotąd w radzieckiej historiografii i propagandzie, a zapewne i w ośrodkach politycznych, dogmatycznych i z gruntu fałszywych ocen stosunku ZSRR do Polski niepodległej w latach międzywojennych jako państwa efemerycznego niewątpliwie pozwoliłaby na sporządzenie bilansu strat i zysków tej polityki, którą uwiódł tragiczny dla Rosji pakt Stalina z Hitlerem.

Suwerenna, silna Polska nie może stanowić militarnego zagrożenia dla swych potężnych sąsiadów. Nie może też stać im czoła w przypadku agresji. Jedynym zabezpieczeniem jej bytu niepodległego jest znalezienie wspólnego języka z takimi siłami politycznymi lub społecznymi w Związku Radzieckim i w Niemczech, które gotowe są stawiać wyżej bezpieczeństwo Europy, a zatem i swoje własne, nad uleganie pokusom realizowania awanturniczych ambicji. Porozumienia takiego nie osiąga się przy pomocy szlachetnych apelów czy kasandrycznych przestróg. Jest ono możliwe tylko wtedy, gdy ci, którzy pragną się porozumieć biorą pod uwagę ułomność natury ludzkiej, rzeczywistość narodowych i państwowych tradycji, historyczne ukierunkowania społeczeństw, wręcz ich subiektywne wyobrażenia o swych przeznaczeniach dziejowych.

Nawet ci, którzy głoszą istnienie zdeterminowanych ścisłymi prawami mechanizmów postępu, muszą przyznać, że taki postęp nie może być podporządkowany jakimkolwiek uniwer-

salnie obowiązującemu modelowi, że nie da się zamknąć w jednej dogmatycznej formule. Będą również wydać się kreowanie modeli postępu niezależnie od historycznych tradycji poszczególnych społeczeństw. Przeświadczenie, że demokracja parlamentarna i pluralistyczna organizacja społeczeństwa jest najbardziej nam odpowiadającą formą bytu społecznego i politycznego, opiera się na rozumieniu naszych tradycji, którego nikt przecież nie może zakwestionować. To jednak nie powinno skłaniać do orzekania, że takie właśnie formy polityczne i społeczne są dobre dla społeczeństwa, które w długiej swej historii ich nie tworzyło, i które, jak o tym zaświadcza jego twórczość duchowa, uważa je za obce. Związek Radziecki uznawany jest powszechnie za kontynuację państwa rosyjskiego. Można rozmaicie oceniać przemiany, jakie zaszły tam w wyniku rewolucji bolszewickiej, trudno jednak uważać je za spisek mędrców Syjonu z niemieckim sztabem generalnym. Oczywiście i znana jest rola terroru politycznego i policyjnego w tym państwie przed rewolucją i po niej, byłoby jednak absurdalnym uproszczeniem uważać, że państwo to mogłoby funkcjonować w swej imperialnej formie bez aprobaty lub choćby biernego poparcia znakomitej większości obywateli. Tę aprobatę otrzymała przede wszystkim rewolucja bolszewicka, która nie głosiła zasad europejskiej demokracji i nie uznawała europejskiej hierarchii wartości. Specyficzność zaś rosyjskich tradycji politycznych i społecznych potwierdzają dobitnie ponawiane próby usprawnienia, czy jak to zwykło się określać na zachodzie, liberalizowania kolejnych systemów. Z poparciem społecznym spotykały się tylko te, które tej specyfice odpowiadały i tylko te bywały urzeczywistniane.

Kiedy więc mówimy o odwoływaniu się do sił politycznych w Związku Radzieckim, mamy na uwadze wciąż regenerujące się elity władzy. Inaczej przedstawia się sprawa w Niemczech, gdzie o kierunku, w którym państwo zmierza, decyduje walka między siłami zrodzonymi przez furor teutonicus, a tymi, które usiłują go poskromić lub wręcz wytrzebić. List biskupów polskich, spotęgowany przez ówczesną ekipę rządzącą w Polsce, był nie tylko aktem o niezwyklej wadze w okresie walki o uznanie naszych granic zachodnich, lecz również i nade wszystko wskazaniem właściwego kierunku naszym zabiegom o uregulowanie stosunków polsko-niemieckich. M.S.

Rowmund PIŁSUDSKI

NOWA INTYMIDACJA

► Pierwodruk: "Trybuna", Londyn, 1979, nr 33/89.
Przedrukujemy w całości.

Od końca drugiej wojny światowej w stosunkach między ZSRR i światem zachodnim zaznaczyły się trzy wyraźne fazy: zimnej wojny za Stalina, koegzystencji za Chruszczowa i wreszcie tzw. detenta pod patronatem Breżniewa. Bilans tego ostatniego okresu jest dla Moskwy wyjątkowo korzystny jeśli chodzi o rozbudowę jej potęgi militarnej. Przez osiągnięcie parytetu z Waszyngtonem w dziedzinie strategicznych broni nuklearnych /formalnie jeszcze nie zatwierdzone porozumienie SALT II/ podważyła ona w znacznym stopniu dotychczasowy system bezpieczeństwa wolnego świata, którego podstawą stanowił amerykański deternt atomowy. Dotyczy to zwłaszcza Europy Za-

chodniej, gdzie deterrent ten był integralną częścią doktryny obronnej NATO. Obecnie jego skuteczność jest poważnie zakwestionowana, gdyż wątpliwym jest, aby przy istniejącym układzie sił jakikolwiek rząd amerykański mógł się zdecydować na wojnę nuklearną z ZSRR w obronie krajów Europy Zachodniej i narażenie przez to Stanów Zjednoczonych na groźbę dewastacji atomowej. Ale to jeszcze nie wszystko.

Rosjanie wykorzystali także okres detente dla dalszego zwiększenia swojej dotychczasowej przewagi nad NATO w zakresie wojsk konwencjonalnych, a na początku br. zainstalowali wzdłuż swojej granicy zachodniej 60 wyrzutni na ruchomych platformach dla nowych pocisków nuklearnych SS 20, mogących osiągnąć każdy cel w Europie Zachodniej. Wg źródeł zachodnich pociski te mają zasięg do 2.300 mil /ponad 3.5 tys. km/ i celność w promieniu 50-60 m. Każda wyrzutnia ma trzy pociski, każdy pocisk trzy niezależnie kierowane głowice nuklearne /MIRV/. Roczna produkcja wyrzutni wynosi 36, tak że pod koniec br. 864 głowic nuklearnych z wyrzutni SS 20 będzie wycelowanych na kraje Europy Zachodniej.

Te osiągnięcia na polu zbrojeń w okresie detente otworzyły przed kierownictwem sowieckim możliwość rozpoczęcia nowej fazy w stosunkach z Zachodem, a przede wszystkim z Europą Zachodnią. Fazę tę nazwalibyśmy właśnie okresem INTYMICACJI, czyli możliwości podejmowania przez Moskwę prób zastraszania krajów europejskich swą druzgocącą przewagą militarną /zwiększa od czasu zainstalowania pocisków SS 20/ i tą drogą wymuszania na nich różnych ustępstw bez potrzeby uciekania się do wojny. Po raz pierwszy metoda ta została zastosowana z powodzeniem przed rokiem, kiedy to rządy tych krajów pod naciskiem sowieckich pogróżek nie-odważyły się skorzystać z amerykańskiej propozycji wyposażenia NATO w bomby neutronowe dla wyrównania przeszło dwukrotnej przewagi sowieckiej w liczbie czołgów.

Obecnie jesteśmy świadkami ponownego zastosowania tej metody przez Moskwę w związku z planem zaopatrzenia NATO w pociski nuklearne, które mogłyby osiągnąć z wyrzutni zainstalowanych w Europie - cele w ZSRR i w ten sposób stanowić przeciwwagę dla sowieckich SS 20. Warunek taki spełniają nowe amerykańskie rakiety Pershing II oraz pociski samosterujące Tomahawk. Gdy sprawa weszła w decydujące /i obecnie już zdecydowane/ stadium - Breżniew podjął kontratak poprzez zastraszanie krajów zachodnio-europejskich /przede wszystkim Niemców/ groźbą konsekwencji, jakie może pociągnąć taka decyzja. Poświęcił temu zagadnieniu znaczną część swego przemówienia wygłoszonego we wschodnim Berlinie 7 października br. Projekt wyposażenia w nowe pociski nuklearne nazwał "podkładaniem miny pod fundamenty pokoju" ponieważ wprowadzenie jego w życie "zmieniłoby zasadniczo sytuację strategiczną na kontynencie" i "państwa socjalistyczne nie stałyby beczynne, gdyby plany NATO były realizowane. W takim przypadku musielibyśmy podjąć dodatkowe kroki dla zapewnienia naszego bezpieczeństwa". Specjalne ostrzeżenie skierował do przywódców RFN mówiąc, że mają do wyboru drogę pokoju lub przyczynienie się do "zaostrenia sytuacji w Europie i świecie" gdyby zgodzili się na umieszczenie nowych pocisków na swoim terenie. "W tym ostatnim przypadku - groził - jest rzeczą zrozumiałą, że przeciwdziałanie skierowane na RFN byłoby tym potężniejsze..." Przemówienie Breżniewa stało się sygnałem potężnej kampanii w prasie i radiu sowieckim.

Sytuacja jest więc zbliżona do tej, w jakiej w swoim czasie odbywały się deliberacje NATO wokół bomby neutronowej. Ma jednak także i nowe elementy.

Pierwszy z nich to okoliczność, iż Breżniew nie ograniczył się tylko do gróźb, zrobił także gest pojednawczy proponując wycofanie z terytorium NRD 20 tys. żołnierzy /ok. 2 % obecnego stanu/ i tysiąca czołgów /ok. 4 %/. Z militarnego punktu widzenia propozycja ta nie ma większego znaczenia, zarówno z powodu ogromnej przewagi sowieckiej nad NATO w dziedzinie wojsk konwencjonalnych, jak i z tego powodu, że wycofane jednostki mogłyby szybko powrócić do Europy Środkowej. Ma jednak duże znaczenie propagandowe, jak to wynika z licznych głosów polityków i prasy zachodnioeuropejskiej, dopatrujących się w tej propozycji dobrej woli ze strony rosyjskiej.

Tymczasem londyński "Observer" z 21 października br. wydrukował na pierwszej stronie interesującą korespondencję Lejosa Lederera z Wiednia. Na podstawie rozmów przeprowadzonych z ludźmi stojącymi blisko prezydenta Tito i kanclerza austriackiego Kreisky'ego, Lederer pisze, iż należy się liczyć w niedługim czasie z nową "ofensywą pokojową" Moskwy. Głównym celem tej ofensywy miałyby być skłonienie RFN do opuszczenia NATO wzajemian za całkowite wycofanie wojsk sowieckich z NRD; i dalej: zgodę Kremla na stopniowe scalanie obu państw niemieckich przy zachowaniu ich dotychczasowych systemów politycznych oraz ich neutralizacji na okres 20 lat. Plan ten ma podobno także przewidywać wycofanie wojsk sowieckich z Węgier /jest ich tam obecnie ok. 60 tys./ wzajemian za wyłączenie z NATO Turcji i Grecji.

Sprawa wycofania wojsk obcych z obu części Niemiec i ich zneutralizowanie nie jest zagadnieniem nowym - w przeszłości różne na ten temat snuto projekty. Wystarczy przypomnieć plan Rapackiego czy propozycję Hugh Gaitskella utworzenia strefy neutralnej w Europie Środkowej. Propozycja ta była specjalnie pociągająca dla krajów satelickich, gdyż przewidywała objęcie ich tą strefą.

Jeżeli chodzi o inicjatywy sowieckie, to najpoważniejszą była propozycja Stalina skierowana do Adenauera w 1952 r. - przewidywała zjednoczenie Niemiec pod warunkiem ich neutralizacji. Adenauer propozycji nie przyjął bojąc się skomunizowania całych Niemiec i związał się z Zachodem, przede wszystkim z USA. Była to wówczas decyzja zupełnie zrozumiała jeżeli weźmiemy pod uwagę z jednej strony poglądy polityczne Adenauera, a z drugiej fakt, że USA były wtedy w apogeum swej potęgi.

Dziś sytuacja jest odmienna, tak ze względu na nowy układ sił w świecie, jak i okoliczność, że w Bonn rządzi obecnie zwolennicy Ostpolitik, której długofalowym celem jest doprowadzenie do takiego modus vivendi z Moskwą, aby móc uzyskać jej zgodę na tę lub inną formę scalenia Niemiec. Dlatego - jeśli podana przez Lederera wiadomość miałaby się okazać prawdziwa - to nie wydaje się, aby dzisiejsi politycy w RFN chcieli pójsć śladami Adenauera i nie wzięli jej poważnie pod rozwagę.

Na marginesie sprawy rzekomego planu Breżniewa wypada jeszcze podkreślić, że o ile może on być atrakcyjny dla obu państw niemieckich /choć z różnych względów/, a także dla Węgier i Jugosławii /odsuwa bezpośrednie zagrożenie tej ostatniej przez wojska sowieckie/, to dla Polski przyniosłoby znaczne pogorszenie sytuacji. Nie tylko bowiem utraciłaby jej status satelicki i groziłaby zakwaterowaniem w niej części

wojsk sowieckich wycofanych z NRD, ale w dalszej perspektywie mógłby doprowadzić także do trwałego zbliżenia rosyjsko-niemieckiego, którego koszty przypadłoby nam znów zapłacić.

Rommund Piłsudski

Stefan KISIELEWSKI

GŁOS Z DRUGIEJ EUROPY

Dwaj Francuzi, emerytowany generał Georges Buis i działacz gaulistowski Alexandre Sanguinetti, wywiadem w piśmie *Nouvel Observateur* /20.VIII.79/ rozpoczęli znaną dyskusję o obronności Europy i ewentualności wspólnego uzbrojenia nuklearnego Francji i Niemiec. Miałoby to usamodzielnić Europę, niezależniąc ją od "parasola" amerykańskiego i od samowolnych porozumień atomowych USA z ZSRR. Warunek wstępny utworzenia francusko-niemieckiego tandemu nuklearnego: wystąpienie Republiki Federalnej z Paktu Atlantycznego.

Szeroka polemika, jaka rozgorzała na Zachodzie w tej sprawie dotarła swym echem i do Polski, poprzedzona uragielnym komentarzem państwowej prasy, co dowodzi niezadowolenia, jakie cała rzecz wzbudzić musiała u Wielkiego Brata i Sojusznika. Sam fakt tego niezadowolenia już jest ważny i znaczący, to też ludzie myślący nad Wisłą szybko się całą sprawą zainteresowali. Pierwszą reakcję streścić można słowem "Nareszcie!" Nareszcie Francuzi zaczynają coś rozumieć! Francuzi, egocentryczni, ukołysani przez De Gaulle'a mirażem mocarstwowości i uspokojeni posiadaniem rzekomo gwarantującej spokój i niezależność *force de frappe*. Jeśli już Francuzi zaczynają się niepokoić, wspominając nawet, jak uchwałę swego parlamentu z roku 1954 storpedowali ideę wspólnej europejskiej armii, to może wreszcie niezdarne i ślimaczce próby zjednoczenia Europy ruszą jakoś sensownie z miejsca - tak myślał w pierwszej chwili szary, nie upaństwowiony jeszcze całkiem i nadsłuchujący ech z Zachodu człowiek z nad Wisły. Otuchą zwłaszcza i nadzieją na powrót zdrowego rozsądku natchnąć go mogły słowa Sanguinettiego: "Jeśli chcemy mieć niezależną Europę, musimy zacząć od początku, to znaczy od pary Francja-Niemcy. To ona zniszczyła Europę. Na niej też spoczywa ciężar zbudowania jej w nowym kształcie".

- Brawo, święte słowa! - chciało się już zakrzyknąć, lecz po bliższej analizie tekstów, ciężko doświadczonych historycznie Polaka opisać musiały wątpliwości i podejrzenia. Wątpliwości te wiążą się z nieustannie przez tak wnioskodawców jak i polemistów używanymi dwoma słowami, niosącymi w sobie niemikie skojarzenia z ciemnymi chwilami przeszłości. Słowa te to właśnie "obrona" i "Europa" - razem "obrona Europy".

Słowo "obrona" w ustach Francuza kojarzy się nam nieuchronnie ze słynną "linią Maginota", za którą Francuzi schronili się we wrześniu 1939, pozwalając Hitlerowi minąć i traktować osamotnioną Polskę.

Co zresztą nie uchroniło ich od tego samego losu po 10 miesiącach.

Termin "obrona", zatracający ową linię Maginota, niesie sugestie, wykluczające pojęcia inne, takie jak "atak" czy "ofensywę", również i ofensywę polityczną czy nawet psychologiczną. Inicjatorzy sprawy zdają się powtarzać bez przerwy: "Nie chcemy nic od nikogo, chcemy tylko żyć u siebie w spokoju". A więc ostatnim, któremu przyznawano w Europie prawo do agresji i ekspansji byłby Hitler?! Hm - niezbyt to pochlebne dla europejskiego sumienia i poczucia własnej słuszności.

A ekspansja ideologiczna, polityczna, czy choćby psychologiczno-propagandowa?! Wszakże takowej nie wyrzeka się ani Rosja, ani Chiny, ani Ameryka /naszkicowana przez Cartera teoria obrony "praw człowieka" - ogólnikowa i mało przestrzegana, ale jednak sformułowana/. Nie wyrzeka się ideowej osobowości i jej propagowania Azja, Afryka, Ameryka Południowa, nie wyrzeka się jej nawet mała Kuba. Tylko więc Europa miałaby nie mieć ani polityki, ani ideologii, ani ekspansji, a jedynie obronę *status quo*, utrzymywanie dobrobytu, walkę z inflacją i bezrobociem?! Parę już dziesiątków lat, owszem, rzecz się udaje, ale czy nie jest to krótkowzroczne chowanie głowy w piasek? W krajach parlamentarnych i demokratycznych każde aktualne kierownictwo stara się przeczekać swą kadencję, marząc tylko, aby za ich rządów nie wydarzyła się żadna katastrofa. Potem zaś - niechby i potop. A w krajach totalistycznych prowadzi się politykę historyczną, długooddechową, gdzie element operowania czasem, element przyzwyczajania narodów przez wiele dziesięcioleci i pokoleń do pewnego stanu politycznego i psychologiczno-propagandowego - to jeden z decydujących środków działania.

Więc tak to jest z ową obroną Europy. Ale tu znówu pytanie: jakiej Europy?! I oto drugie słowo, które nas nad Wisłą, pomiędzy Bugiem a Odrą ogromnie w tym zastosowaniu drażni. Za łabą szczytów, kadubowy półwysep europejski nazywany jest bez skrupułów po prostu, *tout court*, Europą. A kilkanaście krajów na wschód od Łaby, nie licząc Rosji /też niby kiedyś przynależnej do Europy, dziś mocarstwa euro-azjatyckiego/ się nie liczą?! Około 110 milionów ludzi, Litwa, Łotwa, Estonia, Rumunia, Bułgaria, Węgry, Czechosłowacja, Polska, NRD, nawet Albania, które po 1939 roku straciły bądź byt państwowy, jak kraje bałtyckie, bądź możliwość decydowania o swym losie ustrojowo-politycznym - już nie są Europą?! Europa zatem to kilka bogatych krajów zachodnich, które tylko chcą żyć w nietykalnej neutralności i dobrobycie, a jedyna ich troska, to aby się nie zamerykanizować?! Hm...

Z naszymi krajami zresztą tzw. "Europa" postępuje w sposób nonszalancki lub dyletancki od przeszło 200 lat, nie wiedząc właściwie, co z nimi zrobić, podczas gdy one czują się do niej cywilizacyjnie i duchowo przynależne - istna to nieszcześliwa miłość. Przez wieki swej historii te peryferia, a zarazem mury obronne Europy stawały się ofiarą napadów od Wschodu i Południa: Turków, Tatarów, potem Rosjan

- z kolei od Zachodu i Północy Habsburgów, potem Prusaków. Symbolicznym przypięczeniem stały się w końcu wieku XVIII rozbiory Polski pomiędzy trzech cesarzy, po wyswabdzającym epizodzie napoleońskim, zatwierdzone na lat 100 przez Kongres Wiedeński, czyli tzw. "Święte przymierze". I dopiero w roku 1918, gdy trzech Cesarzy padło, kraje nasze odzyskały niepodległość - zresztą nie na długo.

Były sekretarz stanu, także historyk-amator Henry Kissinger zachwycał się kiedyś owym wcale dla nas nie świętym przymierzem, iż za jego rządów panował w Europie "porządek". Tymczasem, rzeczywiście w okresie po I Wojnie nowego porządku w Europie nie miał już kto pilnować: Francja była wykrwawiona i znużona. Zdemilitaryzowana Anglia znów oddała się nieaktualnym, archaicznym hiperkombinacjom europejskiego balance of power. I oto nagle znalazł się Hitler, który zdawał się uosabiać całą resztkę dynamizmu wycofanej Europy. Pozwolono mu więc na wszystko, oddając kolejno Nadrenię, Saarę, Austrię, Sudety, Czechy, Słowację, Kłajpedę. Niewiele brakowało, a przekonałby Zachód, że rozpoczynając wojnę "uderza na Azję", tyle, że musiał przy okazji połknąć dwa stare, chrześcijańskie kraje: Czechosłowację i Polskę. Zrezygnując a pozbawiony skrupułów Stalin zdążył go powstrzymać, dzieląc się rozdartą na nowo Polską we wrześniu 1939 /tajna klauzula paktu niemiecko-rosyjskiego z 23 sierpnia przewidywała linię rozbioru Polski wzdłuż Narwi, Wisły i Sanu, jednak Rosjanie "wymienili" we wrześniu ziemie na zachód od Bugu na kraje bałtyckie/. Dalej już wiemy: cywilizacja zachodnia nie mogła uporać się z totalizmem Hitlera bez pomocy jego zdradzonego współnika - Stalina. I stąd wynikał grzech śmiertelny Jałty. Czechosłowacja i Polska zdradzone czy opuszczone zostały przez Zachód dwukrotnie: w latach 1938-1939 i w 1945, a Europę w rezultacie okrojono aż po Łabę. /Może i tutaj ktoś powie, że wreszcie "zapanował porządek". L'ordre regne à Varsovie - stara zasada./

O tym wszystkim panowie Bius i Sanguinetti nie wspominają wcale - tak jakby obecna sytuacja Europy nie wynikała z historii, która wszakże jest dziełem ludzi. Wprawdzie Sanguinetti mówi raz: "Widziałem w telewizji Rosjanina i Amerykanina, załatwiających swoje sprawy w obecności 400 milionów Europejczyków, rozanielonych albo obojętnych". Tą cyfrą 400 milionów Francuz daje do zrozumienia, że jeszcze nie wszystko zapomniał. Ale w całej parotygodniowej dyskusji paryskiej na ów europejski temat w sprawie podziału Europy zachowano jak najgłębsze milczenie. Jest to zgodne ze starą francuską taktyką: siedzieć za atomową linią Maginota, ale politycznie nie drażnić potencjalnego napastnika, bo może on wcale nie uderzy i jakoś uda się przeczekać. Do czego taka ostrożność prowadzi, widzieliśmy podczas ostatniej wojny. Lecz żalosny los ówczesnej linii Maginota nie wydaje się jakoś dzisiaj pouczający dla nikogo.

Ostatnim, który nadmieniał coś o "Europie po Ural" był generał De Gaulle, ale robił to pro forma, dla efektownego, słownego ornamentu, w istocie, jak wszyscy w Europie po wojnie, kapitulując. Jako rea-

lista wiedział, że Francuzi o żadną zjednoczoną Europę bić się nie będą. Skoro nie chcieli "umierać za Gdańsk" w 1939, ani bić się z Hitlerem w 1940, skoro z ulgą przyjęli decyzję Petaina, to jakżeby mieli bić się z Moskwą, do której naród francuski żywi stary, a dla nas trudny do zrozumienia sentyment. De Gaulle, wiedząc to wszystko, wybrał dla Francji drogę neutralizmu i wystąpił z Paktu Atlantycznego pod pretekstem obrony suwerenności narodowej wobec Amerykanów. I tak rozbita została nawet kadłubowa Europa Zachodnia, którą dziś usiłuje się skleić, zwać przy tym dumnie "Europą".

A przecież, nawiązując do historii i mówiąc głośno o potrzebie przewyciężenia dokonanego po ostatniej wojnie i sztucznego podziału CAŁEJ Europy, zyskano by wreszcie dla Zachodu treść polityczną i ideową, choćby na razie tylko w dziedzinie przygotowania psychologicznego i propagandowego. Póki bowiem, niepisana umowa, utrzymuje się atmosfera sprzedaży krajów Wschodu za spokój i wolność rozwiniętych krajów Zachodu, dopóty wszystko jest zatrute i trwa polityczno-moralny "pakt": jakiegokolwiek posunięcie jest niemożliwe. Zerwanie pieczęci milczenia postawiłoby ludzi z Kremla w sytuacji psychicznie defensywnej. Jak dotąd Rosja jest zawsze w dyplomatycznej i psychologicznej ofensywie: pewna swego nie kwestionowanego przez nikogo imperium, toczy potyczki poza jego granicami, na przedpolu, wywierając naciski w Helsinkach, Berlinie czy Wiedniu, ba - w Bonn lub Paryżu. Powrót w zachodniej opinii do niezakłóconych w istocie problemów europejskiego Wschodu zmusiłby Rosjan do cofnięcia się w wojnie psychologicznej na swój teren: do Budapesztu, Pragi, Warszawy. Reakcja np. na terror w Czechosłowacji, owszem, istnieje w pewnych kręgach zachodniej inteligencji, ale rządów ona prawie nie obejmuje: te są w wypowiedziach i czynach tradycyjnie ostrożne, nie bacząc na odmienne postępowanie Rosjan, którzy wymyślają na "zachodni imperializm" zgoła nie dobiegając szów. A przecież na Zachodzie, szczytującym się wolną prasą, wolnymi parlamentami, wolnymi związkami zawodowymi, okazji do ofensywy psychologicznej i ideowej byłoby mnóstwo. Lecz tzw. "Europa" odwykła od ideologii i ofensywy. Pewien amerykański dziennikarz napisał, że dyskusje w międzynarodowych ciałach europejskich, w Radzie Wspólnego Rynku czy konferencjach ministrów toczą się głównie "wokół cen pomidorów". Smutna to prawda, jeśli symbolicznym mianem pomidorów określimy też benzynę, masło czy sporne strefy połowów ryb.

Oczywiście: wszczęcie na nowo i otwarcie sprawy sztucznego podziału Europy wymagałoby zdecydowanego stwierdzenia, że podział kontynentu wzdłuż linii Łaby dokonany został siłą, wbrew woli krajów wschodnich - w czasie "zimnej wojny" krzyczano o tym na co dzień, dziś nabrano wody w usta, choć nic się wszakże nie zmieniło, poza polityczną modą i stylem. A przecież, przy konsekwentnym postawieniu tej sprawy, upadłby sowiecki mit propagandowy na temat postępów triumfującej, nieodwracalnej rewolucji.

Ale wówczas trzeba by konsekwentnie potępić

wschodnioeuropejski totalizm i opowiedzieć się wyraźnie za taką czy inną formą demokracji i wolnego rynku /choćby ograniczonego opiekuńczymi formami welfare state/, a więc w zasadzie za kapitalizmem. Ale na to nie zgodzą się francuscy czy włoscy komuniści, ci co krzyczą o rządach międzynarodowych monopolii, lecz nawet przebąkując o eurokomuniźmie, nie zdecydują się nigdy zerwać z Moskwą. Bo to mogłoby znaczyć utratę poparcia tych grup ludności, które przyuczono do utożsamiania wszelkiej "lewicowości" z Rosją. O tym, jak dalece jest to niesłuszne, przekonają się owe grupy najwyżej wtedy, gdy już będzie za późno.

Tak więc hasło europejskości, zaopatrzone w aktywną, polityczną i ideologiczną, nie zaś pragmatyczną treść, nie zostanie przez Zachód wysunięte ze względów wewnętrznej taktyki i zewnętrznej bojaźni, a także z powodu irracjonalnie paraliżującej politycznej mody. Bez tego zaś nic się nie zmieni - pozostanie dyskusja o pomidorach. Widząc to, ludzie nad Wisłą tracą cierpliwość i wołają, że niechby już w końcu ci Rosjanie ruszyli czołgami i doszli do Atlantyku, wtedy wreszcie sytuacja się wyjaśni, a Zachód zrozumie rzeczy proste. Zaś nam gorzej nie będzie, my przyzwyczajeni!

Ludziom w ten sposób poirytowanym czy pesymistycznie zrezygnowanym, inicjatywa pp. Biusa i Sanguinettiego wydała się z początku czymś ciekawym i świeżym. Ale jest ona twórcza tylko z pozoru, w istocie, przewidując wystąpienie Republiki Federalnej z NATO, chce rozciągnąć neutralizm francuski na całą Zachodnią Europę. Najszczerzej zasadę tego neutralizmu wyraził kiedyś prezydent Pompidou mówiąc, że posiadanie własnej nuklearnej siły odstraszania jest gwarancją biologicznego przetrwania Francji w razie światowego konfliktu. Zasadę tę chce się teraz rozciągnąć na zachodnie Niemcy: niech zapłacą za francuski parasol atomowy! Ale czy można sobie wyobrazić, że gdyby sowieckie siły konwencjonalne wkroczyły na teren Republiki Federalnej, nie atakowana Francja zdecydowałaby się użyć broni atomowej? Lub, że jeśli ktokolwiek użyje tej broni, nie rozpęta się światowy konflikt nuklearny z udziałem Ameryki? Nonsens! Raczej można sobie wyobrazić wojnę konwencjonalną, bez ruszania atomów. Na przykład taki schemat: Niemcy zaatakowane i zajęte, Francja zostaje neutralna wraz ze swymi wyrzutniami, Ameryka zaskoczona i nie uprzedzona, nie reaguje. Przy takich perspektywach trudno się dziwić, że Niemcy z Republiki Federalnej ani myślą występować z Paktu Atlantyckiego. Zrobiliby to może, gdyby /uwaga, uwaga! / neutralność, a może i miraż zjednoczenia, obiecali im Rosjanie - lecz to już całkiem inna historia!

Najpewniej zaś zostanie tak jak jest: Europa kadłubowa skazana będzie nadal na istnienie jako przyczółek czy przedpole Stanów Zjednoczonych. Przyczółek, liczący na ich zmasowany atomowy parasol, liczący nań głośno jak Niemcy i Anglia, lub po cichu, skrywając to przed ludnością, jak Francja. Aby zaś wysunąć hasło Europy nie kadłubowej, zjednoczonej,

trzeba by narazić się Kremłowi. A tego nie zrobi nikt, zwłaszcza nie Francuzi, wyrzekający na Amerykę, lecz trzęsący się przed Rosją. Wystąpienie panów Biusa i Sanguinettiego, w niektórych punktach na pozór nowatorskie i śmiałe, w rezultacie obnażyło tylko źle maskowaną dwoistość, dwuznaczność, brak ideowego i politycznego dynamizmu tak sformułowanej koncepcji Europy, w istocie koncepcji rozszerzonego neutralizmu.

Skoro już piszę tu z nad Wisły - także do zachodnioniemieckiej publiczności, warto by powiedzieć coś o naszych specjalnych stosunkach. Wszakże Niemcy wiedzą o Polsce więcej, niż jakikolwiek naród Zachodu: chcąc nie chcąc jadaliśmy wspólnie niebezpieczne owoce z Drzewa Wiadomości Złego i Dobrego. W dzisiejszej Polsce poddani jesteśmy nieustannie naszej straszącej propagandzie: straszą nas właśnie Niemcami, niemieckim rewizjonizmem, rewanżyzmem, nacjonalizmem, ostatnio Franzem Jozefem Straussem. Robi się z niego imperialistycznego Prusaka, jakim nie jest /poznałem go nawet osobiście parę lat temu/ - prusactwo utaiło się całkiem gdzie indziej... Tu opowiedzieć muszę prawdziwą anegdotę. Gdy w grudniu 1970 przebywałem w Warszawie kanclerz Willy Brandt, miałem ciekawą rozmowę z kierowcą taksówki /taksówkarze nad Wisłą to z reguły polityczny głos ludu/. Spytał mnie on, czy to prawda, że Brandt uklęknął przed pomnikiem Bohaterów Getta. I gdy odpowiedziałem twierdząco, kierowca powiedział: - Ale co z tego, kiedy to nieprawdziwy Niemiec! - Jak to nieprawdziwy? - spytałem. - Nieprawdziwy, bo to liberał! Gdyby tam Adenauer klękał albo Strauss, to by to miało znaczenie, bo to prawdziwi Niemcy. Ale tak - rzecz nie jest ważna!

Tyle warszawski filozof polityczny. Taki jest "głos ludu". Nie moją jest rzeczą osądzać, który Niemiec jest "prawdziwy", a który nie. Wiem natomiast, także z osobistego kontaktu, że Strauss pragnie być prawdziwym Europejczykiem. Niechże więc da tego dowód, wypowiadając się na temat trwałości dzisiejszych granic Polski, co zresztą byłoby też niezwykle ważne w Jego przyszłorocznej kampanii wyborczej.

Sprawa zachodniej granicy polskiej na Odrze i Nysie Łużyckiej została poniekąd przez Republikę Federalną rozstrzygnięta pozytywnie właśnie umową z grudnia 1970, podpisaną przez Brandta i ratyfikowaną później przez zachodnioniemiecki parlament. Umowa ta była swego rodzaju geopolityczną osobliwością, zważywszy, że dzisiejsza Polska nie ma przecież wspólnej granicy państwowej z Republiką Federalną... Z tej osobliwości niektórzy wyciągnęli wniosek, iż uznanie granic tyczy się jedynie sytuacji obecnej, gdy istnieją dwa państwa niemieckie, gdyby natomiast coś się w tym układzie zmieniło, powróciłby jako punkt wyjścia stan prawny z roku 1937... Podobno taką interpretację przyjął nawet Najwyższy Trybunał Konstytucyjny RFN. Cóż dziwnego, że pogłoski o tego rodzaju interpretacjach /propaganda nasza łączy również, nie wiem czy słusznie, interpretację tę z osobą Straussa/ budzą nad Wisłą zaniepokojenie, już nie

komunistycznej, lecz narodowej natury, wypychając nas, chcemy czy nie chcemy, w kategorie myślenia racją stanu sowieckiego imperium. Poniechani obojętnie przez Europę Zachodnią żyjemy wszakże w Polsce, której geopolitykę z oparciem o Odrę wymyślił Stalin, wypychając nas jednocześnie z Ziemi Wschodnich, z Wilna i Lwowa, z Wołynia czy Polesia, stref niegdyś narodowo mieszanych i zawikłanych, tak zresztą jak dawny Górny Śląsk czy Mazury, z których przedtem wypychali nas Niemcy. Każdy naród jednakże ma obowiązek pilnowania swych interesów w jakichkolwiek warunkach i ustroju żyć by mu przyszło, a Polacy muszą przecież gdzieś mieszkać...

Kładę nacisk, że polskie prawa do naszych dzisiejszych Ziemi Zachodnich uzasadniać należy geopolitycznie, nie zaś historycznie czy sentymentalnie. Odepchnięto Polskę od Wschodu, miliony ludzi utraciło tam swe rodzinne domy, stało się to na skutek wojny rozpętanej przez Niemców, a więc Niemcy musieli za to zapłacić - proste i jasne. Natomiast motywacja historyczna jest względna i dwuznaczna, jedni będą mówić o "prastarych słowiańskich ziemiach nad Odrą", inni o "prastarych germańskich ziemiach" tamże, 600 lat to długo, a tyle czasu minęło właśnie od powikłanej plemiennej epoki, gdy słowiańscy książęta śląscy z rodu Piastów jęli się dobrowolnie niemczyć otwierając Śląsk dla germańskiej kolonizacji. Sytuacja wyglądała trochę jak na dawnej, przedrewolucyjnej polskiej Ukrainie. Panowie - posiadacze byli tam polscy lub spolszczeni, lud - ukraiński. Podobnie na Śląsku: ziemiaństwo i kapitalizm niemieckie, prosty lud - odwiecznie polski. Czytałem niedawno wrażenia pewnego Niemca, przedstawiciela starej, wielkiej rodziny arystokratycznej ze Śląska, który przyjechał

teraz jako turysta do Polski odwiedzić swe dawne włości i rodowy zamek. Zapiski jego przypominają do złudzenia wrażenia polskich ex ziemian, którym udało się obejrzeć swe dawne majątki na Ukrainie po I wojnie światowej, lub też polskie wycieczki po II wojnie do Wilna czy Lwowa. Tu i tam rzewna, tęskna nostalgia za "dawnymi dobrymi czasami", i - stwierdzenie absolutnej, nieodwracalnej zmiany stosunków politycznych, gospodarczych, językowych. Na dzisiejszej Ukrainie mało kto z młodych umie mówić po polsku, na dzisiejszym Śląsku mało kto z młodych umie mówić po niemiecku. Tak potoczył się nasz świat...

W tym wypadku sowiecka, komunistyczna machina niwelująca i wykorzeniająca działa nieodwracalnie na naszą polską korzyść - obłudą byłoby nie przyznać się do tego, a szaleństwem - nie wykorzystać tego. Wielokrotnie zdradzeni czy po prostu zapomnieni przez Europę, musimy dziś, znalazłszy się bez swej ochoty w Bloku Wschodnim, myśleć o sobie: nie możemy pozostać bez miejsca na świecie. Właśnie Niemcy mogą i powinni to zrozumieć. Niemcy podzieleni, częściowo leżący w kadłubowej "Europie" zachodniej, częściowo w dziwnym zespole krajów demokracji ludowej, Niemcy, także ofiary wschodnich szaleństw Hitlera. Zrozumienie naszej duchowo podwójnej sytuacji, uśmierzenie polskich niepokojów granicznych i terytorialnych, oto warunek wstępny do wspólnego myślenia o Europie. Ale nie o Europie kadłubowej, bezsilnej, "pomidorowej", trwożnej i apolitycznej, nie o Europie do żaby, lecz o prawdziwie odrodzonej, zjednoczonej i wolnej Europie, co najmniej po Niemnie, Bug czy San.

Wrzesień 1979 r.

Stefan Kisielewski

Myśli nieuczesane

STANISŁAW JERZY LEC

Czy nie licząc się z niczym, można się przeliczyć?

x x x

Nieś wysoko sztandar, nie chciał go widzieć.

x x x

W podobnych momentach historycznych snują ludzie te same myśli i po tych podobnych myślach poznaje się analogię momentów dziejowych.

x x x

Gdyby dobosze uderzyli się czasem niechący pałeczką w łeb, na pewno zmieniliby rytm.

x x x

Jak się zachować, gdy pies policyjny merda ogonem?

x x x

Poznałby po kręgosłupie człowieka z jakiej pochodził epoki.

x x x

Kontakt intymny z małością czyni głętkim lub łamie kręgosłup.

x x x

Konstrukcje filozoficzne powinny być tak lekkie, by ważyć się nie grzebały pod sobą wyznawców.

x x x

Judasz zepsuł cenę.

Błazen miał u władców wyjątkowe prawa. Nie mogli mu ich zapewnić ci, co nie czuli się władcami.

x x x

Nie na kresu marzeń. Można marzyć, żeby diabli wzięli urzeczywistnione marzenia.

x x x

O prawdziwości dokumentu epoki, decyduje najczęściej pieczęć władz epok późniejszych.

x x x

Często trzeba powiedzieć "Nie", żeby siebie potwierdzić.

x x x

I bądź tu racjonalistą. Jest kimś, będąc nikim.

x x x

Gdyby ktoś mógł dowieść, że jest potomkiem Spartakusa, nie byłby dziś na pewno działaczem lewicy ale ozdobą arystokracji rzymskiej.

x x x

Dwie siły potężniejsza w świecie intelektu precyzja i bełkot. Zadanie: Nie należy dopuścić do narodzin hybrydy - precyzyjnego bełkotu.

x x x

Każda miotła zmiata się powoli sama.

x x x

Straszne są słabości siły.

x x x

I tyran nie korzysta ze swobody przekonań.

PARTYJNA HISTORIA NAUKI (krótki kurs)

Pogłębiający się kryzys na wszystkich obszarach życia zbiorowego znalazł wprawdzie odbicie w sprawozdaniu i uchwale VIII Zjazdu, ale te dokumenty nie przyniosły żadnych konstruktywnych planów racjonalnego wyjścia z przesilenia wypływającego wszak z polityki tych właśnie gremiów partyjnych, całkowicie wyalienowanych ze społeczeństwa. Nic dobrego nie można też powiedzieć o perspektywach zarysowanych przez dotychczasowe kierownictwo partyjne w kwestiach nauki, oświaty i kultury. Sformułowania uchwały zjazdowej nie pozostawiają cienia wątpliwości, że polityka naukowa opracowana w kształtach perspektywicznego rozwiązania modelowego jeszcze w czasach stalinowskich, a urzeczywistniana skutecznie dopiero po przełomie marcowym 1968 r. znalazła swoje potwierdzenie podczas wszystkich zjazdów przypadających na rozległą kadencję obecnej ekipy.

A warto przypomnieć, że właśnie płaszczyzna naukowa stanowiła prawdziwy bastion obrony narodowej myśli i kultury, tak skutecznie opierający się wszelkim atakom. Autentyczna autonomia akademicka skojarzona z wysokim autorytetem intelektualnym i moralnym kręgów naukowych blokowała z powodzeniem próby partyjnej manipulacji tym środowiskiem nie tylko w latach czterdziestych, ale do pewnego stopnia także w następnej dekadzie. Nic więc dziwnego, że ówczesne katedry naukowe były obok ambon kościelnych miejscami, z których czasami mógł w kraju rozlegać się wolny głos.

Jak solidarne, prężne i niezłomne było środowisko naukowe, szczególnie uniwersyteckie, tamtej doby, wskazuje przykład iluzorycznych nadziei kierownictwa partyjnego na wprowadzenie w krąg naukowe swych przysłówkowych koni trojańskich. Z jednej strony pełniła tę rolę nowelizacja ustawy o szkolnictwie wyższym, wprowadzająca tytuł profesora kontraktowego, czyli zastępcy profesora oraz transponująca z sowieckiej na polską kanwę stopień kandydata nauk. Z dobrodziejstwa tej noweli zaczęły korzystać mierznoty obdarzone zazwyczaj tylko politycznym poparciem. Z drugiej strony postępowała parcelacja uniwersytetów, bowiem z łona tych placówek, zbyt jaskrawo promieniujących wysokim poziomem, zaczęto tworzyć jednostki samodzielne, ale mniejsze i bardziej podatne na oddziaływanie pozaakademickie. Odtąd zaczęły egzystować odrębnie akademie medyczne, wyższe szkoły ekonomiczne, rolnicze itp.

Wyraźny ślad procesu celowej atomizacji nauki polskiej manifestował się w powoływaniu do życia zupełnie nowych ogniw szkolnictwa wyższego na terenach pozbawionych zwykle intelektualnego puls. Były to celowo tworzone areny dla popisu ludzi zwykle nie najwyższej próby, którzy przywdziewali kolorowe i czarne togi świeżo po nominacji na zastępców profe-

sora. W ten sposób nowo powstające ośrodki żywo przypominały karykatury instytucji naukowych, tak jak ich kadra, wypadająca również niezbyt efektownie w konfrontacji z prawdziwym środowiskiem uczelnianym Warszawy, Krakowa, Poznania, Wrocławia czy nawet Białegocerkwi.

Ostrzejszy zamach na wolność nauki zapisał się likwidacją tak zasłużonych instytucji jak Polska Akademia Umiejętności i Towarzystwo Naukowe Warszawskie. Powołanie na ich miejsce Polskiej Akademii Nauk stanowiło tylko pozorną fuzję, bowiem dla nikogo nie było tajemnicą, iż partia próbowała w ten sposób zainstalować w gronie najwybitniejszych uczonych - również reprezentantów skłonnych do kompromisu z sumieniem, nie mówiąc o ludziach demonstrujących wręcz postawy konformistyczne i serwilistyczne.

Dzięki temu partia mogła w 1952 r. narzucić na prezesa PAN-u swojego - choć bezpartyjnego - kandydata, Jana Dembowskiego, żarliwego propagatora "przodującej nauki radzieckiej" przede wszystkim na najbliższym mu polu biologicznym. Dembowski przeszedł do historii jako bezkrytyczny entuzjasta rewelacji lysenkowskich, nie mających z nauką nic wspólnego.

Jednakże tego rodzaju taktyka nie przynosiła większych profitów swoim konstruktorom. Wprawdzie odizolowano niektóre mniej wygodne dla partii indywidualności naukowe, a do ścisłego gremium intelektualistów polskich przeniknęło kilka osób bezpośrednio powiązanych z PZPR, jak na przykład byli ministrowie Zygmunt Modzelewski i Mieczysław Michałowicz, ale olbrzymia większość akademików reprezentowała nadal wysoki poziom naukowy, moralny i patriotyczny.

Jednocześnie najlepsze wszechnice narodowe kontynuowały aktywność badawczą i dydaktyczną w sposób względnie autonomiczny. Ten stan rzeczy nie oznaczał, że w tamtych latach jawnej wrogości dla prawdziwych idei i tradycji narodowej oraz tak jaskrawej pogardy dla praw ludzkich i obywatelskich, wolności i demokracji, los miałyby szczególnie sprzyjać naszym uczonym. Niemniej jednak przypadki pozbawiania katedr wybitnych naukowców nie należały do powszechnej praktyki. Na przykład na terenie filozofii władzę partyjną odizolowały bodajże tylko profesorów Władysława Tatarkiewicza i Stanisława Ossowskiego.

Mimo szykan środowisko uczonych wychodziło niejednokrotnie zwycięsko w konfrontacji z dogmatycznymi aparatczykami inspirującymi intrygi i publiczne opluwanie największych autorytetów ówczesnej nauki. Wystarczy przypomnieć niesławne ataki na profesora Tadeusza Kotarbińskiego, opublikowane na łamach skomunizowanej "Myśli Filozoficznej" po odebraniu autorowi "Elementów teorii poznania..." katedry filozofii Uniwersytetu Warszawskiego i - w ramach "reorganiza-

cji" Wydziału Filozoficznego - po przeniesieniu sławnego humanisty do katedry logiki. W tym samym piśmie zaatakowano w dwóch wystąpieniach innego znakomitego filozofa polskiego, profesora Kazimierza Ajdukiewicza, odbierając tym razem napadniętemu prawo do obrony.

Na pierwszy rzut oka może wydawać się, iż między okresem stalinowskim i obecnym nie ma żadnej różnicy w traktowaniu prawdziwych autorytetów filozoficznych. A jednak w epoce "błędów i wypaczeń" prawo wolnego wyboru władz uczelnianych nie tylko istniało, ale było realizowane. Napadnięty nikczemnie przez partyjnych ideologów prof. Kazimierz Ajdukiewicz mógł dzierżyć berło rektorskie Uniwersytetu Poznańskiego, wręczone mu przez niezależny senat akademicki.

Trudno nie wyrazić hołdu i uznania hartowi ducha tych wielkich luminarzy nauki, pozbawionych prawa do publikowania refleksji i analiz badawczych, wyłączonej z możliwości jakichkolwiek kontaktów z ośrodkami zagranicznej myśli, marnie wynagradzanych - a mimo to pozostających sobą i oddalających z pogardą możliwości poprawy losu za cenę zdrady swoich przekonań, postaw czy ideałów.

Przełom październikowy potwierdził oficjalnie autonomię wyższych uczelni, przywrócił możliwość publikacji w odnowionym czasopiśmiennictwie specjalistycznym, otworzył drogę przepływowi myśli naukowych między ośrodkami polskimi a zachodnimi. Niezależne katedry samodzielnie precyzowały programy zajęć dydaktycznych i badań naukowych. Poza mury uczelniane przepędzono politruków wykładających sławetne "podstawy materializmu dialektycznego i historycznego".

Jednakże partia ani na moment nie rezygnowała z możliwości penetracji placówek naukowych. Przez kilka lat popaździernikowych miała ograniczoną swobodę manewru, zwłaszcza po likwidacji stanowisk zastępców profesora i zniesieniu stopnia kandydackiego. Przepadła również taktyka manipulowania młodzieżą za pośrednictwem ZMP: szeregi ZMS-u, bierne i nieliczne, zaledwie przygotowywały się do roli awangardy partii komunistycznej.

Dopiero XIII Plenum KC obradujące w lipcu 1963 r. zaznaczyło się jako skromny jeszcze, ale już widoczny renesans metod stalinowskich w nauce, a szerzej - w całym tak zwanym pionie propagandowym. Szczególnie w małych uczelniach prowincjonalnych i tych w dużych miastach, które reprezentowały niższy poziom strategii partyjna wydała owoce. Nie było już potrzeby tworzenia narzucanego z zewnątrz uczelnianego aparatu partyjnego, ponieważ nowa generacja "uczonych" zaczęła ochoczo wyciągać ręce po czerwone legitymacje ułatwiające uzyskanie sukcesu po znakomitych mistrzach przenoszonych automatycznie na emerytury po przekroczeniu siedemdziesiątego roku życia. Ten masowy odpływ wybitnych profesorów, tak powszechny na początku lat sześćdziesiątych, pozbawił wyższe uczelnie żywiołu moralnie nieprzejednanego, zorientowanego na dociekanie i głoszenie prawdy naukowej.

Po 1963 r. nastąpiła restytucja przedmiotów ideologicznych w szkolnictwie wyższym. Zrazu nieśmiało, zawężona do nielicznych uczelni, już po IV Zjeździe w czerwcu 1964 r. podjęła energiczną ofensywę. Jednocześnie można było rejestrować coraz częstsze fakty bezpośredniej ingerencji wydziałów nauki KC i KW w nurt życia naukowego. Organa partyjne wywierały wzmagającą się presję na sprawy kadrowe i programowe, aczkolwiek jeszcze nie nastąpiła likwidacja oficjalnych swobód akademickich.

W tej sytuacji musiało narastać uczucie niechęci, rozczarowania i niepokoju w środowiskach naukowych i wśród studentów. Świadectwem tego niepokoju i rozgoryczenia był list do premiera Cyrankiewicza podpisany przez 34 wybitnych intelektualistów.

"Wydarzenia marcowe" 1968 r. zmieniły dotychczasową optykę życia naukowego w sposób diametralny. Bezpieka i partia zatrwożone postawą młodzieży, jednoznacznie i spontanicznie opowiadającej się po stronie wolności i przestrzegania praw obywatelskich, zaniepokojone także przykładem praskich przeobrażeń, bezpardonowo złamały opornego przeciwnika. Tym bardziej, że próba sił ze środowiskiem akademickim rozstrzygała w sposób zasadniczy nie tylko dalszą prolongatę władzy ekipy Gomułki, ale też pozwalała radykalnie rozprawić się z ostatnią już enklawą względnych swobód i niezawisłości.

W tych sprawach przyskowiową kropkę nad i postawił gomułkowski V Zjazd partii, szumnie wyreżyserowany w dniach grudniowych 1968 r. Uchwała tego zjazdu zainicjowała strategię niemaskowanego, ale całkiem oficjalnego, wyłożonego *expressis verbis* kursu totalnego podporządkowania wszystkich stron życia narodowego jedynej i absolutystycznie rządzącej partii. Stąd też można łatwo skonstatować radykalne odejście od wcześniejszych, zawołanych frazesów, tak charakterystycznych dla okresu popaździernikowego, do form jednoznacznych, nie pozostawiających cienia wątpliwości o prawdziwych intencjach sterników nawy państwowej.

Na pierwszy ogień poszły sprawy szkolnictwa i wychowania, dotychczas przynoszące partii tyle kłopotów i gorzkich porażek. Wobec tego powstał szeroko zakrojony plan jednolitego systemu wychowania, ogarniający swym zasięgiem zarówno wszystkie szczeble oświatowe i naukowe, jak też ukierunkowywał istniejące organizacje młodzieżowe, stając się w ten sposób prekursorem restytuowanego w pięć lat później ZMP, choć występującego oficjalnie tylko pod szyldem federacyjnym.

Dalszą reperkusją poczyniń partyjnych na tym polu była weryfikacja treści programowych przedmiotów humanistycznych, skutecznie eliminująca resztki popaździernikowych zdobyczy oświatowych. We wszystkich wyższych uczelniach wprowadzono przedmioty ideologiczne z podstawami nauk politycznych na czele, a dotychczasowe zajęcia z filozofii na kierunkach uniwersyteckich, medycznych, artystycznych, ekonomicznych przeistoczono w "marksistowską filozofię i teo-

rię rozwoju społecznego", tym samym uściślając jednoznacznie jej profil.

W tym też celu nauki społeczne otrzymały wyraźny cel instrumentalny, odległy od poznawczego, straszający się w zadaniu wychowywania młodzieży akademickiej w duchu panującej ideologii komunistycznej.

Oczywiście, partia nie zapomniała o kadrze naukowej. Zwłaszcza faktyczna czy choćby pozorowana, ale oficjalna autonomia życia uczelnianego była dla niej prawdziwą solą w oku. Dotychczas obowiązująca ustawa o szkolnictwie wyższym, poddana szczegółowej rewizji i nowelizacji, praktycznie została zlikwidowana. Na mocy nowych przepisów wszyscy rektorzy uczelni otrzymywali nominację ministerialną, toteż nie musieli zabiegać o nią w wyborach senackich. Oni z kolei mianowali dziekanów i dyrektorów instytutów, po kasacji instytucji katedralnych. Równoczesny proces masowego awansowania na docentów dotychczasowych adiunktów, legitymujących się zazwyczaj jedynie stażem partyjnym, tak zwanymi walorami ideowymi oraz minimalnym lub nawet zerowym kontem twórczym, dopełnił dzieła podporządkowania nauki - administracji politycznej.

W związku z tym wzrosła ranga wydziałów nauki i oświaty sterujących zakulisowo działalnością kadrową uczelni. Wszystkie stanowiska kierownicze i samodzielne, nawet bezpartyjnych profesorów i docentów, cała bez wyjątku kadra nauczająca w przedmiotach ideologicznych, znalazły się w wyłącznej gestii wojewódzkich instancji partyjnych. Z jednym tylko zastrzeżeniem: godność rektorska uplasowała się w "nomenklaturze" komitetu centralnego, chociaż to zastrzeżenie nie przekreślało inicjatywy partyjnych pionów prowincjonalnych.

W ten sposób ogniwa partyjne wzięły w swoje ręce najistotniejsze sprawy uczelniane: od marca 1968 r. przyjęła się praktyka obowiązkowego korzystania z tak zwanych kanałów informacyjnych przy rozpatrywaniu kandydatur na wszystkie etaty uczelniane, nie tylko dydaktyczne. Te ostatnie są naturalnie poddane szczególnemu nadzorowi, a dwunastoletnie doświadczenie w tej mierze zademonstrowało wyraźnie do jakiego spustoszenia i zubożenia duchowego prowadzi polityka jednostronnej selekcji nie tylko samych kandydatów, ale także pracującego personelu fachowego w nauce polskiej.

Partia zadbała o urzeczywistnienie dyrektywy V Zjazdu wzywającej kierownictwa uczelniane do "szczególnej czujności" w kwestii ewentualnego "nadużywania zasady swobody badań i dyskusji naukowych, do szerzenia poglądów politycznych i teorii społecznych niezgodnych z socjalizmem. Od każdego pracownika szkoły wyższej wymagać trzeba nie tylko określonych kwalifikacji naukowych, ale również walorów ideowo-moralnych, które uczynią go zdolnym do wychowywania młodzieży w duchu programowych założeń uczelni socjalistycznej. Tymi samymi kryteriami powinny kierować się władze szkół wyższych w doborze, ocenie i

awansie kadry naukowo-dydaktycznej".

Trudno o wyraźniejsze sprecyzowanie celów i zasad partyjnego dyrygowania wszelkimi przejawami życia akademickiego. Jednakże dopiero lata następne ujawniły z jak zdecydowaną konsekwencją pogrudniowa ekipa kierownicza realizowała ten najmniej chwalebny sukces polityczny Gomułki. VI Zjazd obradujący w listopadzie 1971 r. pogłębił i rozwinął nowe zasady programowania oraz polityki kadrowej w nauce. Szczególny akcent padł na zadania organizacji partyjnych w realizowaniu funkcji wychowawczych szkolnictwa wyższego, mających stymulować formy pracy sprzyjające kształtowaniu tak zwanej socjalistycznej formacji studentów. Autorzy uchwały zjazdowej eksponowali ideologiczną rolę całej nauki, nie tylko dyscyplin społecznych, domagali się rozwijania badań z zakresu teorii i metodologii marksizmu-leninizmu, a wszelkie empiryczne studia nad społeczeństwem podporządkowali "teoretycznym doświadczeniom budownictwa socjalistycznego".

W ten sposób funkcja nauk społecznych w obecnym systemie uległa redukcji do roli ideologicznej, w praktyce zaś stały się one narzędziem zmierzającym do eliminacji idei demokratyzmu w świadomości społecznej.

VI Zjazd poszedł jeszcze dalej, stanowiąc przesłanki organizacyjne dla "jednolitej polityki państwa w stosunku do całego obszaru działalności badawczej i rozwojowej niezależnie od rodzaju badań i podporządkowania organizacyjnego".

W taki właśnie sposób partia objęła bezpośrednim nadzorem całokształt aktywności badawczej wszystkich instytucji naukowych, a tym samym zniknęły ostatnie możliwości indywidualnych swobód twórczych. Każdy zakład naukowy otrzymuje obecnie ściśle określone zadania do analizy na zlecenie instytucji przemysłowych, gospodarczych, kulturalnych, politycznych itp. w zależności od swojego profilu specjalistycznego.

Na ogół pracownicy nauki nie narzekają na tę partyjną opiekę. Podporządkowując się zaleceniom, włączając w nurt "preferowanych kierunków badawczych" mogą wydatnie podnieść, a nawet zwielokrotnić i tak nieźle zarobki. Jednak nauka polska płaci za to wysoką cenę: upadają nauki podstawowe, wyjątkują się osobiste zainteresowania i możliwości twórcze. Pasję badawczą wypiera cyniczna i owaniacka kalkulacja: opłaca się robić to, co "dobrze widziane", co gwarantuje pewny i szybki efekt. Zasadniczym celem narzuconego przez partię stylu pracy jest bezwzględne skolektywizowanie wszystkich form pracy naukowej oraz zniesienie badań samodzielnych, tak opornie poddających się kontroli i ogólnym nakazom.

Jeżeli V Zjazd zapisał się szczególnie niechlubnie na niwie polskiego życia studenckiego, to Zjazd następny nadał szczególne znaczenie zintegrowaniu środowiska naukowego wokół swojej wizji modelu nauczyciela akademickiego: zalecał jeszcze bardziej usprawnić system doboru i selekcji kadr w placówkach naukowych. Bez żadnych ogródek wprowadził ten obo-

wiązek w naukach społecznych, usprawiedliwiając koniecznością zapewnienia wysokiego poziomu marksistowskiej teorii i metodologii. Przy okazji stwierdzono, iż sprawą o szczególnej doniosłości musi być "kształtowanie postaw ideowych i etycznych pracowników nauki". Tego rodzaju wymagania adresowano nie tylko do przedstawicieli nauk społecznych, ale już do wszystkich grup nauczycieli akademickich, ostrzegając w ten sposób całkiem jednoznacznie przed nie-subordynacją na tej płaszczyźnie.

O pełnym monopolu partii we wszystkich dziedzinach życia naukowego informuje uchwała kolejnego, VII Zjazdu, ściśle podporządkowująca aktywność ideowo-wychowawczą uczelni uformowaniu "ideowej osobowości studentów, kształcenia ich w poczuciu obowiązku wobec potrzeb socjalistycznego rozwoju kraju".

Konsekwentnie przypisuje się wiodące zadania naukom społecznym, traktowanym jako wyłączna domena myśli marksistowskiej. Nie trzeba dodatkowo ilustrować niebezpieczeństwa tej tezy dla autentycznej, rzeczywistej kultury narodowej oraz ogólnego, uniwersalistycznego modelu wychowania społeczeństwa. Rządząca partia bezpardonowo proklamowała swoje partykularne cele jako jedynie wartościowe i obowiązujące.

Na takich podstawach wznosi się również aktualna polityka naukowa partii wyłożona w uchwale ostatniego Zjazdu. W trakcie dwunastoletniej, zintensyfikowanej taktyki komunizowania polskiej nauki i całego szkolnictwa narodowego, w centrum zainteresowania czynników rządzących znalazła się zasada niwelująca zadania szkół wyższych do jednolitości wychowania, nauczania i badań naukowych.

W tym punkcie dochodzimy już do urzeczywistnienia tak upragnionego ideału sterników ideologicznych zorientowanych na pełną identyfikację celów i wzorów sowieckich instytucji naukowo-dydaktycznych z warunkami polskimi. Wprawdzie taki drogowskaz wyznaczał kierunek partyjnej polityce naukowej już w samym zaraniu narzuconych przeobrażeń ustrojowych naszej ojczyzny, niemniej jednak dopiero po marcu 1968 r. nastąpiły korzystne warunki do pełniejszej i swobodniejszej gry w tak planowanym zakresie.

VIII Zjazd partii potwierdził w całej pełni moc obowiązującą dokumentów opracowanych na wcześniejszych kongresach organizacyjnych, apelując wyraźnie nie tylko do swoich instancji, ale również do ściśle podlegającego im kierownictwa szkół wyższych "o dalsze podnoszenie poziomu i skuteczności działań ideowo-wychowawczych w kręgach młodzieży akademickiej". To ciśnienie pracy propagandowej, degradując wartości uniwersalne, narodowe i religijne będzie bez wątpienia wpływać na rozprzestrzenianie się postaw nihilistycznych i dwulicowych wśród młodzieży inteligenckiej.

Jednakże drastyczne sprzeczności między przebrzmiałymi próbami marksistowskiej interpretacji różnorodnych stron rzeczywistości oraz partyjnymi sloganami bez pokrycia, a twardymi realiami doby współ-

czesnej, prędzej czy później doprowadzą młodzież myślącą krytycznie do uświadomienia sobie bankructwa taktyki absolutnego podporządkowywania wszystkich płaszczyzn życia zbiorowego pustym i sztywnym dogmatom.

Dotychczasowy tryb doboru i awansowania kadr naukowych, stanowiący powszechnie znany hamulec rozwoju tego środowiska, będzie jeszcze bardziej doskonalony wedle decyzji najwyższego /w rozumieniu statutowym/ gremium partyjnego. U podstawy jego kryteriów szczególnie preferowanych próżno szukać walorów naukowych i osiągnięć fachowych, natomiast znalazły się jako wystarczające oraz jedynie afirmowane, od lat dwunastu zresztą, "umiejętności dydaktyczno-wychowawcze i zaangażowanie w rozwój socjalistycznej Ojczyzny". Partia nie wyobraża sobie już nie tylko nauk społecznych, ale w ogóle humanistycznych, bez jedynej możliwej więzi z jej działalnością. Z tego powodu stawia przed tymi naukami obowiązek "pomnażania i upowszechniania myśli marksistowsko-leninowskiej" oraz zmusza je do odgrywania jeszcze większej roli w "integracji ideowej społeczeństwa, w umacnianiu moralnej jedności narodu, w kształtowaniu postaw obywatelskich i patriotycznych".

A zatem jednym z antidotów na narastający kryzys gospodarczy i społeczny kraju stanie się dalsze, wypróbowane już, ograniczanie wszelkich tendencji liberalizacyjnych na polu naukowym, kulturalnym, oświatowym. Można byłoby interpretować podobne posunięcia brakiem wartościowego, konstruktywnego programu w tych dziedzinach, wobec tego wygodniejsze i bezpieczniejsze dla obecnego kierownictwa partyjnego wydaje się powielanie i realizowanie dotychczasowych schematów w ich niezmiennych postaci. W ten sposób można przecież przesłonić pustkę wewnętrzną systemu propagandowymi sloganami i frazesami, chociaż trudno nie zdawać sobie sprawy, że są to jedynie bańki mydlane świecące pozornym, nienaturalnym światłem, a jednocześnie jakże nietrwałe.

Luty 1980 r.

Zygmunt Płużński

W kolejnym numerze ASPEKTU:

● Józef HANSKI, Bariery mieszkaniowa

Kilka myśli KAROLA MARKSA o wolności prasy

Cenzura to urzędowa krytyka; jej normy są normami krytycznymi, tym bardziej więc nie mogą one być wyjęte spod krytyki, która jest tego samego co one rzędu.

+ + +

Prawdziwą cenzurą, wypływającą z samej istoty wolności prasy, jest k r y t y k a; jest ona sądem, który sam z siebie wyłania wolność prasy.

+ + +

Istotą wolnej prasy jest jest pełna charakteru, rozumna, moralna istota wolności.

+ + +

Chudej prasy nie można odkarmić sprawami Chin.

Z. S. R. R.: KIERUNKI EKSPANSJI

Najważniejszym, bez wątpienia, wydarzeniem politycznym w świecie otwierającym dziesięciolecie lat osiemdziesiątych jest radziecka interwencja zbrojna w Afganistanie. Wydarzenie to należy ocenić jako najpoważniejszy kryzys międzynarodowy od zakończenia drugiej wojny światowej z następujących względów:

1. Radzieckie parcie na południe ma na celu obszar o żywotnym dla świata zachodniego i Japonii znaczeniu, nie ograniczającym się do partykularnych interesów krajów kapitalistycznych, ale ważnym także dla stabilizacji całego świata, którego trzon gospodarczy i cywilizacyjny w stopniu decydującym uzależniony jest od bliskowschodnich zasobów energetycznych.

2. Radziecka machina militarna i zorganizowany na bezprecedensową w świecie skalę system zagranicznej dywersji oraz niczym nieograniczona podlegająca propaganda, za cel biorą kraje wewnętrznie niestabilne, coraz bardziej zagrożone chaosem społecznym i gospodarczym, mogący rozszerzyć się na znaczne obszary globu.

3. W kontekście wykraczających poza potrzeby obronne ofensywnych zbrojeń radzieckich w Europie, opanowania znacznej części Indochin, nowych dyslokacji wojskowych na Wyspach Kurylskich, Jemenie Półd., Etiopii, Angoli i Kuby, rozbudowie dalekowschodniej marynarki wojennej obejmującej swym działaniem wody Oceanu Indyjskiego - intencje tego mocarstwa zaczynają budzić coraz więcej obaw ze strony różnych państw. Wszystkie te działania wypełniają obraz strategii globalnej ZSRR - okrążenia Chin, odcięcia Europy od głównych źródeł surowcowych i energetycznych zneutralizowania potencjału nuklearno-strategicznego Stanów Zjednoczonych.

4. Wzrost ekspansji ZSRR w świecie zbiega się z apogeum zbrojeń radzieckich i ich dalszą tendencją rozwojową w czasie, gdy główne mocarstwo Zachodu, zmniejszające na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia swój arsenał, straciło dawną pozycję. Zważywszy, że podjęte ostatnio na Zachodzie inicjatywy mające na celu przywrócenie zachwianej równowagi mogą przynieść skutki nie wcześniej niż za 7 - 10 lat, nie wykluczona jest taka sytuacja, że ZSRR osiągną w latach 1982-85 supremację militarną zaryzykując akcję na znacznie większą skalę. Motywem takiej akcji byłaby obawa, iż trend lat 90-tych zepchnie Związek Radziecki nieodwracalnie do defensywy.

Mając na względzie te i inne niebezpieczeństwa wynikające dla światowego pokoju i ładu międzynarodowego warto dzisiaj podjąć na nowo próbę przypomnienia i prześledzenia zasad i mechanizmów radzieckiej polityki zagranicznej. W szczególności tych, które dotyczą pozbawienia niepodległości bądź ogra-

niczenia suwerenności małych i średnich państw. Ważnym jest to, co pozwala zrozumieć historyczne analogie i wszystko, co w polityce tej nosi znamiona stałej metody.

W kilku szkicach zajmiemy się kolejno - aneksją bądź podporządkowaniem krajów bałtyckich i Finlandii, próbami opanowania dostępu do Morza Śródziemnego /naciski na Turcję, kryzys triesteński/, naporem w kierunku Zatoki Perskiej i Bliskiego Wschodu. W dalszej kolejności poświęcimy uwagę wybranym elementom strategii ZSRR w odniesieniu do Indochin i Dalekiego Wschodu.

Zgodnie z zamierzeniem autora centralnym kierunkiem rozważań jest aspekt państwowo-polityczny, dyplomatyczny i militarny radzieckiej polityki zagranicznej. Problematyka partyjno-ideologiczna, o ile nie wiąże się z przeznaczoną na użytek tej polityki propagandą oraz kwestie związane z ruchem komunistycznym - uwzględnione są marginesowo.

Pierwszy z serii szkiców dotyczy wojny radziecko-fińskiej 1939/40 i jej politycznych konsekwencji. Druk jego podejmujemy z okazji 40 rocznicy tych wydarzeń dając tym samym skromny wyraz naszego szacunku dla zniewolonych narodów krajów bałtyckich.

1. Casus FINLANDIA

Pod koniec lat trzydziestych Stalin podjął szereg kroków politycznych i wojskowych mających na celu oparcie radzieckiego imperium na solidnych podstawach geostrategicznych zwiększających bezpieczeństwo państwa i umożliwiających dalszą ekspansję w świecie. Przedmiotem zabiegów Kremla stał się w pierwszym rzędzie bezpieczny dostęp do Bałtyku. Rosyjskie okno morskie na zachód znajdowało się pod kontrolą dwu suwerennych państw - Finlandii i Estonii. Oba te państwa w żadnych warunkach nie mogły kwestionować radzieckiej swobody żeglugi ani stanowić zagrożenia dla swego potężnego sąsiada - podwalały natomiast zasadę hegemonii monosuwerena stanowiącą dogmat radzieckiej polityki zagranicznej obowiązujący szczególnie rygorystycznie w odniesieniu do państw graniczących z ZSRR.

W roku 1938 Rosjanie podjęli próbę nakłonienia Finlandii do przekazania kilku strategicznie położonych wysp Zatoki Fińskiej Związкови Radzieckiemu celem "zorganizowania obrony" drogi wodnej łączącej Leningrad z Bałtykiem. Finowie oparli się tym naciskom. Dopiero na mocy paktu z Hitlerem i ustalonych w nim "stref interesów" uzyskał Stalin swobodę działania na tym obszarze. W październiku 1939 r. Łotwa,

Estonia i częściowo Litwa pozbawione zostały niepodległości. Południowe wybrzeże Zatoki Fińskiej znalazło się w rękach ZSRR. W przemówieniu, jakie wygłosił radziecki minister spraw zagranicznych przed Najwyższym Sowietem dnia 31 października 1939 r.¹ zawarta została oficjalna wykładnia zasad radzieckiej polityki zagranicznej wobec państw stanowiących, jak się wyrażono, "przedpole Związku Radzieckiego". Mołotow stwierdził, że kraj jego "ma prawo do posiadania w określonych punktach Estonii i Łotwy baz morskich i lotnisk, jeśli zaś chodzi o Litwę - dodał - uzgodnione zostało utworzenie wspólnej ze Związkiem Radzieckim obrony litewskiej granicy". Mołotow zapewnił dalej, że "utworzenie tych radzieckich baz morskich oraz lotnisk na terytorium Estonii i Łotwy oraz wprowadzenie pewnej ilości oddziałów Armii Czerwonej celem obrony tych baz i lotnisk [...] służy sprawie zachowania pokoju i nie oznacza jakiegokolwiek ingerencji Związku Radzieckiego w sprawy Estonii, Litwy i Łotwy, jak to usiłowały przedstawić niektóre zagraniczne organy prasowe".

Po zapewnieniu sobie współpracy obronnej zestroony podporządkowanej Litwy i faktycznej aneksji dwudalszych państw bałtyckich, dyplomatyczne naciski na Finlandię stały się bardziej brutalne. Propozycje ustąpiły popartym groźbami żądaniom, które szły znacznie dalej: po "zabezpieczeniu" południowego wybrzeża zatoki radzieckie potrzeby "bezpieczeństwa" zamiast ulec ograniczeniu - gwałtownie rosły. /Prawidłowości tej z uporem godnym lepszej sprawy niektórzy politycy Zachodu nie są w stanie do dzisiaj pójść./ Stalin zażądał od Finlandii wydzierżawienia leżącego u wejścia do zatoki - półwyspu Hanko, celem instalacji tam bazy radzieckiej marynarki wojennej,² dzierżawy Półwyspu Rybackiego z jedynym niezamarzającym na północy portem fińskim w Pieczędze i przekazania Związkowi Radzieckiemu części Przesmyku Karelskiego leżącego na północ od Leningradu, celem "odsunięcia" granicy fińskiej od tego miasta.

W przytoczonym wyżej przemówieniu Mołotow argumentował, że miasto to dzieliły od granicy "tylko 32 kilometry", co znaczyło, że "odległość między Leningradem a granicą innego państwa była mniejsza od zasięgu ostrzału artyleryjskiego ze współczesnych dział dalekiego zasięgu".² Wystąpienie Mołotowa zawierało szereg pogroźek pod adresem Finlandii, dających podstawy do obaw o jej dalszą niepodległość. Mówca przypomniał, że to "ZSRR z własnej nieprzymuszonej woli zapewnił /na mocy traktatu pokojowego z 1920 r./ samodzielne i niezależne istnienie Finlandii" i że "żaden inny rząd w Rosji oprócz radziec-

kiego, nie mógłby pogodzić się z istnieniem u wrót Leningradu niepodległej Finlandii".³

Zgłaszając wniosek przyjęcia referatu Mołotowa przez Najwyższy Sowiet, leningradzki deputowany A. Kuzniecowa wyraził radość z "umocnienia pokojowych, przyjaźnielskich stosunków między dwoma największymi państwami w Europie - wyrazem czego był traktat o przyjaźni i granicy między ZSRR i Niemcami i poparcie jedyną, słuszną decyzję udzielania pomocy bratnim ludom Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi - gdy - martwonarodzone państwo polskie i narody zamieszkujące byłą Polskę zostały "rzuczone na pastwę losu". Deputowany Kuzniecowa podkreślił "niezwykle doniosłe polityczne znaczenie zasad radzieckiej polityki w odniesieniu do małych narodów" i dodał, że w kontekście tej polityki "niezrozumiałe jest zachowanie się rządzących kół Finlandii, które wciąż wstrzymują zawarcie umowy między ZSRR i Finlandią", przypomniał, że "pewne rządy w Europie również liczyły na kogoś, żywiły nadzieje, nawet posiadały gwarancje, co z tego wyszło, także wszyscy dobrze wiedzą". W konkluzji swego wystąpienia mówca retorycznie zapytał: "Czyż nie jest jasne, że jedynym gwarantem, jedyną nadzieją na zachowanie pokoju, bezpieczeństwa i niezawisłości Finlandii jest tylko Związek Radziecki?"

Postawionym przez stronę radziecką roszczeniom terytorialnym wobec Finlandii towarzyszyły także żądania natury politycznej, wedle których kraj ten miał zrzec się po wszelkie czasy prawa przystępowania do jakiegokolwiek obcej koalicji państw. Tytułem rekompensaty strat terytorialnych ZSRR zaoferował Finlandii kilka tysięcy km² obszaru podmokłej, bezużytecznej głuszy leśnej na północ od jeziora Onega.

Na żądania te i towarzyszące im pogroźki Finowie odpowiedzieli nie bez wahania. Głównodowodzący armią fińską, marszałek Mannerheim, opowiadał się początkowo za zajęciem ustępliwego stanowiska, by w ten sposób ocalić niepodległość państwa i w miarę możliwości odwieść Moskwę od komunistycznej infiltracji Finlandii. Stanowisko rządu było jednak nieustępliwie. Ze swej strony Rosjanie nie dali Finom żadnych szans dalszych rokowań, 26 listopada oskarżyli stronę fińską o sprowokowanie incydentów granicznych mających polegać na ostrzeleniu jednej z przygranicznych wiosek radzieckich. Finowie przekonani o bezpodstawności tych zarzutów zaproponowali, by sprawa została zbadana przez specjalną komisję dwustronną.

Nie zajmując stanowiska wobec tej propozycji, 30 listopada 1939 r. Kreml zarządził atak swych sił zbrojnych na Finlandię. Oficjalne stanowisko radzieckie głosiło, że "w odpowiedzi na prowokacje wojska garnizonu leningradzkiego podjęły kontrofen-

¹ W wyświetlanym przez TVP radzieckim filmie dokumentalnym "Decydujący front", w odcinku poświęconym wojnie na morzu znalazł się, opatrzone patetycznym komentarzem, epizod o bohaterkiej obronie garnizonu radzieckiego znajdującego się na tym półwyspie. Film, oczywiście, nie informował co żołnierze radzieccy robili w Finlandii i w jaki sposób się tam znaleźli.

² Trudno nie postawić w tym miejscu pytania, jak się mają dzisiejsze radzieckie potrzeby bezpieczeństwa do zasięgu współczesnych rakiet balistycznych.

³ Przez wieki Finlandia była prowincją Szwecji, od roku 1809 do 1917 znajdowała się pod panowaniem Rosji. W czasie wojny domowej, która nastąpiła po rewolucji bolszewickiej konserwatyści odnieśli zwycięstwo nad komunistami. W latach trzydziestych Finowie starali się prowadzić politykę równowagi w stosunku do Niemiec i Związku Radzieckiego.

sywę i zajęły miasto Terioki, gdzie uformował się właśnie Rząd Ludowy pod przewodnictwem towarzysza Kuusinen, członka Kominternu".

W rzeczywistości inwazja radziecka przygotowywana była od kilku miesięcy. Zmobilizowane zostały znaczne siły, które przystąpiły do uderzenia na czterech frontach: główny pas umocnień fińskich zwany Linia Mannerhelma, przecinający Przesmyk Karelski od Zatoki Fińskiej do jeziora Ladoga, zaatakowała 7 Armia Leningradzka. Od północy, na tyły tych fortyfikacji uderzyła 8 Armia w sile 6 dywizji. Trzeci front stanowiły działania atakującej z terytorium radzieckiej Karelii 9 Armii w sile 5 dywizji z zadaniem zajęcia miasta Oulu w kierunku Zatoki Botnickiej, celem odcięcia północnej części kraju, gdzie ofensywę podjął czwarty front radziecki. Operację na północy prowadziła murmańska 14 Armia w sile przeszło 1 dywizji, w połączeniu z desantem morskim miała za zadanie zajęcie portu w Pieczędze. Opanowanie Pieczęgi uniemożliwić miało nadejście tą drogą materiałowej bądź wojskowej pomocy z zewnątrz. Droga zaopatrzeniowa przez Bałtyk nie wchodziła na dalszą metę w rachubę z powodu sojuszu radziecko-niemieckiego.

350-tysięcznej Armii Czerwonej uzbrojonej w czołgi i znaczne siły artylerii Finowie przeciwstawili 250 tysięcy lekko uzbrojonych żołnierzy. Mimo znacznej przewagi oręża i korzyści wynikających z zaskoczenia - ofensywa radziecka utknęła nie osiągając swych celów. Fińska armia zaskoczyła agresora swą sprawnością i determinacją obrony. Prowadząca ofensywę na centralnym odcinku frontu radziecka 7 Armia poniosła znaczne straty. Północna 8 Armia doznała jeszcze większych niepowodzeń - 3 dywizje wzięte w "kocioł" zostały doszczętnie rozbite. Podobny los spotkał dwie dalsze dywizje walczące na froncie karelskim - dywizje 163 i 44 zostały oskrzydłone i zdziesiątkowane na przedpolach Suomusalmi. Jedynym frontem, na którym Rosjanie osiągnęli zamierzony cel, był odcinek murmański. Tu obrona fińska była słaba, Pieczęga została zdobyta bez większych strat po stronie radzieckiej.

Główną przyczyną niepowodzeń radzieckich, obok niedoceniaenia woli oporu Finów, było niedostosowanie radzieckiej taktyki wojskowej do specyfiki obrony przeciwnika i warunków terenowych, w których toczyła się kampania. Finowie, wbrew przewidywaniom radzieckich sztabów, nie stworzyli zwartego frontu obrony, lecz operowali małymi, ruchliwymi oddziałami o względnie dużej sile ognia i niezawodności ich broni maszynowej. Ponadto znaczną ich część stanowili skuteczni strzelcy wyborowi. Odzież, maskowanie, komunikacja były u Finów lepiej dostosowane do lokalnych warunków atmosferycznych i terenowych.

W wyniku "czystek" stalinowskich armia radziecka straciła większość kadr oficerskich. Sparaliżowani konformizmem i strachem przed posądzeniem o zdradę dowódcy radzieccy nie potrafili, bądź nie mogli wykazać własnej przewagi ilościowej, unikali działań ryzykownych, nie przewidzianych sztywnym planem

operacyjnym. Organizacja Armii Czerwonej była kiepska, zaopatrzenie i logistyka niewydolne, ciężki sprzęt okazywał się często zawodny, lekka broń maszynowa ujawniała wiele wad konstrukcyjnych - wszystkie te czynniki dawały się często we znaki w trudnych warunkach klimatyczno-terenowych, szczególnie ciężkich w czasie zimy 1939/40 r.

W późniejszych latach ZSRR utrzymywał, że w kampanii fińskiej uczestniczyły oddziały drugiej kategorii, używające przestarzałego sprzętu. Panuje jednak powszechne przekonanie znawców przedmiotu, że dla osiągnięcia tego ważnego celu, ujmowanego - w obliczu sukcesów Hitlera - nader prestiżowo na Kremlu, ofensywa przygotowana została z wielkim nakładem środków. Według radzieckich kalkulacji wojna miała być błyskawiczna, co umożliwiłoby postawienie opinii międzynarodowej przed faktem dokonanym. Przeciwnie, załamanie się ofensywy radzieckiej dałoby Finlandii czas na działania dyplomatyczne, które mogłyby doprowadzić do umiędzynarodowienia konfliktu. ZSRR znalazł się więc w sytuacji wymagającej jak najszybszych decyzji. Cała uwaga wojskowych skupiona została na froncie leningradzkim, gdzie zmasowano znaczne siły. Armia 7 wzmocniona została przez Armię 13, zreorganizowano pozostałe wielkie zgrupowania tworząc Front Północny, dowodzony przez weteranów kampanii mandżurskiej z 1938 roku.

Niezależnie od koncentracji dodatkowego ciężkiego sprzętu, sięgnięto po rezerwy ludzkie, a zwłaszcza oficerskie. W obozach koncentracyjnych archipelagu Gułag zarządzane zostały wielkie remanenty, oficerów i podoficerów pośpiesznie rehabilitowano i odsyłano do tworzących się nowych formacji. W czasie reorganizacji frontu i przygotowań do decydującej ofensywy, lotnictwo i artyleria radziecka dokonywały stałych bombardowań obiektów przemysłowych i węzłów komunikacyjnych na terytorium Finlandii. W czasie świąt Bożego Narodzenia lotnictwo radzieckie dokonało zmasowanego nalotu bombowego na główne miasto Przesmyku Karelskiego - Viipuri.^{4/}

10 lutego ruszyła oczekiwana ofensywa radziecka. Na 20 kilometrowym odcinku frontu skoncentrowano 13 dywizji, w dużej części pancernych. 15 lutego zdobyta została pierwsza linia umocnień Mannerheima, gdy wszyscy jej obrońcy polegli, bądź zostali ranni. Mimo znacznych strat Finowie nie utracili możliwości prowadzenia działań zaczepnych - udało im się dokonać skutecznego kontruderzenia na skrzydła napastnika koncentrującego swój atak na Viipuri. W wyniku tej akcji postęp wojsk radzieckich został powstrzymany. Wykorzystując ten względnie pátowy moment wojny, świadomi wyczerpania się własnych możliwości w zakresie uzupełnień ludzkich i materiałowych, Finowie przystąpili do rokowań. W wyniku rokowań przeprowadzonych w Sztokholmie zawarte zostało i podpisa-

^{4/} Warto zauważyć, że okres świąt Bożego Narodzenia cieszy się do dzisiaj na Kremlu szczególnymi względami: w Boże Narodzenie 1978 r. marionetkowe wojska wietnamskie najechały Kambodżę, a w 40 rocznicę bombardowania Viipuri Armia Czerwona wkroczyła do Afganistanu.

sane w Moskwie 13 marca 1940 r. porozumienie pokojowe.

Na mocy układu ZSRR otrzymał półwysep Hanko, Przesmyk Karelski i znaczne obszary północno-wschodniej części Finlandii. W wyniku walk armia fińska straciła 60 tysięcy zabitych i 200 tys. rannych, pół miliona ludzi pozbawionych zostało domów i mienia. Po stronie radzieckiej żniwo wojny było równie ciężkie, według danych oficjalnych poległo 48.745 żołnierzy, a 158.863 odniosło rany. Niezależne źródła oceniają straty radzieckie znacznie wyżej, na 270 tys. zabitych i odpowiednio więcej rannych.

Wojna 1939/40 roku wpłynęła zasadniczo na zmianę orientacji w polityce zagranicznej Finlandii, zasada neutralności ustąpiła na jakiś czas szukaniu zbliżenia z Niemcami. Gdy w 1941 r. Hitler zaatakował ZSRR, Finowie stanęli po stronie niemieckiej. Szczególnie zagorzałym zwolennikiem tego sojuszu i rzecznikiem włączenia wojsk fińskich do Wehrmachtu był wtedy, dzisiejszy prezydent Finlandii, U. Kekkonen. W roku 1943, gdy szala zwycięstwa przechyliła się na stronę radziecką, Kekkonen stał się głównym propagatorem zbliżenia ze Związkiem Radzieckim. Po wojnie objął on tekę ministra sprawiedliwości i z tego urzędu zajął się gorliwie tropieniem tzw. przestępców wojennych, to znaczy tych, którzy przy boku armii niemieckiej walczyli z Rosjanami.

W wyniku wojny światowej Finlandia poniosła straty terytorialne na rzecz ZSRR w wysokości 10 % obszaru, jaki zajmowała przed 1939 rokiem. Ponadto zmuszona została do zapłacenia Związkowi Radzieckiemu reparacji wojennych w wysokości 350 mln dolarów.

Ustrój polityczno-gospodarczy pozostał w Finlandii kapitalistyczny. Zapewne Stalin obawiał się, że komunistyczna tego kraju mogłaby skłonić tradycyjnie neutralną Szwecję do szukania bezpieczeństwa w ramach jakiejś koalicji państw, wrogich wobec ZSRR. Z drugiej strony Finlandia ze swym skromnym potencjałem demograficznym, doskonale nadawała się do modelowej roli kraju kapitalistycznego o suwerenności ograniczonej przez ZSRR. Model takiej zależności musiał od dawna rokować przyszłe zastosowanie, zwłaszcza w stosunku do Europy Zachodniej, której podbicie i utrzymanie musiałyby przekraczać możliwości Kremla. Przywódcy radzieccy zapewne dość wcześnie wyrobili w sobie przekonanie, że burżuazyjne demokracje z wszystkimi ich wadami i ugodowością uległe będą woli Kremla dysponującego straszakiem mniejszościowych,

ale potencjalnie groźnych partii komunistycznych. W myśl tej koncepcji Stalin zezwolił nawet na objęcie prezydentury w Finlandii przez pro-niemieckiego konserwatystę J. M. Paasikivi. Wybór ten mógł także działać uspokajająco na zachodnich aliantów zaniepokojonych radziecką polityką wobec Europy Środkowo-Wschodniej.

Obecne stosunki radziecko-fińskie reguluje układ z 1948 roku, na mocy którego wszelki atak, którego celem może być ZSRR, prowadzony przez terytorium Finlandii, obliguje obie strony do wspólnej obrony, a każde zewnętrzne działania wojskowe nakazują przeprowadzenie przez strony "konsultacji" politycznych. Konsultacje takie stają się formą pośredniego nacisku na kraje NATO, podejmowanego każdorazowo, kiedy tylko pakt próbuje przeprowadzić manewry wojskowe na terytorium Skandynawii. W sytuacji takiej Finlandia staje się zakładnikiem ZSRR. W ten też sposób Moskwa zapewnia sobie sprzeciw Finów wobec prób zainstalowania np. rakiet Cruise w Europie Zachodniej, bowiem ich potencjalny przelot nad terytorium Finlandii daje Rosjanom pretekst do instalacji tam swych wysuniętych systemów obrony przeciwlotniczej, ewentualnie wczesnego ostrzegania.

Wreszcie Finlandia w myśl układu o "przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy" zobowiązuje się nie wchodzić do koalicji "skierowanej przeciwko jednej ze stron". Wewnętrzne stosunki polityczne tego kraju i zasady polityki zagranicznej podlegają niepisanyemu imperatywom niesprzeczności z interesami ZSRR. Kultura, środki przekazu i publikacje poddane są silnej autocenzurze baczącej, by niczym nie urazić Kremla. Nierzadkie są przypadki bezpośrednich interwencji radzieckich w wewnętrzne sprawy Finlandii będące przedmiotem zainteresowania Moskwy.

W dziedzinie gospodarki Finlandia posiada silne powiązania z Zachodem, jest członkiem takich organizacji i instytucji, jak GATT, OECD, Międzynarodowy Fundusz Monetarny, EFTA, współpracuje z EWG, której kraje przyjmują przeszło połowę fińskiego eksportu. Niemniej ZSRR jest wciąż głównym partnerem handlowym Finlandii, także jej głównym dostawcą ropy naftowej.

Model ograniczonej suwerenności państwa, jaki przedstawia Finlandia wzbudza dzisiaj wiele zainteresowania zarówno wśród polityków, prawników, publicystów, jak szerokiej opinii. O zjawisku politycznym określanym mianem "finlandyzacji" piszemy w osobnym opracowaniu.

Zima 1979/80 r.

Zbigniew Sekulski

Bolesław WIERZBIAŃSKI

AMERYKA ODNAJDUJE SIEBIE

Na kilka zaledwie miesięcy przed prezydenckimi wyborami, Stany Zjednoczone stanęły wobec potrzeby zmiany polityki zagranicznej, w stopniu nie mającym

w tym kraju precedensu. Niemal każdy punkt z programu wyborczego Jimmy'ego Cartera sprzed trzech lat, uległ rewizji, zmianie, albo został po prostu porzucony.

Rząd, a wraz z nim całe Stany Zjednoczone, stanęły wobec sytuacji zdecydowanie odmiennej, aniżeli jeszcze kilka miesięcy temu, kiedy w Wiedniu Carter z Breżniewem podpisywali układ SALT II, a nawet aniżeli dwa miesiące temu, kiedy Rada Sojuszu Atlantycznego decydowała w Brukseli nie bez oporów, przebrojenie atlantyckich sił zbrojnych i instalację nowych pocisków nuklearnych w Europie Zachodniej.

KRAJ POWOLNYCH DECYZJI

Stany Zjednoczone są w zasadzie krajem powolnych decyzji. Koncepcje polityczne i ich motywacje sączą się powoli z góry w dół, przechodząc przez sito opinii publicznej, przez agresywne, podejrzliwe i wpływowe środki masowego przekazu. W koncepcję i strukturę amerykańskiej demokracji wmontowane są słynne "checks and balances" - mierniki i równowagi, w następstwie których rząd jest pod stałą cenzurą Kongresu, a u szczytu o konstytucyjności jego posunięć i decyzji orzeka Sąd Najwyższy; nie mówiąc już o takich hamulcach jak powtarzające się co dwa lata wybory do Izby Reprezentantów i 1/3 Senatu a co cztery lata wybory prezydenckie. Polityka jest więc w USA poddana działaniu zbiorowej psychologii i pod tym względem polityka zagraniczna nie stanowi wyjątku. Otóż zmiana tej polityki szykowałą się już od pewnego czasu, aczkolwiek nie w tak dramatycznym stopniu jak to znalazło wyraz po sowieckiej okupacji Afganistanu, w styczniowym orędziu prezydenta "O stanie państwa".

Wiązało się to ze stopniowym wyzwalaniem się amerykańskiego społeczeństwa spod po-wietnamskiego szoku. Amerykanie przestali już w masochistyczny sposób oskarżać o Watergate i o przegraną wojnę. Po hekatombie, jakiej dokonał na własnym narodzie komunistyczny reżym Pol Pota w Kambodży i po okupacji tego kraju przez wietnamskie dywizje, zaczęto nawet przebąkiwać, że może wojna w Wietnamie była słuszna, tylko że była beznadziejnie źle prowadzona z punktu widzenia strategicznego i politycznego. Amerykanie odkryli też, że Pekin wcale nie sprzyjał rządowi w Hanoi i Wietkongowi słusznie obawiając się, że zwycięstwo północnego Wietnamu oznaczać będzie osadzenie się Sowietów na południowej flance Chin.

Po-wietnamski paraliż woli rządu i społeczeństwa amerykańskiego otworzył drogę do usadowienia się ZSRR w południowym Jemenie, Angoli, Abisynii, do wzmocnienia garnizonu na Kubie i wreszcie do inwazji Afganistanu. W okresie po-wietnamskiej bierności opinia amerykańska wierzyła, że Moskwa będzie przestrzegała wynikających z détente zasad politycznego umiarkowania. Społeczeństwo amerykańskie ma bowiem tendencje do nadmiernego optymizmu i wiary w dobre intencje drugich. Jest w tej psychicznej charakterystyce coś z misjonarstwa, które nadal cechuje większość Amerykanów. Nadzieje te spotęgował fakt, że w osobie Cartera zasiadł w Białym Domu południowy baptysta, niemal fundamentalista chrześci-

jański, mało wyrobiony, pochodzący z odległego, prowincjonalnego stanu Georgia, który w zasadzie wierzy w dobro natury ludzkiej. Ten z gruntu dobry człowiek, o skłonności do wypowiedziania niewłaściwych opinii w nieodpowiednich miejscach, przyznał się naiwnie, że dopiero po Afganistanie zrozumiał czym jest Rosja Sowiecka!

ZMIANA DOKTRYNY

Pierwszym wyrazem zachodzących przemian w amerykańskiej polityce zagranicznej był stopniowa erozja /na skutek ekspansji Moskwy na tereny Trzeciego Świata i rosnącego tempa jej zbrojeń/ podstawowej doktryny tej polityki, odziedziczonej przez Cartera po Kissingerze i głoszącej, że utrzymanie pokoju zależy od dobrego funkcjonowania osi Waszyngton-Moskwa. Doktrynie tej Zbigniew Brzeziński przeciwstawiał tezę o konieczności współdziałania wszystkich głównych ośrodków siły w świecie, a widział ich pięć: poza USA i ZSRR, także Chiny, Japonię i Europę Zachodnią. Na tym tle Carter zaczął stopniowo przygotowywać się do rozgrywania "karty chińskiej", którą to możliwość Kissinger odsuwał na dalszy plan. Podróż Brzezińskiego do Pekinu, rewizyta wicepremiera Tenga w USA, a ostatnio, już w czasie kryzysu afgańskiego, podróż do Chin sekretarza obrony Harolda Browna, sygnalizowały zmiany na tym odcinku. Białe Dom zaczął dochodzić do wniosku, że równowaga międzynarodowa powinna opierać się co najmniej na trójkącie Waszyngton-Pekin-Moskwa, a nie wyłącznie na osi sowiecko-amerykańskiej.

Następnym objawem zmiany w nastawieniu amerykańskiej polityki zagranicznej był wniosek Cartera zgłoszony na jesieni ub. r. do Kongresu o podniesienie o 5 % budżetu na obronę, chociaż podczas prezydenckiej kampanii wyborczej w r. 1976 obiecywał on coś wręcz odwrotnego, a mianowicie obcięcie tego budżetu o 5 do 7 miliardów dolarów! Wniosek ten był z jednej strony podyktowany chęcią uspokojenia krytyków SALT II, a z drugiej stanowił wyraz zaniepokojenia Pentagonu wysokością zbrojeń sowieckich. Carter zniósł także ograniczenia na sprzedaż broni krajom trzeciego świata i ściszył amerykańską opozycję przeciwko rozpowszechnianiu technologii nuklearnej, potencjalnie otwierającej możliwości konstrukcji broni jądrowych przez państwa, które obecnie ich nie mają. Ofiarą tych ograniczeń padły w swoim czasie dobre stosunki między USA i Pakistanem. Wreszcie Carter nie wycofał z Korei 41 tys. żołnierzy, mimo że obiecywał to zrobić gdy kandydował na prezydenta. Projekt ten poszedł w zapomnienie i istnieje duża doza prawdopodobieństwa, że stało się to za cichą namową Pekinu i Japonii zainteresowanych w fizycznej obecności amerykańskiej na kontynencie azjatyckim.

MOONE SŁOWA, ALE OGRANICZONE ŚRODKI DZIAŁANIA

Sowiecka inwazja Afganistanu była tą ostatnią przyszkolową kroplą, która przelała czarę zawodów doznawanych w ostatnich latach przez USA ze strony

Moskwy. Stąd spowodowała tak gwałtowną reakcję Waszyngtonu, której zapewne kierownicy sowieccy nie przewidywali będąc dotąd przyzwyczajeni do amerykańskiej ustępliwości. Embargo na zboże i technologię, zawieszenie prac w Senacie nad ratyfikacją SALT II i wreszcie oświadczenie Cartera w orędziu z 23 stycznia br., że Stany Zjednoczone przeciwstawiają się siłą wszelkiej próbie opanowania rejonu Zatoki Perskiej, stanowiły już zwrot o 180 stopni amerykańskiej polityki zagranicznej i spotkały się z powszechnym uznaniem społeczeństwa. Stany Zjednoczone znów poczuły się sobą. Przynajmniej w deklaracjach prezydenta uznają, że są znów dostatecznie silne, aby podjąć konfrontację. W tym jednak leży źródło dalszego dramatu.

Osiem lat detente Nixona, Forda i Kissingera, plus 3 lata wahań i braku koncepcji Cartera wytworzyło niemal wszędzie groźne polityczno-militarne vacuum. Opcje militarne Stanów Zjednoczonych są dziś bardzo nieliczne. Dwumilionowa ochotnicza armia amerykańska nie jest przygotowana do akcji w odległych kątach świata. Przyznał to sekretarz obrony Brown, mówiąc "najważniejszą sprawą jest, jak dostać się do tych kątów". Powzięto więc pośpieszną decyzję, aby stworzyć stutysięczną jednostkę do szybkich akcji /rapid deployment/, tam gdzie interesy amerykańskie byłyby zagrożone. Jednostka ta będzie jednak gotowa dopiero w roku 1983.

Tymczasem więc, po zawaleniu się dotychczasowego systemu bezpieczeństwa w Zatoce Perskiej, który opierał się na dobrze wyszkolonej i zaopatrzonej 700-tysięcznej armii Szacha /dziś całkowicie zdeorganizowanej przez rewolucję w Iranie/, Stany Zjednoczone mają dla obrony tego rejonu tylko flotę i bazowane na niej lotnictwo. Jest to oczywiście nie wystarczające dla skutecznych operacji militarnych. Ameryka nie jest jednak bezbronna z punktu widzenia strategii politycznej. Marsz sowiecki na południe /poprzez Pakistan i przeciw Iranowi/ wywołałby natychmiastową decyzję lądowania amerykańskich marines a w Abadanie, Bandar Abbas czy na brzegach pakistańskiego Beludżistanu. A wtedy ZSRR stanąłby wobec ryzyka bezpośredniej konfrontacji z siłami zbrojnymi Stanów Zjednoczonych, których strategia oparta jest na użyciu środków nuklearnego odstraszania. Przy obecnym stanie rzeczy nie wydaje się prawdopodobne, aby Moskwa zaryzykowała takie starcie.

JAZDA WCIĄŻ JESZCZE AKTUALNA

Administracja Cartera, idąc śladami Nixona, traktuje kraje Europy Wschodniej, jako suwerenne i usiłuje mieć z nimi maximum kontaktów bezpośrednich. Po sowieckiej napaści na Afganistan Biały Dom i Departament Stanu starają się nie zmieniać dotychczasowego stosunku do tych krajów. Ameryka nie objęła więc Europy Wschodniej, to znaczy także i Polski, ograniczeniami, jakie zastosowała do ZSRR. Embargo na zboże nie dotyczy PRL, wymiana handlowa i kulturalna nadal są prowadzone. Prawdopodobnie

jednak sytuacja odbija się na udostępnianiu np. Polsce, czy Węgrom specjalistycznej technologii, o znaczeniu strategicznym. Ale żaden z krajów bloku, poza Rosją Sowiecką nie zabiegał o taką technologię, nie będąc dysponentem w sprawach strategicznych. Koła oficjalne USA mają natomiast nadzieję, że PRL nie podejmie takich kroków w demonstrowaniu solidarności z ZSRR, które zmusiłyby rząd amerykański do zmiany dotychczasowego stanowiska, np. do zastosowania embargo na zboże, również w stosunku do Polski.

Kryzys afgański przypominał jeden specjalny aspekt sytuacji krajów Europy Wschodniej. Zarówno prezydent, jak i środki masowego przekazu oskarżając ZSRR o agresję, podkreślały, że po raz pierwszy Moskwa dopuściła się zbrojnej interwencji poza strefą swoich bezpośrednich wpływów. Ostrość amerykańskiej reakcji na Afganistan przy nieśmiałyach tylko protestach wobec zgniecenia przez Sowietów powstania węgierskiego w r. 1956 oraz wypadków w Czechosłowacji w 1968 r. wskazuje, że dyplomacja amerykańska nadal uznaje postanowienia jałtańskie. Czyni się więc rozróżnienie między strefą wpływów sowieckich i resztą świata, co przypomina tzw. doktrynę Sonnenfelda, o której prezydent Ford i Departament Stanu mówili, że nie istnieje. Niestety w 35 lat po wojnie koncepcja podziału Europy wciąż jest żywa i aktualna. Są szkoły politycznego myślenia, które oczekują, że podział ten będzie obalony w wyniku przemian wewnętrznych ZSRR. Mogłoby być w tym nieco prawdy, gdyby polityka amerykańska śmiało dotykała np. problemów narodowościowych w Związku Sowieckim. Na razie jednak ledwie je tylko muska przez Radio "Swoboda".

A prawa człowieka, ten tak jeszcze niedawno sztandarowy slogan polityki zagranicznej Cartera? Ta dziedzina również nie mogła ostać się przesunięciom sytuacji. Zbigniew Brzezinski utrzymywał, że rzucenie hasła praw człowieka rozchodzi się po świecie kołami. Teraz, jak pisze prasa, weszliśmy w tę sprawę w okres "pragmatyzmu opartego o zasady". Waszyngton będzie nadal krytykował kraje mające rządy autorytatywne, ale tylko te, które są mniej ważne z punktu widzenia jego strategii. Krytyka np. prezydenta Pakistanu gen. Zia-ul-Haq, który na pewno nie jest liberałem i spowodował powieszenie byłego premiera Bhutto, teraz zostanie ściszona. Podsekretarz stanu dla Praw Człowieka, Patricia Derian nadal jednak uważa, że kampania Cartera w tej dziedzinie jest żywa, "choć może straciła ostrze; została rozwodniona". Ale - mówi dalej - są takie okresy, kiedy Amerykanie trapieni problemami politycznymi i gospodarczymi mogą powiedzieć "zapomnijmy o nich /prawach człowieka/, podnieśmy most". To znaczy zajmijmy się swoimi sprawami. Z dużą jednak dozą prawdopodobieństwa można przypuszczać, że program praw człowieka nie uwiednie i powróci.

GOSPODARKA I WYBORY

Z punktu widzenia gospodarczego Stany Zjednoczone znajdują się w dość paradoksalnej sytuacji.

Z jednej strony inflacja osiągnęła 13 % w roku 1979. Nie w każdej jednak dziedzinie. Przede wszystkim w cenie paliwa i obsługi kredytów. Zmalała też wydajność pracowników i samego przemysłu, głównie na skutek niedoinwestowania i nieumowoczenia warsztatów, co jest zjawiskiem dowodzącym niepewności rynku. Z drugiej jednak strony recesja jest minimalna. Wartość produkcji narodowej /GNP/ osiągnęła 1.427 biliona dolarów, ale jak przewidują ekonomiści może się obniżyć o ok. 3 %, aby podnieść się znów w drugiej połowie 1980 r. Bezrobocie pod koniec ubiegłego roku wynosiło 5.9 %, z tym że 3 % uważane jest w USA za bezrobocie normalne, spowodowane ruchami kadr. Liczba bezrobotnych wzrosła prawdopodobnie nieco w br., głównie na skutek redukcji pracowników w przemyśle samochodowym, znajdującym się w okresie przejściowym przestawiania się z produkcji dużych samochodów na małe. Jest to przemysł najbardziej dotknięty następstwami kryzysu paliwa.

Kryzys energetyczny czeka na rozwiązanie. Racjonalizacja benzyny nie jest popularna. Nawet embargo na ropę naftową z Iranu nie spowodowało wprowadzenia ograniczeń. Źródła zastępcze, węgiel i płynne paliwo z węgla, energia słoneczna i powietrzna, szersza produkcja alkoholu jako przymieszki do benzyny nie weszły dotąd w stadium prawdziwej realizacji. Pod tym względem administracja Cartera nie przejawia dostatecznej wyobraźni i determinacji. Państwa OPEC wydrenowały w ubiegłym roku z USA 30 miliardów dolarów za ropę naftową. W tym roku wydrenują więcej. W tym leży główna przyczyna osłabienia tempa życia gospodarczego, inflacji i spadku wartości dolara, którego częste wahania podrywają do niego zaufanie w kraju i za granicą. Kurs jego jest niewątpliwie za niski w stosunku do walut europejskich i japońskiego jena. Ma to jednak także swoje dobre strony:

stwarza koniunkturę na turystykę do Ameryki, poprawia bilans handlowy i ułatwia inwestycje zagraniczne w USA.

Jakie są drogi naprawy obecnego stanu rzeczy? Na pytanie to będzie musiał wkrótce odpowiedzieć Carter jako kandydat na drugą kadencję prezydentury. Wobec sowieckiego zagrożenia i irańskiego kryzysu szanse jego w rozgrywce z senatorem Kennedy znakomicie wzrosły. Kennedy ustawia się jako ultra liberał w okresie kiedy zaznacza się wyraźny zwrot społeczeństwa na prawo ku swego rodzaju konserwatyzmowi. Legenda Kennedych na razie nie wystarcza, a osobista historia i styl życia senatora, nie sprzyjają jego popularności.

A Republikanie? Jest ich jako kandydatów za wielu. Żaden nie reprezentuje dostatecznego ciężaru gatunkowego, poza Jerry Fordem, który twierdzi, że nie jest kandydatem. Może się jednak okazać, że będzie jedynym politykiem, który potrafi zjednoczyć Partię Republikańską. Nie można więc wykluczyć, że będziemy świadkami ponownego starcia dwóch byłych prezydentów i wynik takiego wyścigu jest trudny do przewidzenia.

Bolesław Wierzbiański

Autor jest redaktorem naczelnym "Nowego Dziennika", pisma polonijnego ukazującego się w Nowym Jorku. Przedruk z kwartalnika politycznego "Trybuna" nr 34/90, Londyn 1980 r.

W tym samym dziale kolejny numer ASPEKTU przyniesie następujące artykuły:

- Rowmund PIŁSUDSKI, Na marginesie kryzysu afgańskiego
- Stanisław GOMUŁKA, Gospodarka ZSRR na progu lat osiemdziesiątych
- Jerzy JANKOWSKI, Obserwacje z nad Sekwany

Inspiracje

Mała kontestacja na rykowisku drętwej mowy

"Język propagandy". Opracowali: S. Amsterdamski, A. Jawłowska, T. Kowalik. Zeszyty Towarzystwa Kursów Naukowych. Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1979 r., stron 106.

Dwadzieścia sześć osób inteligentnych, władających sprawnie i nieskazitelnie polszczyzną taką, której nie sposób już uświadczyc w pisanim i mówionym słowie peerelowskich środków masowego przekazu, podjęło wivisekcję języka propagandy. Słowo "wivisekcja" jest może zbyt wiele obiecujące jako określenie tego zeszytu zawierającego referat wprowadzający i surowy zapis dyskusji. Taka decyzja edytorska niefortunnie wpłynęła na tok prezentacji problemu. Wyłączając czystą dokumentację, zawsze lepiej przyjmować za punkt odniesienia porządek spraw w

miejsce chronologii wypowiedzi. Nie wykluczone jednak, że wydawcom chodziło właśnie o czystą dokumentację, o przekaz absolutnie wolny od jakichkolwiek zabiegów redakcyjnych, stanowiących wszak domenę adeptów nowo-mowy, drętwej mowy, trucia, nawijania – słowem: j ę z y k a p r o p a g a n d y.

Referat wprowadzający – "Nowo-mowa: Rekonesans" – podejmuje próbę typologii zjawiska w czterech punktach. Oto fragmenty referatu ilustrujące tę typologię: NOWO-MOWA /s. 4 – 6, podkr. moje/:

1. narzuca wyrazisty znak wartości

"W nowo-mowie elementem najistotniejszym jest narzucanie wyrazistego znaku wartości: znak wartości, prowadzący do przejrzystych polaryzacji nie ma prawa budzić wątpliwości, jego punktem docelowym jest zdecydowanie, nie podlegająca zakwestionowaniu ocena;

Częstokroć oceny, prowadzące do podziałów dychotomicznych, stają się ważniejsze od znaczenia. Znaczenia mogą być niejasne i nieprecyzyjne, oceny zaś – muszą być wyraziste i jednoznaczne. Prowadzi to do zjawiska, które określiłbym jako luźną semantykę. Znaczenie zostaje podporządkowane ocenie: czasem nie jest ważne, co dane słowo znaczy, ważne jest zaś jakie kwalifikatory z nim się wiążą /dobry – zły, nasz – obcy, postępowy – wsteczny itp./: To, co ujawnia się zwykle w wypowiedzi, tutaj występuje już na poziomie języka.

2. Łączy elementy pragmatyczne z rytualnymi

"Nowo-mowa stanowi osobliwą syntezę elementów pragmatycznych i rytualnych. Zmierza ona do silnego i bezpośredniego oddziaływania, podporządkowana jest działaniu, a więc w zasadzie powinna dostosować się do okoliczności, w których funkcjonuje i uwzględniać charakter publiczności, do której się zwraca. Zakładałoby to więc pewną elastyczność, różnie jednak z nią bywa. Przede wszystkim dlatego, że nowo-mowa jest ze swej natury konserwatywna i nie może przyjąć, że choćby jakieś jej elementy uległy zużyciu, a więc utraciły zdolności pragmatyczne. Czynnikiem zasadniczo ograniczającym pragmatyczność jest rytualność, czyli swojego rodzaju wierność sobie i własnym tradycjom, założenie, że – bez względu na okoliczności – granic pewnego języka nie wolno przekraczać. Krótko: rytualność to realizacja założenia, że w pewnych sytuacjach można mówić tak i tylko tak. Istnieją dziedziny czystej rytualności /np. retoryka przemówień rocznicowych/ – do nich względy pragmatyczne w ogóle nie mają dostępu. Cechą charakterystyczną nowo-mowy jest jednak splecenie tych dwu sprzecznych elementów, a ideałem byłby moment, w którym maksymalna rytualność nałożyłaby się na pełną pragmatyczność".

3. dokonuje magicznego zabiegu tworzenia rzeczywistości

"W nowo-mowie wielką rolę odgrywa żywioł magiczności. Słowa nie tyle odnoszą się do rzeczywistości, nie tyle ją opisują, co ją tworzą. To, co zostało autorytatywnie wypowiedziane, staje się rzeczywiste. Funkcje magiczne pełni większość sloganów /w rodzaju "młodzież zawsze z partią"/. Z formalnego punktu widzenia są to wypowiedzi oznajmujące; nie traktowałbyś wypowiedzi wyrażających życzenie jako formuł magicznych w przyjętym tu znaczeniu /nie jest więc taką formułą hasło: "Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej"/. Innymi słowy: magiczność to mówienie o stanach pożądanых tak, jakby one były stanami rzeczywistymi".

4. poddana jest arbitralnemu manipulowaniu

"W nowo-mowie dużo większą rolę niż w innych stylach społecznych grają decyzje arbitralne. Oczywiście i one mają swoje granice: niemożliwe są takie, które kwestionowałyby samą istotę nowo-mowy. Nawet przy tym ograniczeniu jednak sfera arbitralności jest względnie duża. Słowa, formuły, uświęcone wyrażenia z dnia na dzień mogą – sięgam po formułę Zenona Kliszki z 1968 – "być zdjęte z porządku propagandy partyjnej". A potem – dodajmy – również na mocy jednorazowej decyzji

mogą do niej powrócić. Arbitralność wyraża się także w dowolnym kształtowaniu znaczeń. Oglądana pod tym kątem, nowo-mowa jest niewątpliwie manipulowana. Na tę stronę zagadnienia przyciągają uwagę udostępnione niedawno czytającej publiczności dokumenty cenzury".

Uwaga referenta skupiła się przede wszystkim na pierwszej właściwości, zgodnie z Jego przekonaniem, iż stanowi ona właściwość decydującą, diagnostyczną dla analizowanego zjawiska.

Mistrz pisarskiej formy, Hemingway, gdy kiedyś opowiadał o swoim warsztacie stwierdził, iż naprawdę koncentruje się dopiero na redakcji tekstu, a praca ta polega głównie na skreślaniu możliwie największej liczby przymiotników. Odwrotnie w nowo-mowie, przymiotnik pełni funkcję konstytutywną i nigdy przymiotników nie jest za dużo. Fakt ten prawdopodobnie stanowi zasadniczy składniowy wyróżnik nowo-mowy. Nawet wiele pojęć ogólnoludzkich, takich jak demokracja, sprawiedliwość czy praworządność egzystuje tylko łącznie z przymiotnikami: "ludowa", "socjalistyczna".

Język propagandy zapewnia sobie jednowartościowość nie tylko za pomocą przymiotników. Stosuje także peryfrazy, eufemizmy i hyperbole, igra dwuznacznością słów, odwołuje się do języka ezopowego.

Peryfraza jest zastąpieniem nazwy bezpośredniej przez jej omówienie. Np. zamiast powiedzieć "partia" mówi się "przodujący oddział klasy robotniczej" /czy niegdyś, zamiast wymienić nazwisko Tito pisano "łańcuchowy pies imperializmu"/. W moim osobistym odczuciu peryfrazy we współczesnej nowo-mowie zanikają, albo stają się bardziej subtelne. Mam czasami wrażenie kontaktu z peryfrazą, kiedy telewizyjny spiker, o którym nie wiem, czy ma legitymację partyjną czy nie, zamiast powiedzieć "PZPR" mówi "nasza partia". Jednak z lingwistycznego punktu widzenia nie jest to peryfraza. Referent sądzi, iż peryfraza znajduje obecnie szerokie zastosowanie w sytuacjach, o których niezręcznie jest mówić wprost. Np. zamiast powiedzieć "zabójstwo studenta Pyjasa" posługiwano się formułą: "to, co się wydarzyło w Krakowie". To są te ezopowe elementy nowo-mowy. Warto odnotować ich defensywny charakter.

Eufemizmy i hyperbole występują naprzemiennie, w zależności od kontekstu i podmiotu. "Regułę ich występowania – stwierdza referent – można sformułować tak: gdy mowa o własnych kłopotach, a zwłaszcza – o decyzjach /przede wszystkim gospodarczych/, które nie mogą nikogo uradować, występują eufemizmy; gdy mowa o kłopotach przeciwnika, wówczas można się spodziewać serii hiperbol. Po naszej stronie – przejściowe trudności rynkowe, choroby wzrostu itp., po tamtej – ekonomiczny kryzys. W myśl tej zasady u nas nie ma podwyżki cen, jest ich zmiana lub – eufemizm dalej posunięty – korekta, u nich ma miejsce właśnie wzrost cen, inflacja itp. Zasada ta działa w przypadkach odwrotnych: o naszych sukcesach mówi się hiperbolami, o sukcesach przeciwnika – eufemizмами" /s. 17/.

Igranie dwuznacznością znalazło

swój klasyczny /czy może kliniczny?/ wyraz, kiedy w końcu lat sześćdziesiątych używano określenia "rewizjonści" odniesionego do tych, co po całej plejadzie świetnych rewizjonistów od Bernsteina poczynając chcieli naprawiać partię zgodnie z duchem marksizmu. Słowo "rewizjonizm" przyjęło się również wobec występujących w RFN tendencji kwestionowania naszych zachodnich granic. Uzyskanie w odczuciu społecznym zbliżki tych dwu pojęć stawiało "ideologicznych rewizjonistów" na absolutnie straconej pozycji. I o to prawdopodobnie chodziło.

Dyskusja niezupełnie poszła w kierunku wytyczonym przez referenta. Mogło to sprawić wiele przyczyn, tak że - jak sądzę - bardzo profesjonalnie-lingwistyczny /ostrożnie! przymiotniki!/ charakter wprowadzenia. Jeden wątek został podjęty i pogłębiony: magiczna kreacja pseudoreczywistości. W dyskusji uznano, iż kreacja pseudoreczywistości stanowi najwyższy stopień techniki perswazyjnej - można dzięki niemu ominąć zupełnie nieefektywność propagandy w sferze przekonywania.

Większość dyskutantów zastanawiała się jednak przede wszystkim nad społecznymi konsekwencjami języka propagandy. A z tego odniesienia wyniknęły zupełnie nowe sprawy. Dyskutanci wyraźnie podzielili się na takich, którzy uważają, że nowo-mowa jest społecznie obojętna, społecznie szkodliwa, że wreszcie ma charakter obosieczny, jest językiem wzajemnego oszukiwania się, społeczeństwa przez władze i vice versa.

W przekonaniu kilku dyskutantów nowo-mowa jest więc zjawiskiem społecznym obojętnym, egzystuje na marginesie kultury językowej, jest jej wyodrębnionym nurtem i służy zupełnie określonej sferze komunikacji międzyludzkiej. Oto przykłady takiego ujęcia przedmiotu:

"W moim przeświadczeniu sukcesy nowo-mowy są już dziś bardzo nikłe w porównaniu np. z okresem marcowym. Będzie ona coraz bardziej ograniczała swój zasięg działania do bardzo określonych sytuacji. W coraz widoczniejszy sposób jest już odrzucana i będzie odrzucana /.../ przede wszystkim dlatego, że ta jedność moralno-polityczna, która stanowi swoistą bazę nowego języka utraciła w sposób nieodwracalny swoje wyznaczniki charyzmatyczne. Jeśli w ogóle kiedykolwiek je miała w jakichś warstwach ludności, to teraz chyba w żadnych warstwach nie ma tego - że tak powiem - namaszczenia. Nawet w warstwach, które /.../ obowiązane są do wiary w charyzmat. To jest bardzo zasadnicza zmiana sytuacji społecznej, która, w moim przeświadczeniu, ogranicza zasięg oddziaływania tego nowego języka" /J.K., s. 33/.

"Język propagandy pełnił, i miał pełnić inną funkcję w okresie stalinowskim, kiedy podjęto próbę zrealizowania autentycznego modelu społeczeństwa totalitarnego; społeczeństwa, które miało nie tylko udawać, że wierzy w pewne hasła, ale rzeczywiście w nie wie-

rzyć. Inną zaś funkcję pełni w chwili obecnej. Dziś język ten spełnia funkcję 'lipnej mowy', mowy, w którą nikt nie wierzy, nikt nie ma wierzyć, funkcję czegoś, co można by nazwać kamuflażem /.../ To, że język propagandy przez część ludzi traktowany jest niepoważnie, z przymrużeniem oka, przez część ludzi traktowany jest jako konieczny rytuał wywołany przez warunki, w których żyjemy, to jest chyba nasza szansa, a nie nasza słabość" /I.J., s. 63-64/.

Chociaż na sali nie było ostrych starć polemicznych, w znacznej większości wypowiedzi akcentowano społeczną szkodliwość, wręcz zagrożenie wartości narodowych przez nowo-mowę. I tu zilustrujemy pogląd oryginalnymi tekstami:

"Ten język ma chyba głównie na celu rozbrojenie intelektualne, moralne i psychiczne społeczeństwa. I to robi właśnie dobrze. To właśnie, że jest nieokreślony, że operuje właściwie jedną tylko skalą wartości, które się odnoszą do niezbyt skonkretyzowanych zjawisk lub rzeczy i to, że wszelka informacyjna treść jest tu nieprecyzyjna, ma chyba na celu wytwarzanie u ludzi nawyku posługiwania się językiem bezmyślnie, w sposób zautomatyzowany /.../ Celem nowo-mowy jest odzwyczajanie ludzi od myślenia, od precyzowania pytań, od szukania odpowiedzi, wpojenie im przekonania, że w ogóle nie warto tego robić. Nie jest tak, że ta propaganda nie ma żadnego znaczenia, nie odnosi sukcesów. Społeczeństwo /.../ jest rzeczywiście obojętne. Społeczeństwo jest świadomie namawiane do niemyślenia i społeczeństwo całkiem nie chce myśleć" /A.B., s. 48/.

"Język perswazyjny /.../ kompromituje się łatwo w zderzeniu z wydarzeniami bieżącymi, w konfrontacji z potocznym doświadczeniem. Natomiast wtedy, gdy dotyczy przeszłości, gdy mówi się nim o historii, o procesach czy też o mechanizmach społecznych /.../, jest on po prostu językiem jedynym. Wystarczy spojrzeć na wypracowania szkolne, czy posłuchać studentów pierwszych lat, żeby się przekonać, że inaczej mówić nie umieją. I nawet zdając sobie z tego sprawę, że coś tu nie jest tak, i nie wierząc w to, czego ich nauczono w szkole, po prostu nie potrafią zinterpretować inaczej żadnych wydarzeń z przeszłości, ani żadnych bieżących zjawisk społecznych, jednym słowem, żadnych rzeczy bardziej ogólnych, wykraczających poza sferę prywatności, poza codzienność. Wraz z wyparciem normalnego języka nastąpiła tu w ogóle eliminacja zainteresowania całym obszarem wydarzeń, dotyczących naszej tradycji, historii i w związku z tym znaczne obniżenie kultury ogólnohumanistycznej i politycznej. Jeśli ma się kontakt z ludźmi młodymi, jest to przecież ewidentne. /.../ Ta sytuacja wydaje mi się bardzo groźna. Trzeba się przyjrzeć temu dokładniej. Bo to jest - powtarzam - eliminacja całych obszarów spraw ze świadomości młodych ludzi" /S.T., s. 69-70/.

"...zniszczeniem daleko istotniejszym jest to, co się dzieje w społeczeństwie. Przypominam co znaczy 'mowa-trawa'. Otóż nie jest to tylko określenie nowo-mowy. To jest słowo na określenie wszystkiego, co ma choćby pozory powagi, a więc także tego, co

mogłoby być poważne i co jest w intencji poważne. Jest to zniszczenie wszystkiego, co wykracza poza możliwość ot, takiego sobie pogadania. Jest to zniszczenie możliwości mówienia o ideałach, bo ideały są również mową-trawą" /D.E., 56-57/.

"Zadanie inteligencji może polegać na odbudowie umiejętności mówienia o wartościach. Wszelkie mówienie o wartościach jest zanieczyszczone. Sfera wzniosłości i wartości, coś co jest nieodzowne i bardzo cenne w języku ludzkim, zostaje zawężona. Ludzie nie umieją mówić na pewne tematy w sposób zaangażowany. Odbudowa tej umiejętności, danie własnym przykładem wzoru mówienia o wartościach, i oczywiście słuchania im, jest zadaniem inteligencji. Stoi ono przed nami" /F.G., s. 80-81/.

Wreszcie ostatni z wyodrębnionych w tym omówieniu nurtów dyskusji, obustronne oszukiwanie się władzy i społeczeństwa przy użyciu języka propagandy, najlepiej ilustruje poniższa wypowiedź:

"Te wszystkie eufemizmy, ogólniki, jakie kieruje się do społeczeństwa, potem od społeczeństwa wracają. Działanie jest tu dwustronne i dwustronnie trzeba je oceniać. Jeśli społeczeństwo tak rozmawia z władzą, to znaczy że jest tej władzy posłuszne, uległo jej językowi. Z drugiej jednak strony, na ile władza oszukuje tak mówiąc, na tyle też jest oszukiwana wtedy kiedy się zwracają do niej. /.../ Bo posługiwanie się taką mową jest w interesie ludzi mówiących, nie tylko kierowników czy dyrektorów, ale - dla przykładu - nauczycieli, kiedy mają zreferować, jaka jest sytuacja w klasie, czy jaką część programu przerobili. To jest zjawisko szalenie powszechne. I nie wiem, czy jak państwo piszą jakieś sprawozdanie, to czy też się tak nie wykręcają" /N.O., s. 47/.

Dyskutanci nie dociekali genezy nowo-mowy. Pozostawiając na boku impresje orwellowskie /w końcu nowo-mowa została powołana w "Roku 1984", przydatne bardziej dla pobudzenia wyobraźni, niż jako instru-

ment rzeczowej analizy, w istocie trudno zrozumieć sens s o c j o t e c h n i c z n y języka propagandy w s p ó ł c z e s n i e, skoro poza tworzeniem barier obłudy, pozorowaniem lojalności, nieudolnym maskowaniem krzyżującej z każdego kąta p r a w d y rzeczywistości - nowo-mowa nie daje rządzącym literalnie niczego. Jeden z dyskutantów doskonale, jak mi się wydaje, uchwycił istotę tego procesu, jakim nowo-mowa podlega w systemie dyktatury ideologicznej:

"Wszystko zaczyna się od walki. Z walki powstaje pewien rytuał, powstaje też pewna sfera kultu, ofiary - religia. Według żadnej teorii Rene Gorarda następują również czasem kryzysy ofiarnicze: rytuał jest dobry, póki jest nieświadomiony. W pewnym momencie ludzie uświadamiają sobie jego nieczystość - pragmatykę. Ofiara staje się wówczas nieczysta, a przecież przestrzeganie czystości ofiarniczej jest w kultach momentem zasadniczym. Wskutek "zabrudzenia" ofiary czar pryska i następuje właśnie kryzys ofiarniczy. Nagle cały porządek społeczny się wali. Kryzysy ofiarnicze są co jakiś czas nieuchronne, rytuał bowiem się zużywa. Pewien element racjonalizmu, silniejszy w społeczeństwie polskim w porównaniu ze społeczeństwem rosyjskim, które było bardziej mistyczne, bardziej religijne w sensie pogańskim, prymitywnej religijności, sprawia, że u nas ten kryzys jest również silniejszy i bardziej powszechny. Większa jest wobec tego szansa zerwania z tym nieczystym kultem, ale zarazem i bardziej możliwy zanik wszelkiej ideologii, rozwój cynizmu. To właśnie widzę jako wielkie niebezpieczeństwo, a konieczność odbudowy jakiejś prawdziwej ideologii - jako zadanie dla inteligencji" /F.G., s. 81-82/.

Nic dodać, nic ująć:

/Prezentował A.M./

W tym samym dziale kolejny numer ASPEKTU przyniesie następujące omówienia:

- Deklaracja Ideowa Ruchu Młodej Polski
- Raport DiP o stanie Rzeczypospolitej

Tu DWÓJKA! Czytacie DWÓJKĘ!

Przy świecy na 20-ym stopniu zasilania

PRELUDIUM

Do 1974 r. moc zainstalowana elektrowni - wynosiła ona wówczas 19,130 megawatów - była dość dobrze zbilansowana z zapotrzebowaniem na energię elektryczną. Pierwsze kłopoty zaczęły się w 1975 r., rok później po raz pierwszy doniosła o nich "Trybuna Ludu" /9 - odesyłać do piśmiennictwa na końcu artykułu/. W obszernym artykule w gruncie rzeczy zlekceważono ostro rysujący się problem, potraktowano go jako typowe "trudności wzrostu". Położono akcent na dużą dynamikę dochodu narodowego /wówczas ok. 10 % rocznego przyrostu/, za którym energetyka "nie nadąża" /u nas przecież zawsze coś nie nadąża.../. Uspokajano opinię perspektywą szybkiego nadrobienia opóźnień głównie poprzez sięgnięcie do rezerw, jakie

tkwią w zróżnicowaniu technologii produkcji tak energochłonnych wyrobów, jak m.in. surowka żelaza, amoniak, cement, szkło czy papier. Deficyt mocy w tym pierwszym roku kryzysu energetycznego wynosił 271 megawatów i stanowił 1,4 % mocy zainstalowanej. Po czterech latach deficyt wzrósł do 2,816 megawatów /7/ i stanowił już 11,8 % mocy zainstalowanej. Co się stało?

Najogólniej biorąc trzy przyczyny złożyły się na obecny kryzys energetyczny: spadek tempa przyrostu mocy, niekorzystne proporcje między mocą zainstalowaną a dyspozycyjną, wreszcie utrzymywanie się wysokiego wskaźnika energochłonności gospodarki.

1. TEMPO PRZYROSTU MOCY

Ogólną regułą rozwoju energetyki w świecie jest jego prosty związek z dynamiką dochodu narodowego: moc zainstalowana musi wzrastać proporcjonalnie do założeń dynamiki dochodu narodowego, w przypadku przeciwnym stanie się jej ogranicznikiem. Jeżeli weźmiemy dwa porównywalne okresy: 1966-70 i 1971-75 okaże się, że w pierwszym z tych okresów moc zain-

przerwywniki muzyczne dowolne

stalowana wzrosła o 4.219 megawatów, tj. o 43,6 %, w drugim natomiast o 6.166 megawatów, tj. o 44,4 % /10, s. 176; 11, s. 203; 12, s. 359 - przeliczenia moja/. Równocześnie oba te okresy różniły się w zasadniczy sposób dynamiką wzrostu dochodu narodowego: pierwszy był okresem "gomiłkowskiej stagnacji", drugi - "gierkowskiego przyspieszenia". Różnica w średniorocznym tempie przyrostu dochodu narodowego wynosiła 4 % na korzyść drugiego okresu i była to różnica ogromna. Natomiast różnica w tempie przyrostu mocy zainstalowanej w elektrowniach wynosiła zaledwie 0,2 %.

Cykl inwestycyjny w energetyce jest stosunkowo długi, w każdym razie w ciągu 4-5 lat buduje się u nas elektrownię bez zadyszki, "zielonych światła" i specjalnych priorytetów. Szczegółowa analiza przyrostu mocy zainstalowanej po 1970 r. wykazuje, iż od 1973 r. tempo przyrostu obniżało się z roku na rok. Potem dopiero - z reportażu Kuśmierka /3/ dowiedzieliśmy się o wstrzymaniu prac przy budowie dwu wielkich elektrowni /zacznie 7 tys. MW/: "Górna Odra" i "Połaniec". Absolutnie najniższy przyrost mocy odnotowano w 1976 r. - 2,1 % wobec średniorocznego przyrostu z poprzedniego 5-lecia, który wynosił 8,9 %. Była to już zapowiedź ostrego kryzysu, deficyt osiągnął bowiem rozmiary przekraczające średnioroczną faktyczną zdolność instalowania nowej mocy. Deficyt w 1978 r. był już ponad dwukrotnie większy niż w 1977 r. i nie było już nadziei na poprawę sytuacji. Katastrofa nastąpiła w styczniu 1979 r. Jak wiadomo przypisano ją złośliwościom losu i określono mianem "klęski żywiołowej". Szczególnym zbiegiem okoliczności istotnie padał wówczas śnieg.

Wszystko, co zostało tu przedstawione jest wynikiem ewidentnych błędów w planowaniu i decyzjach wykonawczych. W 1971 r. nowa ekipa podejmując decyzję o przyspieszeniu rozwoju gospodarczego kraju musiała w każdym razie przewidzieć, że w przyszłości będzie potrzebna nowa moc energetyczna. Biorąc pod uwagę cykl inwestycyjny, najpóźniej w końcu 1976 r. powinno było nastąpić zbilansowanie mocy z zapotrzebowaniem. Nie tylko nie nastąpiło zbilansowanie, ale kryzys pogłębiał się dalej. Na serio zajęto się energetyką dopiero jesienią 1979 /2, 14/. O dziewięć lat za późno.

2. MOC ZAINSTALOWANA A MOC DYSPOZYCYJNA

Żaden system gospodarczy nie dysponuje taką mocą, jaka jest zainstalowana w jego elektrowniach. Moc dyspozycyjna w okresie awaryjności systemu energetycznego oraz straty w sieci. Straty i awarie występują w każdej bez wyjątku działalności gospodarczej, pod każdą szerokością geograficzną i w każdym systemie społeczno-politycznym. Problem sprowadza się do proporcji. U nas proporcje te są wybitnie niekorzystne i pogarszają się nadal.

Straty w sieci wynosiły w 1960 r. 2.800 kWh i stanowiły 9,5 % wyprodukowanej energii elektrycznej. Po 18 latach straty te wynosiły już 11.019 mln. kWh i stanowiły 9,6 % wyprodukowanej energii /12, s. 185/. Wzrosły nie tylko bezwzględnie, co byłoby zrozumiałe, zgodne z ogólną prawidłowością - ale wzrosły także proporcjonalnie. A to już świadczy o zupełnym zaniedbaniu infrastruktury energetycznej. Nie dysponujemy danymi porównawczymi na temat rozmiarów strat w sieci w różnych krajach, ale z "półświadek", że zdaniem wtrąconych mimochodem wynika, że u nas są wyższe. Mówi np. wiceminister energetyki, L. Tymniński: "Straty sieciowe sięgają u nas 10 % wyprodukowanej energii elektrycznej. O dużo za dużo, inni są od nas lepsi" /15/. Wiadomo również, że nasza sieć ma niskie wskaźniki zagęszczenia i niskie parametry "przewodowości" wskutek używania przewodów o małym przekroju, nadto wykonanych z gorszego materiału /8/. Pikantrym kontrapunktem strat w sieci jest zużycie energii elektrycznej we wszystkich mieszkaniach łącznie z gospodarstwami chłopo-robotników. Kiedy sprawa kryzysu energetycznego zaczęła być głośna, prasa pisała o milionach telewizorów, lodówek, pralek, mikserów, które żrą prąd, rzucano hasło "Wyłącz zbędną żarówkę" etc. Tymczasem całe tu zużycie jest znacznie niższe od strat w sieci. W 1978 r. wyniosło 9.177 mln kWh /a więc o 1,842 mln mniej/ i stanowiło 8 % krajowego zużycia energii elektrycznej. Oczywiście "zbędną żarówkę" należy wyłączyć, ale nie dajcie się zwariować kiedy Wam wmawiają, że od tego

zależy bilans energetyczny kraju! Bilans ten zależy wyłącznie od ludzi, którzy planowali i podejmowali decyzje inwestycyjne w energetyce.

Na temat spadku mocy dyspozycyjnej wskutek a w a r i i niewiele wiadomo. Prasa zawiadomi na pierwszej stronie o wyprodukowaniu ponad plan 300 nocników, ale awaria energetyczna musi być głośnym skandalem, żeby doczekała się wzmianki drobnym drukiem. Z wystąpienia J. Szydłaka w Sejmie /14/ dowiedzieliśmy się, że szczególne nasilenie awarii nastąpiło we wrześniu 1979 r. i powodowało spadek mocy dyspozycyjnej rzędu 2 - 2,5 tys. megawatów dziennie, co stanowi ok. 9-10% mocy zainstalowanej. Dodajmy do tego straty w sieci i planowe wyłączanie bloków do remontu a okaże się, że system energetyczny - bez "żywiołowej klęski" - okresowo dysponuje niespełna 80-procentami zainstalowanej mocy, w której i tak już jest ogromny deficyt. "Dały o sobie znać - powiedział Szydłak - istotne zaniedbania w systemie eksploatacji". Czy u nas wszystko musi "dawać o sobie znać", kiedy się już rozkłada?

Do tego dochodzą jeszcze skutki zaniedbań powstających poza energetyką, przede wszystkim w transporcie. Węgiel dostarczony za późno, także węgiel zbyt niskiej jakości mogą drastycznie obniżyć moc dyspozycyjną systemu energetycznego. W styczniu 1979 /.../ był dzień - pisał publicysta "Polityki" - kiedy mieliśmy w sieci niewiele ponad 10 tys. MW /8/. Stanowiło to wówczas ok. 42 % mocy zainstalowanej...

3. ENERGOCHŁONNOŚĆ GOSPODARKI NARODOWEJ

Dla wytworzenia tego samego produktu można zużyć różną ilość energii elektrycznej, co zależy od technologii. Statystyka informuje nas, że energochłonność produkcji globalnej w przemyśle spada /z 41,1 kWh na każde tysiąc zł wartości w 1970 r. do 34,8 kWh w 1978 r. - 13, s. 323/ co jest objawem pomyślnym, zgodnym z tendencjami w świecie. Mimo to wskaźnik energochłonności jest w PRL astronomicznie wręcz wysoki, co potwierdził również J. Szydłak: "...na jednostkę dochodu narodowego zużywa się w Polsce energii o połowę więcej niż w W. Brytanii, prawie trzykrotnie więcej niż we Francji" /14/. Dodajmy, że przemysł brytyjski jest na tle zachodniej Europy bardzo przestarzały technologicznie.

Wspomnieliśmy na wstępie - za "Trybuną Ludu" - iż kiedy pojawiły się pierwsze trudności energetyczne pokładano nadzieję w rezerwach, jakie tkwią w technologii. Dziś już wiadomo, że w skali bieżącej 5-latk bardzo skromny plan - 6 % obniżenia energochłonności - będzie zrealizowany zaledwie w 65 % /4/. Równocześnie bowiem rozwijały się - jak gdyby pokryciu w energię nic nie zagrażało - wybitnie "pradożeńcze" technologie w produkcji cementu /1/ i aluminium /7/. Należy również zwrócić uwagę na bardzo wysokie wskaźniki zużycia stali w całej gospodarce, zwłaszcza w budownictwie przedstawionym na technologii wielkopłytywą - a stal jest produktem wybitnie energochłonnym, o wskaźniku blisko 2-krotnie wyższym od średniej w całym przemyśle. Wielu publicystów zwracało i nadal zwraca uwagę na brak zainteresowania przemysłu zarówno obniżaniem zużycia materiałów, jak i energii elektrycznej. Zainteresowanie takie zależy wyłącznie od funkcjonowania systemu gospodarczego. Wracamy więc znów do decydentów szczebla centralnego.

SKUTKI DORAŻNE I DŁUGOFALOWE

W 1978 r. deficyt mocy spowodował, iż przez 316 dni stosowano wyłączenia prądu /8/, a z wyłączeń tych wyniknęły przymusowe przestoje w produkcji. Ich koszt - tylko w roku 1978 - szacuje się na 28 miliardów zł /5, 6/. Straty w 1979 r. nie zostały ogłoszone, ale szacuje się je na kwotę blisko 10-krotnie wyższą - 271 miliardów zł /1/. Nawet jeśli oszacowania te są zawyżone o połowę, to i tak oznaczają, że w ciągu 2 lat gospodarka straciła bezpowrotnie kwoty, za które można było zbudować o s i e m e l e k t r o w n i klasy "Połaniec", niemal podwoić moc zainstalowaną i wejść do światowej czołówki producentów energii elektrycznej. Takie są skutki dorażne błędnych decyzji.

Skutki długofalowe zasygnalizowane zostały w wyciecznych KC na VIII Zjazd PZPR, oczywiście nie wprost. Teza nr 39 zakłada tempo rozwoju dochodu narodowego na lata 1981-85 w granicach 2,8 - 3,6 % rocznie /16, s. 25/, wzrost dochodów realnych ludności - ok 2 % rocznie /16, s. 22/. Są to absolutnie najniższe założenia, jakie kiedykolwiek na przestrzeni 35 lat for-

mułowane. Dziś jeszcze trudno do tego się odnieść. Jest faktem, że nawet jeśli nie zostaną skorygowane w dół /bo w górę na pewno nie/ późniejszymi decyzjami - zwiastują wejście polskiej gospodarki w fazę zastoju.

Styczeń 1980 r.

J.H.

P i ś m i e n n i c t w o /1/ S. Albinowski, Gdzie rodzi się efektywność, Kultura 1980, 1, 25 /2/ Energetyka: program nie tylko dla nas, Życie Gosp. 1979, 44, 3/ J. Kuśmierz, O czym wiedzieliśmy, Krytyka 3, 4/ J. Kwiek, Produkować czy oszczędzać? Życie Gosp. 1980, 4, 5/ A. Magdoń, Co zrobić, żeby było jaśniej? Życie Lit. 1979, 46, 16/ Cz. Mejro, Kontrapunkt kilowata, Kultura 1978, 44, 7/ A. Mozołowski, Wyjść z dołka, Polityka 1979, 49, 8/ A. Paszyński, System się broni, Polityka 1979, 10, 9/ Polemiki i dokumentacje, KiW 1977, 10/ Rocznik Statystyczny 1969, 11/ J.W. - 1975, 12/ J.W. - 1979, 13/ Rocznik Statystyczny Przemysłu 1979, 14/ J. Szydłak, Informacja rządu o sytuacji w energetyce..., Trybuna Ludu z 26.10.1979, 15/ L. Tyminski, Ciepło, ciepło..., Kultura 1979, 9, 16/ Wytyczne KC na VIII Zjazd PZPR, październik 1979.

Jasnogórskie podkopy

Problem przejścia podziemnego w Częstochowie był niejednokrotnie poruszany na łamach prasy, zresztą nie tylko niezależnej. Po ostatnich ustaleniach jakie podjęto podczas spotkania Episkopatu z władzami centralnymi - sprawa wydaje się zakończona. Jak wynika z komunikatów podanych przez oficjalne środki masowego przekazu przyjęto rozwiązanie kompromisowe. Ostatecznie więc przejście podziemne w środkowej części Alei Najświętszej Marii Panny, na wprost klasztoru - nie będzie. Wykonane zostaną natomiast dwa tunele po obu stronach wspomnianej arterii, a więc pod ulicami Pułaskiego i Starucha.

Obecnie kontynuowane są prace przy kopaniu głównego tunelu przez środek Alei NMP. Wojewódzkie władze partyjne przyznają, że przejście w pierwszej wersji /przez środek Alei NMP/ nie będzie. Jednocześnie jednak nie kryją, że mimo zobowiązujących ustaleń roboty wykonana się w taki sposób, aby w każdej chwili tunel przy niewielkich przeróbkach można było uruchomić /czyli przez środek Alei/. Tak więc czekać się będzie "na dogodny moment", "aż ludzie zmądrzeją" /cytuje słowa sekretarza KW PZPR Jana Skupina/.

Jasna Góra - zabytkowy zespół klasztoru klasy zerowej, znany z bohaterskiej obrony podczas potopu szwedzkiego, symbol polskości i religii katolickiej, miejsce, w którym najznakomitsi Polacy pozostawiali wota wdzięczności Matce Bożej - od dawna jest "solą w oku" władz.

W latach pięćdziesiątych, aby zrównoważyć "ciężenie klasztoru" wybudowano w Częstochowie drugą wtedy co do wielkości w Polsce hutę im. Bolesława Bieruta. Naprzeciw wieży Jasnogórskiej stanęły kominy kombinatu od ponad dwudziestu lat zadymiające miasto, a szczególnie dzielnicę Raków. Mimo działań mających na celu stworzenie z Częstochowy ośrodka przemysłowego i - na siłę - miasta o tradycjach rewolucyjnych /popiersie Dzierżyńskiego przy zakładach "Warta"/ nie udało się zmniejszyć jej znaczenia jako miejsca kultu maryjnego. Nadal do klasztoru masowo ciągną pielgrzymki wiernych i turystów. Ich liczbę w ciągu roku szacuje się na kilka milionów.

To przywiązanie narodu do Jasnej Góry wytworzyło we władzach miejskich, a później wojewódzkich swoisty kompleks. Katolicy są tu "specjalnie" traktowani. Znane są ogólnie przypadki ludzi, którzy musieli opuścić zajmowane stanowiska tylko dlatego, że oni sami, czy też ich rodziny, chodzili do kościoła.

W mieście mówi się też o tym, że usuwani byli "ze stołków" kierownicy, czy dyrektorzy, którzy przyczynili się do zmiany nawierzchni wapiennych uliczek wokół Jasnej Góry. Rejon ten ma bowiem na zawsze pozostać dzielnicą ostatniej kategorii.

Symptomatyczne jest również, że w miejscowym Muzeum Okręgowym nie ma pamiątek dotyczących obrony klasztoru w czasie najazdu Szwedów, ani innego typu eksponatów z tego okresu. Częstochowa, mając niebawem szansę i możliwości skompletowania unikalnego nie tylko w kraju zbioru, pozbyła się poszczególnych eksponatów, które obecnie znajdują się częściowo w Muzeum w Kielcach.

Wyjątkowo została potraktowana przez władze re-

gionu wizyta polskiego Papieża. W różny sposób starano się zakłócić Jego pielgrzymkę. Przez pierwsze dwa dni chełpiono się na przykład tym, że do miasta nie przybyło wcale tak wielu pątników. Jak się później w Częstochowie mówiło, mniejsza niż się spodziewano ich liczba spowodowana była "szczególnymi" środkami ostrożności podjętymi przez milicję. I tak, na kilka lub kilkanaście kilometrów przed wejściem do miasta, grupy wiernych były zatrzymywane przez funkcjonariuszy MO. Milicjanci wyjaśniali, iż droga, którą podążają pątnicy, jest zablokowana przez pojazdy oraz ludzi i przejście dalej będzie niemożliwe. Wskazywano przy tym trasy rzekomo bardziej wygodne. W rzeczywistości prowadzące do nikąd.

Trzeci dzień pobytu Ojca Świętego nie przyniósł satysfakcji miejscowym władzom. Tłumy zgromadzone wzdłuż trasy przejazdu i u stóp Jasnej Góry liczone w setki tysięcy.

Wizytę Jana Pawła II poprzedziło spontaniczne udekorowanie przez mieszkańców domów i ulic. Portrety Papieża, ołtarze Matki Boskiej i Chrystusa, flagi watykańskie i narodowe widniały w wielu oknach i balkonach nie tylko wzdłuż trasy przejazdu w Śródmieściu lecz również w nowych dzielnicach.

Z akcją przeciwko Karolowi Wojtyłe wiąże się bezpośrednio sprawa przejścia podziemnego. Według komunikatu wywieszonego w Sali Rycerskiej klasztoru jasnogórskiego decyzja o jego budowie zapadła 29 czerwca 1979 roku w uroczystości św. Piotra i Pawła, a więc zaraz po odejściu Papieża. Była niejako swoistą odpowiedzią władz na jego obecność w Częstochowie.

W tym miejscu wypada się zastanowić jaki jest sens poruszania raz jeszcze problemu przejścia podziemnego wobec wspomnianego na wstępie potwierdzenia o zakończeniu sprawy. Uważam, że mimo tego istnieje potrzeba rzetelnego wyjaśnienia tej kwestii.

Sądzę, że nowe światło na problem rzuci ujawnienie do tej pory nie publikowanego zdarzenia - poufne spotkanie u pierwszego sekretarza KW PZPR w Częstochowie - Włodzimierza Kosmala.

Miało ono miejsce w roku ubiegłym jeszcze przed wizytą Papieża. Towarzysz Kosmała poinformował zebranych o zmianach w układzie komunikacyjnym miasta. Na pozór mogłyby się one wydawać wcale nie antyklerykalne. Jednakże Kosmała nie ukrywał wcale prawdziwych intencji.

Stwierdził on, że istotą sprawy jest to aby utrudnić pielgrzymom dojście do Jasnej Góry. Jego wypowiedź brzmiała mniej więcej tak: potniemy Aleję na odcinki, jeśli jednak mimo tego pątnicy przejdą, to jeszcze przed klasztorem każemy im wejść pod ziemię.

Faktycznie, w niedługim czasie systematycznie podporządkowywano Aleję NMP ulicom bocznym, co szczególnie dotkliwie odczuli kierowcy. Dokonania tego rodzaju zmiany na odcinkach między ulicami Dąbrowskiego i Kilińskiego po jednej stronie Alei NMP oraz Nowowiejskiego i Modzelewskiego po drugiej. W miejscu tym bardzo często od tej pory miały miejsce wypadki samochodowe. Zmusiło to z kolei drogowców do zainstalowania świateł na wspomnianych skrzyżowaniach.

Nie będę powracał do sprawy odkładanego przez władze spotkania biskupa częstochowskiego z wojewodą, które miało na celu ewentualne porozumienie się w kwestii rozpoczętej budowy tunelu. Chciałbym natomiast raz jeszcze zwrócić uwagę na zasadnicze wady wspomnianego rozwiązania.

Po pierwsze: zdaniem architektów i historyków sztuki wykonanie tego rodzaju tunelu byłoby naruszeniem jedynego w Polsce i unikalnego w skali światowej układu urbanistycznego - przyporządkowania Alei NMP z całym ciągiem handlowym i mieszkalnym świątyni jasnogórskiej. Z tych właśnie względów oraz z uwagi na parki pod wzgórzem klasztornym, które musiałyby częściowo ulec zniszczeniu podobna propozycja została odrzucona przez planistów w okresie tuż po wojnie.

Po drugie: oczywistym jest, iż przejście podziemne stanowi zasadnicze utrudnienie dla pątników. Przy dużych bowiem, kilkudziesięciotysięcznych pielgrzymkach tunel szerokości 10 metrów, a w przypadku dwóch fal ludzkich idących do klasztoru i powracających z niego zmniejszający się do 5 metrów, byłby dodatkowym utrudnieniem powodując jeszcze większy tłok i znacznie wydłużając czas przejścia.

Po trzecie: nieprawdą jest, jakoby w tym właśnie miejscu często zdarzały się wypadki drogowe przez co koniecznym byłoby wykonanie przejścia, jak sugerowano w lokalnej prasie. Okazuje się, że jakiegokolwiek

tego typu rozwiązanie komunikacyjne w tym rejonie jest po prostu niepotrzebne.

Częstochowscy taksówkarze stwierdzają, że znacznie bardziej celowym byłoby wykopanie tunelu na skrzyżowaniu Alei Wolności i Kościuszki z Alejami NMP, które rzeczywiście jest jednym z najbardziej ruchliwych miejsc w Częstochowie.

Jeszcze jednym dowodem potwierdzającym bezsens przedsięwzięcia jest treść komunikatu PAP, w którym to informuje się, że poszerzenie jezdni ulicy Pułaskiego od skrzyżowania z Alejami NMP jest tylko rozwiązaniem tymczasowym, ponieważ rozpoczęto już budowę nowej obwodnicy, przebiegającej za Jasną Górą.

Nie można wykluczyć, że decyzja o zaprzestaniu budowy ma charakter tymczasowy, uzależniony od aktualnej sytuacji politycznej. Jest w każdym razie faktem bezspornym, iż tylko zawdzięczając zdecydowanemu działaniu Episkopatu, społeczeństwa, ośrodków polonijnych i niezależnych ugrupowań demokratycznych - możliwa była zmiana zamierzeń partyjno-rządowych. Jest to jeszcze jeden znamieny fakt, świadczący dowodnie, iż tylko postawy aktywne mogą przynieść realne, wymierne rezultaty. Nadszedł czas, aby jakowe narzekania i beznadziejne biadolenia zmieniać w czynne przeciwstawianie się złu, wszędzie tam, gdzie ono występuje.

PRZESTRZAŁ

Polacy nie gęsi?

"A niechaj narodowie wždy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają"

/Mikołaj Rej - XVI wiek/

Ukazała się ostatnio pouczająca książka, traktująca o życiu i czynach Bohatera PRL, szynnego komunisty, legendarnego generała "Waltera" - Karola Świerczewskiego /Tadeusz Płaskowski, "Życia akord ostatni", Wydawnictwo KAW, Warszawa 1979 r./.

Z prawdziwym wzruszeniem przeczytałem na str. 197 iż: "Charakterystyczny dla Świerczewskiego jest pewien szczegół z jego życia, któregoś mówiący o jego patriotyzmie i tęsknocie za Polską. Opowiadał kiedyś pułkownikowi Michałowi Kaseji, że będąc w pewnym okresie swego życia na Syberii wychodził w tajemę i głośno recytował po polsku całymi godzinami "Pana Tadeusza". "Wiesz Michale po co to robiłem? Kontrolowałem w ten sposób swoją polszczyznę. Kilku-setletnie drzewa syberyjskie odpowiadały echem i służyły jako coś w rodzaju magnetofonu. W ten sposób sprawdzałem swój ojczysty język".

Zaledwie osiem stron dalej zostały zamieszczone fotokopie korespondencji Bohatera:

- manuskrypt notatki gen. Świerczewskiego do marszałka Roli-Żymierskiego z 9.V.1945 r.,
- manuskrypt notatki gen. Świerczewskiego do Gomułki, Bermiana, Minca, Zawadzkiego z 10.V.1945 r.,
- manuskrypt notatki gen. Świerczewskiego do marszałka Roli-Żymierskiego z 10.V.1945 r.,
- manuskrypt notatki gen. Świerczewskiego do gen. Spychalskiego z 10.V.1945 r.,
- manuskrypt notatki gen. Świerczewskiego do gen. Korczyca z 10.V.1945 r.,
- manuskrypt notatki gen. Świerczewskiego do Prezydenta Bieruta z 10.V.1945 r.

Treść notatek dotyczy przyjacielskich, partyjnych pozdrowień i życzeń związanych z końcem wojny. Cała ta korespondencja prowadzona jest... w języku rosyjskim!

Tak więc generał Ludowego Wojska Polskiego, dowódca II Armii LWP, pisze do marszałka, głównodowodzącego LWP, do I sekretarza PPR, do ministrów, generałów, a nawet do Prezydenta PRL - po rosyjsku.

Po przeanalizowaniu problemu wydałem swemu Synowi polecenia w języku rosyjskim, listy do przyjaciół napisałem po rosyjsku, w sklepie zażądałem krwawej kieszki po rosyjsku, a następnie usunąłem z domu książki niejakiego Mikołaja Reja, który jako szlachcic miał tylko ludziom w głowach.

Oset

P.S. Frapuje mnie tylko jeszcze problem tego magne-

tofonu, który pożorowały syberyjskie drzewa. Jeśli historycy techniki potwierdzą, że wszedł on w użycie, jak sądzę, znacznie później, niż miały miejsce syberyjskie spacerki Bohatera, może uda się uznać Świerczewskiego prekursorem nowoczesnej techniki utrwalania dźwięku, ku chwale ojczystej mowy polskiej.

Kosztowne pieszczochy

Nie znam się na produkcji filmów, nie wiem co i ile musi kosztować, nadto jestem nawet skłonny rozumieć, że twórcy filmowi mają prawo do eksperymentowania, że nie trzeba zaraz rozdzierać koszuli, jeśli ktoś nakręci arcydzieło, a mimo to w kasie będzie kłapa. Są jednak pewne ogólne reguły gry oczywiste dla wszystkich i jeśli te reguły przystawi się do praktyk łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych, muszą skłaniać do zadumy.

Otóż w rozliczaniu twórców filmowych obowiązuje wielce osobliwa zasada, iż wynagrodzenia ich pozostają w stosunku prostym do kosztów produkcji. Rozumie się tu zapewne wedle schematu: wysokie koszty realizacji to wielkie dzieło, za wielkie dzieło zaś należą się twórcom wielkie pieniądze.

Trzeba mieć zaiste światobliwą wiarę w nieskazitelną naturę człowieka aby wierzyć, iż dając człowiekowi do ręki kławy i legalny instrument zwielokrotniania zarobków, będzie czynił z niego użytkownika i tylko w granicach obiektywnej konieczności. W potocznych relacjach władza-społeczeństwo nie ma tej wiary nawet za złamany grosz. Tymczasem filmowcom wolno preeliminować, praktycznie bez żadnego ryzyka, koszty filmów, które to koszty z kolei będą decydowały wprost proporcjonalnie o wysokości ich zarobków. Więc jakie to będą koszty? Będą to, oczywiście, koszty wysokie. I takie właśnie są.

Z górą piętnaście lat temu pewien bystry publicysta interesujący się bodźcami w budownictwie stwierdził: Im opłacałoby się najbardziej budować ze złotych cegieł, bo do planu i do premii liczą się koszty przerobu. Te złote cegły znaleźli nasi filmowcy. W dekoracjach. Żeby do końca wszystko było jasne - chodzi tu o dekoracje nie potrzebne, takie, które można z powodzeniem zastąpić zdjęciami trikowymi, miniaturami, nawet planszą. Oto garść przykładów:

Reżyser Wionczek do "Sekretu Enigmy" /temat chwalebny, ale grubo spóźniony i artystycznie skopany/ zbudował ogromne makiety jednego zamku /francuskiego/ i jednego pałacu /Saskiego/ za sumę blisko siedem milionów zł! Pałac Saski /nieco ponad 3 mln/ służył jako tło do uwiecznienia danych personalnych wykonawców - czyli tej części projekcji, przy której 99 % widzów kończy jeszcze rozmowy towarzyskie i odwija z papierków ostatnie cukierki, zanim sąsiedzi zaoznają syczeć. Zamek posłużył do jednego tylko, krótkiego ujęcia /wyniesienie dokumentów/. Ta olbrzymia makietka do dziś stoi przy Al. Unii w łódzkiej dzielnicy Zdrowie. Ponieważ kosztowała wielkie pieniądze i kłuje co dzień w oczy - wokół sprawy powstało skądś podobno zdecydowano... to już jest doprawdy komiczne: otóż mówi się, że już jest w przygotowaniu scenariusz filmu specjalnie pod tę makietę! Pł a ć ukochany kraju...

Filipski /Ryszard, a jakże/ do filmu "Zamach stanu" zlecił budowę makiety Sejmu /2 miliony zł/ nie bacząc, iż makietę tegoż samego, zresztą całkiem autentycznego Sejmu /mam na myśli autentyczny architektoniczny, a nie polityczny/ zbudowano już do filmu Kawalerowicza "Śmierć Prezydenta". I w tym przypadku też nie wiadomo po co zbudowano, bo jeśli mamy gmach Sejmu, to póki co należy w nim kręcić filmy historyczne. W sumie 4 miliony z głowy.

Jeszcze gorzej jest w serialach telewizyjnych. Reżyser Antozak globalnie przekroczył koszty "Nocy i dni" o 20 milionów, ale nawet nikt nie kiwnął palcem bo podobno dochód przewyższył koszty produkcji. Za to może tak nie zbilansować się w kręconej obecnie "Królowej Bonie", realizatorzy zadysponowali bowiem budowę dwu kompletów identycznych dekoracji w halach zdjęciowych w Łodzi i w Warszawie. Koszt nie jest nam znany, ale zanosi się na horrendalne sumy. Podobno chodzi o usprawnienie realizacji - część aktorów mieszka w Łodzi, część w Warszawie.

Aleksandra Śląska, odtwórczyni głównej roli, sławna z niesławnego "Ostatniego etapu" Jakubowskiej do Łodzi przyjeżdża niechętnie, bo nie ma czasu. Oóż, kaprysy gwiazd muszą znosić nawet wielcy producenci amerykańscy. Ale to zmniejsza ich zyski. Naszym producentem kapryśne gwiazdy nabijają kabzę. Jak tak dalej pójdzie, gwiazdy zaczną kapryścić za prowidżę.

To wszystko co sprawdziliśmy. Mówi się także o ogromnych wydatkach na niepotrzebne dekoracje w "Do krwi ostatniej" Hoffmana i w serialu "Życie na gorąco" Konica. Jednak z ekip kręcących "ideologiczne" filmy przecieków jest znacznie mniej, co rzecz jasna nie musi świadczyć o wyższym poziomie tzw. obywatelskiej postawy, a może być po prostu efektem kupionej solidarności.

Jest faktem, iż od paru lat w produkcji filmowej szerzy się "epidemia dekoracyjna" i jest faktem również, że praktyka ta wpływa wysoce dodatnio na zarobki realizatorów. Mamy tu więc do czynienia z klasycznym przykładem społecznej i gospodarczej dysfunkcji obowiązujących przepisów. W naszym życiu przypadków takich są setki, może tysiące, ale trzeba je znaleźć i opisać. Zaczęliśmy od przykładu może nie najbardziej spektakularnego, ale dobrze ilustruującego istotę rzeczy: osobista korzyść ze świadomości, wręcz zamierzonej i najzupełniej bezkarniej niegospodarności. Jest to postawienie na głowie wszystkich zasad, jakie rządzą zdrowym organizmem.

Czy "pieszczochom Polski Ludowej" stworzono te osobliwe okazje specjalnie, aby podnieść ich ideologiczną dyscyplinę, czy sami odkryli i cynicznie eksploataują pożytki absurdalnych przepisów? Tak czy inaczej inwencja twórcza filmowców wyczerpie się rychło na wymyślaniu coraz kosztowniejszych dekoracji, samo kręcenie filmu stanie się zaś przykrym obowiązkiem uzasadniającym poniesione koszty.

Tapir

Homo homini Chomeini est

Preambula:

Uniwersytet Warszawski, 25 sierpnia 1977 r. Gro-nostaje, togi, birety. Pompa. Promotorowi głos kamie się ze wzruszenia. Mówi: "Życie i działalność polityczna dostojnego doktoranta są ściśle związane z procesem przekształcania Iranu w nowoczesne, uprzedmiotowane państwo i walką o zapewnienie Iranowi miejsca w społeczności międzynarodowej, godnego wielkiego narodu, o bogatych, wielowiekowych tradycjach". Nazajutrz "Trybuna Ludu" donosi: "Władze Uniwersytetu Warszawskiego nadaniem Szachinszachowi Iranu doktoratu honoris causa podkreślają jego wkład w rozwój stosunków międzynarodowych i zasad prawnych regulujących te stosunki, tworząc działalność tego wybitnego męża stanu na rzecz przebudowy stosunków międzynarodowych pod kątem utrwalenia pokoju i powiązania go z dynamicznym rozwojem gospodarczym i społecznym wszystkich narodów. Doktorat honoris causa dla Cesarzowej Iranu jest wyrazem uznania dla Jej Cesarzkiej Mości za sprawowanie mecenatu nad zabytkami, prastarej kultury Iranu stanowiącej dobro ogólnoludzkie, za wielki wkład w dzieło rozwoju współczesnej kultury i sztuki irańskiej, za osobisty udział w pogłębianiu i rozszerzaniu irańsko-polskich stosunków kulturalnych".

Wniosek obywatelski:

M.p. w marcu 1980r

Do Przewodniczącego Senatu
i Jego Magnificencji Rektora
Uniwersytetu Warszawskiego

Świadomi potrzeby kontynuowania szczytnej tradycji orientальной w polityce naukowej Uniwersytetu Warszawskiego zgłaszamy przy niniejszym wniosku o rozpatrzenie możliwości nadania tytułu

doktora honoris causa
ajatollahowi Rudollahowi Chomeiniemu

Inamowi Iranu

za całokształt twórczości w zakresie szyickiej interpretacji burżuazyjno-kosmopolitycznego i imperialistyczno-reakcyjnego pojęcia

"i m m u n i t e t d y p l o m a t y c z n y"

Solanka borysowska

Rzecz będzie nie o wyprawach do wód po zdrowie, ale o tym jak diabli wzięli ponad 30 /trzydzieści! / ton szynki wieprzowej przygotowanej przez Łódzkie Zakłady Mięsne na okres Bożego Narodzenia 1979 r.

O tym, że ludzie masowo zwracali do sklepów śmierdzącą szynkę wszyscy w Łodzi wiedzą, chociaż prasa w tym czasie nie pisała słowa. Napisała dopiero w dn. 7 marca. Pod nagłówkiem "Z prac Egzekutywy KL PZPR", nie przyciągającym masowego czytelnika, informowano "...o konsekwencjach dyscyplinarnych, które ponieśli pracownicy zakładów mięsnych odpowiedzialni za dopuszczenie do zepsucia pewnej partii szynki /5 nazwisk/". Poszliśmy tropem tej afery.

Bezpośrednią przyczyną "awarii" było zalanie przyrządy szynki zajmującej ponad 50 m²... ściekami kanalizacyjnymi, ułożono ją bowiem na kratownicy kanału, którego wylot się zatkał. Jakiegokolwiek komentarza w tym miejscu byłoby silnie nie na oryginalność. Sprawa ma zresztą głębsze tło. Przy okazji bowiem zagrożeni pracownicy "puścili farbę" na temat wieloletnich, tolerowanych przez Centralę Przemysłu Mięsnego, zaniedbań technologicznych i sanitarnych na terenie zakładów mięsnych. To co ustaliliśmy na pewno nie wyczerpuje sprawy.

Przy produkcji szynki, bekonów itp. stosuje się nastrożkiwanie odpowiednimi preparatami /solanki/. Trudności dewizowe - za niektóre składniki tych solanek trzeba płać dolarami - wyzwoliły twórczość zastępczą, powstała "solanka borysowska" /ponoć od nazwiska uczonego z branży antyimportowej/. Próbowano zastosować ją również w bekonach eksportowych, ale trzeba się było szybko wycofać, w jednym gramie produktu występowało kilkadziesiąt do kilku tysięcy bakterii wobec światowej normy poniżej stu! Normy na rynek wewnętrzny nikt nie ustalił więc "solanka borysowska" jest stosowana z powodzeniem. Podobno spełniałyby zadanie, gdyby w zakładach panowała laboratoryjna czystość. Ale nie panuje /nawet bez kloaki w przemyśle/. Do tego źle funkcjonują maszyny dozujące solankę - jeden produkt dostaje jej za dużo, drugi za mało. A robotnicy chcą wykonać normę. Wobec tego - smacznego!

/EMER/

Noty • Komunikaty • Informacje

WOBEC SYTUACJI W ROPCIO

Trwająca od blisko dwu lat sytuacja w Ruchu Obrony Praw Obywatelskich i Obywatela upoważnia do wyjaśnienia naszego w nim miejsca. Wielokrotnie podejmowaliśmy próby pojednania zwaśnionych środowisk, po raz ostatni w oświadczeniu z dn. 22 listopada 1979 r. W tym oświadczeniu wyraziliśmy poglądy:

"Celem nadrzędnym Ruchu Obrony jest rzecznicztwo o prawach skonkretyzowane w wielu dokumentach jako proces stopniowego doprowadzania postanowień Paktoów Praw Politycznych i Obywatelskich do polskiego prawa wewnętrznego, dostosowywania przepisów szczególnych do ducha i litery tych Paktoów, wreszcie - przestrzeganie ich realizacji.

W takim rozumieniu Ruch Obrony jest formacją ponadpartyjną i może skutecznie funkcjonować wspólnie z innymi grupami osób, które poza uznaniem tak określonego celu nadrzędnego mają jeszcze inne cele wynikające z ich przekonań politycznych, ideowych lub światopoglądowych. Pod jednym wszelako warunkiem: jeśli Ruch Obrony i jego uczestnicy w przeważającej masie nie będą traktowani przez zwarte ugrupowania wyłącznie instrumentalnie - jako "rezerwa członkowska" lub forum przetargów. Głoszona przez nas zasada rzecznicztwa praw musi odzyskać autonomię rangę i ujawnić się w działalności. W przypadku przeciwnym staniamy się luzną "federacją stronnictw politycznych", a następnie roztrwanimy tę ideę nadrzędną w tysiącu partykularnych i indywidualnych poczynaniach".

Zaproponowaliśmy następnie powołanie międzyrodzinkowej grupy inicjatywnej "dla przedyskutowania i uzgodnienia sposobów reaktywowania we wszystkich środowiskach Ruchu Obrony zasady rzecznicztwa praw".

I tym razem niestety wysiłki okazały się daremne.

W takim stanie rzeczy postanowiliśmy nie brać czynnego udziału w żadnym z grmów wyłonionych przez osobno zwoływane spotkania ogólnopolskie, a więc ani w Radzie Sygnatariuszy /z Funduszem Społecznym RO/, ani w Radzie Praw Człowieka /z Funduszem Praw Człowieka/. Natomiast jesteśmy gotowi współpracować z obu środowiskami w płaszczyźnie rzecznicstwa praw. Jako sygnatariusze formuły Ruchu Obrony czujemy się nadal obowiązani do realizowania zawartych w niej zasad.

Równocześnie informujemy, iż żaden z członków Zespołu "Aspektu" nie uczestniczy w powołanej w dn. 1 września 1979 r. organizacji pn. Konfederacja Polski Niepodległej. Ponieważ KPN statutowo zastrzega poufność członkostwa, wyjaśnienie takie z naszej strony jest niezbędne.

Luty 1980 r.

Zespół "Aspektu"

STUDIUM SPRAW POLSKICH

W dn. 1 lutego 1980 r. odbyło się w siedzibie Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie zebranie inauguracyjne Studium Spraw Polskich w Wielkiej Brytanii. Zebraniu przewodniczył S. Gomułka, sekretarzowa A. Pospieszalski. Projekt regulaminu Studium opracowany przez grupę roboczą, która zebranie przygotowała, zreferował J. Radomski.

Studium stawia sobie za cel pomoc ośrodkom wolnościowym w Polsce przez 1/ informowanie opinii brytyjskiej o działalności tych ośrodków, 2/ wspieranie ich finansowe, 3/ inspirowanie akcji w obronie prześladowanych. Działalność Studium wyrazi się w następujących formach: a/ gromadzenie informacji z kraju i o kraju, opracowywanie ich, tłumaczenie i rozpowszechnianie, b/ oddziaływanie na opinie publiczną, prostowanie fałszów i nieporozumień, c/ zbieranie funduszy na pomoc dla ośrodków wolnościowych w kraju i na wykonywanie powyższych zadań, d/ współdziałanie w dziedzinie informacji i propagandy ze wszystkimi polskimi i polonijnymi ośrodkami demokratycznymi i niepodległościowymi, z podobnymi ośrodkami narodów Środkowej i Wschodniej Europy, z organizacjami anglo-polskimi oraz międzynarodowymi ośrodkami działania na rzecz praw człowieka i samostanowienia narodów, e/ współpraca z Północno-Amerykańskim Studium Spraw Polskich oraz Europejskim Studium Spraw Polskich.

W dyskusji m.in. zabrali głos: E. Szczepanik, S. Wasik, T. Terlecki, A. Stypułkowska, F. Miszczak, W. Sukiennicki, S. Grocholski, J. Chodakowski, B. Sulik, L. Kołakowski, R. Piłsudski, T. Prokopowicz, Z. Janik, W. Moszczyński, E. Smolar, Uchwalono regulamin oraz dokonano wyboru Zarządu i Komisji Rewizyjnej. W skład Zarządu weszli: A. Stypułkowska - prezes, J. Radomski - wiceprezes, A. Pospieszalski - sekretarz, S. Gomułka i W. Moszczyński - członkowie. W skład Komisji Rewizyjnej weszli: S. Wasik - przewodniczący, L. Kołakowski i J. Kulczycki - członkowie. /Inf. wg "Trybuny" nr 34/90, Londyn/.

HOLOCAUST znaczy CAŁOPALENIE

W 1979 r. setki milionów zachodnich telewidzów obejrzało amerykański serial "Holocaust" poświęcony eksterminacji Żydów europejskich w czasie II wojny. W serialu znalazło się kilka scen sugerujących w sposób szczególnie obrzydliwy rzekomy udział Polaków w tragedii Narodu Żydowskiego. Zaprotestował przeciw temu Kongres Polonii Amerykańskiej.

Prezes Mazewski, wiceprezes Milewski i mec. Walentynowicz przy poparciu "Nowego Dziennika" zażądali spotkania z prezesem NBC Fredem Silvermanem, aby przedstawił mu zastrzeżenia Polonii do niektórych fragmentów filmu "Holocaust" i opartej na filmie książki Greensa pod tym samym tytułem. W korespondencji z NBC Kongres Polonii Amerykańskiej wystąpił z żądaniem, aby korzystając ze wznowienia usunąć cztery sceny, a w szczególności scenę egzekucji kobiet żydowskich w getcie przez pluton egzekucyjny w mundurach polskich i z polskimi ofiarami na czapkach; oddanie dziecka żydowskiego przez osobnika w takim samym mundurze do pociągu wiozącego Żydów do miejsca zagłady; oddziały w mundurach polskich, określanego

jako "Litwini" wkraczającego do getta warszawskiego w przededniu powstania i scenę oszukania przedstawiciela podziemia żydowskiego z getta przez przedstawiciela podziemia polskiego przy dostawie broni. Z takim samym żądaniem wystąpił do NBC prof. Stanisław Blewaj z uniwersytetu stanu Connecticut. Mec. Walentynowicz sugerował też, aby dodać do filmu interpretację ze strony polskiej, wysuwając jako uczestników panelu prof. Jana Karaskiego z Waszyngtonu, prof. Lucjana Dobroszyckiego, specjalisty od stosunków polsko-żydowskich z Nowego Jorku i prof. Władysława Bartoszewskiego z Polski, który w czasie wojny prowadził z ramienia polskiego rządu podziemnego akcję ochrony Żydów.

Przedstawiciele Polonii stwierdzili zgodnie, że hitlerowskie zbrodnie wobec Żydów, a także wobec Polaków winny na zawsze pozostać w pamięci ludzkiej jako akty ludobójstwa na niespotykaną skalę. Pod tym względem film "Holocaust" spełnił swoje zadanie, wstrząsając opinią świata. Ale prezes Mazewski i po kolei przedstawiciele grupy polskiej stwierdzili zarazem, że film "Holocaust" jest historycznie fałszywy, operuje faktami, jakie nie istniały. Polska w czasie wojny z Hitlerem była jedynym krajem, który nie wydał Quislinga, czyli nie było jakiegokolwiek formy kolaboracji.

Mec. Walentynowicz wskazał, że na niedawnej konferencji "Docu-Drama Symposium 1979" w Kalifornii zostały zgłoszone poważne zastrzeżenia przeciwko filmom i serialom pseudohistorycznym, które przeinaczają historię. Tak też stało się z serialem "Holocaust". Prezes Mazewski podkreślił, że tego rodzaju filmy są dla Polaków krzywdzące. Mówił o antypolskich nastrojach w prezydenckiej komisji dla upamiętnienia zbrodni hitlerowskich, utworzonej przez prezydenta Cartera i działającej w Waszyngtonie. Red. Wierzbiański podkreślił, że film "Holocaust" wywołał wśród Polonii amerykańskiej podrażnienie i przyczynia się do pogarszania się stosunków między dwiema grupami etnicznymi w USA, polską i żydowską. Istnieje, mówił Wierzbiański, wiele dowodów tego rodzaju tendencji. Film bowiem stwarza wrażenie współpracy Polaków z Niemcami w strasliwym dziele eksterminacji Żydów.

Wyrażono też obawy, że film, który ma być używany w szkołach przez Learned Society of America, wyworzy zły obraz Polski i Polaków także w przyszłych pokoleniach. Temu należy zapobiec.

Mr. Jay Gerber i pozostali przedstawiciele NBC stawiali też, że serial "Holocaust" miał generalnie uświadomić opinię publiczną o zbrodni eksterminacji narodu żydowskiego. W żadnej mierze nie miał być skierowany przeciwko Polakom. Tę tezę obecni przedstawiciele Polonii odparli, cytując przykłady z filmu i książki. NBC zapowiedziało film oparty na fakcie pobytu Jana Pawła II w miejscu zagłady w Oświęcimiu-Brzezince.

Wymiana opinii była życzliwa, ale nie przyniosła bezpośrednich wyników /.../

Przedstawiciele NBC zobowiązali się zbadać możliwości poprawek do filmu, ale nie dali ścisłych przysobieć.

Mec. Walentynowicz wręczył Jay Gerberowi książkę W. Bartoszewskiego i Iranka Osmeckiego o wysiłkach polskich w celu ratowania Żydów z rąk niemieckich.

Obie strony, Kongres Polonii Amerykańskiej i prasa polsko-amerykańska oraz NBC postanowiły utrzymywać kontakt w przyszłości.

/Informacja wg "Nowego Dziennika" ukazującego się w Nowym Jorku/

ULICA 11 LISTOPADA

Wśród zmian jakich dokonywano w powojennej Polsce były również zmiany nazw ulic. Dokonywano w szczególności zmian takich nazw, które jeden z socjologów określił pięknym mianem "wsporników społecznej pamięci", "symboli narodowej historii". W Łodzi zmieniono np. nazwy ulic upamiętniające walkę narodowowyzwoleńczą i związane z działalnością Legionów oraz osobą Józefa Piłsudskiego. Pamiętało o tym łódzkie środowisko Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce nawiązując do po raz pierwszy w PRL organizowanych obchodów rocznicy odzyskania niepodległości, zgłosiło wniosek obywatelski o przywrócenie dwóm ulicom m. Łodzi ich dawnej nazwy: ul. Obrońców Stalin-

gradu - nazwy "11-go Listopada" oraz ul. Wschodniej - nazwy "Im. Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego", by w ten sposób właściwie uczcić 60 rocznicę odrodzenia Polski w 1918 roku. Wniosek został skierowany do Rady Narodowej Miasta Łodzi, ale również przedłożony opinii społecznej. Jeden z uczestników Ruchu Obrony odczytał pełny tekst wniosku na Walnym Zgromadzeniu Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, gdzie spotkał się on z aprobatą przeważającej liczby obecnych na sali. Następnie R.O. podjął akcję zbierania podpisów pod wnioskiem wśród mieszkańców ul. Obrońców Stalingradu. Akcja ta przebiegała w ten sposób, że uczestnicy Ruchu Obrony szli do wybranych losowo posesji tej ulicy i odwiedzali tam mieszkania, przedstawiając obecnym w nich osobom zarówno zwięzłą informację dotyczącą Ruchu Obrony jak i ośnowę wniosku o zmianę obecnej nazwy ulicy. Dla lepszego ujawnienia się możliwych stanowisk w tej sprawie przedkładano wniosek w trzech wariantach:

- 1/ poparcia dla wniosku zgłoszonego przez Ruch Obrony, to jest o przywrócenie ulicy Obrońców Stalingradu jej dawnej nazwy "11-go Listopada"
- 2/ poparcia dla nadania nazwy "11-go Listopada" innej ulicy m. Łodzi
- 3/ sprzeciwu wobec nadania takiej nazwy którejkolwiek z ulic m. Łodzi.

Podjęta akcja przyniosła dwa ważne doświadczenia. Pierwszym było spotkanie się przez osoby zbierające podpisy ze zorganizowanym przeciwdziałaniem ze strony tzw. terenowego aktywu społecznego. Za kryptonimem tym prawdopodobnie kryli się również funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, gdyż tylko oni mogli zainspirować i kierować takim przeciwdziałaniem. Za tegoż taką przemawia i to, że w miarę rozwijania się akcji wystąpili przeciwko niej także mundurowi funkcjonariusze MO, którzy legitymowali, zatrzymywali, przeszukiwali i zabierali wnioski z podpisanymi mieszkańcami. Następnie niektórzy z mieszkańców byli przesłuchiwani przez MO.

Drugim doświadczeniem tej akcji było zdecydowane poparcie ogromnej większości mieszkańców dla wniosku Ruchu Obrony. Tylko nieliczna grupa osób, przeważnie ludzi młodszych, przybyłych spoza Łodzi w ostatnich kilkunastu latach, opowiadała się za drugim wariantem rozwiązania sprawy albo nie miała w ogóle wyrobionego zdania. Przeciwno propozycji nazwania którejkolwiek ulicy nazwą "11-go Listopada" wypowiedziało się tylko jedna osoba.

Taki stosunek opinii społecznej do wniosku zgłoszonego przez Ruch Obrony dowodził, że wniosek ten był nie tylko głęboko słuszny ale i szeroko akceptowany. Być może, iż świadomość tego stanu rzeczy zdecydowała o tym, że Rada Narodowa Miasta Łodzi uchwaliła nadanie jednej z ulic nazwy "11-go Listopada", mimo wyraźnego dystansowania się oficjalnej propagandy od uznania daty 11 listopada za dzień odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 roku. Rada Narodowa Miasta Łodzi, podobnie jak nowo przybyli do Łodzi mieszkańcy ul. Obrońców Stalingradu, wybrała drugi wariant rozwiązania sprawy. Stosowna Uchwała Rady w tym przedmiocie /nr XVI/59/79 z dnia 31 stycznia 1979 r./ została ogłoszona w Dzienniku Urzędowym Rady Narodowej m. Łodzi nr 4 poz. 24 z dnia 31 marca 1979 roku. Zgodnie z §1 tej Uchwały nazwę "11-go Listopada" nadano nowo powstałej ulicy na osiedlu Radogoszcz: jest to ulica rozpoczynająca się od Al. Włókniarzy, stanowiąca północno-zachodnią część obwodnicy osiedla mieszkaniowego położonego między ulicami: Brzozkwinową, Zgierską i Niezapominajki. W ten sposób po 30 latach, w 60 rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, z inicjatywy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce, "czerwona" Łódź odzyskała ulicę upamiętniającą historyczną dla Polaków datę - 11 Listopada. I chociaż nazwy tej nie przywrócono ulicy Obrońców Stalingradu, z którą to ulicą w świadomości starszego pokolenia Łódzian wiąże się tradycja Wojska Polskiego i walki narodowowyzwoleńczej, to jednak fakt nadania jednej z ulic Łodzi tej nazwy jest niewątpliwie faktem pozytywnym. Odmienne jest w przypadku drugiej propozycji, tzn. przywrócenia nazwy "Im. Józefa Piłsudskiego". Wniosek ten w ogóle nie został rozpatrzony przez Radę Narodową, zaś uczestnicy Ruchu Obrony - sygnatariusze wniosku nie otrzymali do dziś żadnej odpowiedzi w tej sprawie. Taki sposób załatwienia wniosku obywatelskiego przez władze miasta oraz odmowa przywrócenia dawnych nazw ulicom Obrońców Stalingradu i Wschodniej wynika z przyczyn politycznych. PZPR dą-

ży do utrwalenia w świadomości Polaków rzekomo nie-rozerwalnego związku między odzyskaniem przez Polskę niepodległości, a wybuchem i rozwojem rewolucji komunistycznej w Rosji. Interpretując w tym duchu zarówno wydarzenia roku 1918 jak i lat 1944-45 narzuca się opinii społecznej pogląd, że to właśnie "Obrońcy Stalingradu" wywalczyli niepodległość Polski i wobec tego nie ma powodów by powracać do "burżuazyjnej" tradycji II Rzeczypospolitej, a współcześni Polacy powinni czuć jako swoich - przywódców proletariatu: Lenina, Stalina, Marchlewskiego, Dzierżyńskiego i innych internacjonalistycznych "wyzwólcicieli Polski", a nie takich ludzi, jak Józef Piłsudski, Wincenty Witos, Roman Dmowski.

Uchwała Rady Narodowej Miasta Łodzi z dnia 31 stycznia 1979 r. w taki a nie inny sposób załatwiająca wniosek Ruchu Obrony jest aktualnym przejawem tego rodzaju mentalności i właściwego dla niej stosunku do tradycji narodowej. Uchwała ta nie może więc w pełni zadowolić tych wszystkich, którzy złożyli swoje podpisy pod wnioskiem Ruchu Obrony lub poparli ten wniosek, bądź poparliby, gdyby można było im go przedłożyć w warunkach wolnych od nacisku, gdyż prawe do własnej tradycji narodowej stanowi dla nas wszystkich jedno z niezbywalnych praw, dzięki którym jesteśmy kim jesteśmy - Polakami! Pamiętając o tym i walcząc o to, możemy żywić nadzieję, że nastąpi zmiana na lepsze.

Karol Głogowski i Bogumił Włodarski

KRÓTKI ODDECH...

Nadal nie jesteśmy w stanie zapewnić regularnego ukazania się "Aspektu", dlatego numer następny będzie również podwójny, za I półrocze 1980 r. Mamy jednak nadzieję, że już od jesieni br. nabierzemy oddechu i pismo nasze będzie rzeczywistie kwartalnikiem. Prosimy o wyrozumiałość, każde przedsięwzięcie musi mieć czas na rozruch. /Red./

W POPRZEDNIM NUMERZE "ASPEKTU"

- Stanowisko Zespołu Realizm i walka polityczna
 - Andrzej Mazur, Na bezdrożach polityki rozwoju w naszym polskiej
 - Józef Hański, Poziom życia ludności Polski /punkt widzenia konsumenta/
 - Stanisław Gomułka, Zadłużenie krajów RWPG na Zachodzie
 - Tadeusz Grabowski, Jan Paweł II w Polsce: Próba uporządkowania pierwszych wrażeń
 - Czym jest Polski Ruch Wolnościowy "Niepodległość i Demokracja"
 - Roman Piłsudski, Postulaty polskiej racji stanu
 - Wywiad M.F. Rakowskiego dla prasy włoskiej
 - Andrzej Ostojka-Owsiński, Kilka uwag w sprawie mówienia prawdy
 - Zbigniew Sekulski, Proces SALT: oczekiwania i rzeczywistość
 - Andrzej Mazur, Dr Skonka organizuje naukę
 - Waldemar Akajewicz, Kompleks geopolityczny
- Pierwszy numer "Aspektu" będzie wznowiony!

PODZIĘKOWANIA

Kwitujemy przekazane do połowy marca 1980 r. daty pieniężne na fundusz ASPEKTU: z Łodzi: B.J. - 1.500,- zł, K.G. - 500,- zł, S.C. - 2.000,- zł, S.T. - 3.000,- zł, "Szkot" - 1.000,- zł, Z.N. - 3.000,- zł, zebrane przez B.W. - 3.200,- zł, Z. Wrocławia: A.S. - 100,- zł, J.B. - 700,- zł, J.M. - 200,- zł, zebrane przez H.T. - 1.120,- zł. Serdecznie dziękujemy!

Informujemy przy okazji, że fundusz pisma użytkowany jest w y ł ą c z n i e dla pokrywania kosztów technicznych. Autorzy i Zespół redakcyjny pracują honorowo. /Red./

Spis treści

CZAS PROGRAMU

- Stanowisko Zespołu: Cztery lata i co dalej? . . . 1

OŚWIATA

- Władysław Białkowski, Wokół reformy szkolnictwa
1. Metaproblemy oświatowej reformy 6
2. Próba konfrontacji 14
● Andrzej Mazur, Ciasno w głowach i deficyt w kadrach, czyli dylematy wyższego wykształcenia 21

RZECZNICTWO PRAW

- Andrzej Ostoja-Owsiany, Militaryzacja 28
● Deklaracje Ruchu Wolnych Demokratów
- W sprawie realizacji w Polsce Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych 33
- O powszechnie obowiązującą wykładnię art. 3 ust. 1 Konstytucji PRL 37
- W związku z wyborami do Sejmu PRL 39
- W związku z deklaracją wyborczą FJN 40

GOSPODARKA

- Stanisław Gomułka, Sytuacja gospodarcza Polski w drugiej połowie lat siedemdziesiątych . . . 42
● Edward Szczepanik, Poglądy polskiego ruchu oporu na politykę gospodarczą 47

CO MYŚLIMY O NIEMCACH?

- Od Redakcji 54
● P.P.N., Polska a Niemcy 54
● P.P.N., Niemcy, Polacy i inni 56
● Adam Wojciechowski, Zjednoczenie Niemiec a Polska 62
● Leszek Moczulski, Jedność i podział Niemiec . . 62
● Socjusz, Niemcy w zjednoczonej Europie . . . 63
● Zbigniew Rapacki, Inny punkt widzenia . . . 64
● Rowmund Piłsudski, Stosunki polsko-niemieckie 66
● Antoni Pospieszalski, Czy grozi zjednoczenie Niemiec? 69
● Stefan Kisielewski, Lepsze podzielone... . . 72
● Jan Nowak, Co nas boli 74

- M.S., Polska, Niemcy i inni 75
● Rowmund Piłsudski, Nowa intymidacja 77
● Stefan Kisielewski, Głos z drugiej Europy . . 79

35 LAT PRL

- Zygmunt Piłzowski, Partyjna historia nauki /krótki kurs/ 83

ŚWIAT, W KTÓRYM ŻYJEMY

- Zbigniew Sekuński, ZSRR: kierunki ekspansji
1. Casus Finlandia 87
● Bolesław Wierzbiański, Ameryka odnajduje siebie 90

INSPIRACJE

- Mała kontestacja na rykowisku drętwej mowy . 93

TU DWOJKA! CZYTACIE DWOJKE!

- Przy świecy na 20-tym stopniu zasilania . . . 96
● Jasnogórskie podkopy 98
● Polacy nie gęsi? 99
● Kosztowne pieszczochy 99
● Homo homini Chomeini est 100
● Solanka borysowska 100

NOTY + KOMUNIKATY + INFORMACJE

- Wobec sytuacji w ROPCIO 100
● Studium Spraw Polskich 101
● Holocaust znaczy całopalenie 101
● Ulica 11 Listopada 101
● Krótki oddech... 102
● W poprzednim numerze "Aspektu" 102
● Podziękowania 102

Ponadto w numerze "Myśli nieuczesane" /starej/ Stanisława Jerzego Leca - str. 27, 41, 53 i 82, oraz myśli Karola Marksa o wolności prasy - 86.

Ambicją naszego Zespołu jest obiektywne i gruntowne naświetlanie problemów i spraw podejmowanych na łamach pisma.

ASPEKT, niezależny kwartalnik społeczno-polityczny, nr 2-3 1979 r.

Redagują uczestnicy RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA W POLSCE:

Andrzej MAZUR

Łódź, ul. Mackiewicza 34 m.10, tel. 51-19-47

Andrzej OSTOJA-OWSIANY

Łódź, Al. Mickiewicza 15 m.9, tel. 659-32

p r z y w s p ó ł p r a c y Z e s p ó ł u

Oddano
do reprodukcji
25 marca 1980

